**Wiernikowska**

Co ją zaprowadziło do Rosji i Stanowskiego

▶8

**Parys**

Niemiec wciąż nie wie, jak ugryźć Polskę

▶13

**WYSOKIE OBCASY**

**Jakubiak**

Zostałam pielęgniarką męża

FOT. WOJCIECH OLKUŚNIK/DZIEŃ DOBRY TVN/EAST NEWS, MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

MAGAZYN
# wyborcza
wyborcza.pl
NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

# Dziewczyny idą na studia, chłopaki zostają w domu

Czym się to skończy ▶4

NICK DOLDING/GETTY IMAGES (MONTAŻ)

GAZETA wyborcza
Wydaje Wyborcza Sp. z o.o.
nr indeksu 348198
ISSN 0860-908X
9 770860 908167 09>

**Ja**

Najciekawszy temat pokolenia zet ▶32

**Egipt zielony jak mundur**

Byłem w nowej stolicy faraonów ▶22

**Książę Andrzej**

Tylko on zapłaci za Epsteina?

▶16

FOT. REUTERS/TOBY MELVILLE

**Kod dostępu do Wyborcza.pl na weekend**

Sobota – czwartek, 28 lutego – 5 marca 2026 | Redaktor prowadzący **Marek Markowski** | Cena gazety **11,99 zł** (w tym 8% VAT) | nr 49.11148, 1 | Nakład 73 tys. + **317 tys. prenumerat cyfrowych**

eprasa.pl ed047e9ca2

Agnieszka Kublik

# Przestępcy podziękują prezydentowi

Państwo, które unieważnia rozwód, wkracza z buciorami w naszą codzienność. W państwie, które uwalnia zabójców, ludzie nie czują się bezpiecznie. Takie państwo nie jest sprawiedliwe.

Jakaż musiała być rozpacz wśród bliskich ofiar, gdy sąd apelacyjny uchylił wyrok Mariusza G., znanego jako „Krwawy Tulipan". Dostał dożywocie za trzy zabójstwa – 31-letniej Iwony K., 37-letniej Anety D. i 54-letniej Bogusławy R. Uwiódł je, zabił, ciała zakopał w lesie. Chciał przejąć ich majątki. Jest sądzony ponownie.

Powód? Neo-sędzia w składzie orzekającym. A wedle Sądu Najwyższego sędziowie powołani po 2017 r. orzekać nie mogą. Neo-sędziowie to skutek wymyślonej przez PiS niekonstytucyjnej Krajowej Rady Sądownictwa.

Jakaż musiała być wściekłość w rodzinie ofiar, gdy wyszedł na wolność pijany kierowca, który zabił innego kierowcę i ciężko ranił jego żonę. Dostał 15 lat. Proces musi odbyć się od nowa, dla rodzin ma to wymiar nie tylko emocjonalny – bez prawomocnego wyroku jest problem z ubezpieczeniem. Powód? Ten sam, neo-sędzia w składzie orzekającym.

**Za sprawą neo-sędziów obywatelom dzieje się krzywda, rodziny ofiar cierpią jeszcze bardziej. A Karol Nawrocki wetuje ustawę, która mogła to naprawić**

Jakaż musiała być wściekłość byłych małżonków, gdy w sądzie usłyszeli, że nadal są mężem i żoną. Rozwiedzeni mieli podzielić się majątkiem, a dowiedzieli się, że rozwodu nie było. Powód? Ten sam, neo-sędzia w składzie orzekającym.

Coraz częściej tam, gdzie ludzkie sprawy osądzają neo-sędziowie, dzieje się to samo – podejrzani i przestępcy wychodzą na wolność. Sądy muszą procesy przeprowadzić od nowa. To podważa wiarę w prawo. Z badań CBOS wiemy, że im większe poczucie, że żyjemy w państwie prawa, tym wyższa satysfakcja z demokracji. A państwo prawa nas zawodzi. To skutek dwóch kadencji PiS u władzy.

Prezydent, wetując ustawę o KRS i proponując swój projekt, właśnie przypomina, co PiS nam wszystkim uczynił.

Oto bowiem Karol Nawrocki wpadł na pomysł, by karać sędziów, którzy powołując się na konstytucję, wyroki TSUE czy Europejskiego Trybunału Praw Człowieka, bronią rządów prawa. I tych, którzy będą „uporczywie kwestionować" uprawnienia prezydenta. To tak, jakby prezydent wprost napisał: zarządzam koniec państwa prawa, a obywateli skazuję na brak niezależnych i bezstronnych sądów.

Nawrocki w dniu zaprzysiężenia oznajmił, że sędziowie to nie bogowie, więc nie mogą sobie uzurpować praw, których nie mają. Skoro tak, to dlaczego sam wziął sobie kompetencje, których konstytucja mu nie dała? Bo kwestionuje nominacje sędziowskie, profesorskie, awanse w służbach specjalnych. Czyli kim jest Nawrocki dla Nawrockiego? Bo przecież nie Bogiem, prawda? ●

## Kanada
### Jaki kraj, takie dziki

FOT. ROBERT GLOECKNER/WORLD NATURE PHOTOGRAPHY AWARDS

Do śmietników w Warszawie zapuszcza się Sus scrofa, czyli dzik, a miejscowości w Kanadzie odwiedza Ursus maritimus. Im mniej lodu na morzu, tym więcej czasu niedźwiedzie polarne spędzają na lądzie. A że tam nie mają na co polować, kierują się na wysypiska – jak ten ze zdjęcia nagrodzonego w konkursie World Nature Photographer of the Year 2026.

## Kod dostępu do Wyborcza.pl

## Optune Pax
### Przełom w leczeniu raka trzustki

Pierwsza od 30 lat nowa metoda dla pacjentów z zaawansowanym rakiem trzustki. Amerykańska agencja leków zatwierdziła przenośne urządzenie złożone z samoprzylepnych plastrów umieszczanych na skórze brzucha, połączonych z lekkim, przenośnym generatorem.

Wynalazek szwajcarskiej firmy Novocure dostarcza do jamy brzusznej zmienne pola elektryczne o niskim natężeniu i częstotliwości, dobrane tak, aby zaburzać formowanie się tzw. wrzeciona mitotycznego – struktury niezbędnej do podziału komórek. Wzrost guza zostaje zahamowany, a szybko dzielące się komórki nowotworowe obumierają. Terapia nie uszkadza zdrowych, wolniej dzielących się komórek i tkanek.

W badaniu klinicznym z udziałem 571 pacjentów porównano skuteczność samej standardowej chemioterapii z chemoterapią uzupełnioną generowanymi przez szwajcarskie urządzenie

FOT. SHIDLOVSKI/SHUTTERSTOCK

polami TTFields. W drugim wariancie mediana przeżycia całkowitego wzrosła z 14,2 do 16,2 miesiąca, a przeżycie bez bólu wydłużyło z 9,1 do 15,2 miesiąca. Skutkiem ubocznym były tylko reakcje skórne pod plastrami.

Choć rak trzustki odpowiada za jedynie 3,3 proc. nowych diagnoz, cechuje się wyjątkowo wysoką śmiertelnością. Powodem jest ukryte, centralne położenie trzustki w jamie brzusznej – rozwija się niemal niezauważalnie. ●

**Margit Kossobudzka**

## Andrzej rysuje

## Cytat tygodnia

*To zwycięstwo nie tylko ruchu solidarności z Palestyną, ale także swobód obywatelskich w Wielkiej Brytanii*

FOT. GARY DOAK /ALAMY/BE&W

**SALLY ROONEY**
słynna pisarka młodego pokolenia o wyroku Sądu Najwyższego cofającym zakaz działalności organizacji Palestine Action

## Liczba tygodnia

# 20

FOT. REUTERS/MICHELLE FREYRIA

Z 32 MEKSYKAŃSKICH STANÓW

**ogarnęły zamieszki po zabiciu przez policję „El Mencho", szefa kartelu narkotykowego Jalisco Nueva Generación. Bandyci podpalają stacje benzynowe i banki, organizują blokady drogowe. Władze odwołały koncerty i zawody sportowe. Epicentrum starć jest stan Guadalajara – współgospodarz tegorocznego mundialu.**

• **Więcej na Wyborcza.pl/swiat**

1 RP

eprasa.pl ed047e9ca2

Wunderwaffe Czarzasty

# Kto się boi Czerwonego Luda

W Pałacu Prezydenckim myślą, że znaleźli słaby punkt ekipy Tuska. W ekipie Tuska są pewni, że znaleźli słaby punkt Nawrockiego.

Gruszczyński

„Albo Tusk z Czarzastym – albo bezpieczeństwo i rozwój Polski. Wybierzcie mądrze" – napisał w ubiegłym tygodniu w serwisie X Mateusz Morawiecki. Były premier przypomniał również, że „gdyby Pan Bóg zdecydował się odwołać z tego świata prezydenta RP dzisiaj, to jutro obowiązki prezydenta sprawowałby pan marszałek Włodzimierz Czarzasty". O tym samym mówił na niedawnej Radzie Bezpieczeństwa Narodowego Karol Nawrocki. Widać więc wyraźnie, czego boją się politycy Prawa i Sprawiedliwości.

Albo inaczej: jakie lęki społeczne próbują obudzić wśród konserwatywnych wyborców. Realny strach przed zmianą prezydenta to tylko jeden z nich.

•

Dzień po zaprzysiężeniu nowy marszałek Sejmu, Włodzimierz Czarzasty, spotkał się z dziennikarzami na konferencji prasowej. Zadałem wtedy dwa pytania: kiedy spotka się z prezydentem Nawrockim i czy powoła wicemarszałka z PiS.

Czarzasty odpowiedział, że nie widzi potrzeby spotkania z głową państwa i nie zgodzi się na Elżbietę Witek, którą PiS widziałby w fotelu wicemarszałka. To był pierwszy sygnał może nie nowego rozdziału, ale na pewno znaczącego akapitu w polskiej polityce. Kilka dni później nowy marszałek wygłosił telewizyjne orędzie, w którym zadeklarował, że wprowadzi weto do prezydenckich projektów ustaw. Na kolejnej konferencji prasowej ogłosił, że propozycje legislacyjne opracowane przez współpracowników Karola Nawrockiego są niedopracowane lub przetrzymywane w komisjach prowadzonych przez polityków PiS. W kilku wywiadach Czarzasty stwierdził, że prezydent jest nieskuteczny, a w licznych filmikach w serwisach społecznościowych zaczepiał Nawrockiego. Marszałek radził prezydentowi „mniej ustawek, więcej książek", nawiązując do kibolskiej przeszłości pierwszej osoby w państwie.

Na odpowiedź musieliśmy trochę poczekać. Ale gdy nadeszła, to grubego kalibru. „Gazeta Polska" opublikowała reportaż o rosyjskich powiązaniach Czarzastego. Miał utrzymywać kontakty biznesowe i towarzyskie z Rosjanką współpracującą z Kremlem.

Kolejne kroki były precyzyjnie opracowane przez PiS: Nawrocki zwołał Radę Bezpieczeństwa Narodowego i do jej programu wpisał wyjaśnienie niejasnych powiązań drugiej osoby w państwie z Rosją. Następnie politycy prawicy przekonywali, że Czarzasty nie wypełnił ankiety służb specjalnych – choć tak naprawdę z urzędu przysługuje mu dostęp do wszystkich informacji niejawnych i jest pod stałą obserwacją funkcjonariuszy.

– Chodziło nam o dwie sprawy. Po pierwsze: nasz elektorat jest niezwykle czuły na punkcie postkomunistów, więc nasza odpowiedź na ataki Czarzastego musiała być zdecydowana. A po drugie: Tusk tak często mówi o rosyjskich związkach naszych polityków, a pod nosem ma kogoś, kto miał realne związki z Kremlem. Czarzasty nie potrafił się z tego sensownie wytłumaczyć i do końca kadencji będziemy mu to wypominać – mówi mi poseł PiS z frakcji Zbigniewa Ziobry.

Czarzasty wytłumaczył się z powiązań z Rosjanką – spotkał się z nią kilka razy, wydał jej książkę i sprzedał połowę hotelu w Spale, czego nigdy nie ukrywał. A w bitwie na narracje obie strony mogły odtrąbić zwycięstwo. Kaczyński z Nawrockim przykuwali uwagę publiczności, odpowiadając na jego zaczepki, a marszałek umocnił się w oczach demokratycznego elektoratu jako twardy polityk, którego atakuje cały PiS. Mówiąc krótko: wszyscy na tym zyskali.

•

Ale niektórzy bardziej. Okazuje się, że krytyka Czarzastego połączyła dwie zwalczające się frakcje w Prawie i Sprawiedliwości.

Po jednej strony mamy stronników Morawieckiego, którego pozycja w okolicy ucha prezesa słabnie z tygodnia na tydzień, po drugiej – zwolenników Przemysława Czarnka i Ziobry, którzy przekonują Kaczyńskiego do zaostrzenia kursu. Ci ostatni nie wyobrażają sobie, że kandydatem na premiera zostanie Morawiecki i proponują Kaczyńskiemu polityków młodszego pokolenia, nieobciążonych, a już doświadczonych, bo mających za sobą kilka kampanii wyborczych i obycie medialne. Na liście są więc europoseł Tobiasz Bocheński i szef kancelarii prezydenta Zbigniew Bogucki.

Frakcje, które każdego dnia zaciekle przekonują dziennikarzy do swoich narracji, pogodził Czarzasty. – Mówiliśmy jednym głosem, nikt nie zdradził, bo trudno sobie wyobrazić, że Morawiecki ma jakieś wspólne interesy z liderem lewicy – słyszę od posła PiS z frakcji byłego premiera. – Musi pan wiedzieć, panie redaktorze, że my wszyscy w partii postrzegamy Czarzastego jako marionetkę w rękach Tuska. Marszałek ma atakować Nawrockiego, a premier łagodzić stosunki, deklarując współpracę. Czarzasty ma walić codziennie w prezydenta, a Tusk kreować się na męża stanu.

Podział zadań między dwóch liderów wydaje się sensownym rozwiązaniem, ale intelektualne zaplecze prawicy widzi tę konkretną rozgrywkę nieco inaczej. Jan Maria Rokita, były premier i polityczny przyjaciel Tuska, 20 lat temu, gdy młode PO i PiS dopiero mościły się na scenie, typowany na premiera wspólnego, a dziś prawicowy publicysta występujący w roli mędrca samotnika, ogłosił w Kanale Zero, że rozgryzł lidera Lewicy. „Rozumiem, co Czarzasty chce osiągnąć w polskiej polityce. Jego celem jest ograniczenie wpływów Tuska i wejście w rolę Tuska, przynajmniej w odniesieniu do tych najbardziej radykalnych wyborców. To rozumiem. To jest strategia inteligentna, cyniczna i pełna tupetu. Zdaje się, że Tusk tego nie rozumie".

– Coś panu zdradzę – uśmiecha się polityk lewicy, którego zaczepiam na sejmowym korytarzu i pytam o odbieranie Tuskowi wyborców. – Znaczną część elektoratu demokratycznego obecnie zagospodarowują dwie partie: my i Koalicja Obywatelska. Jeśli nam rośnie, to spada Tuskowi i odwrotnie. Chcemy mieć za rok w wyborach 10 procent, co oznacza, że KO będzie miała coś około 30.

**Jan Maria Rokita: Rozumiem, co Czarzasty chce osiągnąć w polskiej polityce. Jego celem jest ograniczenie wpływów Tuska i wejście w rolę Tuska, przynajmniej w odniesieniu do tych najbardziej radykalnych wyborców**

A więc potwierdza dywagacje Rokity, lecz tylko w pewnym stopniu. Bo tak naprawdę premier i marszałek Sejmu grają o utrzymanie koalicji po przyszłorocznych wyborach parlamentarnych, ale w innym kształcie: bez Polskiego Stronnictwa Ludowego i Polski 2050. I będą się nawzajem umacniać, jak wynika z moich ustaleń.

•

Kolizja PiS z liderem Nowej Lewicy miała jeszcze jeden wymiar. Kiedy partia Kaczyńskiego pogrąża się w wewnętrznych sporach, kiedy prezes próbuje zdyscyplinować frakcje, kiedy apeluje do zaprzyjaźnionych mediów o autocenzurę w informowaniu o konfliktach między Morawieckim i całą resztą, atak na Czarzastego jest niczym innym jak wybawieniem od codziennych kłopotów. Choć moi rozmówcy z PiS przekonują, że krytyka marszałka Sejmu nie miała przykryć wewnętrznych sporów w partii, to przecież przynajmniej przez moment media nie interesowały się frakcjami.

Ci sami politycy opowiadają, że spór z Czarzastym buduje głównie Nawrockiego. – Prezydenta serio martwią doniesienia o przeszłości marszałka, przy okazji punktuje koalicję rządzącą, a czarną robotę wykonują za niego ludzie z jego kancelarii. Pycha przemawiająca przez Czarzastego jest obecnie najsłabszym punktem koalicji, a jego filmiki o prezydencie działają już tylko na Silnych Razem – słyszę z okolicy Nowogrodzkiej.

Fakty są jednak bardziej skomplikowane. Według cyklicznego sondażu CBOS, w styczniu prezydentowi ufało mniej Polaków niż w grudniu. Jasne, nadal jest liderem badania, a spadek wynosi tylko 2 procent, ale jego strategia polityczna zaczyna przynosić szkody wizerunkowe. Z kolei z podobnego badania dla Onetu wynika, że w ciągu kilku tygodni zaufanie do Czarzastego wzrosło o 10 procent i obecnie ponad 40 procent badanych ufa marszałkowi Sejmu. Wyrazisty styl lidera Lewicy na pewno sprzyja nastrojom po stronie demokratycznej.

Na sporze z prezydentem umacnia się więc Czarzasty, a jego działania są wstępem do kampanii wyborczej.

Tusk z lewicą mogą wygrać wybory jedynie dzięki silnej polaryzacji i próbie sklejenia PiS z Grzegorzem Braunem. Prezydent ma odgrywać w tej narracji kluczową rolę: marszałek z premierem będą przekonywać, że domknięcie systemu politycznego i oddanie pełnej władzy w ręce prawicy skończy się demokrację nieliberalną na sterydach. A prezydent, wysyłający do Sejmu projekt ustawy o Krajowej Radzie Sądownictwa, w której przewidziano kary więzienia dla sędziów krytykujących „reformę" Ziobry, idealnie wpisuje się w plan koalicji. A w dodatku w przygotowaniu owego projektu brał udział bliski ukrywającemu się w Budapeszcie Ziobrze prawnik związany z Ordo Iuris. Po stronie rządowej panuje pełnia szczęścia.

Nawet jeśli Nawrocki odzyska część wyborców PiS, którzy odpłynęli do Brauna, to umiarkowanych sympatyków prawicy liczne gesty prezydenta mogą skutecznie odstraszyć od oddania głosu na partię Kaczyńskiego. Nawrocki nie zapalił świecy chanukowej, choć z dumą robił to sam Lech Kaczyński, do którego dziedzictwa prezydent jeszcze jako prezes IPN regularnie się odwoływał; krytykuje Unię Europejską za szerzenie liberalizmu, co może przyciągnąć wojowników wojny kulturowej z Konfederacji i Korony Brauna, ale zniechęca umiarkowanych prawicowców i konserwatystów, którzy boją się groźnych dla Polski konsekwencji ewentualnego zwycięstwa AfD, utraty unijnych funduszy czy rosyjskich wpływów w Słowacji i w Węgrzech; w polityce zagranicznej stawia wszystko na jedną kartę – współpracy z amerykańskim prezydentem, który dewastuje zachodnie sojusze i staje się hamulcowym rządu; a „Rzeczpospolita" wyliczyła ostatnio, że jeśli Nawrocki utrzyma obecne tempo, do końca kadencji zawetuje 250 projektów ustaw.

Czarzasty stawia na totalną krytykę prezydenta, bo w niej widzi szansę na zdobycie nowych głosów dla całej koalicji rządzącej. Szczególnie wśród tych, którzy cenią sprawne państwo i współpracę między przedstawicielami władzy.

„Albo Tusk z Czarzastym – albo bezpieczeństwo i rozwój Polski" – hasło Morawieckiego jest nośne, lecz koalicja je z łatwością przerobi: „Nawrocki z Braunem to skok w przepaść". A marszałek Sejmu będzie je wielokrotnie przypominał. ●

**Arkadiusz Gruszczyński**



eprasa.pl ed047e9ca2

WAŻNY TEMAT

# Dziewczynki dobrze się wspinają

**Wiele wskazuje, że Polska będzie składać się z małych miast bez młodych kobiet.** I z dużych miast bez młodych mężczyzn.

**Kamil Fejfer**

Pomorze, niewielka wieś kilka kilometrów od Bałtyku. Żyje w niej nieco ponad 20 osób. Niemal wszyscy to mężczyźni – ojcowie z synami lub sami synowie, którzy zostali doglądać gospodarek. Co się stało z kobietami? Część zmarła, cześć wyjechała do większych miast. I nie bardzo chcą wracać. Wolą zostać w dużych aglomeracjach, gdzie latami studiowały i właśnie rozpędzają kariery. A mężczyźni nie są skorzy ruszyć ich śladem.

W tym obrazie nie ma niczego wyjątkowego. Kiedy podczas przechadzki po wsiach i miasteczkach zaczniemy liczyć dostrzeżone osoby, w każdej setce z reguły będzie znacznie więcej mężczyzn niż kobiet. Przeprowadzam takie amatorskie badanie za każdym razem, kiedy wracam na rodzinne Mazury i robię wycieczki rowerowe po okolicznych mieścinach.

Jednym z głównych motorów tej dysproporcji jest tak zwana luka edukacyjna.

Od lat mówi się o niedoreprezentowaniu kobiet na kierunkach ścisłych i z pewnością potrzeba więcej akcji takich, jak „Dziewczyny na politechniki", ponieważ niewielki odsetek pań w STEM (od Science, Technology, Engineering, Mathematics) oznacza trwonienie talentów. Ale od pewnego czasu problem jest inny: może i na kierunkach ścisłych, a zwłaszcza inżynieryjnych, wciąż przeważają mężczyźni, natomiast to właśnie oni zauważalnie rzadziej idą na studia w ogóle. A kiedy rozpoczynają ten etap edukacji, to mają mniejsze szanse na uzyskanie dyplomu.

Co się stało z mężczyznami? To powracające pytanie jest niewłaściwie postawione. Kiedy bowiem w skierowanych do dobrze wykształconego odbiorcy lewicowo-liberalnych mediach opisuje się problemy kobiet, niemal zawsze zwraca się uwagę na niedomagania systemu. Jeśli mowa o mężczyznach, to częściej używa się języka sugerującego, że panowie się „popsuli". Ale odmowa takiej, jak mówią Anglosasi, *blame game*, nie przekreśla pytania: co się właściwie stało?

Według Głównego Urzędu Statystycznego w roku akademickim 2024/2025 58 procent studiujących ogółem to studentki. Wśród absolwentów – średnio 62 procent. Na kierunkach edukacyjnych kobiety stanowiły aż 83 procent, w naukach humanistycznych – 72, na naukach społecznych i dziennikarstwie – 68. Jeśli chodzi o biznes, administrację i prawo – 64 procent, nauki przyrodnicze, matematyka i statystyka – 66, usługi – 62, zdrowie i opieka społeczna – 81. Nawet na rolnictwie „one" zdobywały więcej dyplomów niż „oni" – 63 procent. Mężczyźni przeważali jedynie w dwóch wyszczególnionych przez urząd podkategoriach – na kierunkach technika, przemysł i budownictwo (62 procent absolwentów) oraz informatyka (85 procent).

Według Eurostatu w 2024 roku w grupie wiekowej 25-34 lata niecałe 37 procent Polaków mogło się pochwalić dyplomem wyższej uczelni. A Polek – niemal 55 procent. I taka dysproporcja w tej, jak to nazywają socjolodzy, kohorcie, jest widoczna niemal w całej Unii Europejskiej. Uśredniając – dyplom wyżej uczelni ma 38 procent Europejczyków i 49 procent Europejek. To samo zobaczymy, wczytując się w dane Organizacji Współpracy Gospodarczej i Rozwoju, czyli z jeszcze szerszej perspektywy geograficznej – OECD zrzesza 38 najbardziej rozwiniętych krajów świata, w tym Polskę. Już w 2019 roku 51 procent kobiet w wieku 25-34 lata miało wykształcenie wyższe w porównaniu z 39 procentami mężczyzn.

Oddalmy jeszcze ten obraz i spójrzmy na niemal cały glob. Grupa badaczy pod kierownictwem demografa Alberta Esteve w artykule „The End of Hypergamy: Global Trends and Implications" opublikowanym w czasopiśmie „Population and Development Review" donosi, że w roku 2010 odsetek kobiet w wieku 25-29 lat z dyplomami był wyższy niż w przypadku mężczyzn w aż 139 krajach, w których mieszkało 86 procent światowej populacji. Naukowcy prognozują, że do roku 2050 w niemal każdym kraju na świecie to kobiety będą lepiej wykształcone niż mężczyźni.

*W obrębach płci występuje nieco inny rozkład potencjałów intelektualnych. U kobiet jest bardziej „ściśnięty", u mężczyzn i chłopców mamy rozpostarte skrzydła – jest wśród nich zarówno więcej osób bardzo inteligentnych jak i tych, które nie grzeszą sprytem*

A więc nie mamy do czynienia z rewolucją, lecz z ewolucją, która musiała rozpocząć się kilka dekad temu. W Stanach Zjednoczonych sprawie przyglądał się think-tank Pew Research Center. Do jakich wniosków doszli analitycy? W USA przewaga „dyplomowanych" kobiet względem mężczyzn utrzymuje się we wszystkich grupach rasowych już od połowy lat 90. W grupie wiekowej 25-34 lata w 2024 roku dyplom miało 38 procent czarnych kobiet i 26 procent czarnych mężczyzn. Wśród Latynosów proporcje wynoszą 31 do 22 procent. Różnicę widać nawet w najlepiej i najpowszechniej wyedukowanej grupie, czyli wśród Azjatów: 71 procent mężczyzn skończyło wyższą uczelnię – ale kobiet aż 77 procent.

Jak zauważa socjolog doktor Michał Gulczyński w głośnym raporcie „Przemilczane nierówności. O problemach mężczyzn w Polsce" jeszcze pod koniec lat 90. odsetek kobiet i mężczyzn w grupie wiekowej 15-64 lata z wyższym wykształceniem był zbliżony (i nie sięgał nawet 10 procent). Rozjazd zaczął się u progu nowego stulecia, aż w 2020 roku kobiet mogących się poszczycić dyplomem było niemal 35 procent, a mężczyzn niecałe 25.

Co się więc dzieje? Nie tylko aktywistki czy lewicowi publicyści, również socjolodzy, antropolodzy, kulturoznawcy, nawet ekonomiści od lat powtarzają, że żyjemy w patriarchalnym społeczeństwie, który faworyzuje mężczyzn. Tymczasem wiadomo, że wyższa edukacja daje premię w niemal każdym aspekcie życia – ludzie z dyplomami lepiej zarabiają, cieszą się lepszym zdrowiem, mają bardziej satysfakcjonujące związki, dłużej żyją. Zdobyta edukacja jest we współczesnym świecie zasobem równie istotnym, co pochodzenie, odziedziczony kapitał dosłowny lub kulturowy czy zawdzięczane rodzinie koneksje. Dlaczego więc w ramach patriarchalnego systemu to młodzi mężczyźni są gorzej wykształceni?

Klucz interpretacyjny pod nazwą „patriarchat" otwiera wiele drzwi, ale nie wszystkie. Wykształcenie to jedno z tych pól, na których więcej zamazuje i komplikuje, niż wyjaśnia. Poszukajmy innych, poręczniejszych i mniej efekciarskich wyjaśnień.

Żeby odkryć pierwsze poszlaki, wybierzmy się w podróż w czasie. Alicja Zawistowska, socjolożka z Uniwersytetu w Białymstoku, w książce „Luka płci w edukacji" cofa się z obserwacjami luki edukacyjnej do lat powojennych. W danych GUS zauważa, że odsetek kobiet wśród wszystkich studentów w latach 50. wynosił mniej niż 40 procent. Pamiętajmy, że tamtych czasach mało kto w ogóle studiował. Wyższa edukacja była zarezerwowana dla osób naprawę uprzywilejowanych bądź wyjątkowo zdolnych – a i to często wspomaganych łutem szczęścia. Balans płci zaczął zmieniać się w na początku lat 60. Mniej więcej w połowie kolejnej dekady proporcja mężczyzn i kobiet na studiach wynosiła już pół na pół. Potem kobiety zaczęły pomału wysforowywać się, aż następuje widoczny moment, w którym odskoczyły mężczyznom. To początek lat 90. Właśnie wtedy względny parytet – kilkuprocentowa przewaga jednej płci – zmienił się w poważny dysparytet.

Co takiego wydarzyło się tuż po upadku Polski Ludowej? Trzy nakładające się na siebie procesy: transformacja gospodarcza, premia z edukacji oraz urynkowienie studiów wyższych.

Pierwszy trend oznaczał skokowy wzrost bezrobocia oraz niepewności. Rozpadły się stare struktury gospodarcze, miejsca pracy, które dawały pewność zatrudnienia przez dekady, z miesiąca na miesiąc przestawa-



eprasa.pl ed047e9ca2

## Liczba studentów w roku akademickim 2024/25

według województw

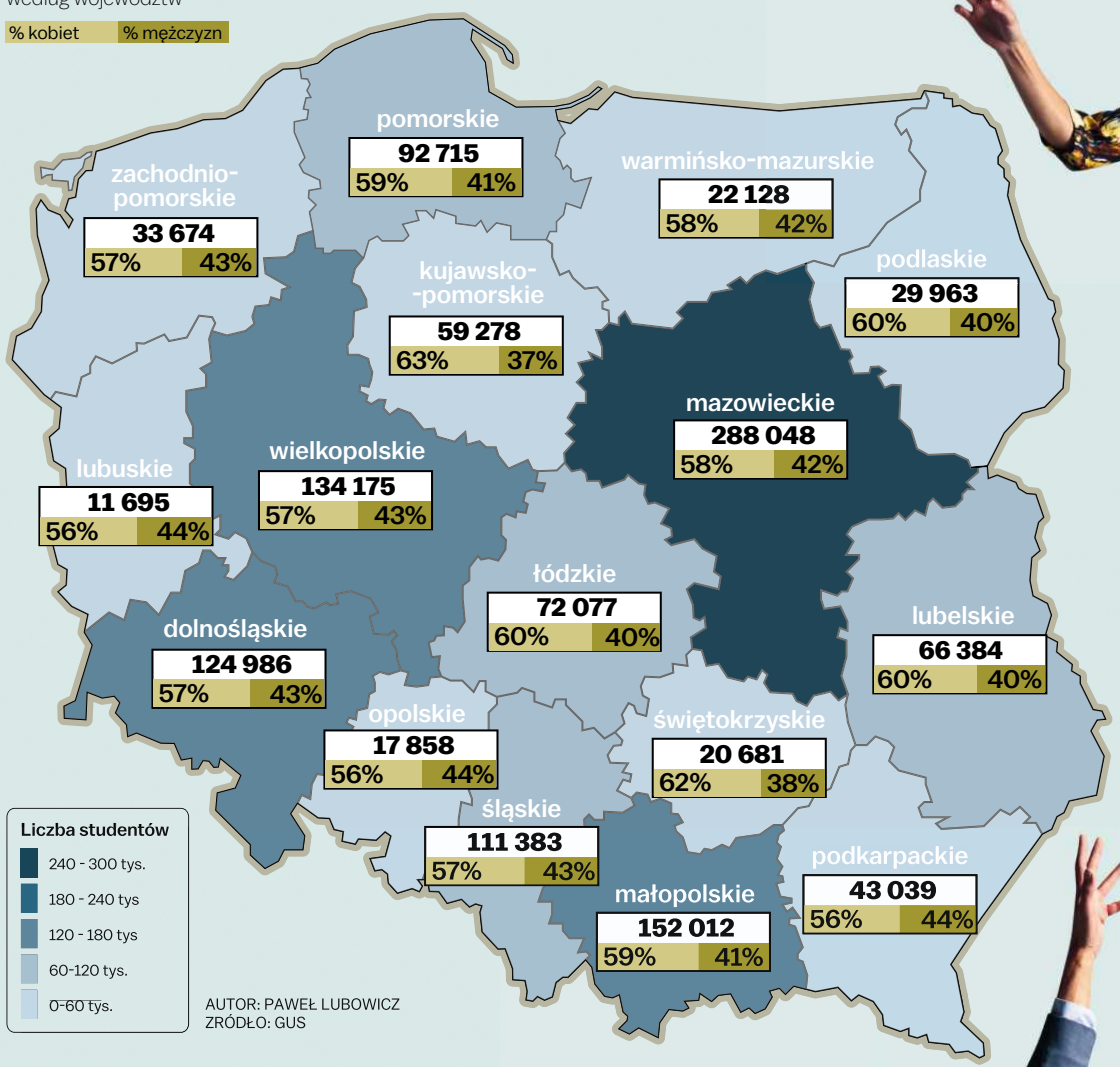


AUTOR: PAWEŁ LUBOWICZ
ZRÓDŁO: GUS

**55**

MLN ZŁ

**• Polek w wieku 25-34 lata może pochwalić się dyplomem wyższej uczelni. To jeden z lepszych wyników wśród młodych Europejek – unijna średnia to 49 proc. Wśród młodych Polaków dyplom zrobiło 37 proc. Jedynie, ale przynajmniej nie odbiegamy od unijnych 38 proc.**

## Absolwenci uczelni według grup kierunków kształcenia w roku akademickim 2023/24

w roku akademickim 2023/24

AUTOR: PAWEŁ LUBOWICZ ZRÓDŁO: GUS

## Liczba chłopców i dziewcząt w klasach maturalnych 2026

dane szacunkowe

AUTOR: PAWEŁ LUBOWICZ ZRÓDŁO: PERSPEKTYWY.PL

## Osoby w wyższym wykształceniem w gospodarstwach domowych

DANE W PROC.

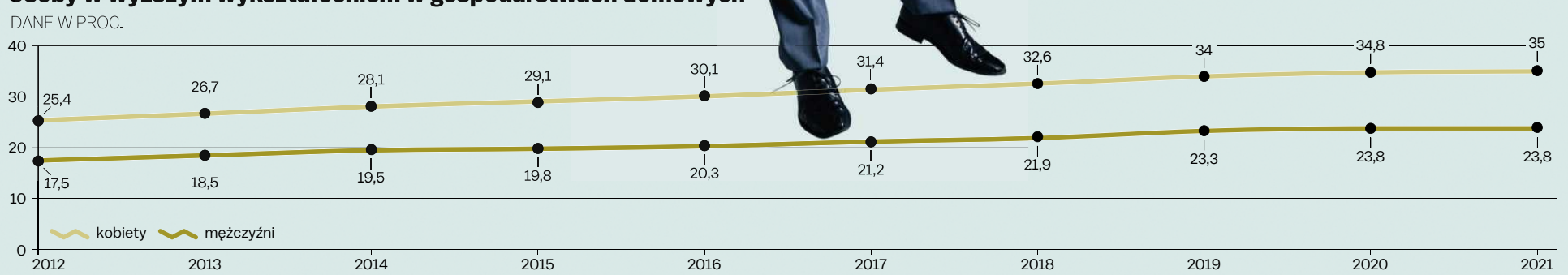


AUTOR: PAWEŁ LUBOWICZ ZRÓDŁO: EUROSTAT

FOT. GETTY IMAGES



eprasa.pl ed047e9ca2

ły istnieć. Gdy w roku 1990 oficjalne bezrobocie wynosiło 0,3 procent (tu trzeba wziąć poprawkę na fikcyjność wielu stanowisk albo głodowe pensje ledwo pozwalające wiązać koniec z końcem, zmuszające do dorabiania w szarej strefie), a rok później 6,6 procent, tak w połowie lat 90. już 15-16 procent. Studia w takich warunkach stanowiły nie tylko inwestycję we „wzmacnianie indywidualnej konkurencyjności", ale też poczekalnię przed zetknięciem się z brutalnym rynkiem.

Drugie zjawisko, czyli rosnąca premia z edukacji, ma związek z kumulującym się efektem wcześniejszego peerelowskiego awansu i emancypacji (ambitna dziewczyna jako jedyna ze wsi przedarła się na studia, jej córka idzie już na studia z automatu, a wnuczka uznaje studiowanie za naturalne), ale przede wszystkim z „merytorkatyzacją" gospodarki. „Badania wskazują, że w końcówce lat 80. osoba z dyplomem szkoły wyższej zarabiała przeciętnie 19 procent więcej niż z wykształceniem zawodowym, a w roku 1993 różnica ta urosła już do 50 procent. Szczególnie dużo zyskali absolwenci uczelni zatrudnieni w sektorze prywatnym, gdzie różnica wynagrodzeń w porównaniu z osobami z wykształceniem zawodowym sięgała 90 procent" – pisze Zawistowska. Dyplom wyższej uczelni zmniejszał również ryzyko bezrobocia.

Co prawda w kolejnych latach ta premia zaczęła zauważalnie spadać, niemniej do dzisiaj znacznie lepiej jest mieć „papier" niż nie mieć.

Dwa powyższe procesy mogą tłumaczyć generalny wzrost zainteresowania studiami w całym społeczeństwie. Ale jakie ma to znaczenie dla płciowej luki edukacyjnej?

●

Po pierwsze, dziewczynki od wczesnych lat szkolnych wykazują znacznie wyższe kompetencje w czytaniu ze zrozumieniem. Co ciekawe, jeśli chodzi o przedmioty ścisłe i matematykę, różnica jest niewielka i opiera się w dużej części o preferencje. To nie tak, że dziewczynki są zauważalnie gorsze w przedmiotach ścisłych. Chodzi raczej o to, że chłopcy „bardziej lubią" matematykę czy fizykę. Dziewczynki natomiast preferują przedmioty bardziej społeczne. Dzieje się tak w całym cyklu edukacyjnym. To zjawisko uniwersalne, tak samo dotyczące krajów zaawansowanych równościowo – w 2021 roku analitycy OECD w raporcie „Why do more young women than men go on to tertiary education?" zauważali, że kobiety znacznie częściej studiują przedmioty związane z edukacją, zdrowiem i opieką społeczną. „Gdy w wielu państwach OECD dyplom studiów wyższych stał się wymogiem dla przyszłych pielęgniarek, przyciągnęło to więcej kobiet do szkolnictwa wyższego".

A po drugie, że pojawiające się nowe wyższe uczelnie tego i tamtego oferowały znacznie częściej kierunki z domeny nauk społecznych i humanistycznych. Niekoniecznie dlatego, że socjologia czy psychologia brzmiały dumnie, dawały prestiż, a rynek był wygłodniały tych profesji. Przede wszystkim takie kierunki było łatwiej – czytaj: znacznie taniej – uruchomić niż ścisłe, wymagające mniej licznie reprezentowanej kadry, a przede wszystkim kosztownego sprzętu i laboratoriów. Studia z domeny nauk społecznych czy humanistycznych są też tańsze w prowadzeniu, co oznacza większy zwrot z inwestycji. A szkoły prywatne są niczym innym jak firmami.

Czyli zbiegiem okoliczności uruchamiano te kierunki, które preferują właśnie dziewczyny. Skalę zjawiska ilustruje Krzysztof Wasilewski, socjolog z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu. „Począwszy od 1990 roku, obserwujemy w Polsce prawdziwy boom na studia wyższe. W okresie pomiędzy 1990 a 2005 rokiem liczba instytucji szkolnictwa wyższego wzrosła ze 112 do 445, w tym 315 stanowiły uczelnie prywatne, liczba studentów zaś – z 412 tysięcy do 1,95 miliona" – czytamy w „Przeglądzie Socjologicznym" w artykule „Młodzież wiejska na polskich uniwersytetach".

●

Cofnijmy się teraz o krok. Wiemy już, że w latach 90. edukacja wyższa się zdemokratyzowała. W PRL wyższe studia były domeną niewielkiej grupy najzdolniejszych i najbardziej uprzywilejowanych. W zaledwie dekadę, półtorej stały się dostępne dla bardzo dużej części społeczeństwa. To spowodowało, że w selekcji na studia zaczęły odgrywać istotną rolę czynniki, które wcześniej nie miały większego znacznie.

Obecnie selekcja na studia często zaczyna się już na poziomie szkoły ponadpodstawowej, a nawet w końcu podstawówki. O kim państwo myślicie, kiedy dziś słyszycie „szkoła zawodowa" – o chłopaku, który trafia do „mechaniaka" albo „budowlanki", czy o dziewczynie, która idzie do „odzieżówki" lub „gastronomiaka"? Dolary przeciwko orzechom, że pomyślimy raczej o ubranym w „basicowe" adidasopodobne ciuchy chłopaku. I słusznie. Według portalu Perspektywy.pl w 2026 roku w klasach maturalnych w liceach ogólnokształcących dziewczyny stanowiły niemal 63 procent wszystkich uczniów. Odwrotne proporcje były w technikach – tam to chłopcy stanowili około 63 procent. W szkołach branżowych (dawne zawodówki), według raportu Najwyższej Izby Kontroli z 2024 roku chłopcy to około 70 procent uczniów.

Jakie to ma znaczenie? Osoby po ogólniaku znacznie częściej idą na studia niż po technikum, nie mówiąc o szkołach branżowych. Co ważne – zarówno absolwenci, jak i absolwentki liceów mają zbliżoną szansę dostania się na studia. Podobnie jest z technikami. Dziewczynki więc częściej wybierają skuteczniejszą trampolinę edukacyjną.

●

Ktoś powie: no dobrze, ale ten wywód zaczyna się od połowy – chłopcy i dziewczyny idą do innych szkół średnich i te przesiewają uczniów w drodze na studia. Ale dlaczego właściwie mamy do czynienia tym rozjazdem? Podzielmy i ten włos na czworo.

Wybór szkoły ponadpodstawowej jest zwieńczeniem wcześniejszej drogi edukacyjnej. Na której istotne są „predyspozycje" ujawniające się już w szkole podstawowej. Te są wynikiem nakładających się zmiennych: klasowego *backgroundu*, czegoś, co można nazwać „przystosowaniem do instytucji" oraz kompetencji intelektualnych.

Wiemy, że do liceów częściej idą dzieci z „dobrych domów" czy też z „klasy średniej". Do techników i szkół branżowych raczej trafiają dzieciaki z niższych rewirów *middle class* albo pochodzące z klasy ludowej. To oczywiście jest statystyczna prawidłowość, a nie kategoryczne stwierdzenie, że każdy syn urzędnika pójdzie do liceum, a każda córka sprzedawczyni ze sklepu do odzieżówki. Lecz trudno sobie wyobrazić, żeby więcej chłopców niż dziewczynek wychowywało się w rodzinach defaworyzowanych. Ten więc element klasowy możemy odrzucić już na starcie.

Bardzo ciekawa jest natomiast kwestia „przystosowania" do instytucji, jaką jest szkoła. Ważną cechą (poza kompetencjami intelektualnymi, o czym za chwilę) na polskiej drodze edukacyjnej jest sumienność. To jedna z pięciu osi tak zwanej Wielkiej Piątki – bardzo poręcznej pięcioczynnikowej koncepcji pomiaru osobowości (inne osie to: ekstrawersja, ugodowość, neurotyczność i otwartość na doświadczenia). „Osoby sumienne charakteryzują się obowiązkowością i rzetelnością, mają silną wolę i przejawiają wytrwałość w dążeniu do celu. Wysoki poziom motywacji, samodyscyplina, systematyczność, obowiązkowość czy odporność na niepowodzenia pomagają w osiąganiu celów szkolnych" – czytamy u Alicji Zawistowskiej. Jak zauważa socjolożka, dziewczynki z reguły lokują się wyżej w pomiarach sumienności – są dokładniejsze, bardziej konsekwentnie dążą do założonych celów, rzadziej zrażają się porażkami. Dodatkowo „badania wskazywały, że kobiety lepiej interioryzują reguły szkolne. Uczniowie wykazują mniej proedukacyjne postawy niż uczennice, krytyczniej postrzegają szkołę, częściej kontestują obowiązujące w niej zasady oraz angażują się w zachowania antyszkolne".

Na dowód Zawistowska przytacza opinie uczniów badanych przy okazji testów PISA (Programme for International Student Assessment) – słynnego międzynarodowego testu edukacyjnego 15-latków przeprowadzanego przez OECD. W 2012 roku niemal 30 procent chłopców zgadzało się z twierdzeniem „szkoła to strata czasu". Dziewczynek – tylko 13 procent. Ze zdaniem „szkoła niewiele zrobi, by przygotować mnie do dorosłego życia" zgadzało się 39 procent uczniów i 27 procent uczennic. Za to ze stwierdzeniem „ciężka praca w szkole pomoże mi zdobyć dobrą pracę" w 2018 roku zgodziło się 80 procent uczennic i 70 procent uczniów. „W obu rundach badania PISA chłopcy byli mniej przekonani o korzystnym wpływie ciężkiej pracy w szkole na późniejszy sukces. Dotyczy to zarówno zdobycia dobrej posady, jak i dostania się na studia" – konkluduje Zawistowska.

FOT. GETTY IMAGES

*Dziewczynki charakteryzują się obowiązkowością i rzetelnością, mają silną wolę i przejawiają wytrwałość w dążeniu do celu. Wysoki poziom motywacji, samodyscyplina, systematyczność, obowiązkowość czy odporność na niepowodzenia pomagają w osiąganiu celów szkolnych*

I chyba nikogo to nie dziwi. Wszyscy pamiętamy z własnych doświadczeń, że bardziej krnąbrnymi uczniami byli raczej chłopcy niż dziewczynki. To oni chętniej podważali autorytety, wygłupiali się, pozowali na twardszych i bardziej niezależnych niż byli naprawdę. To oni częściej uważali, że pozjadali wszystkie rozumy. Beletrystyczny i serialowy stereotyp trudnego urwisa nie wziął się znikąd. Autor tego artykułu niniejszym przeprasza wszystkie swoje nauczycielki.

Jeśli chodzi o wagary, genderowy balans ma się podobnie – to uczniowie częściej i dłużej wagarują niż uczennice. Chłopcy od najmłodszych lat częściej niż dziewczynki wykazują postawy konfrontacyjne wobec szkolnej dyscypliny, co w połączeniu choćby z niższym statusem społeczno-ekonomicznym niektórych rodzin częściej kieruje ich w stronę techników albo szkół branżowych.

Niektórzy badacze, jak Richard Reeves, autor książki „Chłopcy i mężczyźni" sądzą wręcz, że szkoła w dzisiejszym kształcie defaworyzuje chłopców z uwagi na pewne ich naturalne dyspozycje.

Słowo „naturalne" w tym kontekście to wielki słoń w pokoju. Co jest ważniejsze w kształtowaniu się tych postaw – kultura, rzecz jasna od tysiącleci zmaskulinizowana i preferująca stereotypowe męskie cechy, czy natura? Za każdą z opcji stoi mnóstwo historycznych i antropologicznych argumentów oraz przykładów,, ale twarde liczby nie dostarczają jednoznacznej odpowiedzi. Niewątpliwie zachodzi sprzężenie zwrotne, ale najwłaściwsza będzie odpowiedź salomonowa, choć brzmi jak unik w wojnie kulturowej salomonowa odpowiedź: obecnie wiemy tyle, że na to, kim jesteśmy, wpływa i jedno i drugie.

To teraz zajmijmy się drugim słoniem w pokoju. Co z tą inteligencją? Z oczywistych względów temat jest grząski. Badania, jeśli chodzi o płciowe różnice średnich wyników IQ, nie są jednoznaczne. Niektóre analizy wskazują, że to kobiety mają niewielką przewagę nad mężczyznami, inne, że to mężczyźni przewyższają kobiety. Różnice są jednak na niemal pomijalnym poziomie około 1-3 punktów, a odmienności mogą się brać z problematycznego doboru próby – na przykład spora część badań jest przeprowadzana na studentach, a więc tych, którzy niezależnie od płci już pokonali różne inne edukacyjne progi.

Ważniejsze jest to, co wydaje się raczej konsensusem – w obrębach płci występuje nieco inny rozkład potencjałów intelektualnych. W grupie kobiet jest on bardziej „ściśnięty". U mężczyzn i chłopców mamy bardziej rozpostarte skrzydła – jest wśród nich zarówno więcej osób bardzo inteligentnych, jak i tych, które nie grzeszą sprytem. Być może i to przyczynia się do mniejszej liczebności chłopców w liceach ogólnokształcących.

A co z kwestią „oczekiwań społecznych", jednego z ulubionych wyjaśnień niemal wszystkich zjawisk w ostatnich latach? Tu sprawa jest niekonkluzywna. Przynajmniej jeśli chodzi o rodziców. Według dość już leciwego raportu CBOS z 2009 rok równie mało rodziców zarówno dziewczynek jak i chłopców oczekiwało, że skończą oni swoją edukację na poziomie szkoły średniej – 7 procent, jeśli zsumujemy kategorie „wykształcenie gimnazjalne", „zawodowe" i „ogólnokształcące". Natomiast niemal tyle samo rodziców dziewczynek i chłopców oczekiwało od nich dyplomu wyższej uczelni – 74 i 75 procent.

●

Niczym na terapeutycznej kozetce możemy sobie powiedzieć: dzieciństwo (jako etap preselekcji na studia) mamy generalnie załatwione. Przyjrzyjmy się kolejnym rzeczom, które mogą wpływać na rozjazd decyzji edukacyjnych po szkole średniej.

Raport OECD „Why do more young women than men go on to tertiary education?" wskazuje na powody, dla których decyzja o kontynuowaniu nauki jest bardziej racjonalna dla kobiet niż dla mężczyzn. Otóż uśredniając badania dla wszystkich państw organizacji, one więcej zyskują, kończąc studia. W przypadku kobiet bardziej niż w przypadku mężczyzn spada ryzyko bezrobocia, w dodatku wykształconym kobietom bardziej rosną płace. „Kobiety w wieku 25-34 lata z wykształceniem wyższym zarabiają o 52 procent więcej od kobiet z wykształceniem tylko ponadgimnazjalnym. Ta sama premia w przypadku młodych mężczyzn wynosi 39 procent".

To wyjaśnienie nie wydaje się być szczególnie przekonujące. Chociaż spina się na poziomie koncepcji *homo economicus* – jednostek racjonalnie poruszających się po rynku – to nie klei się na poziomie chłopskiego rozumu i codzienności. Ilu z państwa wiedziało o wyższej premii edukacyjnej kobiet? Ja dowiedziałem się, robiąc research do tego artykułu, a analizami ekonomicznymi, również tymi związanymi z rynkiem pracy i jego genderowymi kontekstami, zajmuję się ponad dekadę. Jakim więc cudem kobiety miałyby wybierać studia



eprasa.pl ed047e9ca2

na podstawie wiedzy, która raczej powszechna nie jest? Metodą osmozy?

Bardziej przekonujących argumentów dostarcza Alicja Zawistowska. „W 2016 roku ponad połowa uczennic ostatnich klas szkół ponadgimnazjalnych obawiała się pozostawania bez pracy, a podobny lęk odczuwał jedynie co trzeci uczeń. Jeszcze większe różnice widać było wśród osób przekonanych, że bezrobocia na pewno uda się uniknąć: w 2016 roku był to co trzeci młody mężczyzna i tylko co dziesiąta kobieta" – pisze naukowczyni. Tymczasem w roku 2016 na bezrobociu pozostawało więcej mężczyzn niż kobiet. Innymi słowy – dziewczyny bardziej bały się zjawiska, które zagrażało im mniej niż mężczyznom. Chłopcy odwrotnie – o wiele mniej bali się czegoś, co z większym prawdopodobieństwem mogło ich dotknąć.

Zderzenie obserwacji socjolożki z realnymi danymi z rynku pracy naprowadza nas na wiarygodną hipotezę. Co spina wszystkie te informacje? Różnice w postrzeganiu ryzyka. Kobiety zazwyczaj preferują zachowania w stylu „play safe", mężczyźni są bardziej ryzykanccy. I to ma swoje przełożenie również na studia – chłopcy myślą, że sobie poradzą bez nich, dziewczyny chcą zdobyć wyższe wykształcenie, gdyż to bezpieczniejsza ścieżka. I koresponduje z wcześniejszymi postawami w szkole, gdzie chłopcy częściej kontestują zasady, dziewczynki się lepiej wpasowują.

●

Fundamentalne pytanie brzmi: dlaczego wciąż istnieje luka płacowa? I czy w przyszłości zostanie zasypana? A może zamienimy się miejscami?

Wpierw wskażmy na jej najważniejsze powody. Kobiety wybierają „bezpieczniejsze" prace niż mężczyźni – częściej możne je spotkać w urzędach, w placówkach edukacyjnych. Mężczyźni częściej trafiają do wysoko wydajnego STEM, gdzie płace są o wiele wyższe. To dane o tak zwanej nieskorygowanej luce płacowej – czyli sytuacji, gdy porównujemy gruszki z jabłkami. Ale kiedy przyglądamy się skorygowanej luce płacowej, porównującej kobiety i mężczyzn na tych samych stanowiskach, ze zbliżonym stażem pracy, o zbliżonym wykształceniu, to... różnica wcale nie znika. Wręcz się powiększa. Znów: najważniejsze z wyjaśnień składa się z licznych podwyjaśnień ewolucyjnych, kulturowych, psychologicznych. A brzmi: kobiety mniej agresywnie negocjują stawki oraz są po prostu dyskryminowane przez pracodawców.

A więc – regulacje, głupcze. Aby zlikwidować skorygowaną lukę płacową, potrzebne są narzędzia prawne regulacyjne zmniejszające dyskryminację. Tylko jak, skoro już obecnie według prawa za tę samą pracę należy się taka sama zapłata? Musimy przeprosić się z kolejnymi, wnikliwszymi regulacjami. Na przykład położyć większy nacisk na raportowanie przez firmy nierówności płacowych – i najzwyczajniej na świecie karać tych, którzy płacą różne stawki za tę samą pracę.

Natomiast w przypadku nieskorygowanej *gender pay gap* w nieodległej przyszłości możemy doczekać się, uwaga, jej odwrócenia. Ba, takie branże już istnieją! W Polsce według danych GUS takim sektorem jest choćby budownictwo. Tam zazwyczaj kobiety zajmują się pracą biurową, administracją i zarządzaniem, do czego potrzebne jest wyższe wykształcenie, a mężczyźni parają się pracą fizyczną wymagającą niższych kwalifikacji (zostawmy na razie na boku futurologiczny czynnik w postaci sztucznej inteligencji, który może spauperyzuje białe kołnierzyki, a wyniesie w hierarchii zarobków wyspecjalizowane prace fizyczne – a może wcale nie).

I tu trafiamy na kolejny powód, dla którego mężczyźni rzadziej idą na studia. Chodzi o to, że tuż po szkole średniej mogą liczyć na więcej niż kobiety zajęć, które na wejściu są całkiem nieźle płatne. Rzecz jasna w tym *trade-offie* jest haczyk.

O ile zajmując się pracami fizycznymi, można całkiem szybko zacząć zarabiać nienajgorsze pieniądze (choć wbrew internetowym legendom nie są to pieniądze naprawdę duże, mediana zarobków glazurnika na rękę według portalu Wynagrodzenia.pl to 5300 złotych, wynagrodzenia spawacza to zbliżona wartość, ale już murarz nie dobija nawet do 5000 złotych netto), dość szybko też puka się w dochodowy sufit. Wykształcenie wyższe oznacza dłuższy rozbieg, ale po dekadzie od rozejścia się dróg edukacyjnych osoba z dyplomem zarabia już więcej niż ta bez dyplomu, a w całej karierze różnice dochodowe bywają kilkukrotne. Ale kiedy po dwóch, trzech latach kładzenia instalacji elektrycznych czy nawet prostej murarki kupujesz kilkuletni niemiecki samochód premium, zyskujesz zdolność kredytową, stać cię na piwo na mieście i wygląda na to, że będziesz mógł utrzymać rodzinę, to raczej po szychcie nie analizujesz statystyk i długofalowych trendów w czasopismach ekonomicznych – a nawet jeśli, to zdają się dość abstrakcyjne.

Nie uciekniemy oczywiście od krytycznego argumentu z gatunku „antropolożka / polonistka / filolożka klasyczna z trzema językami na kasie w Biedronce". Zauważmy jednak, że kobiety przeważają obecnie również wśród absolwentów prawa, administracji, kierunków biznesowych i w naukach przyrodniczych. Oczywiście zdarza się, że osoby z dyplomem pracują w Żabce. Z pewnością generuje to frustracje wśród tych – nie tylko kobiet przecież – którzy poświęcili lata na lepszą bądź gorszą edukację, na szlifowanie języków i kompetencji.

Takim osobom przeciwstawia się figurę „mężczyzny, który ma fach w ręku". Z nią już się rozprawiliśmy – zdarzają się pracownicy fizyczni, którzy zarabiają naprawdę dużo, ale to wbrew obiegowym opiniom jest to raczej wyjątek niż reguła: tak, w szczególnych okolicznościach, z rzadką czy wymagającą specjalizacją. I podobnie należy podchodzić do fenomenu osób po studiach wykonujących proste prace. Tak, to się zdarza, nierzadko po bardzo akademickich i wąskich (zastrzeżenie: to nie sugestia, że niepotrzebnych) kierunkach, ale tendencja statystyczna jest optymistyczna – z wyższym dyplomem ma się więcej otwartych drzwi niż bez niego.

Poza tym studia to nie tylko „papierek". To również sposobność poznania odpowiednich ludzi. A znajomi z wyższym wykształceniem z większym prawdopodobieństwem mogą załatwić lepszą pracę niż ci bez dyplomu. Według Polskiego Instytutu Ekonomicznego obecnie co najmniej 20 procent posad jest znajdowanych dzięki networkingowi. Czy też jak się kiedyś mówiło – po znajomości. To z kolei oznacza, że studia dają również przewagę na poziomie pozaformalnym.

Podsumowując: czy zdarzają się kierunki studiów, po których perspektywy zarobkowe są gorsze niż w przypadku fachowej pracy fizycznej? Prawdopodobnie tak – kierunki z małych uczelni w powiatowych miastach w zestawieniu z płacami specjalistów od prac wykończeniowych z największych metropolii. Ale gdy dokonamy lustrzanego porównania, zestawiając pensje absolwentów po społecznych kierunkach z renomowanych uczelni z wynagrodzeniami osób „z fachem w ręku" z mniejszych miejscowości – to szala przechyli się na korzyść tych pierwszych. Zwłaszcza kobiet – bo pracodawcy doceniają te same predyspozycje, które dają dziewczynkom przewagę nad chłopcami w pierwszych latach szkolnych.

Niemniej, owszem, jeśli gdzieś istnieje rezerwuar frustracji młodych kobiet o niezaspokojonych ambicjach, to wśród absolwentek prowincjonalnych „Wyższych Szkół Wszystkiego i Niczego". Tyle że, po pierwsze, to samo dotyczy absolwentów. A po drugie, wciąż lepiej być jedną z nadreprezentowanych magister anglistyki czy zarządzania w turystyce z murarzem. Bo może nie wszystkie marzenia się spełnią, ale nawet takie studia dają jakąś przewagę w postaci horyzontów i networkingu.

Na to wszystko nakłada się kwestia sztucznej inteligencji. Przez lata prace związane z kodowaniem – czyli te wciąż zdominowane przez młodych mężczyzn – były świetnie płatne. Ale już widać, że eldorado kończy się, dużą część zadań przejmują agenci AI. Dlatego jest całkiem prawdopodobne, że w perspektywie dekady męska przewaga płacowa, jaką daje dyplom kierunku związanego z nowymi technologiami, znacząco stopnieje.

●

To jeszcze dwa bardziej miękkie powody luki edukacyjnej. Zostawiłem je na koniec, ponieważ są trudno policzalne, ale wcale nie mniej istotne. Chodzi o zmianę pozycji społecznej kobiet i o to, że procesy społeczne napędzają same siebie.

Przynajmniej od lat 90. mamy do czynienia z realną emancypacją kobiet. Upodmiotowienie następuje na wielu płaszczyznach – nie tylko zawodowej czy edukacyjnej, ale też dyskursywnej i mentalnej, że przywołam anegdotyczne obumieranie sformułowań „nasze panie" i wręczania rajstop oraz goździków przez kolegę architekta lub starszego referenta koleżankom architektkom lub starszym referentkom. Wszystkie te procesy wzajemnie się wzmacniają i trudno poszczególne trendy od siebie odseparować.

Kobiety mają coraz większe ambicje, chcą podróżować, mieć własne spore dochody, kupować własne mieszkania. I nie chcą „wisieć" na mężczyźnie (którego z kolei te wszystkie aspiracje oraz partnerski status coraz rzadziej dziwi). Jednym ze sposobów jest z pewnością zyskanie dobrego wykształcenia i nieźle płatnej pracy w korporacji.

Takie kulturowe przetasowania mają tendencję do napędzania samych siebie. Kobiety widząc inne kobiety wybierające ścieżkę wyższych studiów, rozwijających się, awansujących, idą tą samą drogą. Nie chcą zostać z tyłu w grupie, z która się utożsamiają. Kiedy spora część koleżanek z klasy chadza na różne dodatkowe zajęcia i pielęgnuje różne hobby, a potem kontynuuje naukę, ten wariant staje się trybem domyślnym również dla tych dziewczyn, które w innych warunkach kulturowych z wyboru lub z braku wzorca czy wiary w siebie nie kontynuowałyby edukacji.

W przypadku mężczyzn zachodzi odwrotny proces. Wielu młodych chłopaków może zadawać sobie pytanie: czemu nie ja, skoro ten, ten i tamten ziomek po maturze poszedł do pracy i już po kilku miesiącach jeździ własnym samochodem, piątkowe wieczory spędza na mieście, i to z dziewczyną.

Niestety nie zdaje sobie sprawy, że z tym ostatnim może być na dłuższą metę problem. Kobiety chętniej skłaniają się ku mężczyznom o pozycji społecznej równej im lub nieco wyższej. A dzisiaj o pozycji nie świadczy 15-letnie BMW, a raczej kapitał kulturowy, który nabywa się na studiach.

Genderowa luka edukacyjna jest jednym z istotniejszych powodów dzisiejszego kryzysu randkowania. Opisana przez profesora Tomasza Szlendaka, autora książki „Miłość nie istnieje", pomorska wieś, z której wysnuliśmy tę opowieść, świetnie ilustruje, że kobiety i mężczyźni przestają mieć wspólne pola do spotkań.

Być może jakiś „czarny łabędź", jak ekscentryczny filozof i inwestor Nassim Nicholas Taleb nazywa nieprzewidywalne zdarzenia zmieniające gospodarkę i społeczeństwo, odwróci trendy. A poza tym, jak zauważył Jaroslav Hasek w „Przygodach dobrego wojaka Szwejka", jeszcze nigdy tak nie było, żeby jakoś nie było. Lecz na razie wiele wskazuje, że Polska będzie składać się w coraz większym stopniu z niewielkich miejscowości, w których nie ma zbyt wielu młodych kobiet. I z dużych miast, w których nie ma zbyt wielu młodych mężczyzn. ●

## Ponadczasowe słowo „mezalians"

**Ludzie po studiach inaczej się ubierają, inaczej mówią, z innych źródeł czerpią informacje, z innych rzeczy się śmieją, innych rzeczy pragną. Gender gap pogłębi kryzys randkowania**

Wykształcenie to nie tylko zarobki. Edukacja to również pewien styl życia, klasa społeczna, wybory estetyczne i kulturowe. Innymi słowy – osoby z wyższym wykształceniem wyznają nieco inne wartości niż te bez wyższego wykształcenia. Częściej korzystają z kultury, również tej – za przeproszeniem – wysokiej, nieco inaczej się ubierają, inaczej mówią, z innych źródeł czerpią informacje, z innych rzeczy się śmieją, innych rzeczy pragną, inaczej spędzają czas.

Prawdopodobnie już jest jasne, do czego zmierzam. Tak, do kryzysu w randkowaniu. Od lat mówi się, że spada nam odsetek par w społeczeństwie. Bezpieczniej nie przywoływać detalicznych danych, ponieważ różne źródła podają różne oszacowania dla różnych grup wiekowych, ale trend rysuje się jeden: młodych singli jest coraz więcej.

Przyczyn jest sporo, począwszy od wydłużających się trajektorii życiowych – kolejne pokolenia dłużej pozostają młode, czy raczej „młode", w sensie nie metrykalnym, ale mentalnym, stylu życia, upodobań, a więc i później podejmują tak zwane zobowiązania – przez serwisy społecznościowe, które ograbiły nas z czasu spędzanego na interakcjach twarzą w twarz, po aplikacje randkowe dające niektórym ułudę nieskończonego wyboru, a innym poczucie niewybieralności. Co w obu przypadku kończy się samotnością.

A jednym najważniejszych czynników jest właśnie rozjazd edukacyjny. Mateusz Łakomy, ekspert od demografii, stwierdza starą prawdę dobrze znaną antropologom – że kobiety raczej poszukują mężczyzn, którzy mają równy bądź nieco wyższy status społeczny niż one.

Postrzegany nie tylko przez pryzmat stanu konta, ale właśnie przez sposoby spędzania czasu, gust, czy nawet – niebezpieczny grunt – poglądy polityczne. Wyższe wykształcenie „uczy" nieco innego funkcjonowania społecznego. Osoba z dyplomem Netflixa uzupełni wizytą w muzeum, owszem, wybiorą się do pubu, ale innym razem pójdzie na debatę w ośrodku kultury, zamiast kolejnego wypadu do pizzerii czy na kebab, wybierze interesującą nową restaurację etniczną.

Czy ze szczerej ciekawości czy powodowana snobizmem, to kwestia drugorzędna – grunt, że rozjazd edukacyjny powoduje rozjazd na poziomie „lifestylów". A jako że to kobiety zazwyczaj mają decydujący głos na rynku matrymonialnym, również one dyktują wymagania. Co za tym idzie, mężczyźni z gorszym wykształceniem coraz rzadziej są w orbicie zainteresowania.

W tym świetle nie powinna nas dziwić rosnąca frustracja części mężczyzn, którzy czują się – bądź, mówiąc brutalnie, są – niewybieralni. Ale winiąc kobiety, źle adresują pretensje.

A skoro jesteśmy przy adresach – przy okazji luki w wykształceniu, aspiracjach i stylu życia rośnie luka dosłowna, geograficzna. Prowincja staje się mężczyzną, metropolia kobietą. Nietrudno zgadnąć, co jest na końcu tej drogi – jeszcze głębsza zapaść demograficzna. ●



eprasa.pl ed047e9ca2

KRAJ

# Jestem zgorzkniałą **bojowniczką** przegranej walki

**Co zaprowadziło Wiernikowską do Rosji i Kanału Zero.**

FOT. KRZYSZTOF RAK / AGENCJA WYBORCZA

• **Maria Wiernikowska, dziennikarka i reporterka telewizyjna, specjalistka od katastrof i wojen. Zasłynęła relacjami z powodzi „tysiąclecia". Na zdj. w zalanych Siechnicach k. Wrocławia, 23 lipca 1997 r.**

**Piotr Głuchowski**

Przed miesiącem – co Wiernikowska w rozmowie ze mną przypisała „przynajmniej częściowo" swoim ostatnim występom w sieci – wyszedł z więzienia Bogdan Gasiński (55 l.), były asystent Andrzeja Leppera, lidera Samoobrony, z zawodu zootechnik, krótkotrwały pracownik gospodarstwa rolnego w Klewkach.

Przesiedział dwie dekady, a miał siedzieć 42 lata – gdyby nie wniesienie sprawy o wyrok łączny zakończonej skróceniem odsiadki przez Sąd Apelacyjny w Gdańsku.

Sądy uznały go za winnego: nierozliczenia się ze służbowych delegacji w PKS oddział Jelenia Góra, gdzie za młodu pracował jako kontroler; wypowiadania gróźb karalnych; podawania się za magistra, dziennikarza i urzędnika NIK; napojenia krowy płynem hamulcowym i dręczenia innej paralizatorem; ogólnego zaniedbywania stada w Klewkach; sprzedaży powierzonych, lecz nienależących do niego koni; samowolnego opuszczenie oknem budynku prokuratury, gdzie miał być przesłuchiwany; niepłacenia za posiłki i pobyty w hotelach; kradzieży świń i hotelowego telewizora.

Gasiński ma też na sumieniu jedną sprawę, za którą nikt go nie skazał: w końcówce listopada 2001 roku poinformował wicemarszałka Sejmu i swego od niedawna pryncypała Andrzeja Leppera – a ten ogłosił to z sejmowej trybuny – że ówcześni liderzy Sojuszu Lewicy Demokratycznej i Platformy Obywatelskiej brali wielkie dolarowe łapówki od jego niedawnego szefa Rudolfa Skowrońskiego, przedsiębiorcy z setki najbogatszych Polaków tygodnika „Wprost".

Skowroński, były współpracownik wywiadu PRL w komunistycznej Niemieckiej Republice Demokratycznej, był właścicielem potężnej spółki Inter Commerce (dalej IC), która poza hodowlą bydła na Warmii i Mazurach – w Klewkach i nie tylko – dostarczała polskim sklepom kasy fiskalne, lokowała w największych miastach hipermarkety i importowała z Afganistanu szmaragdy.

Sejmowa prezentacja oskarżeń pod adresem biznesmena oraz najwyższych rangą polityków (słynne: „Wersal się skończył" i „Ja tylko pytam") kosztowała Leppera stanowisko wicemarszałka – został tego samego dnia odwołany, lecz atakował dalej. Na konferencji prasowej w Olsztynie oświadczył (znów za Gasińskim), że w jednym z należących do Skowrońskiego byłych pegeerów – tzn. w Klewkach – lądowali śmigłowcem afgańscy talibowie, którzy w zamian za szmaragdy (a może narkotyki) mieli otrzymać potrzebne im w terrorystycznej robocie bakterie wąglika i broń. Było to niecałe trzy miesiące po zamachu Osamy ben Ladena na World Trade Center.

*Pacewicz: Nie mam o niej nic do powiedzenia i uważam, że nie warto tracić czasu na ten tabloidowy temat*

Skowroński oczywiście zaprzeczył, pomówieni politycy nawet się nie odnieśli, zaś samo hasło „talibowie w Klewkach" stało się przedmiotem kpin. „Wyborcza" uruchomiła satyryczną rubrykę „Wieści z Klewek" – o co Wiernikowska cały czas ma żal.

Prokuratura oskarżyła Leppera o zniesławienie Skowrońskiego i polityków. W maju 2002 roku lider Samoobrony dostał półtora roku więzienia w zawieszeniu. Dostarczone przez Gasińskiego „dowody" na łapówki, czyli jego własne notatki i oświadczenia (o kasetach nikt jeszcze wtedy nie mówił), okazały się z prawnego punktu widzenia bezwartościowe. I wszyscy by o sprawie zapomnieli, gdyby nie pierwsze informacje na temat tajnych więzień CIA w Europie Wschodniej.

Od roku 2003 rzecznicy zachodnich organizacji humanitarnych zaczęli napomykać o tym, co teraz już wiemy: w 2002 roku Amerykanie przywozili z Afganistanu podejrzewanych o terroryzm – niekoniecznie talibów – m. in. na lotnisko w mazurskich Szymanach, niecałe 50 km od Klewek i tyle samo od siedziby szkoły wywiadu we wsi Stare Kiejkuty. Tam bez sprzeciwu ze strony Polaków, którym zapłacili za odwrócenie wzroku 15 milionów dolarów w gotówce, agenci CIA wydobywali z uwięzionych informacje za pomocą tortur.

•

Pod koniec 2001 roku tropem „talibów w Klewkach" ruszyła niemająca jeszcze tej wiedzy, ale mająca dziennikarskiego nosa Maria Wiernikowska, reporterka telewizyjna z piękną opozycyjną kartą, wielokrotnie nagradzana ważnymi branżowymi laurami specjalistka od kata-

2 RP

eprasa.pl ed047e9ca2

strof i wojen, uwielbiana przez telewidzów co najmniej od czasu, kiedy w 1997 roku relacjonowała polską „powódź tysiąclecia". Nazywano ją „madonną powodzi", bo nie tylko nadawała z zalanych miast, brodząc w gumiakach po łydki w błocie, ale i z zaangażowaniem pomagała powodzianom.

Wcześniej relacjonowała, zawsze z pierwszej linii, pierwszą wojnę w Zatoce Perskiej, czyli amerykańską interwencję w Iraku po inwazji Saddama Husajna na Kuwejt, wojnę domową w Bośni, rosyjską pacyfikację Czeczenii. Nie oszczędzała się, skupiona na przekazie i bohaterach, nie uznawała makijażu, na wizji występowała w skórzanej kurtce zamiast garsonki.

Jej reporterski magazyn „Widziałam" był w drugiej połowie lat dziewięćdziesiątych jednym z najpopularniejszych programów TVP. Jak mi mówi dawna znajoma dziennikarki, w telewizyjnym reportażu wojennym „liczyli się Wiernikowska i Waldemar Milewicz". A to nie byle co – zabity w 2004 roku w Iraku, skąd relacjonował antyzachodnie powstanie po amerykańskiej interwencji i obaleniu Saddama, dziennikarz TVP był legendą wśród korespondentów wojennych.

Jednak kiedy telewizyjna gwiazda pojechała do Klewek, zaczęły się dziać dziwne rzeczy. TVP wymówiła dziennikarce umowę, odmawiając pieniędzy na dalszą produkcję filmu. Przelanej z taśmy na papier historii nie zechciał żaden z dzienników i tygodników – od „Wyborczej" do prasy brukowej. Zniechęcona autorka postanowiła odejść z zawodu, by otworzyć knajpę („Zostałam karczmarką").

Kilka lat później Rudolf Skowroński zniknął, zostawiając z dnia na dzień wielomilionowy majątek, w tym latyfundia na Warmii i Mazurach, co najmniej dwa pałace, dziesiątki atrakcyjnych nieruchomości w Mikołajkach oraz udział w siedmiu hektarach wokół Dworca Głównego w Warszawie.

Jeszcze później powiesił się Lepper, a dwa tygodnie przed nim zmarła prawniczka Samoobrony Róża Żarska, u której – jeżeli wierzyć Gasińskiemu – chłopski trybun zdeponował archiwum kompromatów.

Czy to ma coś wspólnego Klewkami?
Zdaniem Wiernikowskiej – tak.

●

Niegdyś potężna, a dziś istniejąca głównie na papierze firma Inter Commerce była spółką tajnego współpracownika wywiadu Służby Bezpieczeństwa i jego oficera prowadzącego. Pierwszym był Skowroński, który istotnie kupił sobie na firmę prywatny helikopter, drugim – pułkownik Aleksander Makowski, jeden z zaledwie dwóch (obok majora Wiesława Bednarza) negatywnie zweryfikowanych oficerów Departamentu Pierwszego – czyli wywiadu Ministerstwa Spraw Wewnętrznych PRL.

Po zwolnieniu ze służby w roku 1990 Makowski niejawnie współpracował z Urzędem Ochrony Państwa, który zastąpił SB, oraz z Wojskowymi Służbami Informacyjnymi. W roku 2002 gościł razem z Bednarzem u afgańskich mudżahedinów dowodzonych przez Mohammada Fahima, następcę słynnego Ahmada Szaha Masuda w sojuszu plemion północnych i późniejszego wiceprezydenta państwa.

W opublikowanym w 2007 roku raporcie likwidator WSI Antoni Macierewicz zarzucił Makowskiemu wyłudzenie z resortu 100 tys, dolarów, za które miał rzekomo kupować w Afganistanie informacje przydatne do schwytania Osamy ben Ladena. Emerytowany pułkownik – obecnie piszący książki szpiegowskie, np. „Tropiąc Bin Ladena: w afgańskiej matni" – wytoczył Macierewiczowi sprawę, która nadal tkwi w stołecznym sądzie.

W latach 1990-2000, gdy nieoficjalnie pracujący dla służb Makowski dyrektorował w firmie Skowrońskiego, Inter Commerce stał się monopolistą dostarczającym sklepom od Bałtyku po Tatry kasy fiskalne.

Wielkie pieniądze spółka także zarabiała, wyszukując lokalizacje i organizując niezbędne pozwolenia dla marketów niemieckiej sieci HIT (później przejętych przez Tesco) oraz dla francuskiego Carrefoura. W Warszawie powstały w ten sposób m.in. centra handlowe Arkadia i Bemowo. W Olsztynie, którego SLD-owski prezydent, późniejszy marszałek województwa, także był dyrektorem w IC, postawiono trzy hipermarkety.

Kolejnym polem aktywności IC była w latach 90. uprawa wielkich połaci ziemi i hodowla bydła, a jednym z centrów owej działalności stało się dawne Państwowe Gospodarstwo Rolne „Klewki", gdzie został zatrudniony zootechnik Gasiński.

W grudniu 2001 roku uzbrojona w kamerę Maria Wiernikowska – już po pierwszej wizycie w Klewkach – spotkała się z nim w warszawskim hotelu Metropol. Informator przedstawiający się jako „dyrektor IC na Mazury" – miał stosowną pieczątkę – powiedział jej to, co najwyraźniej chciała usłyszeć i co uwieczniła później w książce „Zwariowałam": „Około 50 krów zostało zakopanych, ponieważ za moich czasów na tym bydle przeprowadzano eksperymenty, które zlecał pan prezes Skowroński. Pracowano (...) nad wywołaniem bakterii związanych z zapaleniami zgorzelinowymi wymienia i z wąglikiem także (...). Latem 2000 roku pan Skowroński przyleciał swoim helikopterem do Klewek, przedtem powiedział, żeby wszystkich pracowników wysłać do domu. Z prezesem przyleciało dwóch obywateli Afganistanu... [Potem] inspektor kontroli środowiska oświadczył w prasie, że był w Klewkach i stwierdził, że wąglika nie ma. Przyjeżdża taki na zakład, przepyta trzech ludzi i mówi, że widział dokumentację, której nie mógł widzieć, bo to ja ją prowadziłem".

• **Bogdan Gasiński, były asystent Andrzeja Leppera. 20 lat siedział w więzieniu za różne oszustwa**

• **Andrzej Lepper, lider Samobrony. Informacje o talibach w Klewkach miał od Gasińskiego**

Wiernikowska: „I napisał pan w dokumentacji, że tam wąglik jest?".

Gasiński: „Tak. Zwierzęta zakopywano w trzech różnych miejscach (...) w okolicach Olsztyna. Najbardziej przerażające jest to, że m.in. w strefie Jeziora Klebarskiego. W 2000 roku nastąpiło masowe zatrucie wody w leżącym nad tym akwenem Klebarku. Prasa o tym pisała. Zatruło się ponad 200 osób, kilka trafiło do szpitala w dość poważnym stanie".

Sprawdziłem: do zatrucia w Klebarku faktycznie doszło – i to kilkakrotnie, także już po wydaniu „Zwariowałam". Jako powód raz wskazywano pestycydy, a raz bakterie E coli.

Rozmówca dziennikarki dalej: „Było nas trzech dyrektorów IC na Mazury, tylko że dwóch ze strachu uciekło, bo nie chcieli mieć nic wspólnego ze sprawą [wąglika]. Ja się uchowałem najdłużej, bo poszedłem na współpracę z prezesem Skowrońskim. Byłem wysyłany do różnych miast Europy. Miałem za zadanie przewozić przesyłki, plany, jakieś paczki".

*Naszkowska: Marysia zawsze była prowokatorką. Gdy wszystkim jakiś film się podobał, to jej akurat nie. Kiedy w 2014 roku pojechała na zajęty przez Rosjan Krym, wróciła z opowieściami o tym, jakim Putin jest świetnym prezydentem, do tego takim przystojnym...*

Wiernikowska: „Jakie konkretnie?".

Były dyrektor IC: „Plany lotnisk, plany budynków, plany hoteli. Jedne przesyłki były zamykane w takie małe kartony, których nie można otworzyć, natomiast niektóre nie były lakowane".

Po latach reporterka powie w Kanale Zero, że osobami odbierającymi od Gasińskiego plany europejskich lotnisk byli mężczyźni „o nieeuropejskim wyglądzie".

W 2002 roku zootechnik zdradził jej także, że importowane przez IC afgańskie szmaragdy były nimi jedynie „w cudzysłowie". Prezes spółki, czyli Skowroński, znał się bowiem w latach 90. ze wspomnianym, zamordowanym w 2001 roku generałem Masudem, którego tadżycka partyzantka – walcząca najpierw z Rosjanami, a potem przeciw pasztuńskim talibom – kontrolowała okresowo większą część pól maku w Dolinie Pandższiru.

• **Rudolf Skowroński w latach 90. właściciel spółki Inter Commerce. Zniknął nagle w 2005 roku.**

Gasiński: „Pan Skowroński przemycał do Polski narkotyki. W kraju były odbierane przez rezydentów mafii (...) i rozprowadzane dalej przez [skorumpowane] przejścia graniczne w Bezledach, Jakuszycach i Kołbaskowie".

Prezes IC – zdaniem zootechnika – płacił za opium bronią pozyskiwaną z terenów byłego Związku Sowieckiego, „gdzie istniały liczne delegatury Inter Commerce".

To ostatnie jest prawdą. Spółka IC miała oddziały w Moskwie, Petersburgu, Ałma Acie, Mińsku i Kijowie. Prowadziła z postsowiecką Rosją – jeszcze pod władzą Borysa Jelcyna – handel barterowy: tekstylia, artykuły higieniczne i żywność w zamian za węgiel i ropę. Na Białorusi wybudowała fabrykę lodów.

Jeśli chodzi o obrót bronią, niczego nie zdołałem ustalić. Dowiedziałem się natomiast od Wiernikowskiej, że Skowroński miał udziały w spółce Polma, planującej na siedmiu hektarach w stolicy budować olbrzymie World Trade Center Warsaw. Wspólnikiem został Edward Mazur, polonijny biznesmen z USA, dawny tajny współpracownik peerelowskiego kontrwywiadu, który po roku 1990 kontynuował niejawną współpracę z UOP. W roku 2003 tygodnik „Wprost" umieścił go na 17. miejscu listy najbogatszych Polonusów. Rok wcześniej płatny morderca Artur Zirajewski pseudonim „Iwan" wskazał Mazura jako domniemanego zleceniodawcę zabójstwa szefa polskiej policji, nadinspektora Marka Papały.

• **Krzysztof Stanowski, twórca i szef Kanału Zero, obecny pracowadawca Marii Wiernikowskiej**

27 lutego 2002 roku Mazur został w tej sprawie zatrzymany do dyspozycji trójmiejskiej prokuratury. Po interwencji pułkownika SB w stanie spoczynku, wiceprokuratora generalnego z lat 80. Hipolita Starszaka, wyszedł bez przesłuchania i zarzutów niemalże prosto na kolację z wiceszefem UOP Zdzisławem Skorżą, ministrem spraw wewnętrznych Krzysztofem Janikiem z SLD i Romanem Kurnikiem, zastępcą Papały, niegdyś byłym szefem departamentu kadr SB.

Z Restauracji Belvedere w Łazienkach Królewskich Mazur spokojnie pojechał na Okęcie, by odlecieć do USA. Później wydano za nim międzynarodowy list gończy, ale Amerykanie ekstradycji odmówili.

●

Zanim Gasiński został ostatecznie posadzony na lata, wysłał do Prokuratury Generalnej i mediów pakiet doniesień na temat łapówek wręczanych przez Skowrońskiego nie tylko politykom PO i SLD, ale też wojewodom, prezydentom miast i drobniejszym samorządowcom. Cytuję fragmenty, z których usunąłem dane personalne i błędy ortograficzne:

„50 tysięcy dolarów otrzymał od Rudolfa Skowrońskiego pan [nazwisko polityka SLD]. Pieniądze te były jedną z rat za załatwienie stanowiska w radzie nadzorczej firmy Jelfa w Jeleniej Górze [dla gangstera] o pseudonimie »Rafcio« i »Karateka«. Były one także podziękowaniem za wpływ na władze miasta Jelenia Góra w sprawie budowy hipermarketu".

„Oświadczam jako świadek będący uczestnikiem transakcji, że w Hotelu Mariott [tu data i godzina] prezes firmy Inter Commerce wręczył panu [nazwisko] 70 tysięcy dolarów. [To były] pieniądze za pomoc w realizacji zgody na budowę hipermarketu w Warszawie. Nadmieniam, że [łapówkarz] wielokrotnie otrzymywał pieniądze od pana Rudolfa za pomoc w realizacji planów i wpływ na urzędników miasta Warszawy".

„Oświadczam, że byłem świadkiem wręczania przez pana Rudolfa 110 tysięcy dolarów w Hotelu Victoria...". I tak dalej.

Prokuratura – dopiero po interwencji posła Leppera – wszczęła tzw. czynności sprawdzające. Zarzuty się nie potwierdziły z jednym wyjątkiem, o którym dalej.

Sam Rudolf Skowroński zabrał głos w wywiadzie udzielonym Krzysztofowi Skowrońskiemu (nie są rodziną), ówcześnie dziennikarzowi radiowej Trójki, dzisiaj naczelnemu Radia Wnet. Reporter zaczął oczywiście od pytań o wąglika, opium i łapówki.

Właściciel Inter Commerce: – Te słowa Gasińskiego są po prostu stekiem bzdur, wymysłów, nieudolnie skonstruowanych bajek. Granice paranoi zostały przekroczone. Pan Gasiński, który był zatrudniony w naszej firmie jako zootechnik, praktycznie nie miał czasu zajmować się krowami, gdyż uczestniczył bez przerwy w korupcyjnych spotkaniach z politykami i właściwie wygląda na to, że ci politycy nie przyjmowali ode mnie łapówek bez obecności Gasińskiego.

Dalej prezes opowiedział, jak się z zootechnikiem pożegnał: – W Klewkach został zarządzony remanent i na wieść o tym remanencie pan Gasiński po prostu uciekł. Sprzedał w ostatnim dniu jeszcze pięć koni z małej stadniny, której jestem właścicielem. W tym, co mnie najbardziej zabolało, prezent ślubny dla mojej żony. Klacz. Sprzedał za grosze. Oczywiście nie wpłacając tych pieniędzy do kasy.

Dziennikarz: – Leżą przed nami pana zdjęcia z Afganistanu, m.in. z Ahmadem Masudem.

Biznesmen: – Jest dla mnie zaszczytem, że byłem zaprzyjaźniony z generałem. Byłem u niego sześć razy. Wspólnie planowaliśmy interesy dotyczące kamieni szlachetnych. Był to wspaniały człowiek, bardzo charyzmatyczna postać. Szkoda, że zginął. Mam nadzieję, że zdaniem pana Gasińskiego ja w tym [morderstwie] nie uczestniczyłem.

Trzy i pół roku po tym wywiadzie Rudolf Skowroński zniknął. Ostatni raz widziano go żywego w styczniu 2005 roku. Rodzina zgłosiła uprowadzenie. Gasiński – już siedząc w więzieniu – zapewni potem Wiernikowską, że jego były szef wciąż się ukrywa na Mazurach.

Obecnie – jak sprawdziłem – Skowroński ma status ściganego trzema listami gończymi przez dwa stołeczne sądy i jedną prokuraturę apelacyjną; widnieje na policyjnej top liście obok Ryszarda Mazura. Sędziowie i śledczy – jak podaje portal Policja.pl – poszukują go „za oszustwo podatkowe i korupcję".

FOT. ADAM KOZAK, SŁAWOMIR KAMIŃSKI (2), ADAM STĘPIEŃ/AGENCJA WYBORCZA.PL



eprasa.pl ed047e9ca2

A zatem ktoś w organach ścigania i wymiaru sprawiedliwości uznaje obecnie, że Skowroński jakieś łapówki dawał – za branie by go nie ścigali, bo nie był funkcjonariuszem publicznym.

Wiernikowska zwraca w tym momencie uwagę na dwa szczegóły: Już po sejmowym oskarżeniu prezesa IC przez Leppera, w czasie kiedy Gasiński zarzucał mu w rozmowie z dziennikarką handel narkotykami, biznesmen opłacał swemu zbiegłemu zootechnikowi, złodziejowi klaczy, mieszkanie w Mikołajkach. A gdy dziennikarka pracowała nad pierwszą wersją reportażu, z sieci znikła strona z reklamami szmaragdów oferowanych przez IC, a w realu z dnia na dzień zmienił się właściciel sklepu jubilerskiego, w którym klejnoty szlifowano i sprzedawano.

W dodatku osoby, które w 2001 i 2002 roku rozmawiały z reporterką w obecności kamery – jak pracownik biurowy z Klewek – odbierały „na żywo" telefony od kogoś „z góry", który w ten sposób dawał Wiernikowskiej znać, że ma ją na oku. I jeszcze coś: postkomunistyczna „Trybuna" ujawniła rzekomy dziennik Gasińskiego, a w nim takie zapiski jak „łapówka". Wiernikowska narratorka nie ma wątpliwości, że była to wrzutka służb mających do końca ośmieszyć jej głównego świadka.

●

Choć oskarżenia Gasińskiego pod adresem rzekomo skorumpowanych polityków nie chciały się potwierdzić – również wątku opium i wąglika nie poświadczał nikt – Wiernikowska chwytała się wszystkiego, co było możliwe do udowodnienia.

Analizując poszczególne donosy autorstwa rzekomego „dyrektora na Mazury", ustaliła, że w razie nadzorczej jeleniogórskiej Jelfy faktycznie zasiadał jakiś „Rafcio", konkretnie Rafał M., były karateka, z zawodu geodeta, któremu tygodnik „Wprost" zarzucił w lipcu 2001 roku związki z gangiem pruszkowskim.

Dziennikarka Violetta Krasnowska ustaliła, że „Karateka" był w latach 90. egzekutorem długów w mazurskim gangu niejakiego „Łysego". Ów miał jej zdaniem korumpować celników w Bezledach. Z czasem się zalegalizował – podobnie jak jego egzekutor, czyli gangster, który wedle ustaleń „Wprost" najpierw został dyrektorem w Ministerstwie Skarbu Państwa, następnie wiceprzewodniczącym rady nadzorczej Orlenu, wreszcie szefem rady Jelfy, także członkiem zarządu PZU. „Zdaniem policji – pisała dalej Krasnowska – Rafał M. nie zaprzestał kontaktów z „Łysym". Pod koniec ubiegłego roku zniknął. Współpracownikom miał powiedzieć, że pali mu się pod dupą, po czym wyjechał do USA".

Kolejny potwierdzony trop Wiernikowskiej: prokuratura uznała za wiarygodny przypadek wręczenia przez Skowrońskiego jednej łapówki. O jej przyjęcie w zamian za wygranie przez Carrefour Polska przetargu na lokalizację hipermarketu w Łodzi zostali oskarżeni były prezydent miasta Marek Czekalski i magistracki urzędnik.

Sprawdzam: Czekalski faktycznie siedział jakiś czas w areszcie, lecz w sierpniu 2015 roku został uniewinniony. Tymczasem ostatnia nowelizacja listu gończego za Skowrońskim jako łapówkarzem nastąpiła w roku 2025. Zatem to nie za sprawę łódzką poszukują go dwa sądy i prokuratura.

Wiosną 2002 roku, kiedy sprawdzająca tego typu boczne tropy Wiernikowska usłyszała, że szefostwo z Woronicza wymawia umowę na film, poprosiła dyrektora telewizyjnej Jedynki Sławomira Zielińskiego o interwencję u tzw. redaktorów zamawiających: „Mam świadomość, że dotykam tematu, który zawiera pomówienie polityków i firm o korupcję. Autor pomówienia będzie odpowiadał przed sądem. Nie jest moim zamiarem postawienie tam obok niego TVP, nie będę więc na antenie powtarzać insynuacji. Jednak ta rozsądna ostrożność nie powinna wiązać dziennikarzowi rąk, tak by rezygnować w ogóle z dociekań. Nie mam zamiaru zastępować sądu ani prokuratury. Jako dziennikarz chcę tylko opisać pewien wycinek rzeczywistości. A jeśli dojdę do niewiadomej, mam prawo postawić pytania. Czy wobec jednego z głośniejszych tematów ostatnich miesięcy telewizja publiczna ma nabrać wody w usta?".

Pismo nie przyniosło efektu. Niczego nie dało także przelanie materiału na papier i wysłanie do kilku redakcji, nie wyłączając „Wyborczej". W książce „Zwariowałam" Wiernikowska cytuje odpowiedź, jaką dostała od ówczesnego wicenaczelnego Piotra Pacewicza: „Marysiu, to jest dziennik intymny dziennikarskiego śledztwa, jakoś ciekawy, ale tak napisany, że ni cholery nie wiadomo, o co idzie (...). Poprosiłem o przeczytanie tego Julka [Rawicza] i Ariadnę [Machowską], oboje mówią: fascynujące, ale niczego nie rozumiemy".

Reporterka opisze potem w książce ten okres: materiał o Gasińskim i Klewkach powędrował na półkę, innego zlecenia z TVP nie dostała, musiała oszczędzać na jedzeniu i lekach, sprzedała w komisie skórzaną kurtkę...

Tymczasem jej główny informator w ostatnich miesiącach na wolności sam zgłosił się do redakcji „Wyborczej", by opowiedzieć o tym, jak razem z Lepperem wymyślili łapówki brane przez tuzów PO i SLD. Artykuł Małgorzaty Bujary „Nie kłamię, że kłamałem" ukazał się w połowie maja 2002 roku:

Gasiński: „Chcę, żeby opinia publiczna się dowiedziała, że pomówienia dotyczące brania łapówek przez polityków są wymyślone. To wyglądało w ten sposób – ja się spotkałem z Lepperem i on spytał mnie: słuchaj, a może byśmy coś na nich znaleźli? Mówiłem, że na nich nic nie mam. A Lepper na to: łapówki mogliby brać. Odpowiedziałem, że może i brali".

Bujara: „Dlaczego nie zdementował pan sejmowych rewelacji Leppera, który powoływał się wtedy na pana jako głównego świadka?".

Zootechnik: „Kiedy usłyszałem przemówienie w Sejmie, za głowę się złapałem. Wszystko poprzekręcał. Słyszałem jednak w telewizji, że on ma dokumenty i świadków. Myślałem, że ma jeszcze kogoś. Dopiero po pewnym czasie okazało się, że nie ma. Rozmawiałem z nim o tym. Poklepał mnie po ramieniu i powiedział: jakoś z tego wybrniemy".

24 lata później – w przeprowadzonej z więzienia w Czarnem rozmowie z Wiernikowską, którą można obejrzeć na YouTubie – Gasiński po raz kolejny zmienił front.

– Lepper dostarczył prokuraturze nie tylko informacje, ale i nagrania wideo. Gdzie one teraz są? Niech pani pójdzie do sądu i zapyta, co oni zrobili z tymi kasetami – siedzący w więziennej rozmównicy oszust wyciąga i pokazuje do kamery jakiś dokument. – Tu jest podpis prokuratora, że kwituje odbiór taśmy z adnotacją, że dotyczy panów [ponownie padają nazwiska topowych polityków, których Lepper wymienił w Sejmie]. Prokuratura ukryła te nagrania u siebie w sejfie.

Przy okazji Gasiński zdradził Wiernikowskiej coś, o czym „zapomniał" jej powiedzieć w 2002 roku: spółka IC uprawiała warmińsko-mazurską ziemię i hodowała krowy głównie na papierze. – Bydło i produkcja roślinna to były wydmuszki, żeby brać dotacje. Pan Skowroński kupował ziemię, a potem korumpował urzędników, żeby ją odrolnić, powiększając wartość i dalej używał jej jako zastawu przy zaciąganiu ogromnych kredytów. Wszystko, co powiedziałem o łapówkach, jest prawdą. Do żadnych przestępstw się nie przyznaję, żadnych kradzionych telewizorów. Jedyne moje przestępstwo to sfałszowanie faktury na 28 tysięcy złotych. Ale nie mam siły już walczyć z tą bandą, niech pani sobie wyobrazi, że w jednej ze spraw sądziła mnie sędzia, której mąż mnie oskarżał. W Strasburgu mają już ode mnie 17 skarg.

Wedle Wiernikowskiej pierwsze 100 tysięcy Gasiński ma już przyznane w efekcie zawartej z państwem polskim ugody, a kolejne odszkodowania za przewlekłość postępowań i nieproporcjonalnie długi czas uwięzienia „są w drodze".

●

Zwolniona z telewizji publicznej reporterka prowadziła kawiarnię w latach 2003-05, lecz – jak wynika z treści książki „Zwariowałam" – interes szedł raczej kiepsko.

Tymczasem po wyborach z jesieni 2005 roku i powstaniu rządu PiS-Samoobrona-Liga Polskich Rodzin prezesem TVP został wieloletni znajomy dziennikarki z czasów opozycji, w wolnej Polsce dziennikarz, publicysta i pisarz Bronisław Wildstein. I to on zdecydował, by w końcu wyemitować film o wągliku i Klewkach zapowiedziany jako „obraz kraju korupcji, układów, mętnych interesów i powiązań polityków z szemranymi biznesmenami na pasku służb".

Zmontowany już po zniknięciu Skowrońskiego film otwiera rozmowa z podającym się za jasnowidza Krzysztofem Jackowskim z zachodniopomorskiego Człuchowa, który paląc jednego papierosa za drugim, opisał ostatnie chwile prezesa Inter Commerce:

*Bikont: Zawsze chciała być przeciwko światu, ciągle zbuntowana, miłośniczka ryzyka. Gdy szłyśmy razem na łyżwy, to nie na ślizgawkę miejską, tylko koniecznie na ledwo zamarznięte jezioro*

– Widzę stary dom... bagażnik samochodu... i ciągle jakiegoś człowieka z brodą! Dalej – wciąż w mrocznym klimacie – autorka informuje widzów, iż „śniło jej się, że jest reporterką i prowadzi śledztwo w sprawie talibów w Klewkach". Po tym zastrzeżeniu: Lepper pyta przed kamerą, czy Skowroński aby nie finansował Al-Kaidy; stróż z Klewek pokazuje trawnik między oborami jako miejsce, gdzie wylądował śmigłowiec z Afgańczykami; anonimowy informator (tyłem) sugeruje, że za pułkownikiem Makowskim, prezesem Skowrońskim i firmą Inter Commerce stały rosyjskie pieniądze, co poniekąd potwierdza „jasnowidz": – Skowroński dysponował grubym kapitałem, ale nie swoim, zniknął, bo musiał zwrócić więcej, a nie był w stanie.

Po sugestii, że część owego kapitału mogła być wyprowadzona z niesławnego Funduszu Obsługi Zadłużenia Zagranicznego – związanej ze służbami PRL szemranej instytucji, z której wyparowały dziesiątki milionów dolarów – wypowiedział się aresztowany dyrektor FOZZ, tajny współpracownik WSI Grzegorz Żemek, który przyznał, że znał Skowrońskiego, lecz więcej nie powie, bo chce żyć.

Po emisji półgodzinnego filmu zaczęła się debata w studiu z udziałem Wiernikowskiej, małego grona dziennikarzy i wicepremiera Leppera. Ten ostatni dopiero teraz „zdradził", jak doszło do tego, że oskarżył z mównicy polityków PO i SLD.

Otóż Rudolf Skowroński uważał, że Francuzi z Carrefoura są mu winni 20 milionów złotych. W 2001 roku poszedł z tym do Leppera, który występował w obronie rodzimego handlu przeciw zachodnim korporacjom. Biznesmen wytłumaczył chłopskiemu przywódcy, że 20 milionów wydał na łapówki, także dla polityków, a jego pracownik Gasiński robił za świadka i zaraz podpisze stosowne oświadczenia. Lepper „wykorzystał materiał politycznie" – jak stwierdził w studiu TVP, zawadiacko się uśmiechając.

– Ale to panu ostatecznie mocno zaszkodziło. Ktoś pana wrobił? Dlaczego? – spytał Piotr Pytlakowski z „Polityki".

Wicepremier: – Był czas, że Samoobrona miała prawie 30 proc. poparcia... i wtedy kabarety, dziennikarze, politycy zaczęli odmieniać Klewki – plewki, jakby to była nazwa szpitala dla psychicznie chorych, jakaś kompromitacja... i nasze notowania spadły.

W tym momencie Pytlakowski przypomniał Lepperowi pominięty przezeń szczegół wizyty Skowrońskiego w biurze Samoobrony: kiedy biznesmen wyłuszczył swój problem z Carrefourem, zastępca Leppera, były tajny współpracownik służb PRL poseł Stanisław Łyżwiński (skazany później m. in. za łapówkarstwo, udział w porwaniu, gwałt i zmuszanie do aborcji), oświadczył, że pomoc w walce z francuską siecią ma swoją cenę. Skowroński odmówił łapówki – i wtedy stał się antybohaterem sejmowego wystąpienia szefa Samoobrony.

Sama Wiernikowska podsumowała projekcję: – To nie jest dobry film.

●

Książkę „Zwariowałam" – opowieść o „nieudanym, bo niezakończonym" śledztwie w sprawie Klewek – reporterka wydała w roku 2011 w oficynie Rosner i Wspólnicy. Publikacja przeszła bez większego echa. Poważniejszy tekst na jej temat znalazłem tylko w „Gazecie Pomorskiej". Został wydrukowany w kwietniu 2012 roku, cztery miesiące przed samobójczą śmiercią Leppera.

„Jestem zgorzkniałą, rozczarowaną bojowniczką przegranej walki. Jestem również wściekła, że Polska została gdzieś przehandlowana; może przy Okrągłym Stole, może jeszcze wcześniej? Nie śledzę tego spisku, ale mam poczucie, że jeśli nawet ktoś nie zrobił tego z premedytacją, to nie zapobiegł (...). Nasz błąd polegał na tym, że nie rozliczyliśmy się z komuną, pozwoliliśmy łagodnie przejść i uwłaszczyć się ludziom tamtego systemu".

Roman Laudański: „Można wyciągnąć jakieś wnioski z Klewek? Jest morał tej historii?".

Wiernikowska: „Za nasz grzech pierworodny uważam to, że daliśmy się wykiwać przy Okrągłym Stole".

Dzisiaj emerytowany bydgoski dziennikarz wspomina wywiad jako „jeden z tych dziwnych tematów, których wciąż trzeba było szukać, bo w Bydgoszczy za mało się działo", i odmawia dalszej rozmowy.

Tymczasem w roku 2018, gdy stery mediów publicznych ponownie dzierżyli nominaci PiS, Wiernikowska – otoczona już legendą upartej reporterki śledczej, którą wyrzuciła z TVP eseldowsko-platformerska klika – została zaproszona na rozmowę w audycji „Kulisy spraw" w Polskim Radiu 24.

Radiowiec Łukasz Kurtz-Królikiewicz: – Jak to się stało, że gdy media głównego nurtu podważały wiarygodność Leppera i jego głównego świadka Bogdana Gasińskiego, pani podjęła ten trop i doszła do wniosków odmiennych?

Dziennikarka: – Ja do niczego nie doszłam. Do wniosków osobistych – tak. Natomiast informacyjnie jako dziennikarz... nic nie ustaliłam i biję się za to w pierś. Poruszałam się ruchem konika szachowego albo jeszcze gorzej, raz w przód, a raz w tył. Gasiński mi powiedział, że przewoził dokumenty, które miały posłużyć do ataku na WTC; że jego szef Rudolf Skowroński pierze pieniądze FOZZ; że najważniejsi politycy są w to umoczeni; że on sam nosił do nich za szefem walizkę z pieniędzmi. Tymczasem redaktorzy zamawiający w TVP oczekiwali, że mój materiał skompromituje Leppera, zrzuci go z piedestału. W pierwszym momencie wkurzyłam się, że mam być takim pistoletem od zleconego zadania, a potem zobaczyłam, że w tym temacie coś jest.

Kurtz-Królikiewicz: – Z perspektywy czasu: co o tej historii można powiedzieć pewnego?

Wiernikowska: – Firma Inter Commerce na pewno handlowała z Afganistanem szmaragdami, a pułkownik wywiadu Makowski obstawiał tę spółkę. Mężczyźni w turbanach lądowali w Klewkach. Właściciel firmy zniknął. Lepper się powiesił. A Gasiński ma siedzieć jeszcze 20 lat.

1 RP

eprasa.pl ed047e9ca2

W roku 2024, kiedy startował Kanał Zero, Wiernikowska, jak mi mówi, „pomyślała, że to coś dla niej". Zadzwoniła do szefa projektu Krzysztofa Stanowskiego z ofertą: pojedzie z kamerą pokazać sytuację w Strefie Gazy. Tak się też stało. Pierwszy odcinek serii zatytułowany wymownie „Czy Gaza musi zginąć?" wyemitowano w Zerze na początku maja 2025 roku.

Pół roku później Stanowski namówił Wiernikowską na podkast poświęcony pozornie już zgranym Klewkom. W reklamie na Facebooku zachęcał widzów: „Warto, żebyście zobaczyli, w jakich czasach niedawno żyliśmy i w jakich być może wciąż trochę żyjemy. Śmierć Andrzeja Leppera, łapówki, dziwne fortuny, handel bronią, służby specjalne, talibowie, szmaragdy, tortury w Starych Kiejkutach, Afganistan, no i Maria Wiernikowska, która była gwiazdą i która musiała zniknąć".

Sam podkast jest półtoragodzinnym monologiem, w którym reporterka – stojąc przy żeliwnym kominku we własnym mieszkaniu „w porządnej warszawskiej kamienicy z dziurami po kulach" – podsumowuje śledztwo w sprawie Klewek i całe ostatnie 30 lat swego życia, w tym okres po zamknięciu knajpy.

– Przez dwa lata sądziłam się [z TVP] w sądzie pracy. A potem wylądowałam w urzędzie pracy jako bezrobotna. Prowadziłam blog podróżniczy; trąbiłam o proteście chłopów, którzy blokowali poszukiwania gazu łupkowego; pokazałam jak pseudobank wkręcił mnie w polisolokatę; walnęłam w kredyty frankowe; na Kaszubach odkryłam byłych hitlerowców, którzy odzyskiwali swoje dawne pałace. Publikowałam wszędzie, gdzie się dało: w „Wyborczej", „Newsweeku", „Przekroju", „Rzeczpospolitej", Radiu Wnet (...). Zatrudniłam się także jako opiekun kulturalno-oświatowy w domu starców. Namawiałam ich, by opowiadali o sobie, notowałam i wieszałam na ścianie ten swój „autorski tygodnik". Któregoś dnia Stanowski mówi: „Opowiedz, jak cię skrzywdzili".

No i opowiedziała. Jej podkast obejrzało ponad milion osób. Ponad sześć tysięcy dodało komentarze.

Cytuję najpopularniejsze:
@dominikbecner: „Minęło 35 lat, a majątki uwłaszczonych po transformacji ciągle przewyższają te zdobyte legalnie w gospodarce wolnorynkowej".
@tomaszmichalak: „Wielki szacunek dla pani Marii, jako dziennikarka jest więcej warta, niż wszyscy zdobywcy Grand Pressa razem wzięci, zakłamane środowisko pełne hipokryzji!".
@adammiliczek: „Od dawna twierdzę, że wszyscy, którzy od 1989 roku byli przy korycie, powinni odpowiedzieć za zdradę kraju. A kara może być tylko jedna".
@odrzanin: „Wielu ludzi w Polsce w ciągu ostatnich 30 lat zniszczono tylko za to, że mówili prawdę. Niewielu z nich się podniosło i wróciło tam, gdzie byli wcześniej".
@matahari: „Prosimy jak najwięcej pani Marii w kanale".

Kanał Zero to życzenie spełnił. Po Izraelu wysłał reporterkę na Wschód, czego efektem są nowe podkasty z serii „Zero w Rosji".

Zdaniem recenzującej te materiały specjalizującej się w tematyce wschodniej dziennikarki „Wyborczej" Wiktorii Bieliaszyn nagrania Wiernikowskiej pokazują państwo Władimira Putina „w przychylnym Kremlowi zwierciadle, którego nie powstydziłby się żaden czołowy rosyjski propagandysta".

Mnie Wiernikowska radzi, bym wstrzymał się z ocenami do końca serialu.

– Ja właśnie z powodu „Zera w Rosji" skończyłam znajomość z Marią – mówi mi dziennikarka „Wyborczej" Krystyna Naszkowska, jej dawna dobra znajoma.

– Marysia zawsze była prowokatorką. Gdy wszystkim jakiś film się podobał, to jej akurat – nie. Kiedy w 2014 roku pojechała na zajęty przez Rosjan Krym i wróciła z opowieściami o tym, jakim Putin jest świetnym prezydentem, do tego takim przystojnym, a w ogóle to Krym od wieków był rosyjski... uznałam, że nie możemy dalej być koleżankami.

FOT. KANAŁ ZERO

• **Maria Wiernikowska jest teraz reporterką w Kanale Zero, który po Strefie Gazy wysłał ją na Wschód, czego efektem jest seria kontrowersyjnych podkastów „Zero w Rosji"**

Znajomość z Wiernikowską zakończył także „bez żalu" obecny naczelny OKO.Press Piotr Pacewicz, który 24 lata temu nie dopuścił do druku jej reportażu z Klewek.

„Nie mam o niej nic do powiedzenia i uważam, że nie warto tracić czasu na ten tabloidowy temat" – napisał mi w SMS-ie.

Od reporterki odsunęła się również koleżanka, z którą razem działały w opozycji w stanie wojennym – pisarka Anna Bikont.

– Dobrze się znałyśmy, Marysia była taka śliczna, życzliwa, wesoła. A jednocześnie jej dewiza życiowa brzmiała: być na przekór. Miałyśmy dzieci w tym samym przedszkolu. W pewnym momencie zaczęła non stop opowiadać o tych nieszczęsnych Klewkach, nikt tego nie brał na poważnie... A ona brnęła w temat dalej, bo zawsze chciała być przeciwko światu, ciągle zbuntowana, miłośniczka ryzyka. Gdy szłyśmy razem na łyżwy, to nie na ślizgawkę miejską, tylko koniecznie na ledwo zamarznięte jezioro. Przez te Klewki faktycznie jakby zwariowała. Strasznie mi jej szkoda. Była świetną osobą, pomagała ludziom, lecz ten temat z talibami ją zniszczył. Poszła w teorie spiskowe. Ostatnio w tym Zero podarowała słoik z grzybami Grzegorzowi Braunowi... tego nie rozumiem. Można mieć zwariowane poglądy, przejmować się ciężkim losem żołnierzy rosyjskich, gdy wszyscy współczują ukraińskim, ale obdarowywanie Brauna prezentem to akt antysemicki. Może on przypasował Marysi, bo też jest proputinowski?

Kolejna dawna znajoma – kiedyś redaktorka TVP – prosi o anonimowość:

– Redakcja telewizji, w czasach kiedy największe wpływy miała tam lewica, wysłała Marię do Klewek, żeby zrobiła wesoły materiał ośmieszający Leppera. A ona – z wrodzonej przekory – potraktowała temat poważnie. Niestety, trafiła na mitomana, który ją omotał, i zaryzykuję twierdzenie: zniszczył jej karierę.

– Czyli Gasińskiego.

– Powstał reportaż przedstawiający Polskę tamtego czasu jako totalne bagno, bo tak ona wyglądała w oczach tego oszusta. A Maria robiła wszystko, aby przekonać widzów, a nawet udowodnić, że kraj tak wygląda naprawdę. Tymczasem co wychodzi z późniejszych wyroków? Łapówek dla polityków nie było, wąglika nie było, talibów w Klewkach nie było.

– Byli torturowani w Kiejkutach Palestyńczyk Abu Zubajda, Saudyjczyk Rahim an-Nasziri i Pakistańczyk Chalid Szajch Muhammad, pomysłodawca ataku na WTC z 11 września 2001 roku.

– Tylko że o nich w reportażu i w książce Marysi nie ma ani słowa, bo to się nie dało jedno z drugim skleić. Przychodzi mi na myśl akcja tego faceta, co wtargnął z karabinem do waszyngtońskiej pizzerii, bo wierzył, że politycy i bogacze gwałcą tam dzieci. Potem się okazało, że nie w pizzerii, tylko na wyspie Jeffreya Epsteina, ale reszta się zgadza.

Przytaczam te słowa Wiernikowskiej, która rewanżuje się opinią, że „my, dziennikarze", nie postaraliśmy się dostatecznie, by odkryć prawdę o latach 90., za to „wielu starało się ją zaciemnić". Za mało wyjaśniliśmy tych spraw umorzonych, przerwanych, mrocznych...
– Widział pan rozmowę Gasińskiego z Gadowskim? Przyślę link.

Wywiad, który były dziennikarz TVN i redaktor w TVP, a obecnie publicysta „Sieci" i „Gazety Polskiej" przeprowadził w połowie lutego z uwolnionym Gasińskim na swoim youtubowym kanale Bez Cenzury (pół miliona widzów), jest ucztą dla zwolenników teorii spiskowych.

Gasiński opowiada, jak wracał ze Skowrońskim z Afganistanu do Szyman samolotem transportowym wiozącym talibów w kajdankach i „opium w workach po nawozach". Wspomina zaginionego w 1992 roku poznańskiego dziennikarza Jarosława Ziętarę („Jarek był moim kumplem"), który rzekomo tropił interesy Skowrońskiego z Mariuszem Świtalskim, twórcą sieci Biedronka i Żabka. Chodziło m.in, o zaniżanie cła przy imporcie wideoodtwarzaczy Gold Star oraz o tajne relacje obu panów z ówczesnym kierownictwem UOP. Zdaniem Gasińskiego to nie sądzony za to były esbek i senator Aleksander Gawronik, ale właśnie Skowroński wie najwięcej o losach zaginionego w wieku 24 lat, zapewne zamordowanego dziennikarza.

Dalej zootechnik z Klewek wymienia Gadowskiemu miejscowości, w których były prezes IC ma się rzekomo ukrywać (od Mikołajek po Lloret de Mar pod Barceloną) i wspomina, że jego samego kilkakrotnie próbowano zabić w więzieniu – raz za pomocą trucizny.

Zarzut, że konfabuluje, odpiera: „Nigdy nie byłem skazany za fałszywe zeznania". A dziennikarze nie badają tematów typu historia Inter Commerce czy zniknięcie Ziętary, „bo na dziesięciu opiniotwórczych redaktorów najważniejszych mediów ośmiu jest na uwięzi służb specjalnych".

– Może dziennikarze faktycznie zawiedli, jeśli idzie o opisanie lat 90.? – pytam historyków.

– Kiedy popatrzymy na aferę FOZZ, upadek giełdowego Universalu czy krach „bezpiecznej kasy" Lecha Grobelnego, to po pierwsze – niewiele wątków w pełni wyjaśniono, a po drugie – nie zadośćuczyniono oszukanym, co tworzy obraz tamtych lat jako bagna – mówi mi doktor Michał Przeperski, rocznik 1986, specjalista od historii Europy Środkowej XX wieku.

– Krytyczna ocena tamtego okresu zwycięża nad innymi. Jeszcze 20 lat temu, gdy żył Tadeusz Mazowiecki, uznawaliśmy w większości pierwszą dekadę wolności za granitowy fundament sukcesu III RP. Obecnie trwa w infosferze swoista rywalizacja... waży się, w jaki sposób dekada 1989-99 przejdzie na karty podręczników.

– A jaki obraz widzi pan?

– Na pewno nie do końca opisany, wiele rzeczy zostało tajemnicą. Afgańczycy w Klewkach to jedna z takich spraw. Lepper widział jakieś cienie na ścianie, miał w rękach opiłki prawdy... a zrobiono z niego wariata.

– Żeby ocenić lata 90., trzeba spojrzeć, czym Polska była w roku 1989 – mówi profesor Andrzej Friszke z PAN, jeden z najbardziej cenionych specjalistów od krajowej historii najnowszej, rocznik 1956. – Byliśmy wówczas bankrutem i chorym człowiekiem Europy. A gdzie się znaleźliśmy u progu wstąpienia do Unii? W gronie tygrysów gospodarczych. My jednak wolimy udrękę, nie może być uczciwego sukcesu, bo to niewiarygodne.

– Reaktywacja tematu „talibowie w Klewkach" to objaw polskiego mitomaństwa – uważa profesor Antoni Dudek, politolog i popularny publicysta historyczny, rocznik 1966. – A popkultura takim mitom sprzyja: seriale, których akcja dzieje się w latach 90., przedstawiają kraj gangów, łapówkarzy, tajniaków i prostytutek. Może to taka fala... Komuniści przez cały PRL próbowali zohydzić Drugą Rzeczpospolitą, więc potem wybuchł jej kult, który się chyba kończy. Lata 90. również będą jeszcze długo przedmiotem sporów i sądzę, że po okresie malowania ich w czarnych barwach może przyjść okres przeciwny.

– Nie może się pani wciąż pogodzić, że Klewki nie miały niczego wspólnego z Kiejkutami? – zapytałem na koniec Wiernikowską.

Odpowiedziała, że mimo Grand Pressów i innych głośnych sukcesów to właśnie „Zwariowałam" uważa za swój najważniejszy film. Lepper się już nie odwiesi, zostały nam same półprawdy. – Dlatego zachęcam pana i kolegów z „Wyborczej" do podjęcia tematu Klewek. Już bez mojego udziału.

Na razie za tematem poszedł Zbigniew Stonoga, przedsiębiorca i dawny asystent Leppera, który sam miał i ma ponad 100 spraw karnych, a od roku 2004 przebywa na przemian w aresztach, więzieniach i na zwolnieniach warunkowych.

Wideobloger, który w 2014 roku zasłynął ujawnieniem w sieci taśm z warszawskich restauracji, w których podsłuchiwano polityków rządzącej PO – co przyczyniło się do wygranej PiS w 2015 roku, na swym obserwowanym przez 600 tysięcy osób youtubowym kanale zamieścił wywiad z Gasińskim. Swojego rozmówcę tak przedstawił:

– Siedzi z nami człowiek, który w 2001 roku de facto powiedział jako pierwszy, że są nielegalne więzienia CIA w Polsce. Był pierwszym sygnalistą, który zdradził Polakom, co się w Polsce dzieje. Kiedy to powiedział, śmiał się cały kraj. Potem okazało się, że to prawda i ta prawda pomordowała wiele osób, w tym Andrzeja Leppera.

Bogdan siedział w więzieniu ponad 20 lat, wliczając tymczasowe aresztowania. Namawiam go, aby założył [w sieci] zbiórkę, bo musi jakoś odbudować życie, mieć na początek te 50 czy 100 tysięcy. Bardzo państwa proszę: Wpłacajcie!

*Wiernikowska: Lepper się już nie odwiesi, zostały nam same półprawdy. Dlatego zachęcam pana i kolegów z „Wyborczej" do podjęcia tematu Klewek. Już bez mojego udziału*



eprasa.pl ed047e9ca2

# Wybierz, co zrobisz ze swoim życiem

**To, co słyszysz od swojego nastoletniego dziecka, to nie jest zwykłe „nie chce mi się”**

**Marcin Matczak**

Wyobraź sobie: siedzisz rano w sobotę przy stole, pijesz kawę i w przypływie naiwnego optymizmu rzucasz w stronę swojego pierworodnego: „Młody, może byś tak w końcu zaktualizował CV i wysłał je do tej kawiarni na rogu?”. A na to twoje pełnoletnie dziecko z miną młodego Schopenhauera oznajmia: „Nie będę pracować, bo urodziłem się bez mojej zgody. Macie więc obowiązek mnie utrzymywać”.

I już wiesz, że wygrałeś konkurs na najbardziej kreatywne filozoficznie potomstwo na osiedlu! Bo to nie jest zwykłe „nie chce mi się”, ale jakiś pozew przeciwko bytowi, apelacja od wyroku skazującego na istnienie. To jest nowoczesna wersja argumentu antynatalistycznego, pytania, które dręczyło filozofów od tysiącleci: czy bycie jest darem czy przymusem? I faktyczne stwierdzenie pewnego 21-latka, które ostatnio wywołało ogromną dyskusję w sieci, stając się wręcz wiralem.

Kiedy młody człowiek wyjeżdża z takim tekstem, czujesz, że całe twoje życie – nieprzespane noce, nadgodziny i kredyty – zostało właśnie wyrzucone do kosza. To oczywiście boli. Ale pomyśl, że on nie walczy z tobą, ale z niezrozumiałym dla niego faktem, że życie to jedyna subskrypcja, której nie da się anulować jednym kliknięciem.

Pierwszy odruch? Oczywiście powiedzieć „Ja też nie wyraziłem zgody, że będę płacił za twojego iPhone’a i miesięczny internet”. Choćby z tego powodu, że jak byłeś powoływany na ten świat, iPhone’ów jeszcze na nim nie było. Albo „Słuchaj, skoro ustaliliśmy, że twoja obecność tutaj jest wynikiem mojego błędu w sztuce planowania, skoro życie według ciebie to przymusowa wycieczka, na którą nikt cię nie zapisał, to mimo wszystko trzeba pogadać o tym, kto płaci za catering?”.

Kuszące. Nawet bardzo. Ale jeśli pójdziesz tą drogą, przegrasz. Twoje dziecko bowiem nie prowadzi sporu ekonomicznego, ale właśnie podważa fundament kontraktu społecznego.

Może ta postawa wynika z faktu, że to pokolenie słyszało od kołyski, że zgoda jest wszystkim: w relacjach, w seksie, w wyborze drogi życiowej, nawet w przyjęciu mandatu. Zgoda, czyli wolność wyboru, najwyższa forma moralności. I oto konsekwencja: skoro zgoda jest warunkiem wszystkiego, to dlaczego nikt nie zapytał mnie, czy zgadzam się przyjść na świat?

Czy więc życie nie powinno być świadomie zawieraną umową? Z przyciskiem „akceptuj”, z kwadracikiem „zgadzam się być śmiertelnym ssakiem w czasach późnego kapitalizmu”?

Twoje dziecko ma rację w jednym: nikt z nas nie wyraził zgody na narodziny. Zostaliśmy wrzuceni w świat, nie wybraliśmy rodziców, epoki, języka ani temperatury planety. Ale czy brak zgody na początek znosi odpowiedzialność za ciąg dalszy? To nie jest więc pytanie głupie, zwłaszcza w czasach, gdy coraz trudniej przyjąć, że wiele rzeczy spada na nas bez naszej zgody: i cierpienie, i choroba, i filozoficznie uzdolnione potomstwo.

Jeśli zastanawiasz się, jak odpowiedzieć na to zaskakujące oświadczenie, oto kilka potencjalnych argumentów.

Po pierwsze, argument z niemożliwości zgody. Zgoda ma sens, gdy podmiot już istnieje i może ją wyrazić. A przed narodzinami nie istnieje „ktoś”, kto mógłby to zrobić. Więc stwierdzenie 21-latka jest trochę jak zarzut: „Nie wyraziłem zgody, żeby powstał wszechświat”.

Po drugie, argument z asymetrii korzyści i szkody. Jeśli ktoś twierdzi, że brak zgody czyni istnienie krzywdą, musi wykazać, że samo bycie urodzonym jest szkodą, a życie jest gorsze niż nieistnienie. A to nie jest łatwe.

Po trzecie, argument z uczestnictwa w dobrach, czyli wspomniany iPhone, Wi-Fi i jeszcze kilka rzeczy. Kto korzysta z infrastruktury, opieki zdrowotnej i innych dóbr społecznych, ten uczestniczy w jakimś systemie wzajemności. Krótko mówiąc: skoro korzystasz z dóbr wspólnych, masz też obowiązki wobec wspólnoty.

Jest jeszcze argument zdroworozsądkowy. Jeśli przyjąć zasadę: „Nie mam obowiązków wobec świata, bo nie wyraziłem zgody na swoje narodziny”, to nikt nie miałby obowiązków, bo przecież nikt takiej zgody nie wyraził. W ten sposób normalne społeczeństwo by nie istniało.

Wreszcie można odpowiedzieć egzystencjalnie, w stylu Sartre’a. To prawda – nie wybrałeś, że się urodzisz, ale możesz wybrać, kim będziesz. Jak wtedy, gdy ktoś nagle pod twoimi drzwiami zostawia niemowlę, dzwoni i ucieka. Nie wyraziłeś na to zgody, to nie jest twoja wina, ale teraz to jest twoja odpowiedzialność.

W tle tego buntu przeciwko bytowi jest jeszcze jedno założenie: że praca jest formą opresji, kary. Tymczasem praca to także współtworzenie świata, forma w nim uczestnictwa i źródło sensu. Ale o takie postrzeganie pracy coraz trudniej.

Na manifest „Nie będę pracować, bo urodziłem się bez mojej zgody” wypada wreszcie odpowiedzieć nie tylko argumentem, ale i empatią – odpowiedzieć nie na słowo, ale na emocję, która pod nim się kryje. Bo może tu nie chodzi o lenistwo, o roszczenie, ale o wyznanie: nie wierzę, że to wszystko ma sens.

Obietnica, którą karmiono poprzednie pokolenia – ucz się, pracuj, będzie lepiej – staje się oszustwem. Może dlatego bunt przybiera postać filozofii. Łatwiej przecież powiedzieć „nie zgadzałem się na istnienie” niż „boję się, że nie podołam”.

Ten manifest 21-latka pokazuje więc zrozumiały kryzys mentalny. I nie jest dobrym do niego komentarzem zdanie pojawiające się często pod postem: że chłopak jest najlepszą reklamą środków antykoncepcyjnych.

To kryzys sensu w czasach, w których nie ma autorytetów, nie ma wielkich narracji – pozostał tylko coraz trudniejszy, samodzielny wybór. Wybór kierunku studiów, wybór pracy, wybór tożsamości, wybór stylu życia. Wybór wszystkiego. Trudno więc się dziwić, że w końcu młody człowiek pyta: skoro wszystko jest wyborem, to dlaczego rzecz absolutnie najważniejsza – bycie – nim nie była?

Nie była i nigdy nie będzie. Więc masz rację, nie wybrałeś narodzin. Ale teraz wybierasz, co z tym zrobisz. Możesz spędzić te kilkadziesiąt lat, pisząc reklamacje do Pana Boga, możesz uczynić swoje życie niekończącym się protestem przeciw nieuczciwym warunkom startowym. Albo projektem, który – mimo wszystko – coś zmieni. ●

# Niemiecki but w kącie klasy

**Kaczyński wpadł w pułapkę amfibologii, czyli takiej konstrukcji zdania, która umożliwia co najmniej dwie interpretacje, np. „Zaginął piesek z zakręconym ogonkiem, do którego była bardzo przywiązana jego właścicielka”.**

**Michał Rusinek**

W siedzibie Prawa i Sprawiedliwości 16 lutego odbyła się konferencja prasowa dotycząca funduszu SAFE. Dziennikarka TVN24 Maja Wójcikowska zadała na niej pytanie na które odpowiedział Jarosław Kaczyński. Pytanie dotyczyło głosowania PiS przeciwko funduszowi SAFE. Odpowiedź – warto przytoczyć, choćby i we fragmentach.

Otóż PiS nie godzi się na przyjęcie funduszu, ponieważ „nie wszystko złoto, co się świeci”. SAFE zakłada przywództwo Niemiec w Unii Europejskiej, a Niemcy „są ostatnim krajem w Europie, który powinien dążyć do przywództwa”. Niemcy to kraj, który, „po pierwsze, doprowadził do drugiej wojny światowej, a przedtem miał wielki udział w doprowadzeniu do pierwszej. Nie rozliczył się, nie ukarał zbrodniarzy [...]. Po drugie, nie wypłacił reparacji – wielu państwom, ale przede wszystkim Polsce [...]. To jest państwo postnazistowskie, tak to trzeba określić. Tak jak Polska, niestety, ciągle, w niemałej mierze [...] jest państwem postkomunistycznym. Takie państwo powinno siedzieć w kącie i przepraszać, że żyje, a nie próbować przewodzić”.

●

Chroniczna antyniemieckość prezesa Kaczyńskiego jest nam dobrze znana, ale za każdym razem przybiera ona nieco inne formy, także językowe. Kilkakrotnie pisaliśmy już o różnych znaczeniach przedrostka „post-”, z których pierwsze ma charakter historyczny, czy raczej chronologiczny.

Jeśli Niemcy po II wojnie to państwo postnazistowskie, to Niemcy przed II wojną to państwo prenazistowskie. Podobnie można powiedzieć, że współczesne Włochy to państwo postfaszystowskie, a rządy naszych Jagiellonów nazwać postpiastowskimi. Kaczyński nie popisuje się, rzecz jasna, wyłącznie znajomością chronologii, ale sugeruje, że współczesne Niemcy nie odcięły się od nazistowskiej przeszłości (bo nie ukarały zbrodniarzy i nie wypłaciły innym krajom reparacji), stanowią więc nadal zagrożenie dla Europy i świata.

„Postnazizm” byłby więc nazizmem potencjalnym, bo przecież nigdy nie wiadomo, kiedy znów się objawi. Państwo takie, jak Niemcy, nie ma więc moralnego prawa do przywództwa w Unii Europejskiej, zwłaszcza jeśli chodzi o kwestie militarne.

●

Żeby zobrazować, jak rozumie wieloznaczny przecież przedrostek, Kaczyński posługuje się przykładem Polski, która jest – jego zdaniem – państwem postkomunistycznym (na dowód przywołuje „sprawę Czarzastego”). I wpada w pułapkę amfibologii, czyli konstrukcji zdania, która umożliwia co najmniej dwie interpretacje, np. „Zaginął piesek z zakręconym ogonkiem, do którego była bardzo przywiązana jego właścicielka”. Kaczyński mówi o Niemczech, daje przykład Polski, po czym mówi: „Takie państwo powinno siedzieć w kącie”. Czyżby było to echo jakiś szkolnych traum pana prezesa i godzin spędzonych w kącie klasy, gdy obmyślało się zemstę za upokorzenia? Nie wiemy. Wiemy natomiast, że mamy prawo czuć się zdezorientowani, bo logika ostatniego zdania przeczy logice całej wypowiedzi: gdzie duma narodowa, wstawanie z kolan, suwerenność i niepodległość?

*Takie państwo, jak Niemcy powinno siedzieć w kącie i przepraszać, że żyje, a nie próbować przewodzić*

Ta ostatnia pojawiła się zaraz potem. „Ile jest warta polska niepodległość?” – spytał nagle retorycznie Jarosław Kaczyński. Jednak nie do końca retorycznie, bo na to pytanie odpowiedział: „Nawet gdyby [SAFE] to było 30 miliardów różnicy, to nie jest teraz w skali Polski wielka suma”. Jak widać, waluta nie ma znaczenia, bo Polak-katolik i tak wszystko przelicza na srebrniki, zwłaszcza jeśli suma wynosi trzydzieści. „To co? – pytał dalej Kaczyński. – To tyle jest warta polska niepodległość? Otóż [...] polska niepodległość nie ma po prostu ceny”.

●

To byłaby piękna, patriotyczna odpowiedź (samemu sobie), ale Kaczyński mówił dalej: „I dlatego jeśli nawet mielibyśmy trochę więcej zapłacić, to to jest nieporównanie bardziej opłacalne dla Polski, dla przyszłości, także osobistej pomyślności Polaków, polskich rodzin niż to, co jest nam proponowane”. Dopowiedzenie delikatnie osłabia poprzednią patriotyczną deklarację. Co więcej, jeśli coś nie ma ceny, to znaczy, że nie da się tego kupić, a nie że należy to kupić drożej. Chyba że jakoś inaczej rozumiemy zasady targowania się.

Na koniec znowu wrócił Niemiec, tym razem rodem z propagandowego plakatu: „Proponowana jest nam Polska pod niemieckim butem – grzmiał Kaczyński. – My ten niemiecki but odrzucamy!”. A co z niemiecką stopą, pozbawioną przez PiS buta? Czy naga stopa może nas już deptać?

Odpowiedzi na te pytania, a właściwie ich analizę zostawmy jednak psychoanalitykom specjalizującym się w fetyszyzmach, sami za to rozkoszujmy się komizmem piętrowego metaforycznie obrazu, z jakim zostawił nas Jarosław Kaczyński. A jeśli komuś nie do śmiechu, to może się zawsze zadumać nad wachlarzem nieprzerobionych traum prezesa PiS-u i ich konsekwencjami dla nas wszystkich. ●

1 RP

eprasa.pl ed047e9ca2

ŚWIAT

# Niemcy
## Szczególny przypadek

Nigdy nie zapomnę, jak w pandemii wysiadłam z tramwaju w Berlinie i wpadłam na wiec, **a tam Braun, który maszeruje na Reichstag.**

Z PISARKĄ **MAGDALENĄ PARYS** ROZMAWIA **MATEUSZ MAZZINI**
ZDJĘCIE: **ŁUKASZ CYNALEWSKI/** AGENCJA WYBORCZA.PL

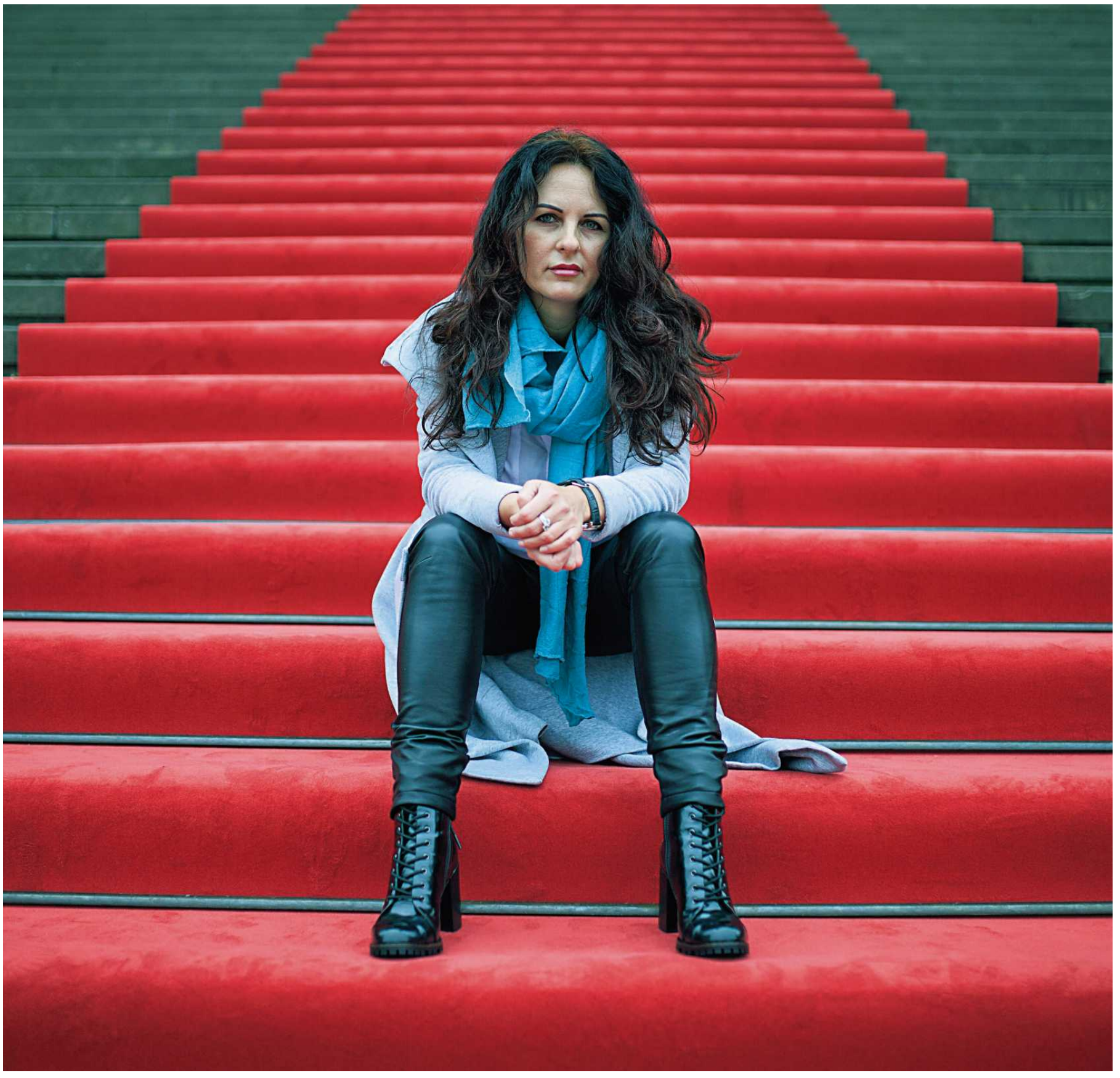

• **Magdalena Parys na schodach Konzertause Berlin na Gendarmenmarkt, gdzie dzieje się akcja jednej z jej książek**



eprasa.pl ed047e9ca2

**MATEUSZ MAZZINI: Czym dla ciebie jest przeszłość?**
**MAGDALENA PARYS:** Dla mnie chyba w ogóle przeszłość nie istnieje.

**Jak to?**
– Przeszłość nakłada się u mnie na teraźniejszość i przyszłość. Myślę, że wynika to z tego, że od ponad czterdziestu lat mieszkam w Niemczech, kraju szczególnym dla tego rodzaju rozmów. Bez względu na to, jak bardzo próbuje się tu przeszłość ukryć, zakrzyczeć czy przemilczeć, ona wciąż kształtuje życie publiczne i ma realny wpływ na teraźniejszość. Trudno wskazać działanie publiczne, które nie byłoby z nią w jakimś stopniu powiązane.

**Ale czy to cecha unikatowo niemiecka, czy jednak ogólnoeuropejska? Ilja Leonard Pfeijffer, holenderski pisarz mieszkający na stałe w Genui, powiedział mi kilka lat temu, że „być z Europy, to mieć przeszłość i przez nią się definiować”.**
– Dokładnie tak jest, choć znów: Niemcy są na tym tle szczególnym przypadkiem. Oczywiście każdy kraj w Europie opowiada świat z perspektywy własnej przeszłości, ale nazistowskie Niemcy zaatakowały niemal cały świat. Przyznasz, że to przypadek historycznie niepowtarzalny i taki, który będzie w sposób szczególny rzutował na przyszłość.

Kiedy o swojej przeszłości opowiada Polak, niemal na pewno pojawiają się w niej i Rosja, i Niemcy. Natomiast gdy o przeszłości mówi Niemiec, Polski w tej narracji zazwyczaj nie ma. Dlaczego? Bo Polska w niemieckiej świadomości przez długi czas odgrywała marginalną rolę.

Do tego stopnia, że jeśli dzisiaj w Niemczech rozpoczniemy rozmowę o Breslau albo o Danzig, to jest wysoce prawdopodobne, że ktoś z Niemiec zachodnich nie będzie wiedział, czy czasem nie mówimy o jakichś miastach we wschodnich niemieckich landach, w byłym NRD.

**Iwan Krastew, którego niedawno przepytałem, uważa nawet, że każdy współczesny kryzys, gdziekolwiek by na świecie wybuchł, automatycznie staje się kryzysem niemieckiej tożsamości powojennej. Gaza, Ukraina, nawet zapaść na rynku motoryzacyjnym.**
– Powojenne Niemcy zbudowały swoją tożsamość na wyrzutach sumienia. Na obietnicy danej sobie i światu, że to, co się wydarzyło, nigdy więcej się nie powtórzy.

Problem w tym, że fundament tego procesu był niedoskonały. Z jednej strony narracja narzucona przez zwycięskich aliantów niemieckiemu społeczeństwu, które jeszcze kilka lat wcześniej wybrało i wierzyło w Hitlera, z drugiej – powojenne przemilczenia tego samego społeczeństwa, wreszcie rewolucja kulturowa 1968 roku.

W efekcie wiele spraw nie zostało przepracowanych w rodzinach i w prywatnej pamięci. A jednocześnie na poziomie politycznym pojawiła się potrzeba nieustannego brania na siebie odpowiedzialności i przypominania światu o niemieckiej winie.

W ten sposób powstała dysproporcja między nieprzepracowaniem wojny w społeczeństwie a moralną nadaktywnością w sferze publicznej. Kiedy za rządów Angeli Merkel wybuchały awantury dyplomatyczne pomiędzy Polską a Izraelem, na przykład wokół nowelizacji ustawy o IPN, to Merkel wykorzystywała cudzą awanturę do przypominania światu, że to jednak Niemcy wywołali drugą wojnę światową i oni na pewno są w jakiś sposób za to wszystko odpowiedzialni.

Obserwowałam to wtedy i miałam wrażenie, że tkwię w śnie pijanego wariata. Nie mogłam zrozumieć, dlaczego Niemcy są tak głęboko zaangażowani w ciągłe przeżywanie traumy drugiej wojny, tłumaczenie sobie jej przyczyn, że muszą wchodzić nawet w te konflikty, które ich nie dotyczą.

Przecież to polski rząd był odpowiedzialny za to, co się wydarzyło, Polska ma prawo mówić własnym głosem, usprawiedliwiać się lub też nie albo po prostu kłócić się na własny rachunek z Izraelem, a Izrael z kolei ma prawo sobie ten konflikt załatwić z Polską samodzielnie.

Druga wojna światowa nie została w ogóle konstruktywnie przepracowana w świadomości Niemców, bo przeciętny Niemiec nie ma nawet jak jej przepracować. Przecież ledwo coś się wydarzy, a już każdy polityk biegnie i przeprasza. Nie ma znaczenia, z jakiej jest partii ani co reprezentuje – natychmiast idzie do telewizji, udziela wywiadu, przeprosiny się sypią. Albo jest za Izraelem, albo za Gazą, już podaje ręce, już klęka – i w ten sposób odbiera tożsamość i jakąkolwiek sprawczość swoim własnym obywatelom.

Im więcej polityka się tym zajmuje, tym większą czyni szkodę społeczeństwu. Te dyskusje toczą się tylko na najwyższym poziomie – czyli na żadnym.

Ja sama potrzebowałam 40 lat życia w Niemczech, życia z Niemcami, skończenia tu szkół i studiów, urodzenia tu dzieci, żeby zrozumieć, że przepracowanie tego wszystkiego odbyło się tylko na powierzchni, pro forma.

Jak to zrobić lepiej? Nie mam pojęcia, gdybym wiedziała, nie poświęciłabym tej tematyce kilkudziesięciu felietonów i wszystkich książek. Ale mogę tylko zadawać pytania, bo nie wiem. I myślę, że łatwiej mi te pytania zadawać, bo jednak pierwszych 13 lat zdążyłam przemieszkać w Polsce, więc te perspektywy Wschodu i Zachodu się we mnie łączą.

**Czym one się różnią? Nie masz wrażenia, że w Polsce rozmowa o tematach europejskich, nawet tak konkretnych jak technokratyczny sposób działania Unii Europejskiej, nadal jest rozmową o obcym świecie? Trochę tak jakbyśmy byli wyjęci z Kundery – życie w Europie dla nas „jest gdzie indziej”.**
– Na to pytanie jest bardzo prosta odpowiedź. Różnica między Polską a Niemcami czy Francją to przede wszystkim różnica w czasie. Niemiec ma poczucie sprawczości i przynależności do tego mitycznego Zachodu, bo jest głęboko przekonany, że żyje w stabilnej demokracji. A przecież demokracja w Niemczech wcale nie była czymś oczywistym, jeśli spojrzymy na dwie wojny światowe i okres międzywojenny.

Tyle że osiemdziesiąt lat powojennej stabilności zrobiło swoje. Dało im poczucie osadzenia w świecie demokratycznym, przekonanie, że oni tu naprawdę przynależą – i że to nie jest już projekt tymczasowy. Ostatnio za sprawą AfD nieco inaczej to wygląda, ale to osobna historia.

Spójrzmy na 1945 rok. Wtedy w Niemczech wszystko zdechło. Nie zmarło, ale zdechło. Państwo, instytucje, autorytety. Niemcy jako naród musieli się odnaleźć na nowo i budować wszystko od początku. Pierwsze lata powojenne to głód i bieda tak ogromne, że dziś trudno to sobie wyobrazić. Do tego dochodziła niepewność, czy to państwo w ogóle przetrwa, czy Niemcy pozostaną Niemcami, cokolwiek miało to wtedy znaczyć.

Potem przychodzą lata pięćdziesiąte, które trochę przypominają polskie lata dziewięćdziesiąte: perturbacje, ale też wejście na ścieżkę stabilizacji i zachłyśnięcie się konsumpcją. Lata sześćdziesiąte to bunty społeczne i pytanie, czy te powojenne Niemcy rzeczywiście są demokracją. Coś jak w Polsce w okolicach 2005 roku, przy pierwszych rządach Prawa i Sprawiedliwości – moment niepokoju, testowania granic.

Tyle że Niemcy ten test przeszli. Przychodzą lata siedemdziesiąte, Willy Brandt, Helmut Schmidt, mimo terroru RAF w Niemczech jest demokracja, w którą zaczynają naprawdę wierzyć. A potem 1989 rok, upadek muru, zjednoczenie z NRD i ostateczne utwierdzenie się w przekonaniu, że Niemcy zachodnie są tym „Zachodem” przez duże „Z”. Mogą być dla wschodniej części kraju kimś w rodzaju Wujka Sama.

I teraz spróbuj to porównać z Polską po 1989 roku.

**Jak się uprę, to ci powiem, że my też mamy swoją wersję tej historii. Bieda po terapii szokowej, wejście na ścieżkę wzrostu, prywatyzacja, mieszanie się Kościoła w życie publiczne, debata wokół wejścia do Unii, szaleństwa Kaczyńskiego i Macierewicza z lustracją, stabilizacja, a potem dobra zmiana.**
– Oczywiście, że mamy swoją wersję tej historii. I przeszliśmy ją w tempie, które w innych krajach zajmowało dekady. Transformacja po 1989 roku była dla Polski czymś w rodzaju biegu przez płotki: jednocześnie budowaliśmy państwo demokratyczne, gospodarkę rynkową i nowe elity. Wchodziliśmy do NATO, do Unii Europejskiej, przechodziliśmy przez spory o lustrację, o rolę Kościoła, o tożsamość. To był bardzo intensywny proces.

> Niemcy lekceważą Polskę, bo Niemiec cały czas czuje podziw, zachwyt, strach, miłość i nienawiść do Rosji.

Ale spójrz na proporcje czasu. Niemcy zachodnie miały od 1945 roku osiem dekad względnej stabilności, żeby swoją demokrację osadzić, oswoić i uczynić czymś oczywistym. My mamy niewiele ponad trzydzieści lat. I w tym czasie musieliśmy zrobić wszystko naraz.

Nie wiem, jaka będzie nasza przyszłość i czy w pełni „nadrobimy” to doświadczenie czasu, ale wiem, że mamy w sobie ogromną zdolność adaptacji. W nadrabianiu jesteśmy naprawdę dobrzy.

**Zgoda, w dodatku mamy premię za spóźnienie – bo przeskakiwaliśmy od razu do nowszych, lepszych wersji. Tak było chociażby w sektorze bankowym, w cyfryzacji. Ale mam obawy, czy takie wieczne szybkie nadganianie jest dobre na dłuższą metę. W krótkim czasie przyjęliśmy na siebie kilka mocnych zmian kulturowych, które na Zachodzie zajęły właśnie 80 lat. Sekularyzacja, zmiana modelu rodziny, imigracja, mniejszości seksualne. Ja się często boję, że to za dużo naraz – i że to rozsadzi Polskę od środka.**
– Coś w tym jest, bo przez tę szybkość wiele rzeczy wykonuje się u nas po łebkach, bez refleksji z automatu. Z drugiej strony, jak mamy się dowiedzieć, kim jesteśmy, jeśli nie mamy z kim się porównywać. W Polsce nigdy nie było skali porównawczej, bo nie było ludności z zewnątrz. A ona jest potrzeba, bo bez niej nie wiemy, co jest dla nas ważne, jakie mamy priorytety, co nas definiuje – jakakolwiek autorefleksja jest niemożliwa, dopóki przed nami nie stanie ktoś z inną kulturą, tożsamością, historią.

Naród, który nigdy nie musiał się z czymś takim skonfrontować, myśli, że cały świat widzi rzeczywistość tak jak my. Wielu Europejczyków jest przekonanych, że druga wojna światowa była największą tragedią w dziejach ludzkości. Spróbuj do tej tezy przekonać Nigeryjczyka, Kenijczyka, czy nawet Turków.

Oni mają zupełnie inne doświadczenia.

Problemem sporej części Polaków jest to, że oni się nigdy nie musieli z tym zmierzyć. Bo z czym niby mieli się mierzyć, skoro dla nich istniało zawsze tylko jedno porównanie: Polaka do drugiego Polaka?

Weźmy na przykład rewolucje kulturowe Zachodu, które po wojnie zdarzały się praktycznie co dekadę. Z Polską w tej sprawie jest tak samo, jak z naszą demokracją.

Polska jest zawsze odbiciem czyjejś rewolucji. Bez względu na to, czy to zmiana społeczna, polityczna, czy technologiczna, Polska nigdy nie bierze w niej aktywnego udziału. Ona tylko ją konsumuje. Dzieją się rzeczy, które posuwają świat do przodu, reformują go – a Polska się przygląda.

**Nasi prawicowi politycy na dźwięk takich tez wyjęliby retoryczne pałki i przypomnieli ci, że przecież z Polski wyszedł koniec komunizmu, i to w skali globalnej. Nawet pierwszy rząd Tuska promował się tym argumentem.**
– Jasne, pewnie. Oczywiście, można mówić, że Polska obaliła komunizm. I co z tego? Co z tego wynika, co to konkretnie zmienia w Europie? Zwłaszcza patrząc z dzisiejszego punktu widzenia? Możemy się przekonywać, że Węgrzy nas naśladowali, tak samo NRD, że Gorbaczow nie odegrał w tym procesie żadnej roli, że nie było załamania gospodarczego w ówczesnej wschodniej Europie, dziesiątek lat procesów społecznych, które do tego doprowadziły. I ja się pytam: Co z tego?

Co to dzisiaj obchodzi Węgra, który zaraz pójdzie do urny wyborczej? Co to ma wspólnego z telefonem komórkowym przeciętnego Europejczyka, z jego algorytmem, z tym, co dla niego ważne? On patrzy na Stany Zjednoczone, na Unię jako źródło pieniędzy, boi się Putina, ewentualnie pomyśli, co się stanie, jak Chiny zaatakują Tajwan. A na wakacje pojedzie do Tajlandii.

Jak czasami rozmawiam o takich rzeczach z moimi znajomymi, którzy mieszkają w Polsce, to włos mi dęba staje.

**Dlaczego?**
– Bo Polacy uwierzyli w swój własny algorytm, który całkowicie zniekształca im rzeczywistość. Ten algorytm podpowiada im, że każdy turysta na świecie chce teraz przyjechać do Krakowa, że Toruń jest najciekawszym miastem Europy, a Warszawa stała się drugim Nowym Jorkiem.

Jasne – Polska zrobiła olbrzymi skok. Jest bezpiecznie, czysto, wciąż relatywnie tanio w niektórych obszarach, całkiem fajnie się żyje. Ale ogólnego obrazu to dalej nie zmienia. W Monachium mało kogo to interesuje, w Paryżu pięć razy trzeba mówić, skąd się jest, nie mówiąc już o Brazylii czy o innych miejscach poza Europą.

Polska jest wciąż tylko jednym z wielu krajów Europy i nawet trudno mi sobie wyobrazić, co by musiała zrobić, żeby zmienić ten stan rzeczy. Żeby naprawdę zapisać się w pamięci świata, potrzeba wielu dekad konsekwentnych sukcesów, nie tylko czystego metra w Warszawie.

Może gdybyśmy co kilka lat dostawali literackiego Nobla, mieli przełomowe osiągnięcia w medycynie czy fizyce kwantowej, produkowali bardziej zaawansowane chipy niż Tajwan – wtedy tak. Bo zmiana postrzegania kraju na



eprasa.pl ed047e9ca2

## Magdalena Parys i jej trylogia berlińska

• Rocznik 1971, pisarka i publicystka. Jej teksty ukazywały się między innymi w „Magazynie Wyborczej", „Wysokich Obcasach Extra", „Zwierciadle", „Pismie", „Stuttgarter Zeitung" i francuskim tygodniku „Marianne". Mieszka w Berlinie, zadebiutowała w 2011 roku powieścią „Tunel". Wydany kilka lat później „Magik", pierwszy tom trylogii berlińskiej, stał się bestsellerem w Niemczech, we Francji i w Belgii oraz przyniósł autorce Europejską Nagrodą Literacką. Jest z wykształcenia filolożką polską i pedagożką.

• Jej trylogia berlińska – przetłumaczone na kilkanaście języków „Magik", „Książę" i najnowszy, właśnie wydany „Floren" – dostępne na Kulturalnysklep.pl i w formie e-booków oraz audiobooków na Publio.pl.

świecie nie dzieje się skokowo. To proces długiej wytrwałości, stabilności i ciągłości budowany latami, nie kadencją.

**Znowu spróbuję cię sprowokować. Bo nie wiem, w jakim stopniu sami jesteśmy sobie winni, a w jakim jednak nie jesteśmy w stanie tego zmienić, bo zwyczajnie nie ma dla nas miejsca i nikt nas do stołu dużych graczy już nie wpuści.**
– Oczywiście, że tak. Niemcy są tego najlepszym przykładem. Niemiecka polityka ma tak naprawdę dwa aksjomaty, które w ogóle się nie zmieniają. Po pierwsze, każde rozwiązanie musi być pragmatyczne. Po drugie, wszystko, co robimy, musi sprawić, że jednak Niemcy pozostają w centrum. Oni muszą zawsze zostać pępkiem wszystkiego.

Wiem, że to, co mówię, pewnie jeszcze nakręci polską prawicę, ale naprawdę tak jest. Czym w ogóle jest ta Polska, ta biedna Polska, wiecznie położona pomiędzy Niemcami a Rosją?

**No właśnie – czym?**
– Wciąż jeszcze niczym. Tak bardzo niczym, że przez wiele lat, oglądając niemieckie programy publicystyczne – a jest ich chyba najwięcej w Europie – można było odnieść wrażenie, że wschodnim sąsiadem Niemiec jest Rosja.

Taki pogląd, nawet jeśli niewypowiedziany, w dużej mierze nadal determinuje sporą część niemieckiej polityki. Owszem, rośnie też świadomość, że jesteśmy ważnym partnerem gospodarczym, że z żadnym innym krajem nie ma takiej wymiany handlowej, ale to się naprawdę na nic nie przekłada.

Połączenia kolejowe są zaniedbane, trasy szybkiego ruchu były zresztą po 1989 roku budowane jako ostatnie. Wiem, że to przeczy wszystkiemu, co mówią politycy, tylko mnie się nie chce już tego słuchać. Mnie się od tego gadania robi niedobrze.

Powiem wprost: Niemcy lekceważą Polskę, umniejszają jej rosnącą rolę w Europie. Niemcowi ta Polska cały czas nie pasuje, bo Niemiec cały czas czuje podziw, zachwyt, strach, miłość i nienawiść do Rosji. A Polska? Przecież Niemiec Polskę napadł, kolonizował ją, niszczył – a teraz co? Polska jest nagle czystsza, bezpieczniejsza, jak on ma na to zareagować?

Wielu ludzi w Niemczech tego w ogóle nie zauważa. Zresztą to dotyczy całej Europy Wschodniej. Gdy w Polsce upadał pierwszy rząd PiS, to była tylko jedna gazeta – „Die Zeit" – która poświęciła temu nieco więcej miejsca.

Ty wspomniałeś o Krastewie – kiedy on jeszcze 10 czy 15 lat temu dawał wywiady do „Der Spiegla", to go wrzucali na sam koniec wydania, nawet jeśli był tak samo dobry i przenikliwy jak teraz. A Krastew już wtedy im mówił, że jako Bułgar doskonale rozumie na przykład perspektywę ludzi z NRD, że on się prędzej z kimś ze Wschodu dogada niż z klasą średnią z Monachium. Tłumaczył te kody kulturowe, zagrożenia, które wyniosły potem populistów do władzy. Nikt nie chciał słuchać.

A teraz? Teraz ci ludzie ze Wschodu windują AfD do władzy i zaraz zrobią reszcie Niemiec taką rewolucję wyborczą, że się nikt nie pozbiera.

**Politycy AfD mówią o Polsce mocno pejoratywnie, a mimo to nasza skrajna prawica widzi w nich sojuszników. Te sprzeczności da się pogodzić czy one jednak wybuchną?**
– Nie wybuchną. Antonio Scurati to dobrze opisał w „Synu stulecia", swojej książce o dojściu Mussoliniego do władzy. Mussolini zbudował sobie silne zaplecze, w którym byli dosłownie wszyscy. Nie przeszkadzało mu to, kto w co wierzy, z kim sypia, skąd pochodzi, pod warunkiem że szedł w tym samym kierunku co on. Popatrz, Grzegorz Braun robi dokładnie to samo.

Nigdy nie zapomnę, jak w pandemii wysiadłam z tramwaju w Berlinie i wpadłam na wiec, a tam Braun, który maszeruje na Reichstag.

Do końca życia będę pamiętać te obrazki. Braun uśmiecha się i idzie w tym wiecu, a gdzieś za nim całuje się dwóch mężczyzn. Obok idą antyszczepionkowcy, gdzieś dalej są ezoterycy, płaskoziemcy, Reichsburger machają flagami, wszyscy pozdrawiają się wzajemnie. To już nie jest nawet ruch antynaukowy czy antyestablishmentowy, to coś gorszego.

Dla nich nie ma znaczenia, kim jesteś, jeśli walczysz dla jednej wielkiej sprawy. To jest właśnie ta „subtelna" różnica między nacjonalizmem a faszyzmem, bo faszyzm pozwala na zespolenie wszystkiego ze wszystkim dla jednego celu.

Jeśli jesteś przywódcą faszystowskim, weźmiesz ze sobą wszystko, jeśli ci się przyda. Ci, na których wczoraj plułeś, których wyklinałeś, których obrażałeś, nagle mogą okazać się przydatni, więc są sojusznikami. Nawet z Żydem pójdzie konfederata, o ile Żyd będzie chciał z nim pójść, wtedy przez moment dla konfederaty Żyd będzie „jego Żydem".

A przecież ten pochód na Reichstag był jeszcze przed amerykańskim atakiem na Kapitol – dzisiaj nikt o tym nie pamięta, jakby w pandemii nie istniała pamięć zbiorowa. Tymczasem dla mnie to był moment, w którym zrozumiałam, że Europa zaczyna się rozwalać. Dla mnie symbolem tej kruchości było kilku bezradnych policjantów stojących przed Reichstagiem naprzeciw rozszalałego tłumu z Braunem na czele.

**Tylko że końców Europy było już w historii sporo. Czemu uważasz, że ten jest inny?**
– Bo wszystko jest inne. Nasz świat jest inny. W ciągu ostatnich dwóch dekad posypały się bezpieczniki społeczne. Kiedyś można było powiedzieć, że coś się nie wydarzy, w Polsce czy w Niemczech nie będzie wojny domowej, bo to nie jest zakorzenione w naszej tradycji. Ta tradycja była punktem odniesienia. Teraz już nie jest. Od momentu dojścia Trumpa do władzy wszystko stało się możliwe.

**O tym piszesz w swojej najnowszej książce. „Floren", finał berlińskiej trylogii, dzieje się w przeszłości, teraźniejszości i przyszłości jednocześnie. Także w erze sztucznej inteligencji, którą ty opisujesz w pewnym sensie jako moment poddania się przez człowieka maszynie.**
– Sztuczna inteligencja przenika już wszystko. Jest wszędzie – w każdej grupie zawodowej, w poradach medycznych, w randkowaniu, w pocieszaniu. Ludzie proszą chat boty o napisanie wiadomości na Tinderze, bo sami nie wiedzą, jak zagadać do kogoś.

Mało tego, my w to wszyscy idziemy, cała naprzód. Nawet twórcy tych modeli zaczynają nas przestrzegać, żebyśmy zwolnili, a to chyba pierwszy raz w historii, gdy wynalazca boi się własnego wynalazku bardziej niż jego użytkownicy.

**To gdzie znaleźć nadzieję? Przed naszą rozmową powiedziałaś mi, że dzięki „Florenie" odkryłaś to słowo na nowo.**
– Bohaterka mojej książki ostatecznie połączyła się z maszyną, co z tego wynikło – nie zdradzę. W pewnym sensie nadzieja jest w tym, że maszyna – ten wszechpotężny algorytm – jest do nas zaskakująco podobna. Na nas i od nas uczy się życia, zna tylko nas. Chociaż po tym, co tu wcześniej mówiłam, nie wiem, czy to dobrze wróży. Ona chce dotyku. Bliskości. Uczy się szczerości, reaguje na fałsz, nie przepada za pustą autopromocją.

I może to jest odpowiedź: przetrwanie nie polega na tym, że zostajemy tacy sami. Życie to nieustanna zmiana. Przetrwanie polega na tym, że potrafimy się zmienić. Czym jest ludzkość, życie, świat? Ciągłą zmianą. Dlatego wierzę, że przetrwamy. Być może w zupełnie innej formie niż dziś. Ale przetrwamy. ●

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY
Kraj/34414014

W PIĄTEK W WYBORCZEJ

NADCIŚNIENIE TĘTNICZE

• Objawy, przyczyny, diagnostyka
• Jak brać leki na nadciśnienie tętnicze
• Jak wpływają: kawa, alkohol, papierosy, zaburzenia snu?

SPONSOR
SERVIER
moved by you

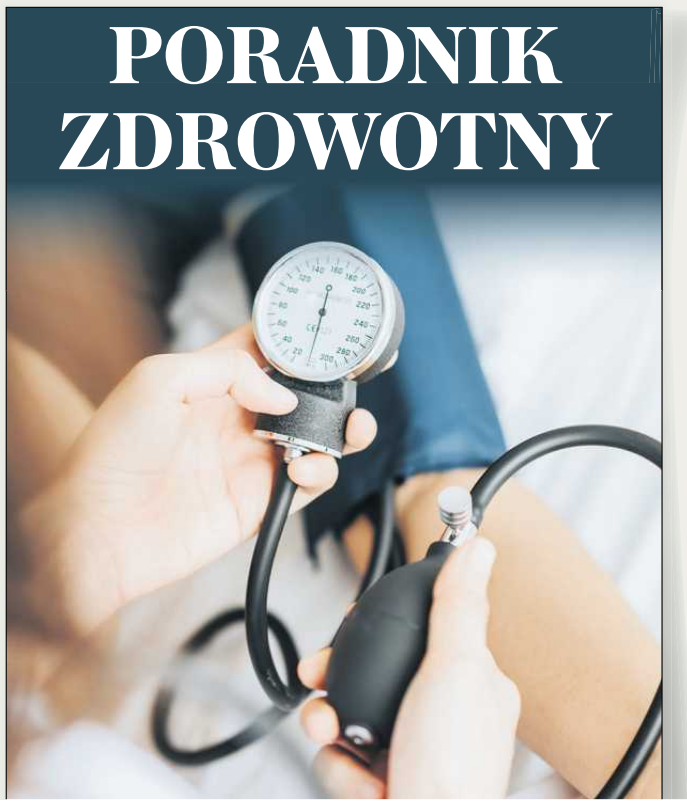


2 RP
SV260215

eprasa.pl ed047e9ca2

# OBYWATEL ANDRZEJ MOUNTBATTEN WINDSOR

**Kto by pomyślał, że to arystokrata, majętny playboy i rozpustnik** stanie się najlepszą reklamą liberalnej demokracji.

**Mateusz Mazzini**

W czwartek 19 lutego o 8 rano polskiego czasu kilka nieoznakowanych samochodów podjechało pod główne wejście dużej nieruchomości w Sandringham w hrabstwie Norfolk na wschodzie Anglii.

Po dłuższej chwili policjanci wyprowadzili z budynku mężczyznę – pech chciał, że akurat tego dnia obchodził 66 urodziny.

Mundurowi nie musieli swoich obowiązków realizować w taki sposób, bo brytyjskie prawo pozwalało im wezwać mężczyznę na przesłuchanie lub zadać mu pytania na miejscu, w domu. Zgromadzony materiał dowodowy musi być jednak poważny, skoro władze zdecydowały się na areszt. Mężczyzna opuścił nieruchomość, nie stawiając oporu.

Wkrótce miejscowa policja poinformowała, że został oskarżony o tzw. *misconduct in office* – niewłaściwe zachowanie w czasie pełnienia funkcji publicznej. Jakiej natury były te przekroczenia – na razie nie wiadomo. Śledztwo się toczy, organy ścigania przestrzegają procedur, a minister sprawiedliwości wygłosił standardową formułkę, że w jego kraju nikt nie stoi ponad prawem. Wygłosić ją musiał, bo rzecz dotyczy osoby pracującej niegdyś dla rządu i reprezentującej kraj w oficjalnych rolach. Oskarżony czeka więc na proces, a życie toczy się dalej.

Tak opowiedziana historia aresztowania Andrzeja Mountbattena Windsora, znanego do jesieni ub.r. jako książę Andrzej, młodszy brat króla Karola III, brzmi zaskakująco banalnie, wręcz nudno. I to jest w niej, jeśli nie najciekawsze, to na pewno najważniejsze.

Jeśli wyjąć z niej przeszłość protagonisty, tytuły szlacheckie, wielkie posiadłości i domniemane (bo często przesadnie opisywane) przywileje wynikające z tych wszystkich rzeczy, można dojść do wniosku, że to sprawa jak wszystkie inne. Nie ma się nad czym specjalnie zastanawiać: obywatel Wielkiej Brytanii jest podejrzany o złamanie prawa, do czego w dodatku miało dojść na terenie kraju.

Policja go aresztuje, przedstawia zarzuty, ruszają stosowne procedury. To, co publicznie ujawnić można – zostaje ujawnione, reszta informacji jest utajniona dla dobra śledztwa. Nic wielkiego, wymiar sprawiedliwości i aparat przymusu działają tak, jak powinny.

Jednocześnie po drugiej stronie Atlantyku akta afery Epsteina – miliony stron, maili, SMS-ów, zdjęć i nagrań wideo zbierających pod jeden obleśny parasol najważniejszych polityków obu partii, byłego i obecnego prezydenta, gwiazdy show-biznesu, członków rządu federalnego, techno-miliarderów, producentów filmowych, agentów literackich, sławnych lewicowych intelektualistów, popularnych centroprawicowych publicystów, szefów oraz szefowe agencji dla modelek – już nikogo nie interesuje.

Z zewnątrz może wydawać się, że sprawa finansisty stręczyciela wstrząsa posadami establishmentu, że to wydarzenie kalibru afery Watergate, która obaliła prezydenta Nixona. Plotkarskie media odmieniają przez przypadki garść ujawnionych nazwisk i roztrząsają działające na wyobraźnie detale – kto z kim czyim samolotem leciał, kto kogo z kim obma-

FOT. GETTY IMAGES/MARK CUTHBERT

1 RP

eprasa.pl ed047e9ca2

wiał, a kipiący oburzeniem, zszokowani obywatele w serwisach społecznościowych domagają się upublicznienia wszystkich akt śledztwa. Słowem, nadciąga jakiś polityczny, społeczny, prawny przełom.

Ale tak naprawdę temat Epsteina całkowicie zniknął z krajobrazu informacyjnego. Poważne gazety, telewizje i portale media głównego nurtu – czy to liberalne, czy konserwatywne – żyją kolejnymi atakami na proces wyborczy i niezależność instytucji go regulujących, próbą cenzury komika Stephena Colberta czy kolejnymi starciami protestujących z ICE, coraz brutalniejszą policją imigracyjną.

W wiadomościach gospodarczych dominuje pogłębiający się kryzys na rynku pracy, publicyści ekonomiczni piszą eseje przekonujące, że aparat państwowy polegnie w starciu z bezrobociem strukturalnym wywołanym przez powszechne wdrożenie sztucznej inteligencji do sektora usług. Z kolei skrajnie prawicowi influencerzy żyją wojną domową w koalicji MAGA (antysemici kontra pro-izraelski konserwatywny establishment), wizjami techno-utopii, która ma nadejść już za rok czy dwa, nieustającym egzystencjalnym zagrożeniem dla narodu amerykańskiego wynikającym z migracji, ewentualnie dyskusjami, czy Trump powinien zbombardować Iran, czy jednak zostawić ajatollahów w spokoju.

Po Epsteinie ani śladu. A przecież w aktach jego sprawy, nawet w tej niewielkiej, upublicznionej części, jest masa wątków, które nawet dla laika wyglądają na murowane sprawy kryminalne.

Oto finansista załatwiacz korzysta z nielegalnie pozyskanych informacji gospodarczych przekazanych mu przez wieloletniego gwiazdora brytyjskich labourzystów Petera Mandelsona czy byłego księcia Andrzeja, próbując przy tym wywierać wpływ na władze innych suwerennych państw.

Równocześnie w równoległej, napędzającej biznesową, stręczycielskiej działalności stosował oszustwo i przemoc – on i jego współpracownicy okłamywali młode dziewczyny pochodzące z Europy Środkowo-Wschodniej i krajów byłego Związku Radzieckiego, obiecując im kariery w modelingu, stypendia naukowe, szansę na lepsze życie w Ameryce, po czym wykorzystywali je seksualnie albo oferowali jako żywy towar.

A wszystko to powiązane z powoływaniem się na wpływy w administracji publicznej, co stanowi formę korupcji. Steve Bannon, strateg ruchu MAGA, bliski współpracownik Donalda Trumpa, współtwórca jego pierwszego sukcesu wyborczego, przez siedem miesięcy oficjalny doradca prezydenta, oferował Epsteinowi ucieczkę do kraju, z którego do Stanów Zjednoczonych nie ma ekstradycji. To dopiero jest *misconduct in office*.

Krótko mówiąc, grubych kryminalnych wątków w aferze Epsteina jest tyle, że amerykańskie media i wymiar sprawiedliwości, powinny żywić się nimi dzień w dzień przez długie miesiące, może nawet lata. Lecz amerykańskie instytucje już dały dobitnie do zrozumienia, że nie są zainteresowane jakimkolwiek działaniem w tej sprawie. Todd Blanche, zastępca prokurator generalnej Pam Bondi, czyli wiceszef Departamentu Sprawiedliwości, oznajmił wręcz w ubiegłym tygodniu na konferencji prasowej, że on i jego podwładni nie są w posiadaniu „żadnych informacji wskazujących na popełnienie przestępstw seksualnych w tak zwanej sprawie Epsteina". Kiedy zszokowani dziennikarze dopytywali, czy mówi poważnie, odpowiedział, że „gdyby takie poszlaki były, w oczywisty sposób doszłoby do rozpoczęcia śledztwa. Ale śledztwa nie ma, czyli nie ma też poszlak". Koniec tematu, można się rozejść.

Dla porządku należy podkreślić, że nie wiadomo jeszcze, czy Andrew Mountbatten Windsor został rzeczywiście aresztowany w związku ze współpracą z Epsteinem. A jeśli – nie musi chodzić o wątki seksualne, zarzut „niewłaściwego zachowania w czasie pełnienia funkcji publicznej" najprawdopodobniej dotyczy działania na szkodę państwa poprzez przesyłanie bankierowi tajnych dokumentów z negocjacji handlowych Wielkiej Brytanii. Niemniej różnica między Starym a Nowym Światem jest znamienna.

Na Wyspach aresztowano brata króla, który konstytucyjnie nadal jest głową państwa i przynajmniej teoretycznie musi wyrazić zgodę na wejście w życie każdego aktu prawnego przyjętego przez parlament. Ale ani monarcha, ani gabinet niczemu nie zaprzeczają, niczego nie bagatelizują, nie solidaryzują się z członkiem establishmentu. Nikt nie podnosi argumentu królewskiej wyjątkowości. Premier Keir Starmer i jego zastępca, minister sprawiedliwości David Lammy wygłosili komunały o równości wszystkich wobec prawa nie po to, by rozmyć sprawę, tylko dlatego, że w przypadku takiego nazwiska i takiej sprawy właśnie milczenie byłoby odebrane jako podejrzane. A sam król Karol w kilku zdaniach oświadczenia skwitował, że jego brat musi sam odpowiedzieć za to, co robił na własny rachunek, a jego niespecjalnie to interesuje, bo ma dużo własnej roboty i spraw na głowie. Sensację z aresztowania Mountbattena Windsora robią tylko media, które w dodatku brzmią, jakby były bardzo rozżalone, że pierwsze aresztowanie członka rodziny królewskiej od 1554 roku nie wywołało trzęsienia ziemi.

A więc w pewnym sensie i w Wielkiej Brytanii sprawa Epsteina przyniosła obojętność – tylko że to obojętność amerykańska i brytyjska to dwie całkowicie i znacząco różne obojętności. Na Wyspach nie dość, że zadziałały niezależne organy ścigania, to jeszcze nikogo to nie zaskoczyło. Po stronie amerykańskiej zdziwionych też nie ma – ale dlatego, że tam nikt nie spodziewał się sprawiedliwości.

Ta różnica też nikogo nie powinna dziwić, gdyż oba społeczeństwa mają krańcowo różne podejście do spraw nawet tak podstawowych, jak sprawiedliwość.

Jak wynika z zeszłorocznych danych agencji badawczej Gallup, zaledwie 35 proc, Amerykanów ufa systemowi sądownictwa. To najniższy wynik w historii takich pomiarów, czyli w całym okresie po II wojnie światowej.

Z kolei ubiegłoroczne badanie opinii Edelman Trust Barometer pokazało, że aż 7 na 10 Amerykanów nie ufa szeroko pojętym elitom, zwłaszcza politykom. Według większości respondentów ich członkowie „celowo wprowadzają ludzi w błąd" oraz „zmieniają zasady gry, żeby nigdy nie ponieść konsekwencji swoich działań".

Im młodsi badani, tym gorzej z zaufaniem – rządowi i Kongresowi ufa mniej niż jedna piąta Amerykanów w wieku 18-29 lat. Całkowity brak zaufania dla instytucji federalnych, a taką jest Departament Sprawiedliwości, podmiot zarządzający aktami sprawy Epsteina, deklaruje aż 47 proc. obywateli – wynika z jesiennego badania instytutu Partnership for Public Service.

A w Wielkiej Brytanii – gdzie badanie również przeprowadzał Gallup, czyli ta sama agencja, co w USA, z tą samą metodologią – wymiarowi sprawiedliwości ufa w pełni 57 proc. obywateli.

To i tak mało, bo dwa lata temu odsetek ten wynosił 69 proc. W całkowitą niezależność sądów wierzy 62 proc. Brytyjczyków, natomiast pozytywną opinię o pracy sędziów jako grupy zawodowej ma aż 8 na 10 obywateli.

Badania zaufania do innych instytucji życia publicznego pokazują ten sam trend: spadkowy, ale nie alarmujący. Brytyjczycy są narodem przekonanym, że ich sądownictwo i instytucje działają całkiem znośnie.

To nie są tylko puste liczby czy abstrakcyjne dane statystyczne, tylko wgląd w anatomię społeczeństw, sposób ich funkcjonowania oraz system wartości. Wszak ludzie, którzy nie cenią swoich elit, nie będą się z nimi identyfikować ani ich słuchać. Jeśli uważają swoje instytucje za skorumpowane czy źle działające, nie będą ich bronić. Apatia zatriumfuje nad obywatelskim nieposłuszeństwem.

**Amerykańska i brytyjska obojętność wobec afery Epsteina to dwie różne obojętności. Na Wyspach zadziałały niezależne organy ścigania i nikogo to nie zaskoczyło. W USA zdziwionych też nie ma – bo nikt nie spodziewał się sprawiedliwości**

I nie chodzi tylko o wytworzenie się polityczno-towarzyskiej „establishmentokracji", mieszanki oligarchii, plutokracji i – opartej na statusie, sławie i ambicji – timokracji, w której ktoś taki jak Jeffrey Epstein i jego akolici, partnerzy biznesowi i klienci będą całkowicie bezkarni. To również doskonałe podglebie dla wszelkiej maści tendencji autorytarnych, dla polityków, którzy chcą skonsolidować władzę z pominięciem norm, zasad czy instytucji zewnętrznego nadzoru. Co z tego, że rządzący wciąż mają mandat demokratyczny, kontrolę nad państwem przejmując za pomocą wolnych wyborów, skoro ich celem jest właśnie rozmontowanie tego systemu.

To już nie jest demokracja, tylko „konkurencyjny autorytaryzm", jak dzisiejszy ustrój Stanów Zjednoczonych definiuje znany politolog z Harvardu Steven Levitsky. W tak działającym państwie politycy przejmują władzę w otwartym i równym procesie wyborczym, ale potem wykorzystują wszystkie dostępne narzędzia administracyjne, żeby nie dopuścić do utraty władzy. Powstaje struktura, w której wybory wciąż się odbywają, ale ich wynik nie ma znaczenia, bo jest z góry przewidziany – wielu obywateli jednak nie protestuje, zadowalając się samym faktem możliwości oddania głosu. Naskórkowo przecież wszystko jest nadal w porządku. Upadająca niezależność instytucji mało kogo wówczas obchodzi, bo skoro już w czasach równej, otwartej demokracji nie pracowały na korzyść zwykłego obywatela, przejęcie ich przez autokratów w zasadzie nic nie zmienia.

W skrajnie różnych konsekwencjach sprawy Epsteina po obu stronach Atlantyku jak w soczewce skupiły się społeczne przyczyny triumfu populistów i autokratów nad liberalną demokracją. Już lata temu francuski politolog Pierre Rosanvallon zauważył, że prawdziwą linią demarkacyjną pomiędzy cynicznym populizmem, po zdobyciu władzy szybko przeradzającym się w pełen autorytaryzm, a liberalnym ustrojem demokratycznym, są właśnie silne i niezależne instytucje, zwłaszcza sądownicze – a nie sam fakt przeprowadzania wyborów. Elekcję raz wprowadzoną trudno całkowicie wyeliminować, ale też nie ma potrzeby, skoro można być wybieranym bez końca z pomocą spacyfikowanych instytucji. Wybory przecież odbywają się nawet w Rosji Putina czy w irańskiej teokleptokracji.

Żeby jednak przejście w amoralny populizm, a potem w autokrację było możliwe, trzeba najpierw przekonać obywateli, że instytucje nie są im do niczego potrzebne, bo i tak im nie służą. Nie ma więc przypadku w tym, że dosłownie wszyscy populiści ostatniej fali, od Jaira Bolsonaro w Brazylii przez Jarosława Kaczyńskiego w Polsce po Rodrigo Duterte na Filipinach, najpierw robili wszystko, żeby obywatelom zohydzić własne instytucje państwowe.

Dokładnie to samo próbują zrobić ludzie Trumpa w USA. I konserwatywni czy reakcyjni intelektualiści, jak filozof Curtis Yarvin, piewca „mrocznego oświecenia", i ludzie wywodzący się z tradycyjnych elit, jak przewodniczący Sądu Najwyższego John Roberts, uważają, że Ameryce silne instytucje nie są potrzebne. Wyznają teorię unitarnej egzekutywy, w ramach której maksymalizuje się prerogatywy i sprawczość władzy wykonawczej – czyli samego prezydenta. W takim silnie spersonalizowanym ustroju jednostki z automatu stoją ponad prawem, bo dominują całkowicie nad wymiarem sprawiedliwości. Co sam Trump zdaje się rozumieć, mówiąc niedawno reporterom „The New York Timesa", że prawo – tu akurat międzynarodowe – jest Ameryce zbędne, ważniejsza jest jej wola. Jej – czyli jej przywódcy.

Nic więc dziwnego, że w Amerykanach nie rozpala się gniew. Że nie wzbiera fala oporu społecznego, że w obronie niszczonych sądów, uczelni, mediów nie widzimy milionowych marszów i protestów, jakie przetaczały się przez Amerykę za czasów walki o prawa obywatelskie, Martina Luthera Kinga czy wojny w Wietnamie. W przekonaniu większości uniwersytety, gazety, kancelarie prawne i tak służą ich twórcom, właścicielom czy tym, którzy nim kierują. Z tego samego względu Amerykanie nie domagają się masowo sprawiedliwości dla ofiar Epsteina ani kary dla jego współpracowników i klientów. Nie wierzą po prostu, że taka kara byłaby w ogóle możliwa.

Z kolei Brytyjczycy nie wychodzą masowo na ulice w proteście przeciwko skompromitowanym elitom, bo wierzą, że kara jest możliwa. Nie ekscytują się specjalnie aresztowaniem brata króla, bo nie wierzą, że sądy – oraz dociekliwych dziennikarzy – można spacyfikować.

W taki oto bardzo przewrotny sposób kraj będący monarchią, wciąż opierający się tyleż na procedurach i biurokracji, co na tradycji, uzusie i milczącym porozumieniu, udowodnił, że tradycyjna liberalna demokracja jest żywotna, skuteczna i zwyczajnie dobra. Z kolei kraj powszechnie utożsamiany z silnymi, niezależnymi instytucjami pokazał, że stają się one pustą wydmuszką, jeśli nie są głęboko zakorzenione w społeczeństwie i nie potrafią udowodnić, że naprawdę służą obywatelom.

Po tamtej stronie oceanu antybohaterowie afery Epsteina pozostają tytularnie i statusowo profesorami, byłymi prezydentami, prezesami, dyrektorami. Po tej książę Yorku i ósmy sukcesor tronu jest już tylko obywatelem Andrzejem Mountbattenem Windsorem.

Kto by pomyślał, że to arystokrata, majętny playboy i rozpustnik, postać niczym z rewolucyjnej ulotki, stanie się najlepszą reklamą liberalnej demokracji. ●



eprasa.pl ed047e9ca2

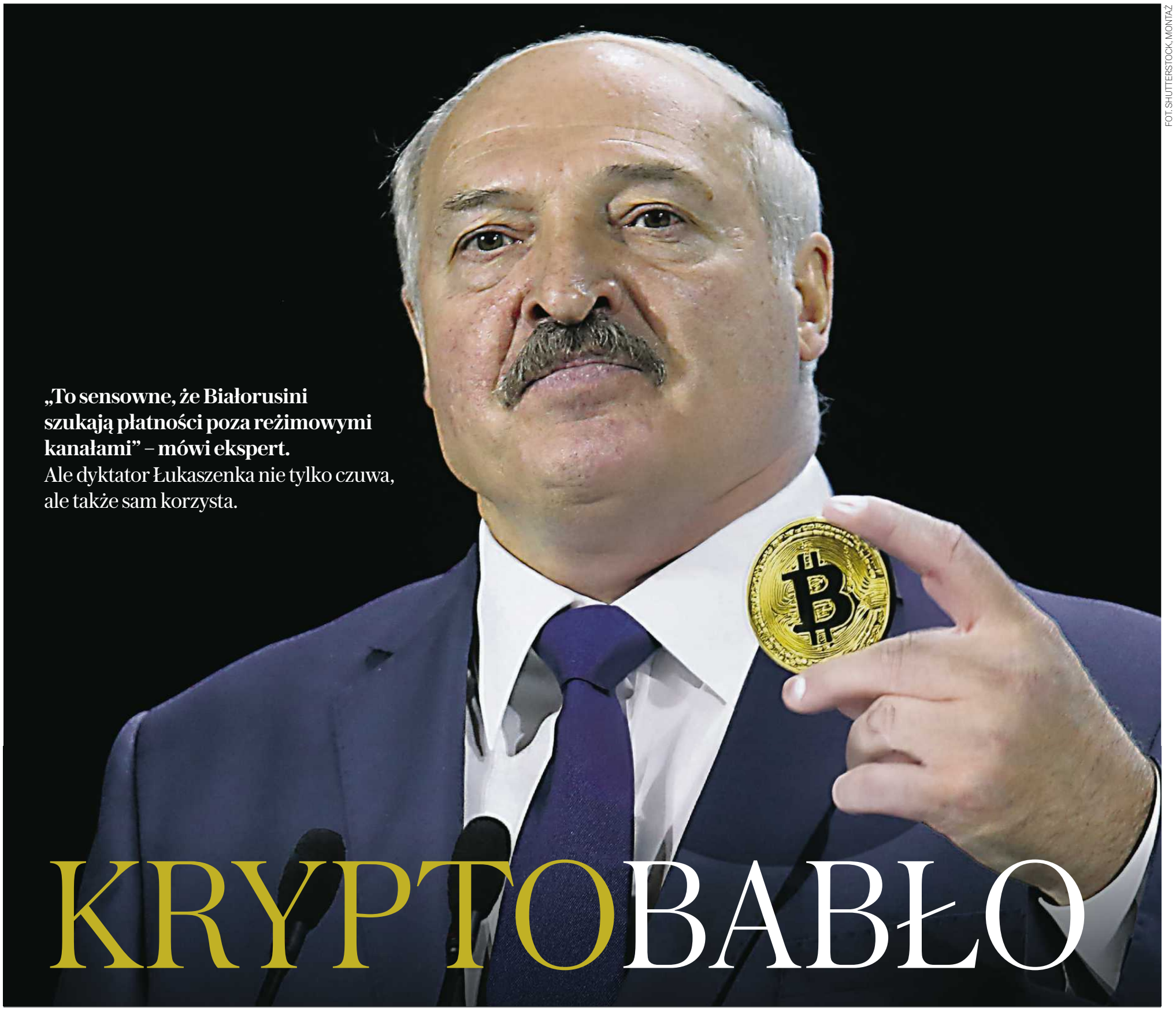

FOT. SHUTTERSTOCK, MONTAŻ

**„To sensowne, że Białorusini szukają płatności poza reżimowymi kanałami" – mówi ekspert.** Ale dyktator Łukaszenka nie tylko czuwa, ale także sam korzysta.

# KRYPTOBABŁO

**Marta Panas-Goworska**
**Andrzej Goworski**

Wyobraź sobie białoruskiego tiktokera transmitującego na żywo hazard i kasującego prowizje w krypto, by wydać „babło" w Dubaju. Albo lepiej młodego prawnika z Mińska, Filipa Piatkiewicza, syna wicepremier Białorusi Natalli Piatkiewicz oskarżanej o udział w represjach, który konsultuje kryptostart-upy, organizuje fundusze w USA i rajach podatkowych, wysyła środki w USDT i omija sankcje, a po pracy idzie na golfa. To nie fikcja – to białoruska codzienność AD 2026, gdzie kryptowaluta bywa szansą na duże pieniądze. Pod jednym warunkiem...

## Dobry żart żubra wart

„Na Białorusi pojawi się narodowa kryptowaluta »zubr«" – podały swego czasu Minsk Nowosti. W nocie na portalu czytamy: „listing (czyli procedura, w której kryptowaluta zostaje wpisana na listę aktywów giełdowych) odbędzie się 1 kwietnia [2025 r.], a kupić »zubra« będą mogli wszyscy chętni Białorusini". Dziennikarze powołali się na służbę prasową Narodowego Banku Białorusi.

Wartość kryptowaluty ustalono na 14 białoruskich rubli, czyli 17 zł. Łącznie do obiegu miało zostać wprowadzonych 50 miliardów zubrów. Szacowano, że w przyszłości „pojawi się na wiodących światowych giełdach kryptowalut i zysk z jego sprzedaży pomoże jeszcze bardziej wzmocnić gospodarkę Białorusi". Specjalista twierdził, że „cena »zubra« za rok może osiągnąć 100 rubli" (ok. 130 zł).

Brzmiało – jak się okazuje – za poważnie. Był to primaaprilisowy żart, ale do Narodowego Banku zaczęli dzwonić i pisać Białorusini, którzy chcieli kupić „zubra".

W efekcie 3 kwietnia na kanale Telegram banku pojawił się wpis: „Narodowy Bank NIE zamierzał ani NIE zamierza wydać swojej kryptowaluty. Gdyby takie plany były, na pewno poinformowalibyśmy o nich na oficjalnej stronie Narodowego Banku nbrb. by i oczywiście na naszym kanale Telegram".

Nie poprzestano na sprostowaniu. Wpis kończyło pouczenie: „Jeśli chodzi o twórczą fantazję dziennikarzy, prosimy kolegów o zwrócenie uwagi na jeden bardzo ważny moment: zawsze znajdą się oszuści, którzy chcą sprzedać ufnym obywatelom »nową kryptowalutę«. Dlatego wzywamy do bardziej odpowiedzialnego podejścia do wyboru tematów na primaaprilisowe żarty".

Ktoś mógłby pomyśleć, że primaaprilisowy żart rozeźlił baćkę, któremu nie w głowie „zachodnie nowinki". Tymczasem było dokładnie odwrotnie.

## Silicon Valley nad Świsłoczą

W 2017 r. przy Parku Wysokich Technologii – specjalnej strefie ekonomicznej dla sektora IT, którą Łukaszenka ochrzcił „mińską Doliną Krzemową" – powołano grupę roboczą do opracowania przepisów kryptogospodarki.

Głównym inicjatorem działań był Wiktar Prokopenia, wówczas 34-letni przedsiębiorca IT. Do prac zaangażowano białoruskie kancelarie prawne i firmy konsultingowe, ale nie zaproszono nikogo z ministerstwa finansów czy Narodowego Banku.

Prokopenia to, by sięgnąć po polskie porównanie, taki białoruski Paweł Marchewka, założyciel Techlandu, tylko razy dwa. Urodził się w 1983 r. w Mińsku w rodzinie naukowców. W 2001 r. zaczynał jako programista, później założył Viaden Media (sprzedane izraelskiemu miliarderowi Teddy'emu Sagiemu), a następnie VP Capital i Capital.com – platformę tradingową. Współpracował z Saidem Gucerijewem – synem Michaiła Gucerijewa, założyciela Russneftu, nie mylić z Rosnieftem – w projektach kryptowalutowych, takich jak Currency.com i Capital.com. W 2017 r. inwestował w startup Banuba, który zajmował się technologiami rozszerzonej rzeczywistości.

Nie mógłby zajść tak wysoko bez przychylności władz. A mimo to w 2015 r. został aresztowany pod zarzutami gospodarczymi. Swoje odsiedział w areszcie śledczym, jak mówi, przeczytał wtedy 200 książek, a zwolniono go po wpłaceniu odszkodowania. I kontynuował działalność: płacił rekordowo wysokie podatki, największe w historii niezależnej Białorusi, sformułował dwudziestopunktową propozycję reform edukacji, lobbował za rozwojem sektora IT. Próbo-



eprasa.pl ed047e9ca2

wał zmieniać system, ale po roku 2020, kolejnych sfałszowanych wyborach prezydenckich i krwawo stłumionych protestach, opuścił kraj. Dziś mieszka w Londynie.

Casus Prokopenii pokazuje, że impuls do kryptozmian wyszedł z prywatnego sektora, a białoruski dyktator bynajmniej z tym nie walczył. 21 grudnia 2017 r. Łukaszenka podpisał Dekret nr 8 „O rozwoju gospodarki cyfrowej" oraz towarzyszące przepisy regulujące funkcjonowanie Parku Wysokich Technologii. Dokumenty stworzyły ramy prawne dla kryptowalut w obrębie Parku; podmiotom z nim związanym obniżono stawki podatkowe, zagwarantowano zwolnienie z VAT do 2049 r. i preferencyjne stawki za energię.

Autorzy regulacji nie zdefiniowali jednak w sposób spójny ekonomicznej istoty kryptogospodarki. Doprowadziło to do zamieszania: cyfrowe znaki (tokeny) zostały utożsamione z kryptowalutami (tokeny nie mają własnego blockchaina, czyli publicznego rejestru transakcji kryptowalutowych), a pojęcia takie jak: „kryptoplatforma", „operator kryptoplatformy", „operator wymiany kryptowalut" czy „kryptomat", pozostały nieostre. W efekcie granice regulacji zaczęły się rozmywać, co spowolniło rozwój rynku.

## Ile to jest – miliard w krypto?

We wrześniu 2025 r. Łukaszenka zabrał głos w sprawie kryptowalut. Najpierw powiedział, że cieszą się one na Białorusi coraz większą popularnością – według niego w pierwszych siedmiu miesiącach 2025 r. wolumen płatności przeprowadzonych za pośrednictwem krajowych giełd kryptowalut wyniósł 1,7 mld dolarów.

Czy to dużo? Światowy rynek kryptowalut wart jest biliony dolarów, tylko w Polsce miesięczny obrót na największych giełdach sięga kilku miliardów. Z danych, m.in. Krakena, jednej z najstarszych giełd kryptowalut na świecie, wynika, że w naszym kraju więcej jest inwestujących w kryptowaluty niż w akcje. Ale w rankingu tak zwanej adopcji kryptowalut (czyli stopnia, w jakim w danym kraju używa się krypto) opublikowanym przez firmę analityczną Chainalysis, który uwzględnia aktywność krypto na jednego mieszkańca, Polska nie znalazła się w pierwszej dwudziestce, a Białoruś była 17. Liderem zaś jest... Ukraina.

„Chociaż każda próba zmierzenia nieformalnych i podziemnych rynków prawie na pewno zaniży ich prawdziwą skalę, możemy spojrzeć na aktywność on-chain wielu mainstreamowych giełd działających na Białorusi jako na użyteczny wskaźnik zastępczy. Te giełdy przetworzyły w ciągu swojego istnienia wpłaty rzędu od dziesiątek do setek milionów dolarów amerykańskich [...], choć nie obejmuje to w pełni wolumenu przepływającego przez bardziej nieprzejrzyste rynki peer-to-peer [P2P, bezpośrednie transfery między użytkownikami] i aplikacje komunikacyjne" – napisał nam poproszony o komentarz Andrew Fierman, szef do spraw wywiadu bezpieczeństwa narodowego w Chainalysis.

Sporo, ale wciąż znacznie mniej niż oficjalne 1,7 mld w zaledwie siedem miesięcy. Możliwe więc, że dane Łukaszenki obejmują też szacunkowy ruch nieformalny albo po prostu zawierają znaczną dozę propagandy. Istotniejsze jest, że Łukaszenka we wspomnianym wystąpieniu wezwał do wprowadzenia „jasnych zasad i skutecznych mechanizmów kontroli" rynku aktywów cyfrowych. Powołał się przy tym na pogarszającą się sytuację gospodarczą kraju wywołaną sankcjami. „Ważne, byśmy nie przegapili trendów i nie stracili przywództwa technologicznego".

Białorusini mogą więc działać na rynku kryptowalut, a władza nie tylko im w tym nie przeszkadza – choć oczywiście czuwa – ale sama z tegoż rynku korzysta. Ale o tym za chwilę.

## Za kryptobabło baluj

Skąd rosnąca popularność kryptowalut na Białorusi i czy może wynikać z problemów z dostępem do walut obcych. „Problemu z kupnem czy sprzedażą dewiz formalnie nie ma" – mówi ekonomistka Anastazja Łuzgina z niezależnego Białoruskiego Ośrodka Badań Ekonomicznych (BEROC). Co więcej, według Łuzginy w ostatnich latach „ludność więcej oddawała waluty, niż kupowała", co było związane m.in. z obserwowanym do niedawna (do końca 2024 r.) umacnianiem się białoruskiego rubla oraz niskim oprocentowaniem depozytów walutowych.

Jednocześnie dane BEROC pokazują wyraźny wzrost transferów osobistych z zagranicy. W pierwszych trzech kwartałach 2025 r. ich wartość sięgnęła 880 mln dolarów, wobec 670 mln rok wcześniej i 543 mln w 2020 r. Oznacza to, że coraz większe środki napływają do kraju spoza granic, głównie od emigrantów zarobkowych i politycznych. Jak podkreśla Łuzgina, ten wzrost transferów idzie w parze z rosnącym zainteresowaniem kryptowalutami nie dlatego, że brakuje dolarów czy euro, lecz dlatego, że tradycyjne kanały finansowe stały się droższe, mniej przewidywalne i obarczone ryzykiem blokad – zwłaszcza w obliczu międzynarodowych sankcji.

Krypto na Białorusi odgrywa dziś raczej rolę narzędzia transferu i obejścia barier niż stabilnego sposobu lokowania kapitału.

Dla młodych Białorusinów to nie tylko instrument finansowy, ale także element stylu życia i strategia radzenia sobie z biurokracją. Część z nich funkcjonuje w szarej strefie globalnej gospodarki cyfrowej, od marketingu internetowego po hazard online. Przykładem Wład Biełousow, tiktoker z Orszy, który po epizodzie opozycyjnym w 2020 r., zarabia na transmisjach z gier hazardowych i otrzymuje prowizję (prawdopodobnie w krypto) za polecanie do kasyn online. A babło, czyli hajs, wydaje w Dubaju.

Jak pisała Nasza Niwa, w 2025 r. odnotowano także przypadki nastolatków zaangażowanych w oszukańcze „inwestycje" kryptowalutowe, które przyniosły ofiarom straty w setkach tysięcy rubli.

## Dekret nr 367

Dlaczego więc Łukaszenka, który dąży do kontroli sfery publicznej, nie urwał łba tej hydrze? Odpowiedź jest prosta: w warunkach zachodnich sankcji krypto stało się dla władz użyteczne. Nie tylko nie przeszkadza reżimowi – wręcz pomaga mu funkcjonować w gospodarce częściowo odciętej od globalnych systemów finansowych.

Kryptowaluty ułatwiają omijanie ograniczeń transferowych, przyspieszają rozliczenia z Rosją czy Chinami i stwarzają nowe możliwości nadzoru nad przepływem pieniędzy. W wielu krajach nieformalny rynek jest wykorzystywany do obchodzenia restrykcji: obok oficjalnych giełd funkcjonują „kasy" over-the-counter, oferujące prostą usługę „bez pytań" – konwersję lokalnej waluty na choćby Bitcoina przy minimalnych kontrolach.

Ale to jedna strona medalu. Paradoks polega na tym, że te same narzędzia stały się też ratunkiem dla opozycji i środowisk niezależnych. O szczegóły zapytaliśmy Alexa Gladsteina z Human Rights Foundation, zarządzanej obecnie przez Julię Nawalną. Wraz z zaostrzeniem nadzoru finansowego wiele białoruskich organizacji obywatelskich zostało wypchniętych poza tradycyjne banki. W tej sytuacji kryptowaluty stały się praktyczną alternatywą umożliwiającą bezpośrednie transfery między użytkownikami, przekazy pieniężne i drobne finansowanie.

Ekonomiści Łukaszenki szybko dostrzegli ryzyko „dzikiej" decentralizacji. W grudniu 2024 r. wprowadzono Dekret nr 367 zakazujący osobom fizycznym – w tym indywidualnym przedsiębiorcom – kupna i sprzedaży kryptowalut poza giełdami zarejestrowanymi w Parku Wysokich Technologii. W praktyce Dekret skierował legalny obrót do wąskich, nadzorowanych kanałów: z obowiązkową identyfikacją użytkowników, możliwością monitorowania transakcji i ograniczeniem swobodnych operacji poza strukturami PWT. I tak krypto nie zostało zakazane, lecz włączone w system kontroli.

W grudniu 2025 r. władze posunęły się dalej i zablokowano dostęp do niektórych globalnych giełd, takich jak Bybit, OKX i Bitget, powołując się m.in. na naruszenia przepisów dotyczących reklamy i mediów.

> Był to primaaprilisowy żart, ale do Narodowego Banku zaczęli masowo dzwonić i pisać Białorusini, którzy chcieli kupić „żubra". Długo trwało prostowanie tej informcji

Równolegle reżim pracuje nad cyfrowym rublem białoruskim – walutą emitowaną i kontrolowaną przez bank centralny. W przeciwieństwie do zdecentralizowanych kryptowalut takie rozwiązanie daje państwu pełną widoczność przepływów i techniczną możliwość blokowania transakcji czy portfeli. Eksperci BEROC uważają, że może to w przyszłości ułatwiać funkcjonowanie białoruskiej gospodarki objętej sankcjami. Pełna operacyjność cyfrowego rubla planowana jest na drugą połowę 2026 r.

## Hawala białoruskiej opozycji

Wejście w życie Dekretu nr 367 zmieniło warunki gry. Dla środowisk opozycyjnych i niezależnych oznaczało to jedno: jeśli chcą dalej funkcjonować, muszą działać poza oficjalnym obiegiem finansowym. Jak tłumaczy Gladstein, w tych warunkach kryptowaluty zaczęły odgrywać rolę infrastruktury zastępczej. „Ludzie działający w dyktaturze polegają na kombinacji: Bitcoina jako cenzuroodpornej warstwy rozliczeniowej, stablecoinów dla stabilności wartości, samodzielnych portfeli, które eliminują pośredników, oraz zdecentralizowanych giełd P2P i sieci OTC, często koordynowanych społecznie, a nie przez platformy".

W praktyce oznacza to funkcjonowanie w tzw. rozproszonym ekosystemie. Bitcoin wykorzystywany jest do transferów odpornych na blokady administracyjne – takie jak zamrażanie kont bankowych, cofanie przelewów czy odcinanie dostępu do krajowego systemu płatniczego. Stablecoiny, czyli cyfrowe dolary (jak USDT), których wartość jest stabilna, służą do bieżących rozliczeń. Portfele, nad którymi tylko użytkownik ma kontrolę (self-custodial), oraz transakcje P2P zastępują instytucjonalnych pośredników. Potwierdza to przywoływany już Fierman. „To sensowne – mówi – że [Białorusini] szukają płatności poza reżimowymi kanałami".

Uzupełnieniem są techniki zwiększające prywatność, takie jak CoinJoin czy mieszanie transakcji, które utrudniają powiązanie konkretnych transferów z określonymi osobami. Nie daje to stuprocentowej ochrony, lecz prowadzi do stanu dynamicznej równowagi: państwo nie ma pełnej kontroli nad przepływami finansowymi, a opozycja – całkowitej anonimowości.

Skalę trudności w regulowaniu takich nieformalnych sieci opisuje Tom Keatinge, dyrektor Centre for Finance and Security w Royal United Services Institute (RUSI) w Londynie. Zapytaliśmy go o realne możliwości kontroli obrotu kryptowalutami na Białorusi. „Te nieformalne giełdy są jak cyfrowa hawala lub firmy usług pieniężnych – są bardzo trudne do regulacji. Oczywiście można je identyfikować przy użyciu śledztw terenowych i narzędzi analityki blockchain, ale to pracochłonne i niewiele rządów się tego podejmuje". Porównanie do hawali – tradycyjnego, nieformalnego systemu przekazów pieniężnych opartego na zaufaniu – dobrze oddaje logikę tych mechanizmów.

Analityka blockchain to śledzenie transakcji zapisanych w publicznym, cyfrowym rejestrze. Może do niego zajrzeć każdy, bo historia przelewów jest jawna, ale potrzeba eksperta, by sprawdzić, jak pieniądze krążą między adresami i odtworzyć sieć powiązań między użytkownikami. To żmudna praca, wymagająca czasu, dużych zbiorów danych i sporej mocy obliczeniowej.

## Czwarty gracz

Oczywiście kwestia białoruskiej kryptowaluty nie jest li tylko wewnętrzną sprawą Białorusinów. W grze uczestniczą Stany Zjednoczone, które dążą do ograniczenia kryptowalut jako narzędzia omijania sankcji, a jednocześnie traktują Białoruś jako potencjalny obszar przyszłej reintegracji – jako rynek, przestrzeń wpływu i kto wie – także jako bramę do Rosji. Chiny wspierają model cyfrowego juana, inspirują cyfrowego rubla i integrację finansową w ramach BRICS, a w Białorusi widzą istotny moduł Jedwabnego Szlaku.

Czyj model okaże się skuteczniejszy w codziennym życiu: państwowy, sterowany odgórnie czy oddolny, tworzony przez zwykłych ludzi, tiktokerów, aktywistów i emigrantów szukających sposobu na ominięcie systemu? Prawdziwa walka o białoruskie krypto właśnie się toczy.

Jedno pozostaje niezmienne – oficjalny „zubr" dawałby równocześnie korzyść Łukaszence i zwykłym Białorusinom, ale opcja ta wydaje się mrzonką. Przynajmniej na razie. Z głównego architekta zmiany – Prokopenii – Łukaszenka nie ma już żadnej korzyści. ●

wyborcza | MAGAZYN WYBORCZA

**REDAKCJA:** ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
**Telefon:** 22 555 66 00; **E-mail:** redakcja@wyborcza.pl
**Listy do redakcji:** listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania. Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@wyborcza.pl
**REDAKTOR NACZELNY:** Adam Michnik;
**PIERWSZY ZASTĘPCA, REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL:** Roman Imielski;
**ZASTĘPCA:** Bartosz T. Wieliński;
**MAGAZYNY I KULTURA:** Agata Żelazowska
**MAGAZYN WYBORCZEJ:** Mirosław Maciorowski (szef), Marek Markowski (zastępca), Ewa Wieczorek, Jan Cywiński, Łukasz Grzymisławski, Andrzej Kulasek, Grażyna Żabińska
**LICENCJE NA TREŚCI:** licencje@wyborcza.pl
**WYDAWCA:**
Wyborcza sp. z o.o., ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa; NIP: 521-403-30-11
**DRUK:** Polska Press
**PREZES ZARZĄDU:** Aleksandra Sobczak
**Biuro reklam i ogłoszeń:**
reklama@wyborcza.pl; 22 555 55 55,
faks: 22 555 54 44
Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.
IZBA WYDAWCÓW PRASY
NAKŁAD KONTROLOWANY



eprasa.pl ed047e9ca2

# MIŁOŚĆ, STRACH I GÓRA DOLARÓW

**„Nie różni się od mikrofalówki”.** Najpotężniejszy menedżer w USA bagatelizuje sztuczną inteligencję

ZE **STEPHENEM WITTEM,** AUTOREM KSIĄŻKI O NVIDII ROZMAWIA **PIOTR CIEŚLIŃSKI**

**O jakiej firmie rozmawiamy?**
– O najcenniejszej firmie świata, być może najcenniejszej w historii. Trudno znaleźć dobre porównanie. Może IBM sprzed lat, ale moim zdaniem Nvidia jest dziś potężniejsza, niż IBM był kiedykolwiek. Jest dzisiaj większa niż Standard Oil w szczycie potęgi na przełomie XIX i XX wieku.

**Aż tak?**
– Wokół sztucznej inteligencji trwa prawdziwa gorączka złota, a Nvidia sprzedaje „łopaty”. Czyli procesory, na których trenuje się i uruchamia najważniejsze modele AI. Zamawiają je dziś największe korporacje technologiczne, od Google'a i Microsoftu po Metę i Amazon, a na dostawy tego sprzętu czekają miesiącami. To tu jest dziki popyt i realne pieniądze.

I co ważne: Nvidia te „łopaty” wymyśliła i zbudowała po swojemu, zanim w ogóle pojawiła się AI. Prezes firmy – Jensen Huang – jest teraz być może najpotężniejszą postacią w świecie sztucznej inteligencji, a nawet najpotężniejszym człowiekiem na świecie. To brzmi niewiarygodnie, ale nawet Trump się go słucha.

**Dlaczego w takim razie inni nie robią i nie sprzedają tych chipów?**
– Jeśli prowadzisz firmę zajmującą się AI i chcesz odejść od Nvidii do innego dostawcy, musisz wziąć programistów i przepisać ogromne fragmenty kodu, miliony linii. Ale twój problem nie polega na tym, że za dużo płacisz Nvidii. Boisz się, że możesz przegrać wyścig z innymi. Jeśli zabierzesz programistów do przepisywania niskopoziomowego kodu, to przestaną pracować nad zasadniczym zadaniem, czyli nowymi modelami AI. Nie ma wielkiej korzyści z przejścia, a jest ogromny koszt.

**Czyli chodzi o oprogramowanie chipów, a nie sam krzem?**
– Nvidia włożyła ogrom pracy we „wnętrzności” swoich chipów, w niskopoziomowe oprogramowanie, tak zwanego asemblera. To jak ekstremalny tuning silnika. Mało kto chce to teraz odtwarzać. Do tego wychowało się całe pokolenie ludzi, którzy znają systemy Nvidii na wylot. One są specyficzne i trzeba się ich nauczyć. To nie przypadek, ale celowa strategia „przywiązania klienta”, stosowana przez Hunga od połowy lat 2000.

To nie jest tak, że Nvidia wygrała już na zawsze. Ktoś może ich dogonić. Ale dziś wąskim gardłem nie są pieniądze na chipy i centra danych, lecz talent programistyczny. Najlepsi inżynierowie wolą budować nowe modele niż przepisywać żmudny kod na niskim poziomie.

Druga rzecz: oni wypuszczają nowe generacje chipów bardzo szybko, co pół roku czy rok. Konkurenci po prostu nie nadążają. Jensen Huang pracuje z poczuciem desperacji. Od lat powtarza pracownikom, że firma jest o krok od bankructwa.

**Mimo że zarabia setki miliardów?**
– Nawet obecnie, gdy Nvidia jest najcenniejszą firmą na świecie, potrafi powtarzać: „jesteśmy 30 dni od bankructwa”. Nigdy nie odpuszcza. Chce, żeby wszyscy pracowali tak, jakby cały czas gonił ich potężny deadline.

W książce przytaczam maila, który Jensen wysłał do pracowników dwa dni po rewelacyjnym debiucie giełdowym. W jeden dzień stał się niemal miliarderem. Można by oczekiwać euforii, a on pisze tak, jakby firma miała zaraz upaść. Nie ma gratulacji, nie ma radości.

**Na tym polega tajemnica jego sukcesu?**
– Kluczowa jest jego idea „rynku o wartości zera miliardów dolarów”.

**To znaczy?**
– To sposób myślenia Jensena. On inwestuje z wyprzedzeniem coś, w co nikt jeszcze nie wierzy. Modelowym przykładem jest CUDA, czyli pakiet narzędzi, który pozwolił używać kart graficznych Nvidia do równoległych obliczeń naukowych. Zaczęli to robić w 2004 roku, choć nie było na to żadnego rynku. Wall Street było wściekłe, bo firma wydawała miliardy na niszowy zakątek nauki, dla dosłownie kilku naukowców. Po kilku latach kurs akcji spadł o około 70 procent.

**Ale opłaciło się?**
– Jeszcze jak! Okazało się, że właśnie na tych procesorach świetnie działają sieci neuronowe. Przełomem był rok 2012, kiedy Alex Krizhevsky z Ilyą Sutskeverem kupili dwie karty graficzne GeForce Nvidii i wytrenowali na nich sieć AlexNet, która z wielką przewagą wygrała doroczny konkurs ImageNet na najlepszy algorytm rozpoznawania obrazów. Geofrey Hinton, który rok temu dostał Nobla z fizyki, nazwał ten moment „Wielkim Wybuchem” dla AI. Swoją drogą, Krizheevsky i Sutskavr byli jego studentami.

Kiedy dotarło to do Huanga, wysłał współpracownikom mail w piątek wieczorem: „Cała para w głębokie nauczanie maszynowe, nie jesteśmy już firmą od grafiki”. W poniedziałek rano Nvidia była już firmą AI.

**Tak szybko?**
– To było błyskawiczne przeorientowanie, choć wtedy poza specjalistami nikt jeszcze nie słyszał o AI.

Tak działa Nvdia. Wydaje ogromne pieniądze, aby stworzyć coś, co na pozór nikomu nie jest potrzebne. Kładzie fundament, a gdy dziedzina się otwiera i rośnie, cały ekosystem buduje się wokół ich platformy i wtedy zaczynają zarabiać gigantyczne pieniądze. W 2022 roku po informacji, że ChatGPT trenowano na superkomputerze Nvidii, wartość firmy wzrosła w jeden dzień o około 200 miliardów dolarów.

Do tego potrzebna jest jednak odwaga, żeby postawić całą firmę na jedną kartę. To kolejny sekret Jensena: gdy już zidentyfikuje rynek „zera miliardów dolarów”, ryzykuje wszystko. Brzmi szaleńczo, ale w tej branży inaczej zostaniesz zjedzony przez konkurencję, bo innowacje idą błyskawicznie.

**A wie pan, co dziś jest nowym rynkiem „zero miliardów dolarów” dla Nvidii?**
– Wydaje mi się, że humanoidalne roboty – nadchodzi ich era, wiele firm je teraz buduje i próbuje sprzedawać. One potrzebują innych procesorów.

**Dlaczego?**
– Gdy używamy dużych modeli językowych, jak ChatGPT, nasze pytanie leci do centrum danych, tam jest przetwarzane i wraca odpowiedź. Robot nie może sobie na to pozwolić, bo opóźnienie jest zbyt duże. Musi wszystko przeliczać lokalnie – w swoich układach.

1 RP

eprasa.pl ed047e9ca2

• Jensen Huang szef Nvidii, Elon Musk, prezydent Donald Trump na amerykańsko-saudyjskim forum inwestycyjnym w Waszyngtonie. (19.11.2025)

FOT. DANIEL TOROK/WHITE HOUSE

## Rockefeller byłby zazdrosny

**O 70 proc.**
• Spadł kurs akcji Nvidii, gdy w kartach graficznych GeForce postawiła na niszowe rozwiązanie. Dziś posługują się nim najważniejsze chipy AI

**O 200 mld dol.**
• wzrosła wartość Nvidii w jeden dzień – po tym, jak w 2022 roku okazało się, że na jej superkomputerze trenowano ChataGPT

**25 mln dol.**
• taki majątek prawdopodobnie posiada co drugi pracownik Nvidii

Jensen w 2017 roku wymyślił, że kiedyś powstanie rynek na takie rozwiązania i od tego czasu buduje chip do uruchamiania AI w robotach. Włożył w to miliardy, choć – znowu – ten produkt wtedy miał tylko garstkę klientów. Ale on przewidywał, że sztuczna inteligencja rozwinie się do punktu, w którym będzie umiała poruszać się, czyli manipulować obiektami w świecie fizycznym. I gdy ten dzień nadejdzie, chciał być przygotowany. Dziś już widać, że to może być ogromny rynek wartości bilionów dolarów. Inwestorzy na Wall Street oczywiście znowu pukali się w głowę i złościli, że firma przepala swoje ogromne marże i obniża zyski, inwestując w jakieś dyrdymały, co wyglądało jak szaleństwo. Ale to działa.

**Pracownikom też podoba się, że tak „przepala" pieniądze?**
– Są nim zafascynowani. Uważają go za geniusza, bo ma i strategiczną wizję, i wyjątkowe umiejętności inżynierskie. Potrafi się szybko uczyć.

Nie jest zwykłym prezesem zarządu, zachowuje się jak religijny przywódca, prorok. Trochę jak Steve Jobs. Składa prognozy o przyszłości, a potem one się spełniają. Ludzie więc idą za nim i wierzą mu bezgranicznie.

**Mimo że cały czas ich popędza i grozi widmem bliskiego bankructwa?**
– Jeśli jesteś jednym z najbliższych ludzi Jensena, dziś możesz być miliarderem. Widziałem statystykę, z której wynika, że może nawet połowa pracowników ma majątek rzędu 25 milionów dolarów lub więcej, bo akcje tak urosły. Nic dziwnego, że pracownicy ciągle rozmawiają o tym, co mówi, w co wierzy, co robi, czego chce. Jest blisko ludzi. Nie ma nawet własnego gabinetu, siedzi przy biurku w środku firmy i rozmawia z każdym, kto się nawinie.

Używa w zarządzaniu mieszaniny miłości i strachu. Potrafi być bardzo miły, jest charyzmatyczny, zabawny, uroczy. Jest jak ojciec. A jednocześnie boisz się go rozczarować, bo jeśli wybuchnie, to jest bardzo nieprzyjemnie. Potrafi wrzeszczeć na ciebie przez dwie godziny w obecności całego zespołu. Jakby nie panował nad emocjami.

**A więc nie jest aniołem, ma jakieś ciemne strony.**
– Wmówił sobie i wszystkim w firmie, że to jest w porządku. Że ten wylewający się z niego gniew to element zarządzania, motywacji. Trochę jak w przypadku wielkich historycznych postaci – sławni generałowie czy trenerzy sportowi często zachowywali się wobec podwładnych okropnie.

Z drugiej strony, często czytamy o skandalach związanych z miliarderami, o „wyspach seksu" takich jak Epsteina, bulwersujących historiach. W życiu Jensena nie znalazłem niczego kompromitującego.

Większość prezesów to socjopaci udający miłych ludzi. Mam wrażenie, że Jensen jest odwrotnością: bliscy i przyjaciele go kochają, to miły, rodzinny człowiek, który w firmie odgrywa rolę socjopaty.

**Ale na pana też nawrzeszczał. Co prawda wtedy, kiedy po raz kolejny spytał go pan o bezpieczeństwo sztucznej inteligencji.**
– O dziwo, pytałem go wtedy o optymistyczną wizję przyszłości AI, jaką nakreślił już dekady temu genialny pisarz science fiction, a przy okazji inżynier wizjoner, Arthur C. Clarke, ten od „Odysei kosmicznej". Zagadnąłem o pozytywny obraz tego, co może się wydarzyć, nie kłóciłem się z nim. A on po prostu wściekle wybuchł.

**Dlaczego?**
– Bo ciągle wracałem do pytań o ryzyko. A on uważał, że to marnowanie jego czasu, jednej z najcenniejszych rzeczy na świecie, bo odpowiadał na to już wiele razy.

Ale gdyby nie mój strach przed sztuczną inteligencją, który podziela tak wielu ludzi, ta książka by w ogóle nie powstała. Pamiętam mój szok, gdy w 2022 roku pojawił się ChatGPT. W dzień po premierze byłem przekonany, że to przyszłość, a jednocześnie – że jestem skończony. Pomyślałem, że moja kariera się kończy, bo AI mnie dogoni, przerośnie jako pisarza i nie będę miał już nic do roboty.

**Na razie to się nie wydarzyło.**
– Idzie wolniej, niż się spodziewałem. Ale nadal myślę, że wcześniej czy później to nastąpi. Wtedy byłem w panice, nie wiedziałem, co robić. Ta książka miała być formą terapii lęków.

Najpierw chciałem pisać o OpenAI, które wypuściło ChataGPT, ale tu już się kręciło zbyt wielu dziennikarzy. Musiałem znaleźć coś innego i pomyślałem, że zbiorę się do sztucznej inteligencji od strony sprzętowej, skoro wszyscy zajmują się tym, co to potrafi i co nam zrobi, a chyba nikt, na czym to działa. Procesory, a więc pewnie Intel. Ale zobaczyłem, że Intel, synonim procesora, radzi sobie bardzo słabo. Wyprzedziła go, wręcz zmiażdżyła Nvidia, która nagle wyrosła na jedną z największych firm na świecie. Znałem Nvidię z dawnych lat jako firmę od gier wideo, więc byłem w szoku. Tak to się zaczęło. A osoba jej szefa bardzo pomogła. Zwykle w wielkich korporacjach jest karuzela prezesów, wchodzą i wychodzą, trudno z tego zrobić dobrą opowieść. A tu od 30 lat u sterów jest jeden człowiek– Jensen Huang! To ktoś, kogo nie da się po prostu wymyślić.

**I on się nie boi tego, do czego przykłada rękę?**
– Nie. Mówił kiedyś lekceważąco, że AI nie różni się od tego, jak działa mikrofalówka, że to tylko bardziej zaawansowane przetwarzanie danych. Setki liderów branży podpisały niedawno apel porównujący ryzyko uwolnienia sztucznej inteligencji bez żadnej kontroli do wojny nuklearnej. Huang się pod tym nie podpisał. I widzę, że w ostatnich miesiącach coraz więcej technologów, ekspertów i osób pracujących w tej branży przesuwa się ku stanowisku Jensena. Coraz więcej osób uważa, że to nie jest aż tak niebezpieczne, jak się wydawało.

*Szef Nvidii wykorzystuje Trumpa, niemal nim manipuluje. To jedna z niewielu osób, która rozgryzła, jak to robić*

**A pan?**
– Nadal się boję. Mam wrażenie, że nie mamy dość wyobraźni, co może pójść źle. I że nie jest to bezpodstawny strach, bo tacy eksperci jak Geoffrey Hinton czy Yoshua Bengio – czyli nie byle kto, bo pionierzy sztucznych sieci neuronowych i głębokiego uczenia maszynowego – też są zaniepokojeni. Oni już dekady temu widzieli, dokąd to zmierza, byli wizjonerami, współtworzyli te technologie. Jeśli oni dziś bardzo się martwią...

**Są też tacy, co wieszczą, że AI to bańka, która wkrótce pęknie.**
– Komputery kwantowe to dziś bańka, a na pewno faza eksperymentalna, wciąż projekt naukowy bez realnych pieniędzy. Kryptowaluty uważam za bańkę. Ale sztuczna inteligencja jest inna. To realna rewolucja. Oczywiście, to nie wyklucza bańki. Czasem wręcz zwiększa jej ryzyko. Internet zmienił społeczeństwo, a jednocześnie mieliśmy bańkę dotcomów.

Różnica jest taka, że Nvidia zarabia prawdziwe pieniądze już dziś. To nie jest historia oparta wyłącznie na marzeniach o tym, co może się wydarzyć za 10 lat. Ryzyko – to krótkoterminowe, rynkowe, nie cywilizacyjne – polega nie na tym, że nie firmy nie sprzedadzą produktu, tylko że ludzie kupią produkt, a potem nie dostaną tego, czego chcą. Jeśli AI rozczaruje, nie rozwiąże żadnych realnych problemów, zwrot z inwestycji nie nadejdzie, wtedy firmy utną budżety i nie będą kupowały tylu chipów Nvidii.

**Czyli majątki jej pracowników stopnieją do 10 milionów dolarów. Albo 5. I ucierpią udziałowcy.**
– Nie tylko. Ucierpi cała globalna gospodarka. Ale na razie nie widzę dowodów, żeby działo się coś niepokojącego biznesowo. Po premierze ChataGPT w pierwszej fali pojawiło się sporo bezużytecznych produktów. Ale to mógł być etap uczenia się – i producenci, i klienci dopiero orientowali się, do czego to się może przydać i czego potrzebują. Dziś widzę więcej udanych zastosowań w realnym świecie. Choćby w robotyce.

**A pan korzysta z AI?**
– Cały czas. To znakomity asystent do researchu. W roku, powiedzmy, 2007, żeby zapoznać się z technologią chipów, trzeba było grzebać w archiwach gazet godzinami. Bot robi podsumowanie z linkami do źródeł w kilka sekund. To niesamowite.

**Wspomniał pan, że szefa Nvidii słucha się nawet nieprzewidywalny Trump, a to, co robi jego firma, zmienia gospodarkę, społeczeństwo, może zmieni całe kraje. A Huang ponoć w ogóle się nie wypowiada na tematy polityczne.**
– To było prawdą, jeszcze, gdy pisałem książkę – on przez 30 lat trzymał się z daleka od polityki. Ale gdybym robił drugie wydanie, musiałbym dopisać spory rozdział. Bo Jensen zbliżył się do Trumpa, pojawiali się razem publicznie wiele razy.

**Co się stało?**
– Mam wrażenie, że Jensen wykorzystuje Trumpa, żeby dostać to, czego chce. On niemal nim manipuluje. To jedna z niewielu osób, która rozgryzła, jak to robić. Trump nie słucha prawie nikogo, ale Jensen dostaje to, czego chce. Waszyngton właśnie dla Nvidii zniósł restrykcje eksportowe do Chin.

Mam też hipotezę, że Jensen ma też drugi cel: wizy. Wizy dla pracowników z Indii i Chin. Elektorat Trumpa tego nie znosi, ale Jensen nie może sobie pozwolić, żeby stracić dopływ imigrantów, bo oni założą własne firmy, które będą z nimi konkurować. Wie, że tak będzie, bo sam to kiedyś zrobił – pochodzi z Tajwanu. Nvidia potrzebuje wybitnych ludzi z całego świata jak dopływu tlenu.

Piszę teraz reportaż o robotyce do „New Yorkera" i połowa osób, z którymi rozmawiam, jest z Indii. To są świetni inżynierowie. Tymczasem skrajna prawica w USA ich nie chce. Jensen próbuje więc osłabić presję tej bazy politycznej i utrzymać dostęp do talentów. ●

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

## Stephen Witt

• urodzony w 1989 r., amerykański dziennikarz technologiczny i biznesowy, autor „How Music Got Free: The End of an Industry, the Turn of the Century, and the Patient Zero of Piracy" – książki reporterskiej o historii formatu MP3 i powstaniu serwisów streamingowych -. oraz ghostwriter wspomnień Tima Bernersa-Lee, twórcy sieciowego hipertekstu World Wide Web, na której opiera się internet. Jego najnowsza, bestselerowa książka o współzałożycielu i wieloletnim prezesie firmy Nvidia, właśnie wychodzi po polsku.

• Książka **„Maszyna myśląca. Jensen Huang, Nvidia i najbardziej pożądany mikrochip na świecie",** w przekładzie Michała Jóźwiaka, już dostępna w księgarniach i w wersji cyfrowej na stronie wydawnictwa Insignis.

eprasa.pl ed047e9ca2

# NIE MA SPACERÓW W NOWEJ STOLICY

**Marszałek prezydent Sisi pozazdrościł faraonom i zbudował największy administracyjny kompleks na świecie.** Jak z „Mad Maxa".

**Wojciech Szot**

Jest rok 1983. Stan wojenny w Polsce nie zostaje zniesiony, a generał Jaruzelski dalej rządzi krajem. Nie ma przełomu 1989 roku, nie wchodzimy do NATO i Unii Europejskiej, a namaszczeni przez Jaruzelskiego kacykowie rządzą Polską przez kolejne lata.

Jak wyglądałaby Polska w 2026 roku, gdyby ten scenariusz nie był tylko fantazją? I gdybyśmy mieli ropę naftową?

Możliwe, że tak jak Egipt.

## Dyktator przyjacielem Zachodu

Gdy w Polsce odebrano dzieciom „Teleranek", w Egipcie trwał właśnie stan wyjątkowy ogłoszony po zamordowaniu rządzącego krajem twardą ręką prezydenta Anwara as-Sadata. Władzę przejął Hosni Mubarak, były szef sztabu egipskiego lotnictwa wojskowego, bohater wojny z Izraelem, a od 1975 roku wiceprezydent kraju.

W czasie wieloletnich rządów rozprawił się z radykalnymi ugrupowaniami muzułmańskimi, a żeby uspokoić nastroje, postawił na sterowaną liberalizację polityki. Zezwolił na wolną prasę, legalizację partii politycznych. Jednak pod wieloma względami Mubarak kontynuował styl rządów poprzednika.

Fałszował wybory, wychodził cało z zamachów na swoje życie i zaprzyjaźniał się z Billem Clintonem. Dla Amerykanów dobre relacje z egipskim reżimem były i wciąż są gwarantem kontroli nad wydarzeniami na Bliskim Wschodzie.

Rządy Mubaraka i przedłużający się kryzys gospodarczy doprowadziły do Dnia Gniewu. 25 stycznia 2011 roku w Egipcie wybuchła rewolucja. którą – wraz z wydarzeniami z innych krajów arabskich – nazywa się arabską wiosną. Rewolta wysadziła w powietrze rządy Mubaraka, ale o tym, co się działo dalej w kraju, najlepiej świadczą losy samego dyktatora. Po kilku latach procesów w 2017 roku Mubaraka uniewinniono z zarzutu współodpowiedzialności za śmierć ponad 300 demonstrantów i zwolniono z więzienia. Gdy zmarł w 2020 roku, ogłoszono trzydniową żałobę narodową, a na pogrzebie prezydent Abd al-Fatah as-Sisi stał obok synów Mubaraka, bohaterów wielu afer i procesów o defraudacje i oszustwa finansowe. Pod koniec 2021 roku egipskie władze odmroziły cały majątek Mubaraków.

Po upadku Mubaraka Egipt w ciągu dwóch lat – po zamachu stanu – stracił kolejnego prezydenta, a rządy ponownie przejęli wojskowi z ministrem obrony, Sisim na czele. Sisi mówi wprost, że jeszcze przez ćwierć wieku Egipt nie będzie mógł sobie pozwolić na demokrację. Ale dla Zachodu – jak Mubarak – gwarantuje, że Egiptem nie zaczną rządzić islamistyczne radykalne ugrupowania, które bez trudu pokonają słabą opozycję demokratyczną.

Prezydenckie wybory w 2024 roku Sisi wygrał ponownie, zdobywając 89,6 proc. głosów. Zaskoczeniem było nie zwycięstwo, ale „słaby" wynik. W poprzednich wyborach miał 97 proc.

## Kair, styczeń 2026

„Sisi" jest wszędzie. Plakaty z prezydentem, który w ciemnych okularach patrzy w słoneczną dal, stoją przy drogach i zwisają z na wpół zrójnowanych bloków. Ta propaganda sukcesu – w kraju opanowanym przez wieloletni kryzys gospodarczy – to efekt wizji prezydenta, który postanowił, śladem poprzedników z XX wieku i kilku faraonów z wieków pradawnych, zapisać się w egipskiej historii jako wizjoner i budowniczy.

Ramzes II zbudował świątynie Abu Simbel, których o mało nie zatopił w latach 60. XX wieku Gamal Abdel Nasser Wielką Tamę Asuańską. Pomogła międzynarodowa zrzutka na ratowanie bezcennego zabytku.

Husni Mubarak wsławił się budową sieci irygacyjnej na zachód do Nilu. Powstał między innymi kanał z największą na świecie stacją pomp, Mubarak Pumping Station. Mubarak budował, a szejk Zajid z Emiratów Arabskich pompował kasę w jego projekt. Dofinansowanie sięgnęło ponoć 100 milionów dolarów. W zamian kanał po dziś dzień nosi jego imię.

Sisi poszedł na całość. Nie dość, że za 8 miliardów dolarów zbudował Nowy Kanał Sueski, czyli drugi szlak żeglugowy wzdłuż Kanału Sueskiego, za 1,2 miliarda oszałamiające muzeum GEM (planowane już za czasów Mubaraka), to jeszcze buduje miasto, w którym do 2050 roku ma zamieszkać 6 milionów osób. A wszystko to w kraju, w którym odsetek osób żyjących w ubóstwie – zależnie od metodologii – wynosi od 30 do 50 proc. Postanowiłem zobaczyć to nowe miasto.

## Jak dojechać do Nowej Stolicy?

Nie jest łatwo dostać się do Nowej Stolicy, która jeszcze do 2025 roku nazywała się Nową Administracyjną Stolicą. Oddalona w linii prostej o 40 kilometrów od centrum Kairu została połączona z miastem kolejką miejską (LRT), która docelowo poruszać się będzie 120 km na godzinę. Jednak żeby dostać się do kolejki, trzeba najpierw dojechać do stacji Adly Mansour w północno-wschodniej części metropolii. Z centrum cała podróż zajmuje nawet trzy godziny.

Dlatego wybrałem tradycyjny kairski sposób podróżowania, czyli taksówkę. Taksówkarz ma na imię Ahmed i po chwili rozmowy zgadza się zrezygnować z innych kursów przez najbliższe cztery godziny. Nie było to trudne – sam kurs w jedną stronę (70 km) miał mnie kosztować 80 zł, cena nieosiągalna chyba nigdzie indziej. Dzięki państwowym subsydiom litr paliwa w Kairze należy do najtańszych na świecie i kosztuje ok. 2 zł. Do tego dochodzą „niskie koszty pracy", czyli po prostu bieda. Za dodatkowe 150 zł – wysokość tygodniowej średniej pensji w Egipcie – Ahmed zgadza się na moją propozycję.

## Krótka lekcja geografii

Kairską metropolię zamieszkuje zależnie od szacunków od 22 do ponad 30 milionów osób. Nikt dokładnie nie wie, ile liczy społeczność

1 RP

eprasa.pl ed047e9ca2

• Wieżowce w Nowej Stolicy. Plan jest taki, że ma tu zamieszkać 6 milionów Kairczyków

FOT. WOJCIECH SZOT

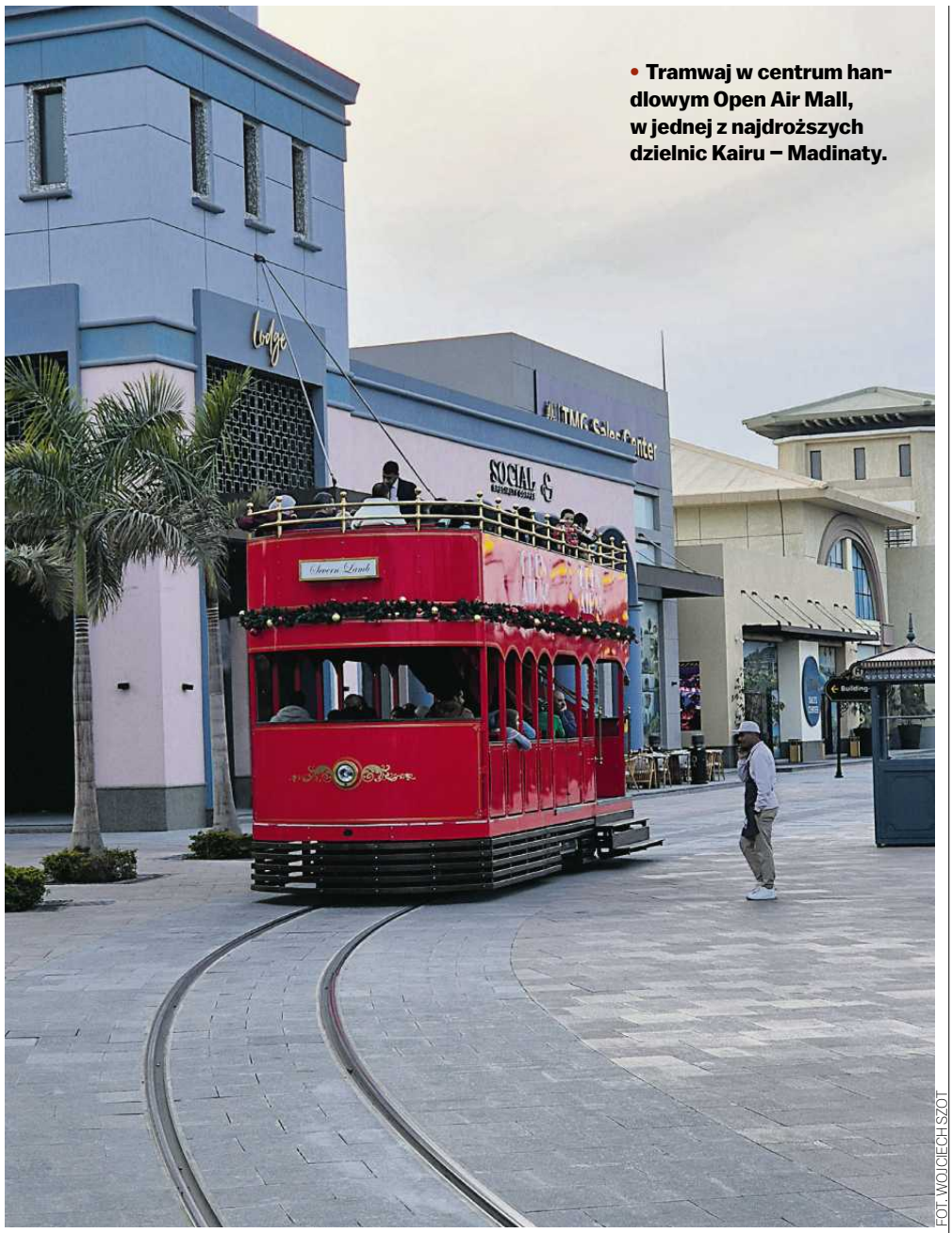

• Tramwaj w centrum handlowym Open Air Mall, w jednej z najdroższych dzielnic Kairu – Madinaty.

FOT. WOJCIECH SZOT

osób koczujących w koszmarnych warunkach na cmentarzach, w tym osławionym Mieście Umarłych.Sam Kair zajmuje ledwie 25 proc. powierzchni metropolii i mieszka w nim mniej niż połowa jej mieszkańców. Wokół historycznego centrum miasta rozbudowują się kolejne, z których największym jest położony na wschodzie Nowy Kair.

Oficjalnie nie jest miastem, ale zbiorem kilku osad, czyli gigantycznych osiedli, którymi zarządza państwowe przedsiębiorstwo Nowy Urząd Społeczności Zurbanizowanych (SOE). Do Nowego Kairu jeszcze wrócę.

## Tu na razie jest pustynia...

Gdy przebijemy się przez korki centrum Kairu, wjeżdżamy na płatną autostradę zbudowaną przez Hassan Allam Holding, jedną z największych firm budowlanych w świecie arabskim, która budowała również GEM i ma wszystkie butiki w muzeum. Jej właściciele są bliskimi przyjaciółmi prezydenta.

Samochody są nieliczne, a wokół nas kilometrami ciągnie się księżycowy, pustynny krajobraz. W oddali czasem migoczą szkielety nowych osiedli. Na budowach trudno dostrzec dźwigi, a wiele z nich wygląda na tymczasowo lub stale porzucone. Do tego też jeszcze wrócę. Sama autostrada standardem odbiega od tych, które znamy z Polski. Rozrzucone bloki skalne, niewykończone krawężniki, brak jakichkolwiek osłon. Ale droga jest i jedzie się nią szybko.

Nowa Stolica została wytyczona z iście faraońską precyzją. Znajduje się dokładnie w centralnym punkcie okręgu, którego skrajne punkty wytyczają Kanał Sueski i Nil.

W 2100 roku w obszarze metropolitalnym Kairu może mieszkać nawet 40 milionów osób. Dla władz to koronny argument o potrzebie inwestowania w budowę nowego miasta. To, co dzisiaj jest pustynną równiną otaczającą wyspy z ekstrawagancką czasem zabudową, w przyszłości ma zamienić się w spójny organizm miejski zamieszkany przez ponad 6 milionów osób. Koszt? Szacunki mówią nawet o 58 miliardach dolarów.

## Jak Kair olimpiadę chce organizować

Po ponad godzinie jazdy, po południowej stronie, wyłania się przed nami Olimpijskie Miasto Sportu. To olbrzymi i ultranowoczesny kompleks, nad którego centrum góruje stadion o olimpijskim standardzie. Stadion Egiptu może pomieścić ponad 90 tysięcy widzów. Jego budowę rozpoczęto w 2015 roku. W marcu 2024 roku ustanowiono rekord frekwencji. 85 tysięcy kibiców piłki nożnej obserwowało, jak Egipt przegrywa z Chorwacją.

Jest tu też kompleks hotelowy, stadiony treningowe, basen olimpijski, a nawet centrum hipiki. Nie brakuje drzew i trawników – zieleń w Kairze niemal zawsze świadczy o zamożności okolicy. Skąd taki rozmiar inwestycji sportowych?

Egipskie władze zapowiedziały chęć starania się o organizację Igrzysk Olimpijskich w 2036 lub 2040 roku. Ambicje? Być pierwszym afrykańskim krajem, który zorganizuje Igrzyska. Czy Kair pokrzyżuje plany Warszawy?

## Oktagon większy niż Pentagon

Na północy, po drugiej stronie autostrady, widać mur-fasadę jednego z najbardziej niezwykłych tu budynków. To Oktagon, przyszła nowa siedziba egipskiego Ministerstwa Wojny. Kompleks dziesięciu budynków rozmieszczonych w ośmiobocznym układzie wzorowany jest na amerykańskim Pentagonie. Jego wielkość przypomina o tym, że Egipt posiada drugą co do wielkości armię w Afryce – ponad 430 tysięcy żołnierzy. To jedenasta armia świata.

Armia kontroluje większość egipskiej gospodarki za pomocą Egipskiej Agencji Inżynieryjnej. Nikt właściwie nie wie, jakie są przychody wojskowych. Największym ich źródłem są dochody z żeglugi po Kanale Sueskim. W 2025 roku wyniosły około 4,2 miliarda dolarów. Dwa lata wcześniej – 9,4 miliarda.

To jednak wcale nie tak wiele w egipskiej skali – na same dotowanie chleba kraj wydał w 2024 roku 2,6 miliarda dolarów. Tyle samo na dopłacanie do paliwa. Jednak armia nie dokłada się do tych wydatków. Jest zwolniona z niemal wszystkich podatków.

Dzięki temu Sisi może używać pieniędzy armii do inwestowania w swoje pomysły. Już wiecie, kto jest głównym inwestorem Nowej Stolicy.

Do Oktagonu nie jedziemy – już w niemal opustoszałym olimpijskim mieście patrzono na nas podejrzliwie. Do spotkania z egipską armią mamy jeszcze pół godziny.

## Meczety, pałace, katedra i łuki triumfalne

Wreszcie dojeżdżamy do centrum rozłożonego na 89 kilometrach kwadratowych największego na świecie kompleksu administracyjnego. Mijamy potężne łuki bramy wjazdowej, udekorowano nimi każdy wjazd do Nowej Stolicy. Po jednej stronie w oddali majaczą wieżowce dystryktu finansowego z liczącą 400 metrów wysokości Iconic Tower w centrum, po drugiej widać nową katedrę koptyjską i minarety kilku meczetów, w tym Masjid Misr, czyli Meczet Egiptu z największym na świecie żyrandolem – ma rozpiętość 22 metrów.

Jedziemy w kierunku pałacu prezydenckiego. Dojeżdżamy do obszernej, otoczonej zielenią alei, która rozdziela tę część miasta na dwie strony – po północnej stronie pałac, po

**Jak rozpoznać, gdzie w dużym mieście znajduje się skupisko zamożniejszej klasy średniej? Po liczbie kawiarni sieci Starbucks. W dzielnicy Madinaty są cztery.**

FOT. BE&W

• Czyste chodniki, uporządkowana zieleń, jeziorko po którym można pływać łódką i cisza. Tak wygląda Kair dla najbogatszych



eprasa.pl ed047e9ca2

południowej – siedziba parlamentu, biurowce należące do banków czy egipskiej poczty. Pośrodku alei stanął olbrzymi łuk triumfalny.

Na ulicach żywego ducha. Jedynymi ludźmi, których mogę zobaczyć, są wojskowi i policjanci. Zresztą nie wszędzie można wjechać – duża część jest zablokowana dla ruchu samochodowego. Nie widać też parkingów. Gdy podjeżdżamy pod wyglądającą jak ze „Star Treka" bramę pałacu prezydenckiego, zdjęcia robię z samochodu. Samego, zbudowanego z rozmachem, pałacu z ulicy nie widać. Ahmed odmawia zatrzymywania się choćby na chwilę. Raczej przyspiesza, niż zwalnia.

Z opisu: „Tu pałac, tam parlament" mogą Państwo wywnioskować, że budynki te stoją blisko siebie. Otóż nic bardziej mylnego. Dzieli je około czterech kilometrów drogi. Choćby z tego powodu odwiedzenie Nowej Stolicy pociągiem nie miało sensu – ostatnia stacja kolejki oddalona jest sześć kilometrów od bram pałacu.

Skala raczej przeraża, niż zachwyca.

Zwłaszcza że tłem dla tych wszystkich budowli jest skalista wyżyna. Trudno oszacować, co właściwie działa, a co jeszcze nie zostało oddane. Wydaje się, że wiele budynków, choć mają już szklane fasady, wciąż pozostaje puste. Trudno też dociec, co już zbudowano, a co się buduje – w końcu nie wszędzie możemy wjechać, a i Ahmed raczej przyspiesza, niż zwalnia.

Wykreślam zatem z planu meczety, w tym największy Al-Fattah al-Aleem zbudowany na ponad 45 hektarach. Europejski turysta w meczecie na pustkowiu raczej wzbudzi podejrzenia. Ale jednak chcę postawić stopę w Nowej Stolicy. Katedra koptyjska wydaje się bezpiecznym celem.

## Koptowie pod specjalnym nadzorem

Koptowie – rdzenni, chrześcijańscy mieszkańcy Egiptu, którzy byli tam przed arabskim najazdem w VII wieku – stanowią mniej więcej 10 procent mieszkańców Egiptu. W XX wieku relacje między nimi a władzami przechodziły od trochę warunkowej tolerancji do coraz większej wrogości. Im rządzącym bliżej było do islamistycznych ugrupowań, tym gorzej dla Koptów. Paradoksalnie za czasów bardzo oddanego religii as-Sisiego, Koptowie zyskali państwową ochronę. Dlaczego?

Ataki terrorystyczne na społeczność koptyjską w pierwszych latach XXI wieku budziły oburzenie na Zachodzie i drastycznie zmniejszały wpływy z turystyki. Nie jest łatwo wciąż potrzebować walut i jednocześnie prześladować chrześcijan.

W efekcie w 2017 roku zniesiono ograniczenia w budowie nowych kościołów w Egipcie. Dzisiaj większość świątyń koptyjskich jest w naprawdę dobrym stanie, po świeżych remontach wyróżniają się na tle egipskich miast. Wszystkie obstawione są ochroną i bramkami z wykrywaczami metali.

Gdy w 2019 roku prezydent Sisi uroczyście otwierał w Nowej Stolicy meczet Al Fattah al-Aleem, tego samego dnia przyjechał też na inaugurację katedry Narodzenia Chrystusa. – Nie pozwolimy, by ktoś stanął między nami – mówił podczas uroczystości z udziałem papieża Tawadrosa II.

## „Tourist, visit, cathedral"

Jako europejski turysta, być może oddany chrześcijanin, mogłem chcieć zobaczyć budynek szczycący się mianem największego kościoła na Bliskim Wschodzie. Tym bardziej że – ku mojej olbrzymiej radości – okazało się, że obok potężnej świątyni znajduje się rachityczny parking na trzy samochody. Sceptycznie nastawiony do tego pomysłu Ahmed umówił się ze mną, że jak nie wrócę za 20 minut, będzie dzwonił.

Katedra otoczona jest murem, a przy bramie wejściowej ustawiono posterunek. Tym razem zamiast znudzonego ochroniarza, któremu nie chce się uruchamiać maszyny do wykrywania metali, czekało na mnie trzech bardzo zaskoczonych mężczyzn. Policjant, wojskowy i – jak przypuszczam – cywilny pracownik katedry.

Arabski znam na poziomie gorszym od Stasia Tarkowskiego, więc zrezygnowałem nawet z tradycyjnego „as-salaam", przechodząc na angielski. „Tourist", „visit", „cathedral". Nie trzeba wiele, żeby powiedzieć, jaki ma się cel. Panowie najwyraźniej nie wiedzieli, co ze mną zrobić. Zostałem poproszony o paszport i wpuszczony na teren katedry. Miałem 12 minut do telefonu Ahmeda.

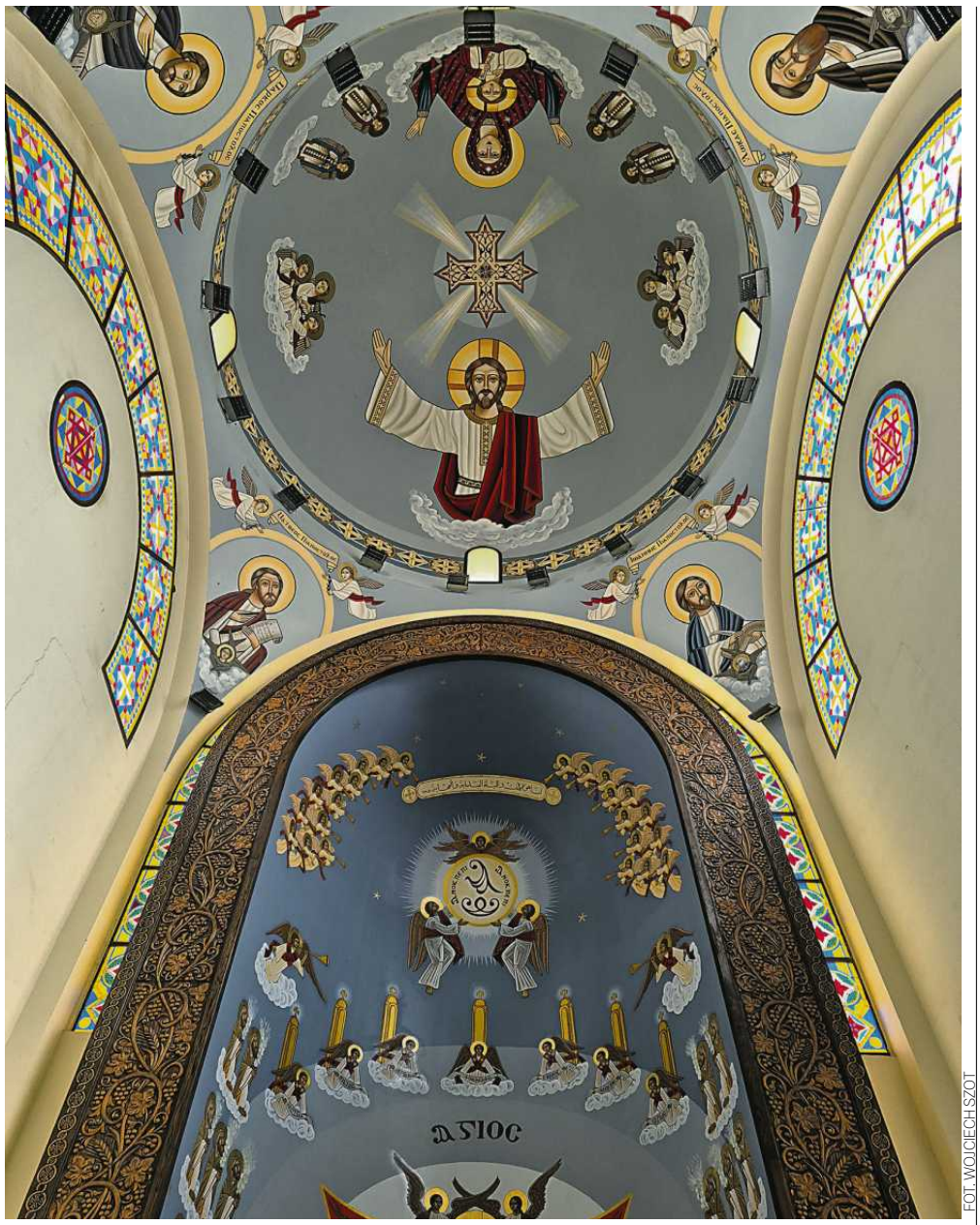

FOT. WOJCIECH SZOT

• **Absyda katedry Narodzenia Chrystusa, największego kościoła w świecie arabskim**

Budynek jest – mimo wielkości, łuków i podcieni – przysadzisty. Dużo tu kopuł, które jednak nie pomagają mu zyskać lekkości. We wnętrzu zaskakują przeskalowane, potężne malowidła przedstawiające tradycyjne tematy koptyjskiej ikonografii: Chrystusa Pantokratora w otoczeniu świętych i wizerunki Matki Boskiej. Jaskrawa, disneyowska kolorystyka sprawia, że wyglądają jak z bajki dla dzieci.

We wnętrzu pracowało kilku mężczyzn – odkurzali dywany, poprawiali kwiaty. Jeden z nich zachęcił mnie, bym podszedł bliżej ołtarza. Tradycją kościołów koptyjskich jest zakrywanie ołtarzy za kotarą. Pracownicy jednak chętnie – licząc też na napiwek – odsłaniają je przed turystami.

Po szybkim spojrzeniu na kolejne ogromne malowidło skierowałem się do wyjścia. Dwie minuty. Czy Ahmed poczeka? Poczeka, bo nie dostał jeszcze zapłaty. Ale nie chciałem bardziej go stresować, pamiętając, że bliskie spotkanie z potęgą egipskiego wojska, nawet jeśli wyrażała się wyłącznie w budynkach i kilku posterunkach, wywarło na nim spore wrażenie.

Wojskowy pilnujący bramy z kwaśną miną oddał mi paszport. Dobiegłem do samochodu i zdecydowałem, że to już koniec naszej wycieczki. Poprosiłem o zawiezienie do Madinaty, olbrzymiego osiedla dla bogatych Egipcjan. Tym samym zrezygnowałem z wizyty w okolicach Iconic Tower (400 metrów), co Ahmed przyjął z wyraźną ulgą.

## Po Starbucksie ich poznacie

Jak rozpoznać, gdzie w dużym mieście znajduje się skupisko zamożniejszej klasy średniej? Po liczbie kawiarni sieci Starbucks. W Madinaty („Mój dom") są cztery.

Budowa olbrzymiego kompleksu mieszkalnego dla ponoć miliona zamożnych Kairczyków rozpoczęła się w 2006 roku i miała kosztować 16 miliardów dolarów. Wielkie plany zostały zrealizowane tylko po części. Na Madinaty składa się kilkanaście osiedli o różnym standardzie. Od kilkupiętrowych bloków po ekskluzywne wille otoczone zielonymi terenami.

Bramą do dzielnicy jest ogromne centrum handlowe, w którym zestaw sklepów przypomina polskie galerie. Jest tu olbrzymi „food hall", jezioro, przez które przerzucono romantyczne mostki, a nawet tramwaj wożący klientów pomiędzy budynkami.

Nie niepokojony przez nikogo poszedłem do najbliższej dzielnicy willowej. Na półkolistym planie zbudowano tu kilkaset dwu- i trzypiętrowych willi. Jest też olbrzymie pole golfowe, a co 100 metrów stoi dyskretna budka ze strażnikiem.

Nikt mnie nie zaczepia, nie prosi o paszport. W przeciwieństwie do „zwykłego" Kairu jest tu cicho i spokojnie. Oaza w morzu chaosu. Takich osiedli wokół Kairu powstało kilkadziesiąt. Jest tylko jeden problem – większości Egipcjan nie stać na mieszkanie w nich.

## Osiedla-widma

Choćby z tego powodu wielu z tych projektów nie ukończono. Kim będzie 6 milionów Kairczyków, którzy zaludnią Nową Stolicę? A co z innymi nowymi dzielnicami? Jadąc z Madinaty przez Nowy Kair w stronę historycznego centrum miasta, widziałem dziesiątki niedokończonych osiedli – skupiska bloków-szkieletów. Według nieoficjalnych danych od 60 do 80 procent mieszkań w nich to pustostany.

Próby osiedlenia Kairczyków na pustyni zaczęły się w 1978 roku, kiedy prezydent Sadat zamierzał przenieść stolicę do miasta Sadat, niemal 100 km na północny zachód od centrum. Trzy lata później zamordowano prezydenta, co zakończyło też historię tego planu. Dzisiaj widziane z satelity Sadat wygląda jak czekający na wielkie inwestycje teren otoczony terenami rolnymi.

Budowę nowych miast i osiedli satelitarnych wznowiono w 1996 roku dzięki petrodolarom z Zatoki Perskiej oraz prywatnym egipskim deweloperom. W 2010 roku wybuchł skandal związany z Madinaty – okazało się, że ziemia pod budowę miasta została sprzedana poniżej jej rynkowej wartości. Korupcja i niejasne interesy są codziennością kairskiej deweloperki. Jak i problemy, których jest bez liku.

Brakuje linii metra prowadzących do nowych osiedli. Gdyby zamieszkały tu planowane miliony, dwie autostrady nie pomieszczą samochodów. Co z wodą, pytają specjaliści. Nil jest źródłem wody pitnej dla 97 proc. ludności miejskiej. Według UNICEF 6,5 miliona Egipcjan nie ma bieżącej wody. Nowa stolica ma zużywać 100 tys. litrów wody dziennie.

To nie ma sensu – mówią ekonomiści. Egipskie władze jednak żyją przekonaniem, że, podobnie jak faraonowie budujący piramidy, dokonają rzeczy, za które będzie podziwiał ich cały świat. Pod jednym warunkiem – świat nie upomni się o pożyczone miliardy. W zamian dostanie gwarancję, że na Bliskim Wschodzie będzie panował spokój gwarantowany przez egipską armią.

Dlatego autostrady i drogi wokół Nowej Stolicy są niemal puste. Jedynymi osobami, które tu przyjeżdżają, są urzędnicy państwowi, sprzątacze i ochroniarze. Codziennie do historycznego Kairu odwożą ich setki białych busików, których klaksony towarzyszą mi w drodze powrotnej.

## Faraon sprzedałby własną ziemię?

W lutym 2024 roku do mediów przedostała się informacja, że za 35 miliardów dolarów egipskie władze zgodziły się sprzedać Ras El Hekmę, beduińską wioskę na wybrzeżu Morze Śródziemnego. Nabywcą będą Zjednoczone Emiraty Arabskie.

Szejkowie nabyli wyłączność na inwestowanie na olbrzymim, liczącym 13 km kw. terenie. Oczywiście prawnie wciąż teren należy do Egiptu, a kraj otrzyma 35 proc. udziałów w inwestycjach, jednak to już kolejny przykład przekazywania terytorium innemu państwu w zamian za gotówkę mającą ratować egipski budżet.

W 2016 roku Egipt zrzekł się roszczeń do leżących nieopodal Półwyspu Synaj wysp Tiran i Sanafir. Te dwa niezamieszkane kawałki lądu w 1949 roku Arabia Saudyjska pozwoliła zająć Egiptowi, który prowadził wojnę z Izraelem. Wyspy stały się miejscem działań wojennych, a do 1982 roku okupował je Izrael. Później stacjonowały tam egipskie wojska oraz siły międzynarodowej misji pokojowej.

Decyzja rządu o oddaniu wysp Saudom wściekła Egipcjan. Wybuchły protesty, a umowa z Arabią została skierowana do sądu. W 2017 roku Naczelny Sąd Administracyjny w Egipcie anulował sprzedaż wysp. Jednak już kilka tygodni później egipski parlament ponownie zdecydował o przekazaniu wysp Saudom. W zamian – jak podały izraelskie źródła – do Egiptu popłynęło 25 miliardów dolarów. Nie było już miejsca na protesty.

## Nie będzie rewolucji w Egipcie

„Ludu mój! Ja jestem władcą królestwa Egiptu i rzek płynących u moich stóp. Czy tego nie widzicie?". W Koranie, w sutrze 43. to zdanie wypowiada faraon do Mojżesza i dworzan. Jak donoszą nieliczni, którzwy widzieli nowy pałac prezydencki, zdobi ono też jedną z jego ścian.

Sisi jednego może być pewien – w przyszłości zbuntowany lud nie będzie mógł, jak było to w 2011 roku, zaatakować rządowych budynków. Nowa Stolica to przecież forteca, z której niczym w „Mad Maxie" można zarządzać upadłym imperium.

Imperium, w którym miliony uzależnione są od dotowanego przez państwo jedzenia i reglamentowanej wody, a zamożniejsza klasa średnia za lojalność wobec władcy dostaje bonus – kawałek trawnika. ●

1 RP

eprasa.pl ed047e9ca2

# KABANOSY Z ŁOSIA I WINO Z RABARBARU

**Oszalałem. W środku zimy poleciałem do Tallinna.** Przemarzłem do szpiku kości, ale było warto.

• **Zaśnieżony Tallinn z drona. Na pierwszym planie mury obronne i baszta Gruba Małgorzata. Pochodzi z XVI wieku, ma 25 m średnicy, 20 m wysokości i ściany miejscami grube na 5 m. Była zbrojownią, prochownią i więzieniem. Teraz to muzeum** FOT. BARTOSZ T. WIELIŃSKI/AGENCJA WYBORCZA.PL

1 RP

**Bartosz T. Wieliński**

Wstęp to będzie dziwny do tekstu o urokliwym mieście w pobliskim kraju, które koniecznie trzeba odwiedzić. Nic na to nie poradzę, powiem tylko: sorry, taki mamy w Europie klimat. Przypuszczam, że pół wieku temu podobny dylemat musieli się mieć dziennikarze przyjeżdżający opisywać uroki Berlina Zachodniego, wysepki wolności na komunistycznym oceanie.

Wysiadam z samolotu na eleganckim lotnisku, chodzę po ładnym mieście, czysto tu i bardzo nowocześnie. Ludzie są przyjaźni, płaci się w euro, usługi publiczne są na zachodnim poziomie, a nawet lepszym, większość krajów Unii Europejskiej mogłaby tu uczyć się gospodarki cyfrowej i digitalizacji państwa.

Bo to przecież Zachód, choć geograficznie kraj leży już na wschodzie i po przyjeździe trzeba przestawiać zegarek o godzinę do przodu. A jednocześnie trudno uciec od myśli, że tylko półtorej godziny jazdy i 150 metrów przez most na rzece Narwie dzielą to miejsce od ponurego Iwanogrodu. 200 km jazdy dalej na wschód dociera się na obrzeża Sankt Petersburga.

## Jak Berlin Zachodni. Rosję widać za horyzontem

Tallinn to ostatnie duże europejskie miasto przed granicą z putinowską Rosją. Obwieszony rakietami rosyjski myśliwiec doleciałby tu z bazy w Ostrowie pod Pskowem w kwadrans, pocisk balistyczny Iskander w ciągu kilku minut. Podczas trwającej już cztery lata wojny w Ukrainie, gdy rosyjscy sabotażyści poczynają sobie coraz śmielej, a spora część ekspertów i wojskowych mówi, że wybuch wojny NATO z Rosją jest w najbliższej przyszłości bardzo prawdopodobny – takie wyliczenia są zupełnie uzasadnione.

Gdyby te przewidywania się sprawdziły, to Estonia będzie kolejnym celem Putina. Dlatego na ulicach Tallinna łatwo natknąć się na symbol niebieskiego trójkąta na pomarańczowym tle. Tak oznacza się wejścia do schronów.

Berlin Zachodni, choć wielokrotnie mniejszy od Estonii, przez 40 lat znajdował się w podobnej sytuacji nieustannego zagrożenia miażdżącym atakiem sowieckiej armii i jej sojuszników z Układu Warszawskiego. Zdawali sobie z tego sprawę mieszkańcy, jak i żołnierze służący w stacjonujących w mieście amerykańskiej, francuskiej i brytyjskiej brygady. Było dla nich jasne, że w razie ataku garnizon byłby w stanie bronić się góra 48 godzin. A mimo to miasto żyło na pełnych obrotach, mieszkańcy się bogacili, rodziły się dzieci. A wojsko za dnia nieustannie ćwiczyło, na wszelki wypadek, wieczorami balowało w knajpach i dyskotekach.

## Estonia będzie się bronić

W Estonii jest zasadniczo tak samo. Życie toczy się w cieniu nieobliczalnego sąsiada, ale problemy są gdzie indziej: gospodarka jest w stagnacji, dławi ją wysoka inflacja i skutki kryzysu demograficznego. Zbyt wielu młodych Estończyków wyjechało z kraju, wskaźnik urodzin jest najniższy w historii.

Na płynące z Kremla groźby Estonia odpowiada swoimi, ostatnio premier sugerował, że w razie ataku Estonia nie tylko będzie się bronić, ale przeniesie wojnę na rosyjskie terytorium i będzie ostrzeliwać rakietami rozsiane wokół Sankt Petersburga bazy oraz wojskowe instalacje.

W kraju stacjonuje 2 tys. żołnierzy NATO, Brytyjczyków, Duńczyków i Francuzów, estońskiej przestrzeni powietrznej kraju chroni natowskie lotnictwo. Do incydentów z udziałem Rosji dochodzi regularnie, jesienią zeszłego roku rosyjskie myśliwce przebywały w niej pra-

eprasa.pl ed047e9ca2

wie kwadrans. Do tego dodajmy kilka niedawnych prowokacji na granicy...

Trudno o tym nie myśleć, gdy się jedzie z lotniska autobusem przez Tallinn, w kierunku Starego Miasta.

### Skandynawskie porządki i baszty na bagnach

Na Starówkę trzeba iść pod górę. Mijam Bramę Viru. To dwie okrągłe baszty, osadzone w wysokich na kilkanaście metrów średniowiecznych murach obronnych. Kiedyś stał tu barbakan, czyli wysunięta poza mury część fortyfikacji wzniesiona na bazie owalu, skąd można było ostrzeliwać prawie całe przedpole miasta.

Barbakan, podobnie jako to się działo w innych europejskich miastach, rozebrano w drugiej połowie XIX w., by nie utrudniał miastu ekspansji. Zostały po nim te dwie wieże o krytych dachówką spiczastych szczytach.

Między nimi biegnie deptak, wzdłuż niego stoją kamieniczki, a w nich mieszczą się sklepy i restauracje.

W Tallinnie czuć skandynawskie porządki. Jest elegancko, ale bez przepychu, ładnie, ale schludnie. Nawet w sklepikach z pamiątkami, które w innych miastach Europy sprzedają tandetę, można znaleźć oryginalne drobiazgi. Nie mówiąc już o lokalnych przysmakach. Oszalałem, kupiłem kabanosy z łosia i butelkę lokalnego słodkiego wina. Z rabarbaru.

Viru w języku fińskim oznacza bagna. 800 lat temu, gdy z wydobywanego w okolicy wapienia wznoszono mury ówczesnego Rewala (nazwa Tallinn jest w użyciu od 1918 r.) na wschód od miasta rozciągały się mokradła. Z 45 baszt, jakie wówczas wzniesiono, by chronić bogate miasto przed najazdem – w zasadzie każda jest inna, różnią się wysokością i kształtem – do dziś przetrwała z nich prawie połowa.

Tallinn to jedyna stolica w Unii Europejskiej z tak pokaźnym zachowanym fragmentem oryginalnych miejskich fortyfikacji. Mury i wieże można oczywiście zwiedzać, przy wielkiej baszcie Kiek in de Kök (nazwa oznacza „podglądanie kuchni", bo z jej szczytu można było zaglądać do ludziom do mieszkań) działa nawet odpowiednie muzeum. To jedna z wielu tutejszych atrakcji.

### Mroźny wiatr od Zatoki

Na mury się akurat nie pcham, bo trochę zaczynam zamarzać. Zrobiłem rzecz szaloną. Przyjechałem do Tallinna w środku zimy, gdy odczuwalna temperatura spadła do -21 stopni Celsjusza. Wiatr znad Zatoki Fińskiej jest tak lodowaty, że odzież termiczna (w czasach szkolnych nazywało się to po prostu kalesony) nie do końca się sprawdza. Choć trzeba przyznać, że zimą miasto i okolica wyglądają przepięknie. Morze wzdłuż brzegu zamarzło, na dachach leży gruba warstwa śniegu.

Mam tyle szczęścia, że dni były słoneczne i można było jakoś to zimno wytrzymać. Po zmierzchu temperatura błyskawicznie spadała, sprzedawany na straganach ciepły glögg, czyli skandynawskie grzane wino nie pomagało, trzeba było ratować się w cieple jakiejś knajpki. Człowiek, który sprzedawał mi własne wino z rabarbaru, Fin, który przybył do Estonii ponad 20 lat temu, zarzekał się, że na jednej z estońskich wysp uprawia też winogrona. Jak te rośliny wytrzymują takie mrozy?

### Stary Tomasz wskazuje

Bulwar o nazwie Viru stromo prowadzi na miejski rynek. Gdy się do niego zbliżam zauważam zmianę w architekturze. Secesyjne kamienice – tallińskie Stare Miasto ma niską, góra trzy piętrową zabudowę – zaczynają ustępować budynkom, które zachowały renesansowy styl. A przy samym rynku stoją już gotyckie budynki. Te należące do kupców kamienice służyły jako spichlerze i jednocześnie jako domy mieszkalne.

Gotycki jest też ratusz, jedyny zachowany obiekt tego typu w północnej Europie. Powstał w XIII wieku. Zaczęło się od skromnego budynku z wapienia, wzniesionego na potrzeby obrad rady miejskiej. Z biegiem lat budynek urósł w górę, zyskał arkadową loggię i strzelistą ratuszową wieżę wysoką na 64 metry, na szczycie której umieszczono miedzianą rzeźbę Starego Tomasza.

Tallińska legenda głosi, że Tomasz pochodził z jednej z okolicznych wsi i świetnie strzelał z kuszy. Gdy wygrał miejski konkurs strzelecki ze względu na pochodzenie nie mógł dostać nagrody, ale by mu to powetować mieszczanie dożywotnio zatrudnili go jako strażnika. Był powszechnie lubiany, więc gdy umarł postanowiono go uwiecznić. Dziś wskazuje kierunek wiatru.

FOT. BARTOSZ T. WIELIŃSKI/AGENCJA WYBORCZA.PL

Widok na stolicę Estonii od strony Zatoki Tallińskiej, która jest południową częścią Zatoki Fińskiej

### Choinka prekursorka i aptekarska siła

Z Rynkiem wiąże się też inna historia. W 1441 r. pod ratuszem ustawiono pierwszą na świecie choinkę bożonarodzeniową. Pewno dlatego drzewa przystrojone lampkami stały na rynku jeszcze w połowie lutego. I jeszcze jedna ciekawostka: Gdy w Tallinnie ustawiano pierwszą choinkę w budynku naprzeciw ratusza działała już apteka, najstarsza nieprzerwanie działająca na świecie.

Pierwsza wzmianka o tym przybytku pochodzi z 1422 r., choć niewykluczone, że farmaceutyczny interes rozkręcono siedem lat wcześniej. W 1582 r. aptekę przejęła przybyła z Węgier rodzina Burchartów i prowadziła ją przez 10 pokoleń, do końca XIX w. Tallińscy aptekarze byli nie tylko sprzedawcami lekarstw, tylko lekarzami, których reputacja wykraczała poza nadmorskie miasto.

*W Tallinnie czuć skandynawskie porządki. Jest elegancko, ale bez przepychu, ładnie, ale schludnie. Nawet w sklepikach z pamiątkami nie sprzedają tandety. Nie mówiąc już o lokalnych przysmakach*

### Przybyli Duńczycy pod mury

Gdy w aptece pod ratuszem można było kupić sproszkowany róg jednorożca, a po ulicach miasta chodził strażnik Tomasz, Rewel należał do Danii. W 1219 r. gdy członkowie Zakonu Kawalerów Mieczowych wspierani przez niemieckich biskupów i kupców w ramach krucjaty mieczem nawracali na chrześcijaństwo pogan żyjących na terenie dzisiejszej Łotwy i bez większych sukcesów próbowali zrobić to samo mieszkającym dalej na północny wschód Estom, pod stojącą na wzgórzu Toompea u brzegów bałtyckiej zatoki twierdzę Lydanisse przypłynęła duńska flota.

Król Danii Waldemar II nie zamierzał bezczynnie przypatrywać się, jak Niemcy poszerzają swoje strefy wpływów. Nie wiele brakowało, by przeszarżował. Bitwa pod murami Lydanisse początkowo szła źle, Duńczycy przegrywali stracie z Estami. Ale wtedy z nieba spadła flaga przedstawiająca biały krzyż na czerwonym tle. Ten znak – który odtąd stał się symbolem Danii – zainspirował rycerzy, którzy ostatecznie pokonali obrońców.

Na miejscu Lydanisse powstała duńska osada handlowa, a dzisiejsza Estonia stała się w zasadzie bałtycką kolonią Danii. I zaczęła kwitnąć, bo miasto leżało na przecięciu szlaków handlowych łączących wschód z zachodem i północ z południem. Rewalem szybko zainteresowała się Hanza, potężny związek europejskich miast kupieckich, którego centrum była Lubeka. Pod takim protektoratem miasto kwitło dalej.

Tę historię złotego wieku Tallinna świetnie opowiada multimedialna ekspozycja w Muzeum Miejskim. Jej głównym wątkiem jest działalność założonego u zarania miasta Bractwa Czarnych Głów, które zrzeszało kawalerów trudniących się handlem. W zamian za przywileje zobowiązywali się oni bronić miasta, patrolowali muru, wystawiali m.in. oddział jazdy. Z czasem bractwo stało się instytucją będącą skrzyżowaniem organizacji kupców z klubem towarzyskim. Jej patronem był św. Maurycy, ciemnoskóry rzymski legionista, który został męczennikiem. Stąd też wzięła się nazwa bractwa.

W 1346 r. Estonię za 19 tys. marek w srebrze od Danii kupili Krzyżacy. Duński władca Waldemar IV potrzebował pieniędzy na spłatę długów i odbudowę kraju, daleka prowincja nie było mu do niczego potrzebna. Tallinn był jednak tak wpływowym miastem, że nowi właściciele kraju musieli zagwarantować mu specjalne traktowanie. M.in. byli zwolnieni od konieczności wystawiania wojska do toczonych przez Krzyżaków wojen z Polską i Litwą.

W XVI w. Estonię między siebie podzieliła Polska i Szwecja, która wzięła północną część kraju z Tallinem. W następnym stuleciu Szwecja kontrolowała już całą Estonię. W wieku XVIII po przegranej przez Szwecję wojnie północnej Tallinn przeszedł pod władanie Rosji.

### Spacer obok trzech sióstr

Na Rynek można dojść inna drogą. Od strony portu do Starego Miasta można wejść przez Wielką Bramę Morską, mijając przysadzistą basztę zwaną Grubą Małgorzatą. W jej wnętrzu można zobaczyć wydobyty 10 lat temu z morskiego dna wrak kogi, długiego na 20 m jednomasztowego statku towarowego handlowego, który kursował między Tallinem i innymi bałtyckimi portami. Idziemy dalej ulicą Pikk, mijamy gotycki kościół św. Olafa. Według legendy budował go sługa diabła, który na szczęście w ostatnim momencie został zdemaskowany przez mieszkańców.

Dalej mijamy Trzy Siostry. To XIV-wieczne podobne do siebie kupieckie kamienice, według legendy wybudowane przez bardzo zamożnego mieszczanina dla jego córek. W tych luksusowych, jak na tamte czasy domach mieszkała tallińska elita. Warto zajrzeć do znajdującego się kilka minut drogi dalej gotyckiego kościoła Św. Ducha. Świątynia jest malutka i bardzo skromna. Uwagę przykuwa piękny zegar na zewnętrznej ścianie i piękny gotycki ołtarz we wnętrzu.

### Zamek do podziwiania

Spod małego kościoła można zejść na Rynek, ale można się wspiąć się do Górnego Miasta i podziwiać najbardziej eleganckie budynki w stolicy Estonii, dziś to siedziby ministerstw. Stoi tam też zamek Toompea, budowany w średniowieczu na miejscu estońskich fortyfikacji, które zdobywali krzyżowcy duńskiego króla Waldemara.

1 RP

eprasa.pl ed047e9ca2

• **Trzy Siostry na Starym Mieście. Najlepiej zachowane kamienice średniowiecznego Tallinna. Według legendy bardzo bogaty kupiec wybudował je dla swoich trzech córek**
FOT. GETTY IMAGES

• **Brama Viru – wejście na Starówkę. Dwie wysokie baszty na średniowiecznych murach obronnych. Kiedyś stał tu barbakan, ale został rozebrany w XIX wieku**
FOT. GETTY IMAGES

Przez wieki rozbudowali go Duńczycy, Krzyżacy – za których rządów powstała jego najwyższa wieża Długi Hermann, Szwedzi, w końcu pracujący dla Rosjan niemieccy architekci stworzyli jego barokowe skrzydło, w którym urzędował carski gubernator. Gdy w 1918 r. Estonia stała się niepodległym państwem (deklarację niepodległości ogłoszono 24 lutego 1918 r., ale wobec niemieckiej okupacji w życie wcielono ją dopiero w listopadzie po klęsce Niemiec w pierwszej wojnie światowej) zamek stał się siedzibą Riigikogu, czyli jednoizbowego parlamentu. Liczy on 101 posłów wybieranych na trzyletnią kadencję. W 1922 r. wzniesiono dobudowano dla niego specjalny budynek w stylu ekspresjonistycznym.

Obok zamku stoi wzniesiona przez Rosjan na początku XX w. prawosławny sobór Aleksandra Newskiego. Podobnie jak jej odpowiednik w Warszawie wyposażona sześć kopuł i w 11 dzwonów świątynia miała górować nad miastem i symbolizować rosyjską dominację. W Warszawie stojący na Placu Saskim sobór rozebrano w latach 20. W Tallinie władze miały podobne plany, w 1928 r. uchwalono nawet stosowną ustawę ale ostatecznie świątynie ocalono. Przeciwko rozbiórce protestowali estońscy prawosławni jak i ewangelicy. Powszechnie uznano, że kościołów niszczyć nie wolno.

## Niepodległość spotyka bolszewików

Lata międzywojenne w Estonii nie były łatwe. Państwo musiało obronić niepodległość walcząc z Bolszewikami i niemieckim freikorspem, który nie zamierzał rezygnować z kontrolowania krajów bałtyckich. Sowietom Estończycy oparli się dzięki wsparciu żołnierzy i broni przysyłanych z Wielkiej Brytanii i Finlandii. W walkach na dużą skalę używano pociągów pancernych. Ostatecznie Bolszewicy zostali wyparci, a estońskie wojska ścigając ich weszły na rosyjskie terytorium i dotarły aż do Pskowa.

Wybicie się na niepodległość było początkiem długiej drogi. Estońska demokracja, jak we wszystkich nowych państwach powstałych po rozpadzie środkowoeuropejskich imperiów, przyjmowała się z trudem. Powojenna hiperinflacja, polityczne rozdrobnienie, słabość władzy… Skończyło wprowadzeniem dyktatury.

O trudach czasów międzywojennych ciekawie opowiada ekspozycja w Muzeum Ludów Estonii na starówce. Warto też spędzić godzinę w Estońskim Muzeum Morskim, które znajduje w porcie, w dawnych wielkich hangarach dla wodnosamolotów.

Tu opowieść koncentruje się na historii estońskiej marynarki wojennej i jej skromnego lotnictwa. W środku hangaru stoi Lembit – jeden z dwóch okrętów podwodnych pływających w międzywojniu pod estońską flagą. Do służby wszedł w 1936 r. jako podwodny stawiacz min. Przesłużył 40 lat. Dziś można zwiedzać jego ciasne wnętrza, stanąć przy peryskopie, przeciskać się przed śluzy prowadzące do przedziałów, usiąść na wąskiej marynarskiej koi.

## Sowietyzacja

Na ulicach Tallinna co chwila słychać język rosyjski. Ze statystyk wynika, że w liczącej niespełna 1,4 mln mieszkańców Estonii po rosyjsku mówi co czwarty, w Tallinnie ponad połowa, zaś w przygranicznej Narwie rosyjskojęzyczne jest nawet 90 proc. ludności.

To spadek po sowieckim panowaniu nad Estonią. W czerwcu 1940 r. kraj – zgodnie z zapisami paktu Ribbentrop-Mołotow został zajęty przez Armię Czerwoną, a następnie przekształcony w Estońską Socjalistyczną Republikę Radziecką. Zaczęły się represje. Szacuje się, że Sowieci w latach 40. – zaraz po zajęciu kraju i po odbiciu go jesienią 1944 r. po trzyletniej niemieckiej okupacji – deportowali na Syberię i do Kazachstanu kilkadziesiąt tysięcy Estończyków. Z katorgi wróciła garstka.

O tej tragedii w poruszający sposób opowiada Muzeum Okupacji. A za rok w znajdującym się w porcie dawnym forcie Patarei, wykorzystywanym w czasach terroru stalinowskiego jako więzienie otwarte zostanie Międzynarodowe Muzeum Ofiar Komunizmu.

Na ich miejsce w ramach sowietyzacji republiki osiedlono ćwierć miliona ludzi. Po upadku komunizmu część z nich wróciła do siebie, spośród tych, którzy zostali 90 tys. ma status bezpaństwowców. W odrodzonej Estonii, by dostać obywatelstwo trzeba zaliczyć egzamin z języka, znajomości historii i konstytucji. Dla starszych to próg nie do przeskoczenia.

A Rosja od lat wykorzystuje tarcia. Widać to było wiosną 2007 r. gdy władze Tallinna przeniosły stojący w centrum miasta pomnik Brązowego Żołnierza, oddający hołd Armii Czerwonej i uznawany przez Estończyków za symbol zniewolenia, w mieście wybuchły trzydniowe zamieszki, a na estońską sieć internetową zmasowany atak przypuścili rosyjscy hakerzy. I choć do podobnych incydentów więcej nie doszło, w dobie wojny w Ukrainie na estońskich Rosjan patrzy się podejrzliwie. Czy wśród nich są członkowie rosyjskiej piątej kolumny, która znowu będzie witać wyzwolicieli. Mam o czym myśleć w drodze powrotnej na lotnisko. ●

## Podcast
## Poznajmy naszą Europę

• **NOWY ODCINEK: Alicji Dąbrowska rozmawia z Jakubem Zygmuntem, znanym w sieci jako Sądecki Włóczykij, autorem „Inspiratora podróżniczego. Litwa, Łotwa, Estonia”.** Czy Estonia to kraj spacerowiczów? A może bardziej kraj prezydentek i premierek, skoro często rządzą nim kobiety? Jak wyglądają relacje Estończyków z naturą? Skąd się bierze ich wiara w moc drzew i dlaczego nie chcą ich nadmiernie wykorzystywać? Jakie ślady – w naturze, folklorze i literaturze – odcisnął meteoryt, który spadł na estońską wyspę tysiące lat temu? Dlaczego aż 10 proc. Estończyków śpiewa w chórach? I wreszcie – czy stąd pochodzi tradycja huśtania?

POZNAJMY NASZĄ EUROPĘ

• Chcemy rozwijać wśród Polaków poczucie europejskiej tożsamości, pokazując różnorodność krajów członkowskich Unii Europejskiej. Co tydzień na łamach „Magazynu Wyborczej” i w serwisie Wyborcza.pl będziemy publikować teksty opisujące ciekawe miejsca, tradycje i kulturę kolejnych krajów Wspólnoty.
W ramach projektu przedstawiamy także działalność Parlamentu Europejskiego i jego wpływ na życie Europejczyków. Analizujemy wyzwania stojące przed Wspólnotą, między innymi: kryzys migracyjny, wojnę w Ukrainie czy walkę z dezinformacją.
Działania współfinansowane są przez UE w ramach programu dotacji Parlamentu Europejskiego w dziedzinie komunikacji. Materiały i wypowiedzi zawarte w tekstach przedstawiają poglądy autorów. Parlament Europejski nie odpowiada za ich treść.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34414015

WE WTOREK I W ŚRODĘ W „WYBORCZEJ”

Testy dla 8-klasistów

Przykładowe arkusze egzaminacyjne do ćwiczeń

**we wtorek** – matematyka,
**w środę** – język polski

1 RP

eprasa.pl ed047e9ca2

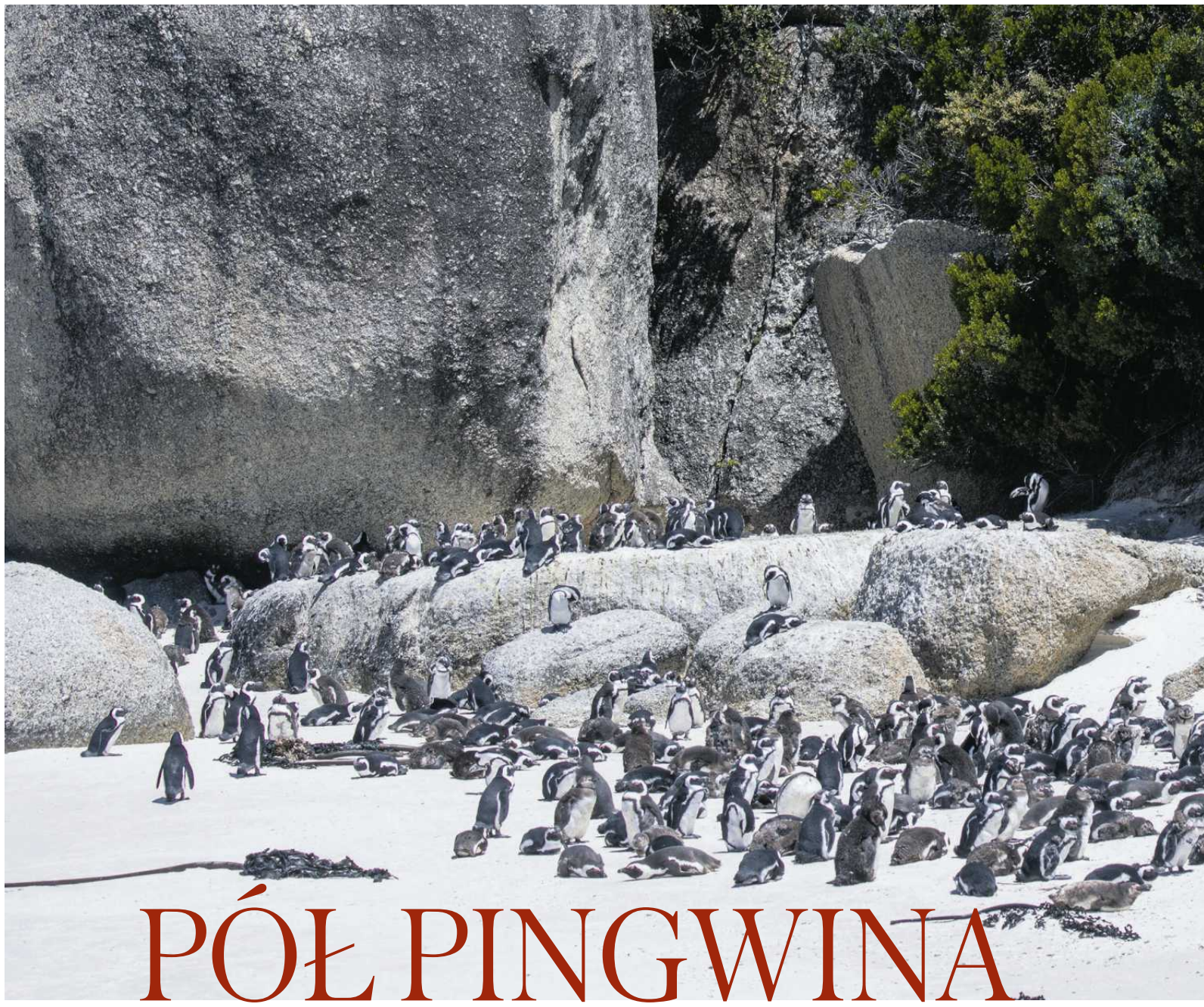

# PÓŁ PINGWINA NA OSOBĘ WIECZOROWĄ PORĄ

**Jeśli ludzie, nawet tysiącami, codziennie przechodzą obok nich, ale tą samą trasą, ptaki przyzwyczajają się do ich obecności.**

**Aleksander Gurgul**

ZACHODNIE WYBRZEŻE RPA

„Sprawdź pod samochodem, czy nie ma tam pingwinów” – brzmi napis na tabliczce przy parkingu niedaleko słynnej Boulders Beach. To jedno z tych miejsc, do których ciągną rzesze turystów odwiedzających Kapsztad, największą metropolię na zachodzie Republiki Południowej Afryki. I płacą krocie za wejście na tutejszą plażę, na której urzędują pingwiny, choć przecież w kilku innych miejscach ptaki też można zobaczyć, nie wydając ani grosza i bez ścisku.

## W Boulders Beach jak na Krupówkach

Boulders Beach znajduje się w Simonstad (ang. Simon’s Town) – to de facto przedmieścia Kapsztadu. Plażą, na którą z oceanu przypływają pingwiny afrykańskie, zarządza Park Narodowy Góry Stołowej. Można tu dojechać na kilka sposobów, ale sądząc po zapchanym parkingu, na którym grasują zawodowi naciągacze, większość turystów wybiera samochody.

W Simon’s Town mieszka Craig Foster, południowoafrykański dokumentalista, który nakręcił słynny film „Czego nauczyła mnie ośmiornica”.

Wejściówka na pingwinią plażę w Boulders Beach kosztuje 245 randów, czyli blisko 55 złotych (miejscowi płacą około jednej czwartej ceny).

Dla porównania: za bilet na cały dzień do Tatrzańskiego Parku Narodowego turyści – krajowi i zagraniczni – płacą 11 złotych. Plaża Boulders – owszem, jest wyjątkowo piękna – ale wystarczą dwie godziny, żeby przejść wszystkie ścieżki i zrobić zdjęcia pingwinom na Instagrama.

Momentami promenada i zbudowany na palach taras do podglądania pingwinów przypomina Krupówki w szczycie wakacyjnego sezonu.

## Pingwin czy osioł?

Pingwiny afrykańskie (łac. *Spheniscus demersus*), w Polsce nazywane pingwinami przylądkowymi, zamieszkują wyspy i wybrzeże RPA oraz sąsiedniej Namibii.

To tamtejszy zimny Prąd Benguelski stwarza im dogodne warunki.

Pingwiny zaczynają się rozmnażać w wieku czterech, czasem sześciu lat. Robią to w raptem 25 koloniach położonych na wyspach i w trzech miejscach na stałym lądzie. Dorastają do 65 centymetrów, ważą od 3 kilogramów (samice) do 3,6 kilograma (samce). Zazwyczaj przeżywają 10-11 lat, ale zdarza się, że na wolności dożywają sędziwych 20 lat.

Wszelkie rekordy przebiła ET (Extra-Terrestrial, czyli pozaziemska [istota]), samica trzymana w Metro Richmond Zoo w stanie Wirginia, która wykluła się w ogrodzie zoologicznym w Detroit dokładnie 28 stycznia 1980 roku, a zmarła w czerwcu 2023 roku. Łącznie przeżyła więc 43 lata, cztery miesiące i 20 dni.

ET złożyła 45 jaj, a jej najstarsza córeczka dożyła 37 lat. Samiczka przeżyła dwóch swoich partnerów życiowych. Trzecim, który został w żałobie, był Einstein.

„Ostatnie chwile ET spędziła w otoczeniu wielu pracowników, którzy opiekowali się nią przez lata. Jessica Gring, jedna z opiekunek, trzymała ET w ramionach i czuła, jak bierze ostatni oddech, a następnie odchodzi” – napisało zoo w Richmond w pożegnaniu.

– Pingwiny afrykańskie żyją tylko w miejscach, gdzie zdarza się upwelling [zimne, gęste i bogate w składniki odżywcze wody głębinowe wypływają na powierzchnię oceanu]. Czyli są endemitami – mówi Pierre de Villiers z Cape Nature, instytucji rządowej odpowiedzialnej za utrzymanie 112 rezerwatów przyrody – 106 lądowych i sześciu morskich – o łącznej powierzchni 828 tysięcy hektarów w Prowincji Przylądkowej Zachodniej (Western Cape).

Pingwin afrykański, niegdyś nazywany był pingwinem osiołkowatym (ang. *Jackass peguin*), bo ryczy jak osioł. „Odziany” jest w charakterystyczny smoking – czarny na plecach i biały na brzuchu – dzięki czemu dobrze maskuje się w wodzie przed drapieżnikami.

## Lampart atakuje

De Villiers broni zatłoczonych promenad w Boulders Beach. Uważa, że dzięki nim udaje się skanalizować ruch turystyczny. Pingwiny potrafią się do tego adaptować. Jeśli ludzie, nawet tysiącami, codziennie przechodzą obok nich, ale tą samą trasą, ptaki przyzwyczajają się do ich obecności.

Co ciekawe, czasem pingwiny w takich właśnie miejscach wyprowadzają lęgi, bo mają pewność, że dzięki obecności ludzi w okolicy nie pojawi się żaden drapieżnik lądowy.

W RPA zdarzały się ataki karakali i lampartów na pingwiny. W 2016 roku w kolonii Stony Point lampart podczas tylko jednej wizyty zagryzł 33 ptaki. Zjadł tylko dwa. Aby zapobiec takiej masakrze w przyszłości, zainstalowano fotopułapki, a wybrzeże zaczęto patrolować z psami w nadziei, że lampart wyczuje ich zapach i nie pojawi się ponownie w pingwiniej kolonii. W pobliżu rozłożono także odchody lwów, lamparty nie zwykły wchodzić lwom w drogę.

De Villiers opowiada mi o ważniejszych koloniach pingwinów afrykańskich u wybrzeży RPA oraz ich liczebności i zagrożeniach, jakie czekają na ptaki. Kolonią na wyspie Dassen Island zarządza właśnie Cape Nature. Mieszka tam około 2,6 tysiąca par lęgowych pingwinów.

– To jedna z tych kolonii, które radzą sobie obecnie najlepiej – mówi mi. Wyspa oddalona jest od lądu o mniej więcej 9-10 kilometrów. – Jeszcze 10 lat temu mówiło się, że z powodu zmiany klimatu tamtejsze ryby pelagiczne odpłyną na południe, co miałoby wpływ na pingwiny. Teraz jednak wróciły. Czasem nie jesteśmy w stanie uchwycić tych cykli. Pracujesz jako naukowiec albo zarządca przyrody nawet przez 20 lat, ale czym to jest dla życia jednego gatunku czy oceanu?

## Więzienie dla Nelsona Mandeli rajem dla pingwinów

Kolejna ważna kolonia pingwinów znajduje się na Wyspie Robben Island (*Robbeneiland*). Jest tu też słynne muzeum aparteidu. W więzieniu na Robben Island blisko 18 lat spędził Nelson Mandela, więzień numer 46664, a po obaleniu rasistowskiego reżimu w latach dziewięćdziesiątych XX wieku – prezydent RPA i laureat Pokojowej Nagrody Nobla.

Wyspę świetnie widać ze szczytu Góry Stołowej, która płasko odcina się na niebie nad Kapsztadem.

Po Robben Island obwozi nas autokar, przewodnikiem jest Craig. Przede wszystkim opowiada o cierpieniu, jakiego doznawali więźniowie polityczni, latami patrząc w kierunku świateł Kapsztadu, w którym mieszkali ich bliscy.

Pingwiny muszą mieć jednak dla przewodnika jakieś szczególne znaczenie, bo specjal-



eprasa.pl ed047e9ca2

Taras do podglądania pingwinów na plaży w Boulders Beach na przedmieściach Kapsztadu

FOT. WOLFGANG KAEHLER/LIGHTROCKET VIA GETTY IMAGES

nie dla nich robi przerwę w opowieści o rasistowskim reżimie, który przez dekady sprawował władzę w RPA.

– Wiedzieliście o tym, że pingwiny łączą się w pary na całe życie? Co roku samiec szuka tej samej samicy w okresie lęgowym – mówi Craig. I dodaje: – Wystarczy wyciągnąć jedno z nich z tego równania, aby stracić parę lęgową.

Według naukowców 80-90 procent par pozostanie ze sobą na całe życie.

Kiedy wysiadamy z autobusu, Craig prosi kilka razy, żeby przypadkiem nie zbliżać się do ptaków.

Kolonia na więziennej wyspie liczy około 680 par lęgowych.

– Wyspa jest olbrzymia, ale kolonia zajmuje tylko skrawek – mówi de Villiers. I dodaje: – Ochroną kolonii zajmują się muzeum i naukowcy z Southern African Foundation for the Conservation of Coastal Birds SANCCOB, którzy przypływają na wyspę z Kapsztadu. To takie centrum rehabilitacji morskich ptaków, rodzaj kliniki weterynaryjnej, która ma wielu darczyńców, zajmuje się między innymi pomocą młodym, dopiero co wyklutym pingwinom.

## Kwestia guano

Jednym z głównych powodów zmniejszania się populacji pingwinów afrykańskich jest to, że przez wiele lat guano ptaków morskich zasiedlających wysepki u wybrzeży Afryki wykorzystywano w rolnictwie, nawet eksportowano.

Tymczasem pingwiny potrzebują tych odchodów, by móc bezpiecznie się rozmnażać. W stertach guano wykopują nory, w których składają zazwyczaj dwa sześcio- czy siedmiocentymetrowe jaja. Pingwiniątka wykluwają się po 38-41 dniach. Guano zapewnia jajom nie tylko ochronę przed upałami – odbija promienie słoneczne, gołe skały łatwo się nagrzewają, ale także przed pasożytami.

Człowiek, na masową skalę zwożąc guano z wysp jako nawóz, poważnie zaszkodził koloniom pingwinów.

Na lądzie pingwiny budują gniazda. Kolejną po Boulders Beach kolonią na stałym lądzie jest licząca około 680 par lęgowych Stony Point w miejscowości Betty's Bay, około 75 kilometrów na południowy wschód od lotniska w Kapsztadzie. Pierwsze gniazda na tutejszych plażach odkryto na początku lat osiemdziesiątych XX wieku.

Kolonię odwiedza około 80 tysięcy turystów rocznie. Przy wjeździe samochodem naprawdę trzeba uważać – o czym informują znaki – by nie najechać na pingwina przy parkingu. Tą kolonią także opiekuje się Cape Nature. Za wejście na promenadę, z której widać sam Stony Point, trzeba zapłacić 45 randów (około 10 złotych). Ale nie trzeba wchodzić na ścieżkę, choć warto!), żeby zobaczyć morskie ptaki.

Można usiąść w kawiarni przy plaży i obserwować ptaki, sącząc zimny napój.

Kolonia w Betty's Bay, podobnie jak kolejne dwie: Dyer Island (wyspowa) w rejonie Gansbaai oraz St. Croix Island (także wyspowa, położona już w sąsiedniej prowincji Eastern Cape), są dodatkowo chronione poprzez wytyczenie morskich obszarów, w których zakazano połowów.

Dzięki temu pingwiny mogą spokojnie polować na ryby pelagiczne (głównie sardynki, śledzie i sardele), ale gdy tych brakuje, żywią się także kałamarnicami i małymi skorupiakami. Piją słoną wodę, którą potrafią filtrować, wydmuchując kryształki soli z organizmu.

*Pingwiny łączą się w pary na całe życie. Co roku w okresie lęgowym samiec szuka tej samej samicy*

## W grupie poluje sie łatwiej

Pewnego dnia wypływamy wycieczkowcem na rejs po Walker Bay. Naszym kapitanem jest Johannes. Powoli tniemy wody zatoki, słońce smaży, a dookoła stateczku skaczą delfiny. W pewnym momencie Johannes wskazuje ręką na kilka wynurzonych łebków:

– W wodzie to istne torpedy. Prawdopodobnie przypłynęły tu z drugiej strony zatoki – wskazuje na zachód, gdzie znajduje się Stony Point. Za plecami mamy z kolei Dyer Island, gdzie żyje kolejnych około 680 pingwinich par.

Pingwiny znikają pod wodą i po chwili wynurzają się kilkadziesiąt metrów dalej, jakby chciały potwierdzić słowa kapitana. Od 12 lat pływa z turystami na tutejszych wodach.

Przez większość dnia obserwujemy przede wszystkim foki, delfiny i morskie ptactwo, które co rusz nurkuje w wodzie. Tak wygląda międzygatunkowa współpraca: zwierzęta żyjące w wodzie zaganiają ryby w kierunku powierzchni, a tam czekają już na nie ptaki.

– W grupie po prostu łatwiej się poluje. Ludzie powinni się od nich uczyć – kwituje kapitan Johannes.

Pingwiny afrykańskie to świetni pływacy. W poszukiwaniu pokarmu dla młodych (aż nie osiągną dwóch do trzech miesięcy) zapuszczają się nawet do 15-20 km od kolonii.

Żeby dobrze odkarmić małego pingwina, trzeba mu dostarczyć około 25 kilogramów ryb.

Prędkość, z jaką przemieszczają się w morskiej toni, szacuje się na 3 kilometry na godzinę, ale zagrożone potrafią przyspieszyć do 10, a w ekstremalnych przypadkach aż do 19 kilometrów na godzinę.

Znakomicie też nurkują, zazwyczaj na głębokość około 50 metrów, ale potrafią nawet do 130. Pod wodą świetnie widzą – na lądzie są krótkowidzami – i potrafią nie wynurzać się nawet przez dwie minuty.

## Sztuczne gniazdo

Ostatnią, najdalej na wschód wysuniętą kolonią pingwinów jest Bird Island w pobliżu Port Elizabeth, w której – jak szacuje de Villiers – żyje mniej więcej 1,9 tysiąca par lęgowych pod opieką parku narodowego.

Oprócz zagrożeń ze strony człowieka, który historycznie zabierał im jaja jako przysmak, a obecnie z globalnym ociepleniem na czele, pingwiny muszą zmagać się z drapieżnikami. Na jaja polują mewy południowe, natomiast dorosłe osobniki muszą uważać w wodzie na foki, a czasem na rekiny, których sporo pływa u wybrzeży RPA.

Żeby wesprzeć jakoś pingwiny, pracownicy Cape Nature zakładają sztuczne gniazda, w których ptaki mogą bezpiecznie złożyć jaja. Najlepszym miejscem, w którym można je zobaczyć, jest Stony Point w Betty's Bay.

– Badania nad warunkami panującymi w norach wykopanych w guano zaczęły się jakieś 10-15 lat temu. Mierzono temperaturę i wilgotność. Na tej podstawie zaczęto produkować różne modele sztucznych gniazd – wspomina de Villiers. Wykorzystywano porcelanę, cement, drewno, włókna szklane, ale ptaki wciąż umierały z przegrzania.

Wciąż problemem były pasożyty, w tym pchły i kleszcze, które upodobały sobie sztuczne gniazda. – Zaczęliśmy więc zmieniać pozycję gniazd i odkażać glebę, bez użycia toksyn – mówi de Villiers.

Szacuje, że sztucznych gniazd jest dziś około 500 we wszystkich koloniach.

De Villiers podkreśla jednak, że ważny jest konsekwentny monitoring gniazd, by móc wysunąć wnioski na przyszłość.

Dziś sztuczne gniazda mają dwie warstwy oddzielone pięciocentymetrową szparą, by zapewnić przepływ powietrza i chłodzenie, oraz 24 otwory wentylacyjne. Kształt gniazd ma chronić mieszkańców nie tylko przed żywiołami, ale także przed drapieżnikami – wejście ma szerokość 20 centymetrów. Wykonywane są ręcznie poprzez nakładanie na formę mieszanki geowłókniny nasączonej zawiesiną proszku ceramicznego, wody i środka hydroizolacyjnego.

## Złodzieje jaj

– Tekst był napisany dosyć emocjonalnie, ale miał przykuć uwagę – tak de Villiers komentuje artykuł opublikowany na łamach pisma „Ostrich: Journal of African Ornithology" pod koniec ubiegłego roku. Autorzy szacowali, że po 2004 roku RPA straciło mniej więcej 62 tysiące pingwinów w dwóch koloniach: Dassen Island oraz Robben Island, które są kluczowe dla powodzenia gatunku. Stało się to głównie po załamaniu się ławic sardynek. Mówiąc prostymi słowami: ptaki umarły z głodu, co zresztą wybito do tytułu w „Guardianie".

De Villiers uważa, że oprócz braku pożywienia kolonie zaliczyły spadek populacji z powodu wydobycia guano i drapieżników.

– Młode samce fok czają się w pobliżu kolonii. Nie są to dominujące samce, raczej takie stadko kawalerów, można powiedzieć. Czekają na to, kiedy pingwiny wrócą po polowaniu na ryby, i rozpruwają im brzuchy. Czasem więc wystarczy, że foka poleży sobie na skałach, a potem złapie pięć pingwinów i zje dzięki temu pięć kilogramów ryb. Pomnóż to teraz przez cały rok, matematyka nie kłamie. Znajdujemy martwe, rozprute pingwiny wyrzucone na brzeg – opowiada de Villiers.

W miejscowości Yzerfontein (na północ od Kapsztadu) znajduję tablicę z danymi od Cape Nature. Czytam na niej między innymi, że jeszcze pod koniec XIX wieku tylko kolonia na Dassen Island, do której można szybko dotrzeć łodzią z portu w Yzerfontein, liczyła półtora miniona osobników.

Co najbardziej przyczyniło się do spadku populacji w tej kolonii? Szacuje się, że latach 1900-30 ludzie ukradli pingwinom około 13 milionów jaj, średnio 433 tysiące rocznie.

Tylko w jednym 1919 roku ludzie zabrali z wyspy około 600 tysięcy jaj.

Praktyki tej zakazano dopiero pod koniec lat sześćdziesiątych XX wieku.

Ile dziś par lęgowych pingwinów afrykańskich żyje w RPA? Mówi się, że może ich być około 8 tysięcy.

– Kiedyś drapieżnictwo fok nie stanowiło problemu, dziś musimy zacząć tym zarządzać – dodaje de Villiersa na koniec rozmowy. W RPA trwa w związku z tym ożywiona dyskusja nad odstrzałem fok w celu ochrony pingwinów. De Villiers uważa, że zezwolenia na odstrzał powinny zostać wydane jak najszybciej.

Jeszcze innymi zagrożeniami są: przełowienie oceanu przez komercyjne firmy; przyłów: pingwiny często trafiają do sieci rybackich, toną, a potem są wyrzucane na otwartym morzu, by zatrzeć ślady. Zabójcze zwłaszcza okazują się sieci skrzelowe; wycieki ropy naftowej ze statków przewożących to paliwo. Do najstraszniejszego doszło 23 czerwca 2000 roku pomiędzy Dassen Island a Robben Island, gdy z jednostki „Treasure" wyciekło kilkaset ton ropy; zanieczyszczenie oceanu mikroplastikiem; podmorski hałas; nadmierna urbanizacja wybrzeża.

Na tablicy w Yzerfontein czytam, że pierwsze regulacje prawne w kwestii pingwinów w tej części świata ustanowił 14 kwietnia 1654 roku Jan van Riebeeck z Holenderskiej Kompanii Wschodniej, pisząc, że kolonistom przysługuje „tylko pół pingwina na osobę wieczorową porą".

W październiku 2024 roku pingwin afrykański stał się pierwszym gatunkiem pingwina na świecie, który został wpisany przez Międzynarodową Unię Ochrony Przyrody na listę gatunków krytycznie zagrożonych.

Eksperci alarmują, że jeśli nie zostaną podjęte skuteczniejsze działania, gatunek ten wymrze do 2035 roku.

Na tablicach ustawionych w Boulders Beach przeczytałem z kolei, że tą datą jest rok 2050.

– Jeśli zintensyfikujemy nasze działania, możemy odwrócić tę sytuację – kwituje de Villiers. ●



eprasa.pl ed047e9ca2

KULTURA OBYCZAJE

# Szukaj, póki nie

**Wiosną ciała osób, które utonęły, wypływają na powierzchnię.** Pomagałem Danielowi zabezpieczyć ciało, a równolegle starałem się to rejestrować.

Z **MICHAŁEM MARCZAKIEM** REŻYSEREM FILMU „BEZ KOŃCA" ROZMAWIA **EMILIA DŁUŻEWSKA**

**16-letniego Krzysztofa Dymińskiego ostatni raz widziano 27 maja 2023 r. Kamery monitoringu miejskiego zarejestrowały go nad ranem na Moście Gdańskim. Przez ponad pół roku towarzyszyłeś Danielowi Dymińskiemu, który w Wiśle szukał ciała syna. Nakręciłeś o tym film „Bez końca". W jednej z pierwszych scen Daniel znajduje w rzece ciało. Co czułeś?**

–To nie był pierwszy raz. Kręciliśmy tę scenę wiosną. Kiedy robi się cieplej, ciała osób, które utonęły, wypływają na powierzchnię. W tamtym czasie znaleziono ich kilka. W takich sytuacjach nie skupiałem się na sobie, wchodziłem w tryb zadaniowy. Zwłaszcza że łódka była mała, nie było w niej miejsca na stojącą z boku ekipę filmową. Często płynęliśmy z Danielem sami albo tylko z osobą od dźwięku. Więc pomagałem mu zabezpieczyć ciało, a równolegle starałem się to rejestrować.

Wiesz, ja takie sytuacje przeżywam, ale nie tak, że potem nie śpię w nocy. Chyba po prostu miałem tyle tragedii w życiu, że nauczyłem się takie rzeczy przyjmować.

**Kiedy zacząłeś nagrywać film, Daniel poszukiwał syna już od roku. Śledziłeś tę sprawę wcześniej?**

– Nie słyszałem ani o zaginięciu Krzysztofa, ani o poszukiwaniach. A nawet gdybym słyszał, nie przyszłoby mi do głowy, że jako filmowiec mógłbym się odezwać do rodziny w takiej sytuacji.

Daniela poznałem przypadkiem, na Wiśle. Płynęliśmy tratwą z żoną, szukaliśmy lokacji filmu fabularnego, do którego napisaliśmy scenariusz. Był z nami nasz synek, ekipa znajomych. Zrobiło się ciemno, a nam rozładowały się latarki. Był wir, nie mogliśmy przybić do wyspy. Zaczęło się robić niebezpiecznie. Nagle na brzegu pojawił się człowiek, który pomógł nam dopłynąć. Zaintrygował mnie; nie wyglądał na wędkarza, miał ze sobą jakiś superzaawansowany sprzęt. Spytałem, czy poszukuje skarbów.

Historia Daniela mną wstrząsnęła. Znałem już Wisłę, wiedziałem, jak niebezpieczną jest rzeką. Widziałem trud Daniela, jego ogromną determinację.

Skojarzył mi się z bohaterem Hemingwaya czy „Fitzcarraldo", a zarazem zobaczyłem w nim siebie. Wiele wtedy z żoną rozmawialiśmy o byciu rodzicem, o tym, jak nawigować w tym dziwnym świecie, w którym nasze dzieci będą dorastać. Nie mogłem przestać o tym myśleć. Odezwałem się do Daniela i zapytałem, czy mógłbym z nim popłynąć.

**Wiedziałeś już wtedy, co chcesz nakręcić?**

– Nie, i powiedziałem to Danielowi i Agnieszce szczerze. Wiedziałem tylko, że nie chodzi mi o sensację, rozwiązywanie tajemnicy. Potem, na łódce, zobaczyłem, jak ta historia na mnie działa. Zacząłem zadawać sobie pytania o własne życie, o moje decyzje jako ojca. Zdecydowaliśmy z żoną, że fabuła poczeka.

**Daniel zgodził się na film od razu?**

– Jakoś tak wyszło, że szybko sobie zaufaliśmy. Myślę, że rozpoznaliśmy w sobie podobne cechy charakteru, upór, potrzebę działania nawet wbrew światu. Obydwaj jesteśmy też bardzo techniczni. Daniel konstruuje sprzęt do poszukiwań. Ja budowałem własny sprzęt do filmów, wymyślałem systemy montowania kamer, drukowałem części na drukarkach 3D, lutowałem po nocach. Szybko zaczęliśmy razem rozkminiać, jak można przyspieszyć poszukiwania. Ja pomagałem mu nosić jego sprzęt, on mnie mój. Zostaliśmy drużyną.

Rzecz jasna, zastanawiałem się, czy to moralne, żeby pakować się komuś w życie, robić film o tak bolesnym temacie. Nie zdawałem sobie wtedy sprawy z tego, jak bardzo historia była głośna. Kiedy Krzysztof zaginął, Daniel i Agnieszka występowali w mediach, na komisji sejmowej, udzielali wywiadów, licząc na to, że pomoże im to znaleźć syna. I zapłacili za to wysoką cenę.

**W wywiadach Agnieszka opowiadała, że ktoś wielokrotnie do niej dzwonił, podszywając się pod Krzysztofa, że próbowano wyłudzić od nich pieniądze.**

– Tak, jakaś mafia, niby okup za syna. Koszmarna sytuacja, podła, ale przynajmniej rozumiem, co za nią stało – ktoś próbował wzbogacić się ich kosztem.

To, co kompletnie nie mieści mi się w głowie, to bezinteresowny hejt. Ludzie, nie mając pojęcia o tej rodzinie, kompletnie nie znając ich sytuacji, wypisują oceniające ich, nienawistne komentarze. To podłość, której nie jestem w stanie pojąć.

Mam nadzieję, że po tym filmie Daniel i Agnieszka dostaną też współczucie, na jakie zasługują. Nie wiem,

FOT. MATERIAŁY MICHAŁA MARCZAKA

eprasa.pl ed047e9ca2

# zobaczysz ciała

czy zrekompensuje im to te potworne komentarze, ale może choć trochę je wyrówna.

**Pokazujesz dużo miłości, ale też napięcie, które pojawia się w rodzinie. Życie Daniela jest całkowicie podporządkowane poszukiwaniom. Na rodzinną imprezę jedzie spóźniony, nie ma czasu nawet się przebrać. W jednej ze scen stoi w Wiśle, jedną ręką trzyma laptop i uczestniczy w zebraniu w pracy, a drugą przeszukuje dno. Obiecuje: popływam do końca jesieni, potem: do nowego roku. Przychodzi wiosna, a on nadal jest na Wiśle.**
– Rozumiem to napięcie, bo rozumiem obie perspektywy. Nie mam pojęcia, jak sam bym się zachował w takiej sytuacji. Z jednej strony jest świadomość, że trzeba kiedyś te poszukiwania skończyć, wrócić do normalności, że rodzina potrzebuje spokoju. Z drugiej poczucie, że normalności nie będzie, póki nie będzie odpowiedzi. A zarazem nie ma gwarancji, że kiedykolwiek się ją znajdzie.

Takie życie w zawieszeniu, ciągłej niepewności jest koszmarnie wyczerpujące i niszczące. Łatwo powiedzieć, że kiedyś trzeba przestać szukać. Ale jak zdecydować: „okej, to teraz”? To wybór jak z greckiej tragedii.

**Daniel pomógł znaleźć już kilka ciał, część udało się zidentyfikować. Dlaczego służby nie przeszukują Wisły tak jak on?**
– Nie winiłbym konkretnych osób w służbach. Często robią, co mogą, tylko mają ograniczone zasoby i czas. To problem systemowy. Po zaginięciu jest krótkie okno, zwykle kilka dni intensywnych działań. A potem, przy braku ludzi i sprzętu, te poszukiwania siłą rzeczy wygasają i zostaje liczenie na to, że rzeka sama coś odda albo ktoś przypadkiem natrafi na ciało.

***Michał Marczak**

• ur. 1982 r., reżyser, scenarzysta, montażysta, operator i producent filmowy. W 2016 r. jego film „Wszystkie nieprzespane noce” zachwycił krytyków i zdobył nagrodę dla najlepszego dokumentu na festiwalu Sundance. „Bez końca” to jego czwarty film. Polska premiera w maju na festiwalu Millennium Docs Against Gravity.

FOT. SZYMON ROGIŃSKI

Poszukiwania wymagają ogromnej energii, determinacji, ale i środków. Daniel i Agnieszka nie poradziliby sobie bez dobrej woli innych osób, często zupełnie obcych. Założyli fundację i zbiórkę, na którą ludzie wpłacają pieniądze na poszukiwania. Ktoś poruszony ich historią zadzwonił, że chce pomóc, i przywiózł im najdroższy sonar. Daniel sam konstruuje sprzęt do poszukiwań, często lepszy niż ten, który mają służby. Policjanci pytają, skąd go ma. Bo oni mają podwodne kamery za kilka tysięcy, których boją się porysować, a on wymyślił, jak połączyć ze sobą chińskie kamerki, które kosztują 250 złotych, są lekkie i wszędzie się wcisną.

Na terenie Warszawy jest na ogół poszukiwanych kilka-kilkanaście osób, co do których są mocne podejrzenia, że są w rzece. Kiedy znajdowaliśmy element garderoby albo coś innego, co mogło pomóc w identyfikacji, wrzucaliśmy to na grupę na WhatsAppie dla bliskich zaginionych.

**Jak reagują te rodziny?**
– Byłem przy tym, jak Daniel pomógł pewnej rodzinie. Spotkaliśmy się z nimi ponownie dzień po tym, gdy udało się zidentyfikować ciało. To byli inni ludzie. Jasne, pogrążeni w ogromnej żałobie, ale ta żałoba była niczym w porównaniu z horrorem niewiedzy. Póki nie zobaczysz ciała, jest w tobie odrobina nadziei, ale ta nadzieja rozwala cię od środka. Nie daje ci przeżyć straty i pogodzić się z nią.

Paradoksalnie tym, co dawało Danielowi momenty spokoju, była Wisła. Wyciągnięcie łódki i powrót do domu zajmuje mu kilka godzin, a ten cenny czas można przeznaczyć na poszukiwania, więc czasem po prostu nocowaliśmy gdzieś na brzegu albo na wyspach. Po całym dniu poszukiwań i silnych emocjach przychodziło wyciszenie. Paliliśmy ognisko, dużo rozmawialiśmy o sensie tego wszystkiego, o życiu.

**Zmienił cię ten film?**
– Każdy film mnie zmienia, po to je robię. Przy pracy nad tym uświadomiłem sobie, że ja też mam żałobę, której nie pozwoliłem sobie przeżyć. Mój tata zginął w wypadku, kiedy miałem 11 lat. Uciekłem wtedy do kina. Oglądałem po pięć czy sześć filmów dziennie. Dopiero tam, na Wiśle, znalazłem przestrzeń, by to sobie poukładać. Nie porównuję tych dwóch sytuacji, ale myślę, że jakieś paralele na mnie zadziałały. Bo czułem, że muszę ten film zrobić.

Agnieszka po obejrzeniu filmu powiedziała, że jest straszny, bo ich życie wtedy było straszne. Niestety, się z nią zgadzam.

**A teraz?**
– Od zaginięcia Krzysztofa minęło dwa i pół roku. Daniel i Agnieszka nadal nie wiedzą, co się z nim stało. Nie znaleźli ciała, nie porzucili też całkowicie nadziei, że Krzysztof jeszcze żyje. ●

• *Dzięki Danielowi udało się znaleźć i zidentyfikować ciała kilku innych osób. W lipcu 2024 r. uratował dwie osoby, których łódka przewróciła się na Wiśle. Wciąż nie udało się znaleźć śladu Krzysztofa.

• *Film był pokazywany na Sundance. „Druzgocące studium miłości i straty” – pisze „Variety”; „Poruszający do trzewi i niepozwalający o sobie zapomnieć” – to IndieWire. „Rolling Stone” dodaje, że długo wyczekiwany film to dowód na to, że Marczak „jest jednym z najlepszych współcześnie filmowców zajmujących się non-fiction”. „Jeden z najlepszych dokumentów Sundance 2026” – pisze Brian Tallerico, naczelny portalu RogerEbert.com.

• Kadr z filmu „Bez końca”

**• Osoby, które mogą wiedzieć coś o losach Krzysztofa Dymińskiego, proszone są o kontakt pod numerem telefonu 604 944 800 lub na adres mejlowy zaginiony@dyminski.pl. Rysopis Krzysztofa, relacje z jego poszukiwań i inne informacje można znaleźć na stronie www.dyminski.pl.**

eprasa.pl ed047e9ca2

# SZCZEROŚĆ ZNAJDZIESZ NA TIKTOKU

Dziś studenci uważają, że jeśli praca magisterska nie jest w jakimś stopniu o nich, **to nie ma sensu.**

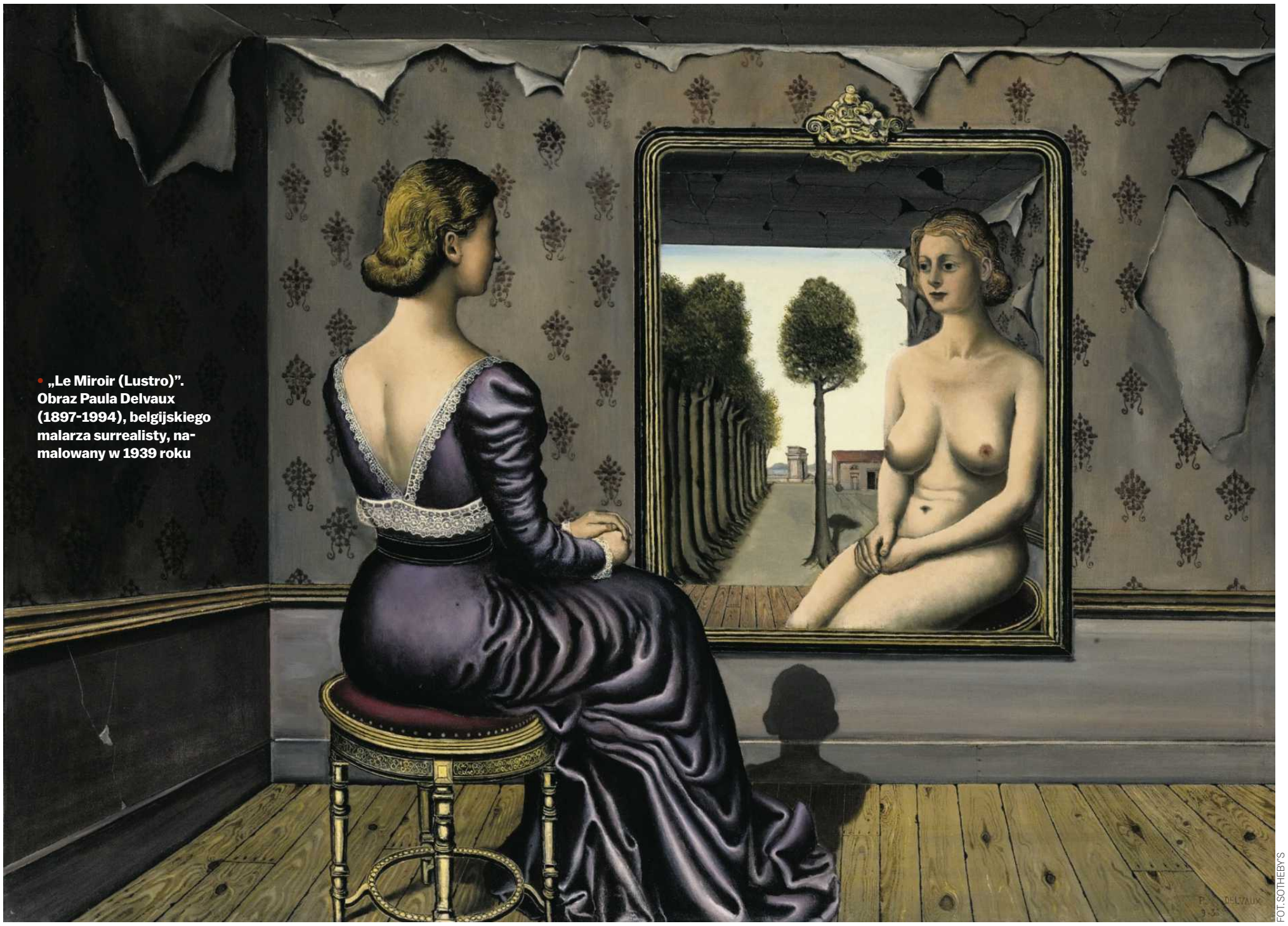

• „Le Miroir (Lustro)". Obraz Paula Delvaux (1897-1994), belgijskiego malarza surrealisty, namalowany w 1939 roku

FOT. SOTHEBY'S

Z **JUSTYNĄ JAWORSKĄ***, PRZEWODNICZĄCĄ JURY NAGRODY LITERACKIEJ „NIKE" ROZMAWIA **SEBASTIAN SŁOWIŃSKI**

**Wygłaszając laudację na cześć Elizy Kąckiej na gali Nagrody Literackiej „Nike", powiedziałaś, że „zmęczona konwencjami literatura odczuwa potrzebę nowej szczerości – nawet ryzykując, że się ośmieszy lub odsłoni za dużo. Bez tego ryzyka nie ma spotkania". Dlaczego akurat „nowej"?**

– Szczerość to bardzo stare pojęcie, intuicyjnie zrozumiałe, ale po drodze zdążyło parę razy zmienić znaczenie, przynajmniej w literaturze, więc faktycznie powinnam się wytłumaczyć... Taka „przedliteracka" szczerość przejawiała się po prostu między ludźmi, w komunikacji, sytuacyjnie. Cnota prawdomówności służyła za fundament paktów czy umów, mówimy przecież o „kupieckiej uczciwości" albo o „szlacheckim słowie honoru", za oszustwo i szalbierstwo karano.

To najprostsze rozumienie opierało się jednak na założeniu, że istnieje jakaś obiektywna prawda i można o niej wobec ludzi zaświadczyć albo się jej sprzeniewierzyć, słowem: skłamać. Przełom w rozumieniu kategorii szczerości przyniosły dopiero „Wyznania" Rousseau.

Jan Jakub nie był bowiem zainteresowany tym, czy zostanie przez czytelników uznany za prawdomównego, chodziło mu raczej o uczciwość wobec samego siebie, wobec swojej wewnętrznej prawdy. W tym zwrocie, którego dokonał Rousseau, ustanowił się później romantyzm, z jego poetyckim gestem odsłaniania tajemnic duszy, a następnie modernizm przełomu wieków z pojęciem autentyzmu.

**Jakiś przykład?**

– Podam maturalny – weźmy poetów młodopolskich, którzy opisywali swoje wewnętrzne krajobrazy. Nie można im było zarzucić, że kłamią, bo to nieweryfikowalne. Możemy jednak zastanawiać się, na ile byli w swoim języku autentyczni, czyli oryginalni, wierni sobie, a nie konwencji. I tak to szło do momentu, w którym pojawiły się rozmaite gry z autentyzmem. Choćby u Gombrowicza. A potem, w drugiej połowie XX wieku, postmodernizm wszystko (łącznie z autorem) zamyka w ironiczny nawias. Bo co mówią postmoderniści?

**Że nie istnieją autentyczne, pierwotne przeżycia.**

– Tak, zatem autentyzm staje się niemożliwy, bo do wyrażania siebie i swojej wewnętrznej prawdy trzeba mieć jakieś twarde „ja", jakąś uchwytną tożsamość, a postmodernistyczna sztuka ją podmywa. Nie ma już żadnego „ja". Są gry, symulacje, pastisze, kolaże. Jesteśmy tylko pustym naczyniem na sensy. Postmodernizm skompromitował szczerość, bo jak można być szczerym, skoro albo nie wiesz, kim jesteś, albo codziennie jesteś kimś innym?

**Chwileczkę. Mam wrażenie, że są dwa postmodernizmy. Jeden to ten szkolny, o którym uczymy się, że wszystko jest płynne, że można być tym, kim się chce. To postmodernizm przynoszący relatywizm, a razem z nim dający często jednostce pewną siłę wyrazu i sprawczość w konserwatywnym świecie. Ale jest też drugi postmodernizm, który jest, jak nazwał go Fredric Jameson, amerykański socjolog i krytyk literacki, logiką późnego kapitalizmu.**

– Rzeczywiście. Choć to nie tyle sprzeczność, ile dwa sposoby rozumienia jednego zjawiska: to prawda, że pojawia się większa płynność i swoboda ekspresji, i to prawda, że ta płynność nakręca rynek, zostaje utowarowio-



eprasa.pl ed047e9ca2

na. Można tu jeszcze opowiadać o roli nostalgii, śmierci autora i tak dalej, dla mnie jednak kluczową cechą postmodernizmu jest ironia. O ile bowiem moderniści uprawiali sztukę autentyczną i byli w tym serio, to postmoderniści stanęli na stanowisku, że „serio" się nie da, bo skoro wszystko już było, pozostają nam pastisze, parodie, konwencje, powtórzenia. Możemy się już tylko bawić.

**Pisał o tym David Foster Wallace, którego książkę właśnie trzymasz pod ręką.**
– To ważny pisarz dla nowej szczerości, czyli dla metamodernistycznej formacji kulturowej, która miałaby zastąpić „zużyty" postmodernizm. W eseju „E unibus pluram" z 1990 roku Wallace rozprawiał się z amerykańską telewizją jako typowym medium postmodernistycznym, z jej prześmiewczymi, ironicznymi formami przekazu, jak sitcomy, śmiech z puszki, przekąs reklam czy dystans prezenterów. W takim szyderczym strumieniu nie można już było odróżnić informacji od kpiny z informacji.

My w latach osiemdziesiątych wiedzieliśmy, że telewizja kłamie, ale miało to kontekst polityczny: zakładaliśmy, że po zniesieniu cenzury i przymusu propagandy media zaczęłyby mówić prawdę. Amerykańska telewizja w pewnym sensie kłamała cały czas po prostu dlatego, że nieustannie puszczała do widza oko.

Wallace'a przerażało to „ironiczne oglądactwo", to odklejenie od rzeczywistości i pisał o potrzebie nowej szczerości, czyli prostodusznej międzyludzkiej komunikacji, takiej uczciwej czy nawet poczciwej, bo celowo naiwnej. Użył na to określenia „poinformowana naiwność", bo przecież powrót do poważnej prostoty uczuć nie był już w pełni możliwy w czasach, gdy wszyscy oglądali telewizję. A przeciętny Amerykanin oglądał wtedy telewizję przez sześć godzin dziennie.

**Ale dziś scrollujemy. I to o wiele dłużej niż sześć godzin dziennie.**
– Właśnie to jest pytanie, czy TikTok albo Instagram nie są mediami typowymi dla metamodernizmu – obecnej formacji, która oscyluje między dawną postmodernistyczną ironią a jeszcze dawniejszą modernistyczną powagą i głodem autentyzmu, czyli ekspresji „ja" (byłby to więc, zaryzykujmy skrót, taki modernistyczny ekshibicjonizm, ale kontrolowany konwencją i algorytmem). Spróbujmy jednak domknąć poprzedni wątek i dopowiedzieć, dlaczego nowa szczerość jest „nowa". Otóż w pewnym momencie nastąpił przesyt szantażem ironii, wyczerpanie kulturą wyczerpania...

**John Barth w eseju „Literatura wyczerpania" pisał, że niemożliwe są wielkie narracje i klasyczne formy.**
– I sam popełnił grubą powieść „Bakunowy faktor", która jest pastiszem dawnych narracji łotrzykowskich. Potem jednak przyszedł moment zmęczenia pastiszem. Ileż można w kółko łykać przeróbek i sitcomów? Sytuacja, w której nie możemy się czymś przejąć na serio, bo się ośmieszymy, staje się męcząca. Postawa sceptyczna i nieustanne rozkodowywanie kodów też nużą. To jest fajna gra, ale blokuje prawdziwe wzruszenie. Więc trochę się nam to przejadło, a trochę okazało się nieskuteczne, bo było chłodne, cyniczne. Pozwalało się mądrzyć, ale działało alienująco i utrudniało bezpośrednią komunikację i emocjonalny odbiór.

I tu wkracza David Foster Wallace ze swoją naiwnością poinformowaną: już wiemy, że powrót do prawdziwej szczerości jest niemożliwy, bo za nami za dużo gier, ale umawiamy się na to, by tworzyć sztukę i komunikować się tak, jakby ta szczerość była możliwa. Zamiast puszczać do siebie oko, próbujemy spojrzeć sobie w oczy, powiedzieć coś naprawdę. Oczywiście ze świadomością, że to jest podatne na wyśmianie.

**Mówiłaś, że tak jak telewizja była medium postmodernizmu, tak platformy społecznościowe są medium nowej szczerości. Gdzie widzisz tę szczerość?**
– Mam wrażenie, że nowoszczery jest sam pomysł, by zwykli ludzie, bez zawodowych kompetencji, wrzucali do takich serwisów rolkę, w której opowiadają całemu światu o własnych problemach. Oczywiście później „nowoszczerzy tiktokerzy" zbierają obserwatorów, tracą wiele z początkowej naiwności, podlegają formatowaniu i tak dalej, ale u zarania zaczyna się od tego, że każdy może opowiedzieć o sobie. TikTok, który dociera do bardzo młodych osób, ale i wspólnototwórczy z założenia Facebook kręcą się za sprawą wiary, że każdy jest nowym Rousseau, każdy ma swoje „Wyznania" i uważa je za warte upowszechnienia. A to, że je później kapitalizuje, że nimi gra, to już pewna ironia...

**Nowa ironia?**
– Nowa ironia!

**Mam jednak nieodparte wrażenie, że te „nowe media", dając pozornie wolność wypowiedzi i gwarancję autentyczności, wpisują się w logikę kapitalizmu i mało mają wspólnego ze szczerością.**
– Tak, na pewno nowa szczerość zjada własny ogon, albo inaczej: choć to smutna konstatacja, mechanizmy rynkowe zjedzą wszystko. Nawet tkwiące w ludziach pragnienie bezpośredniości, naiwna potrzeba kontaktu i wspólnoty też okazują się kapitalizowane.

**Ale może relacje i bliskość, które się postuluje, są do obronienia. Może nie w świecie cyfrowym, ale tak normalnie w życiu...**
– Kiedy patrzę na swoich studentów, to widzę tę potrzebę. Oni są przede wszystkim ciekawi siebie, zaangażowani, pochłonięci kwestiami tożsamości i tym, jak się czują. Jakiś czas temu chcieliśmy dla zreformowania programu sprawdzić, czym się interesują nasi studenci i studentki na kulturoznawstwie. Zestawiliśmy tematy ich licencjatów i magisterek i wyszło nam, że interesują się... sami sobą.

Zabrzmię boomersko, ale w naszym pokoleniu takie sprawy jak orientacja i tożsamość seksualna, klasa, pochodzenie czy dobrostan psychiczny były dość prywatne, nie robiliśmy z nich tematów prac naukowych. Jasne, gdzieś tam coś przemycaliśmy, ale jednak uważaliśmy, że należy zająć się czymś wobec nas zewnętrznym. Nie mieliśmy odwagi mówić o sobie. A dziś studenci uważają, że jeśli ich praca nie jest w jakimś stopniu o nich, to nie ma ona sensu. To też element zwrotu ku nowej szczerości. W dużej mierze generacyjny.

**Tak, ale z drugiej strony to, o czym mówisz, wpływa na budowę negatywnego wizerunku pokolenia zet. Że płatki śniegu, że poza sobą nic nie widzą...**
– Ale czy to źle? Może lepiej poddać refleksji własną tożsamość, niż żyć w stłumieniu i całe życie coś spychać, bo „nie wypada" się zastanowić nad tym, kim się jest? Napisanie licencjatu czy magisterki o sobie ma pewien walor autoterapii. Dobrze pamiętam twoją pracę z Instytutu Kultury Polskiej, której byłam recenzentką.

**To było prawie sześć lat temu!**
– Ale przecież też poniekąd napisałeś o sobie. Teraz jesteś w innym miejscu, pewnie inaczej już patrzysz na różne rzeczy, ale wtedy chciałeś się dookreślić, a nawet coś zamanifestować. Do pewnego stopnia to jest zdrowe i potrzebne, choć w pewnym momencie dochodzi się z taką postawą do ściany.

**No właśnie, zajmując się tylko sobą, zamykamy się w skorupie orzecha i nie ma nas dla świata.**
– Patrzę na to dialektycznie: pisanie o sobie to pewien etap. Jak już załatwimy w ten sposób swoje osobiste sprawy, moglibyśmy zająć się czymś innym, bo życie jest ciekawsze niż my sami. I choć widać ostatnio wielką karierę autofikcji – weźmy Annie Ernaux, Didiera Eribona i mniej świetnych naśladowców – to na dłuższą metę dla kultury jest jakoś jałowe, by ciągle kręcić się wokół własnych traum, urazów, resentymentów.

Wciąż jednak ulegamy złudzeniu, że absolutna otwartość w sztuce jest – po pierwsze – możliwa, a po drugie – wartościowa artystycznie. Bardzo ciekawie mówi o tym Ann Kornbluh w książce „Immediacy" (Bezpośredniość), którą polecił mi mój doktorant Łukasz Kiełpiński zajmujący się naukowo nową szczerością i metamodernizmem.

Kornbluh pokazuje pułapkę bezpośredniości: dowodzi, że jeśli literatura postawi na pełną szczerość i „przezroczystość", przestaje być literaturą. Znikają elementy zapośredniczenia, kreacji i metafory, za które cenimy pisarską robotę. Rewolucja odkłamywania prowadzi do tego, że możemy złapać się za ręce niczym na terapii grupowej i zacząć opowiadać o sobie. Okej, ale to daleko nas nie poniesie. Nie będzie w tym sztuki.

*Do wyrażania siebie i swojej prawdy trzeba mieć jakąś tożsamość, a postmodernistyczna sztuka ją podmywa. Nie ma już żadnego „ja". Są gry, symulacje, pastisze, kolaże. Jesteśmy tylko pustym naczyniem na sensy*

**Zastanawiam się, czy drugą stroną nowej szczerości może być zwrot konserwatywny. Dużo ludzi, w tym młodych, zwraca się ku tradycji, także w wymiarze politycznym, sądząc, że to właśnie tam jest prawda. Nie w osobistych doświadczeniach i traumach, ale w tym, co długo było marginalizowane: w religii i patriotyzmie.**
– To ciekawe. Wszystkie te ironiczne postnarracje, relatywizm, ucieczki od wielkiej historii w stronę historii prywatnych doprowadziły do sceptycyzmu i alienacji, bo skoro w nic się nie wierzy, to i w nic nie można się zaangażować. Nowa szczerość rodzi się więc także ze zmęczenia tą sytuacją i z pragnienia nowej wspólnotowości, „nowego serio". A to jest pragnienie bardzo pojemne, dlatego metamodernizm może mieć swoją odmianę konserwatywną, to logiczne.

Dawna szczerość wymagała odbiorcy, na przykład rycerz dawał słowo honoru komuś, kto je przyjmował – to była transakcja. Nowa szczerość próbuje wrócić do tej transakcyjności, potrzebujemy w końcu kogoś, kto przynajmniej wziąłby nasze słowa na poważnie. Mamy więc powagę, a nawet ideologiczny patos na prawicy, ale też swoisty patos na lewicy – czego przykładem mogą być niektóre „nowoszczere" spektakle teatralne. Odpowiedzią mogą być zarówno wartości rodzinne czy religia, jak i aktywizm. Obie strony, przepraszam za banał, szukają wspólnoty.

**Jak i gdzie można się zatem znaleźć razem? Myśląc o nowej szczerości, wyobrażam sobie wspólnotę ponad antagonizującymi podziałami.**
– W zasadzie, w swoim najlepszym wydaniu, sztuka nowej szczerości tak powinna działać: ponad podziałami. Gdyby się udało zrobić na przykład spektakl, który wzruszy konserwatystów, liberałów i lewaków... Ale teatr się spolaryzował i tu już nawet nie chodzi o to, że takich przedstawień nie ma, tylko nie ma tak zróżnicowanej publiczności – każdy i tak chodzi tam, gdzie mu bardziej po drodze. Może to by było zadanie dla Teatru Telewizji? Dla dobrych seriali?

Zastanawiam się nad narracją, która miałaby taką siłę i pojemność, żeby porwać wszystkich. Mam wrażenie, że właśnie książka Elizy Kąckiej, od której zaczęliśmy rozmowę, dzięki swojej czułej odwadze i uniwersalności tematu może taka być. Choć nie wiem, w jakim stopniu jest przystępna dla męskich czytelników jako przetworzony zapis doświadczenia matki dziecka w spektrum. Ale już samo bycie rodzicem to doświadczenie uniwersalne. A że los nie wybiera, statystycznie rodziców dzieci w spektrum jest pewnie tyle samo po jednej i po drugiej stronie polskiego Rowu Mariańskiego.

Książka Kąckiej ma przy tym olbrzymie walory literackie, jest czymś daleko więcej niż świadectwem, a przecież niesie w sobie to nowoszczere ryzyko odsłonięcia, maskowany poezją czy humorem nieznany ciężar jakiegoś egzystencjalnego serio. Podanego ponad czy pod radarem politycznym, w końcu wielu z nas dotykają problemy wychowawcze, spotkania z innością, własne poczucie inności, bezradność wobec „nagiego życia". Wokół tych czułych kwestii można próbować się zjednoczyć. Na przykład trawestowana przez Elizę Kącką książka Marcina Wichy „Rzeczy, których nie wyrzuciłem" mogłaby, jak zakładam, choć Marcin miał poglądy raczej lewicowe, poruszyć także czytelnika z prawej strony, bo doświadczenie porządkowania mieszkania po zmarłym rodzicu jest powszechne.

Sporo jest takich nowoszczerych narracji, spośród tych żałobnych przychodzi mi na myśl choćby „Bezmatek" Miry Marcinów czy „Mireczek" Aleksandry Zbroi. Wierzę, że opisując doświadczenia egzystencjalne, można przekroczyć polityczne sympatie. To daje możliwość rozmowy i spotkania.

**Jechałem ostatnio autobusem, zerknąłem przez ramię i zobaczyłem, że jakaś kobieta wpisywała coś do ChataGPT. Pisała, że jest jej bardzo trudno, że zmarł jej ojciec. Wzruszyłem się i pomyślałem, że jesteśmy okropnie samotni...**
– AI pomaga nam przełamać tę samotność jako podręczny terapeuta, choć sedno nowej szczerości jest jednak nadal międzyludzkie. Może to zabrzmi trochę neochrześcijańsko, ale cóż: do nowej szczerości potrzebny jest bliźni, odbiorca, ktoś, z kim będę mogła przeżywać, choćby chwilowo, pewne doświadczenie. To w istocie kategoria zlaicyzowana, mówimy o bliźnim bez Boga.

**A czy w tym wszystkim, w spotkaniu z bliźnim, którego potrzebujemy, nie brakuje nam Boga? Jakiejś nadrzędnej instytucji, która dawałaby poczucie trwałego sensu?**
– Na tym chyba polega poinformowana naiwność, trochę jak w zakładzie Pascala, który mówił o tym, że być może Boga nie ma, ale trzeba zachowywać się tak, jakby był – jeśli go nie ma, nic nie tracimy, a jeśli jest, wygrywamy wieczność. Być może nie ma nad nami ani między nami żadnej wyższej instancji, ale spotykajmy się, budujmy do siebie te kruche mosty, tak jakby coś takiego istniało. W przeciwnym razie zostaniemy samotnymi, ironicznymi zgredami. ●

FOT. MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

***Justyna Jaworska**

• kulturoznawczyni, adiunktka w Zakładzie Filmu i Kultury Wizualnej Instytutu Kultury Polskiej UW. Zajmuje się polskim kinem obyczajowym (głównie okresu PRL), historią kultury polskiej XIX i XX wieku w ujęciu obrazu, teorią kultury popularnej. Współredagowała ostatnio numer „Kultury Współczesnej" (3/2025) poświęcony zjawisku nowej szczerości. W latach 2023-25 członkini jury Nagrody Literackiej Nike, a w roku 2025 jej przewodnicząca.



eprasa.pl ed047e9ca2

# JAK PRZETRWAĆ KONIEC ŚWIATA

**Historia państwowości to raczej historia zorganizowanej przestępczości, a nie umowy społecznej.**

FOT. WESTENDG1/GETTY IMAGES

Z **DR LUKIEM KEMPEM**
ROZMAWIA **TOMASZ ULANOWSKI**

Sielskie Cambridge, w którym spotykam się z doktorem Lukiem Kempem, nastraja do rozmowy o apokalipsie i armagedonie. Przyjeżdżam do tego ogrodowego uniwersyteckiego miasteczka – w którym biblioteka ma ponad 600, a najstarsze puby blisko 400 lat – pewnego jesiennego poranka. Pogoda jest słoneczna i rześka. Idąc z dworca, podziwiam angielskie domeczki, uliczki i parki.

Przyglądam się studentom spieszącym na zajęcia. W końcu przekraczam mostek na rzece Cam i zbliżam się do kawiarni, którą dr Kemp wybrał na nasze spotkanie. Jak pisał, jest tam najlepsza kawa w Cambridge. Kawiarnia to przytulna dziupla, w której oprócz kawy podają domowe wypieki i handlują... płytami winylowymi. Naszej rozmowie przygrywa między innymi muzyka z rewolucyjnych lat sześćdziesiątych.

**Widziałem pańską książkę w księgarni muzeum Tate Britain w Londynie.**
– Co za miła niespodzianka! Nie narzekam na sprzedaż, choć oczywiście fikcja – w tym wypadku literatura piękna – sprzedaje się lepiej niż fakty.

**Skąd to zainteresowanie końcem świata? Pytam jako kolega po fachu – również „robiący w apokalipsie". Napisanie książki o antropocenie – proponowanej nowej epoce geologicznej, epoce człowieka – zajęło mi niemal 20 lat.**
– Sporo. Mnie „Klątwa Goliata" pochłonęła na siedem lat. Oczywiście, już wcześniej interesowałem się historią, archeologią, kryzysami społecznymi, zmianami klimatu. Między innymi dlatego starałem się o pracę w Centrum Badania Ryzyka Egzystencjalnego na Uniwersytecie w Cambridge. Dostałem ją w 2018 roku i od razu zabrałem się za research do książki.

Natchnęła mnie „Against the Grain. A Deep History of the Earliest States" ["Jak udomowiono człowieka. U początków historii pierwszych państw", PWN], książka Jamesa C. Scotta. To doskonała analiza przeszłości, dzięki której czytelnik zaczyna rozmyślać o przyszłości. Potem wybuchła pandemia COVID-19 – idealny moment dziejowy na pisanie o upadku społecznym.

**Ale co panem kierowało? Moją motywacją była chęć katharsis po latach pisania o śmierci – upadku ekologicznym, klimatycznym i zbliżającym się „końcu świata".**
– Chciałem zrozumieć dynamikę procesu kolapsu społecznego. Studiując dawne czasy, można dostrzec cykle narodzin i śmierci, przez jakie przechodziły dawne społeczności. Oraz zobaczyć, co i dlaczego może nas czekać.

Ostatnie dekady to w końcu czasy narastających kryzysów – przyrodniczych, politycznych, kulturowych – w tym jałowe negocjacje klimatyczne. Pomyślałem, że nawet jeśli jakimś cudem uda nam się do 2050 roku zdekarbonizować świat [odciąć naszą cywilizację od narkotyku paliw kopalnych], to i tak w 2051 roku może wybuchnąć wojna nuklearna.

Żeby się uchronić przed końcem świata, musimy więc rozwiązać wiele problemów i złapać wszystkie upadające kostki domina.

**W książce rozprawia się pan z mitem „umowy społecznej".**
– Bo jaka umowa wiąże króla z poddanym, pana z niewolnikiem? Czy ktokolwiek z nas świadomie decyduje się na to, by go wykorzystywano? By tak niewielu czerpało bogactwo z niedoli tak wielu?

To „umowa" zapisana krwią. Historia państwowości to raczej historia zorganizowanej przestępczości, a nie umowy społecznej.

Ale wciska się nam tę bajkę, bo historia jest pisana przez elity społeczne. W przeszłości kronikarze byli na usługach królów bądź innych bogaczy.

**I Kościoła.**
– Możni trzymający władzę opowiadają nam więc swoje historie i przekonują, że to Historia.

**Tymczasem nawet dziś, w świecie multimediów, nie możemy się dogadać co do wydarzeń, które zdarzyły się dopiero co. Każdy interpretuje je inaczej.**
– I wciąż bogaci narzucają biednym swoje narracje. Podobnie zafałszowana jest także opowieść pisana za pomocą artefaktów. Z dalekiej przeszłości wybieramy to, co łatwo znaleźć i co najlepiej się zachowało: pałace, kościoły, pomniki, miasta.

Tymczasem one nie są reprezentatywne dla poziomu życia przeciętnego człowieka. Za czasów starożytnego Rzymu ponad 90 procent mieszkańców Cesarstwa żyło na wsi. A nam każą wierzyć w historię najbogatszego procentu społeczeństwa, który rządził pospólstwem ze swoich pałaców.

„Umowa społeczna" to zawsze było propagandowe hasło mające na celu usprawiedliwienie relacji opartych na przemocy. Państw nie powoływano na demokratycznych wiecach. Tworzyli je hersztowie grup zbrojnych – dziś nazwalibyśmy je przestępczymi – kładący łapę na zasobach, które łatwo można złupić, przewieźć oraz przechować (zboża, ludzie), i tworzący system eksploatujący większość.

Nawet w historii nowoczesnej są przykłady watażków zostających głowami państw. Choćby Charles Taylor, były dyktator Liberii.

Trudno oczekiwać, że taki układ społeczny będzie trwały. Przez jakiś czas może być, rzecz jasna, skuteczny, szczególnie jeśli poddani nie mogą łatwo uciec z niewoli.



eprasa.pl ed047e9ca2

**Żyłem w takim systemie jeszcze jako nastolatek – w państwie, z którego wielu chciało uciec, kojarzącym się z wielkim więzieniem.**
– Wolność przemieszczania się jest jednym z fundamentów demokracji.

**Mnie szczególnie urzeka szwedzkie Allemansrätten – prawo dostępu do przyrody i swobodnego przemieszczania się nawet przez tereny prywatne.**
– Drugim jest zasada, że państwo ma wiedzieć jak najmniej o swoich obywatelach. Oba fundamenty demokratyczne wspomagają jednostki w zmaganiach ze wspólnotą.

We wczesnych państwach praktykowano raczej przeciwne wartości. Władcy i ich drużyny zamykali poddanych na terytoriach, z których nie można było łatwo uciec, i nakładali daniny na zasoby, które łatwo można było kontrolować, policzyć i którymi łatwo się obracało. Elity utrzymywały również monopol na broń – na przykład miecze. Brzmi jak zorganizowana grupa przestępcza, prawda?

Nawet historia, którą sprzedaje się nam w podręcznikach, nie napawa optymizmem. Opisuje głównie wojny i podboje. Kierowały nimi jednostki, które dziś uznalibyśmy za psychopatyczne. Czyngis-chan, Napoleon...

**Hitler.**
– Otóż to. Trudno uznać ich państwa za struktury powołane dla powszechnej korzyści. Również dziś większość państw bardziej przypomina Somalię niż Danię. Nawet te nibydemokratyczne są w większości demokratyczne tylko z pozoru. A partie polityczne służą głównie sobie i sprzedają nam propagandę.

Nawiasem mówiąc, psychopaci, którzy statystycznie rzecz biorąc, stanowią procent każdej populacji, są nadreprezentowani nie tylko w więzieniach, ale także w zarządach korporacji oraz parlamentach. Ci w więzieniach to psychopaci, którym się nie udało. Ci pozostali to spełnieni psychopaci odnoszący sukcesy.

Nie można nie zauważyć, że żyjemy w wyjątkowym miejscu i czasie. Jednak demokratyczne państwa opiekuńcze, z usługami społecznymi na wysokim poziomie, to europejski fenomen, który stał się możliwy dopiero po drugiej wojnie światowej.

**Pytanie, jak długo przetrwają. Skoro nawet w nich narastają nierówności społeczne, które – zgodnie z pana tezą – zawsze prowadziły do upadku państw. Państwa czeka więc taki los, jaki ziemska biosfera zgotowała gatunkom. Ponad 99 procent z tych, które kiedykolwiek istniały, już wymarło.**
– I nie zawsze jest czego żałować. Osobiście się cieszę, że nazistowskie Niemcy upadły. Podobnie cieszę się z kolapsu Imperium Brytyjskiego czy Asyryjskiego. Wszystkie były drapieżnymi organizacjami wojennymi. Nie ma co opłakiwać każdego upadłego państwa.

Nie wszystkie skończyły się zresztą raz na zawsze, nie we wszystkich załamały się struktury władzy. Część uległa transformacji i zmieniła się na lepsze.

Wracając do pytania: czy współczesne państwa przetrwają? Nie sądzę.

**Rosja?**
– Rosja niewątpliwie jest zagrożona upadkiem. Ale jak dalej potoczą się jej losy w nieodległej przyszłości? Któż to wie, nie będziemy przecież wróżyć z fusów. To państwo, które wiele przeszło, którego populacja maleje, ale które wciąż zachowało arsenał atomowy, a jego elity niewiele się zmieniły. Największą zmianą, jaka zaszła w Rosji, jest sklejająca ją ideologia. Tego państwa nie napędza już komunizm, tylko dość otwarta kleptokracja, władza złodziei.

**Czy nie jest to jednak zbyt słaby klej dla tak wielkiego kraju? Łupiestwo to co prawda dość porywająca idea, ale w Rosji niewielu łupi wielu. A próba eksportu państwowego rabunku na zewnątrz niespecjalnie się udaje.**
– Stąd stara rosyjska idea imperialna, idea ostoi chrześcijańskiej cywilizacji – która ma porwać zwykłych ludzi. Ten ideologiczny bigos jest też podlany sporą ilością strachu. I to nie tylko wewnętrznego – społeczeństwo jest trzymane za pysk, a każda nadzieja na zmianę jest duszona w zarodku – ale też skierowanego na zewnątrz, poza granice, za którymi ma się czaić „zły Zachód".

Tyle że strach to narzędzie krótkowzroczne. Wszyscy autokraci w historii z niego korzystali. Czy dzięki temu udało im się przetrwać?

Rosyjska gospodarka jedzie obecnie niemal wyłącznie na silniku wojennym. Niezwykle trudno jest tak funkcjonować przez dłuższy czas.

Powiedzmy też sobie szczerze: bez użycia broni jądrowej Rosja nie jest w stanie wygrać wojny.

**A jeśli jej użyje, to i tak przegra.**
– Kiedy się spojrzy na upadek mocarstw historycznych, można zauważyć, że oprócz szalonych nierówności społecznych do ich załamania przyczyniła się właśnie imperialna ekspansja. Prowadziła ona do zdobycia terytorium, którego nie dało się utrzymać. A rosnące potrzeby militarne drenowały budżet i niszczyły całą gospodarkę.

**Mówiąc metaforycznie, imperia tak rozciągały swoje linie zaopatrzeniowe, że te pękały?**
– Pierwsze podboje dają nieziemskie profity, ale kiedy idzie się za ciosem, okazuje się, że koszt dalszych zdobyczy przekracza potencjalne zyski.

Ta bolesna lekcja czeka nie tylko Rosję, ale także Stany Zjednoczone. W obu państwach panują zresztą wielkie nierówności społeczne.

**Jak wpadł pan na tezę, że to one są cynglem upadku dawnych państw? Wielu filozofów sprzedaje nam nierówności społeczne jako fenomen naturalny. Tymczasem pan udowadnia, że to ewolucyjna nowinka. Że z natury jesteśmy równościowi i demokratyczni, bo przez większą część historii naszego gatunku żyliśmy w małych i równościowych wspólnotach łowiecko-zbierackich. A zło współczesnego świata ma źródło w pierwszej rewolucji rolniczej sprzed blisko 11,5 tysiąca lat.**
– Wystarczy przyjrzeć się temu, jak funkcjonują współczesne wspólnoty łowiecko-zbierackie, i popatrzeć na ślady archeologiczne pokazujące, jak mogli współistnieć ludzie żyjący przed rewolucjami rolniczymi.

Przez pierwsze 300 tysięcy lat istnienia gatunku *Homo sapiens* jego przedstawiciele najczęściej żyli w niewielkich nomadycznych i egalitarnych wioskach, w których najpewniej nie było nawet stałych wodzów. Wszyscy mieli tak samo niewiele i potrzebowali siebie nawzajem, żeby przetrwać.

Jednocześnie te małe wioski łączyły się w wielkie, „płynne" społeczności, w których wymieniano się narzędziami, memami i genami. W Eurazji taka wymiana kulturowo-biologiczna rozciągała się od Hiszpanii po Syberię.

Jak pokazują szczątki ludzi, którzy żyli w tamtych czasach, wszystko to odbywało się przy minimalnym użyciu przemocy. Zwykle była to przemoc interpersonalna – na przykład konflikt mężczyzn o kobietę – a nie przemoc międzygrupowa.

Powszechnych śladów wojen po prostu brakuje. Pojawiają się one dopiero po przejściu na osiadły, rolniczy tryb życia, kiedy było o co wojować – bo uprawa roli i hodowla zwierząt przyniosły nadwyżki żywności, które łatwo można było zagarnąć, jeśli ktoś dysponował zorganizowaną i uzbrojoną grupą ludzi. Wojna jest więc ściśle związana z nierównościami i ostrą hierarchią społeczną.

Nierówności lubią zresztą rosnąć – aż doprowadzają do takiego wybuchu przemocy, który je nieco niweluje: krwawej rewolucji i wojny domowej, wojny zewnętrznej, upadku państwa.

Ewolucja biologiczna nie przystosowała nas do życia w ostrej hierarchii społecznej. Wręcz przeciwnie: w naszej naturze leży potrzeba egalitaryzmu.

W społeczeństwach bardzo nierównościowych rośnie nie tylko poziom przemocy, ale także zaburzeń psychicznych. Spada też ogólny poziom zdrowia.

**Jednocześnie w rozwarstwionych społecznościach ludzie zamykają się w swoich własnych bańkach społecznych.**
– Szczególnie elity, które żyją własnym życiem, tocząc zażartą wewnętrzną walkę...

**...która sporą część społeczeństwa – przynajmniej tę niegłosującą – w ogóle nie obchodzi.**
– Bo ta walka o status wewnątrz grupy trzymającej władzę toczy się jakby w alternatywnym świecie. Choć ma wpływ na wszystkich. Elity gromadzą coraz więcej bogactwa, a reszta społeczeństwa biednieje. W Wielkiej Brytanii nazywa się to obecnie „kryzysem rosnących kosztów życia".

Walka o władzę wśród elit prowadzi też do ekstrakcji zasobów z krajów sąsiednich oraz coraz bardziej zdegradowanego środowiska naturalnego i marnotrawstwa energii: na pomniki, wojny, ofiary z ludzi czy trawniki – czego się nie zrobi dla statusu społecznego!

*Psychopaci, którzy statystycznie stanowią procent każdej populacji, są nadreprezentowani w więzieniach, zarządach korporacji oraz parlamentach*

Blokuje też możliwość pokojowych zmian – bo niby dlaczego konkurujące wewnętrznie oligarchiczne elity miałyby się ograniczyć? Prowadzi do narastającej korupcji, w końcu rządzące elity dbają głównie o siebie.

Nierówności społeczne to naprawdę toksyczny koktajl.

**Jednak bez rolnictwa, przemysłu i związanych z nimi nierówności nie byłoby nauki i sztuki na poziomie takim jak dziś. Wszyscy musielibyśmy się zajmować polowaniem i szukaniem roślin jadalnych. Nie mielibyśmy czasu na nic innego. Według mnie to najsilniejszy argument za tak zwanym nowoczesnym porządkiem społecznym.**
– Pytanie, czy potrafimy tak zagospodarować nadwyżki energii związane z rolnictwem, a także źródłami energii, by nie doprowadziło to do rozwoju despotii. Moim zdaniem to możliwe.

Podobnie możemy rozwiązać obecny kryzys ekologiczny i klimatyczny. Musimy tylko lepiej wykorzystywać mechanizmy demokratyczne. Wbrew stereotypom

zbiorowa mądrość działa lepiej niż politycy. Ludzie – kiedy mają dostęp do eksperckiej wiedzy – podejmują mądre decyzje, korzystne dla wielu, a nie tylko dla nielicznych.

Jak pokazują sondaże i eksperymenty społeczne, w większości chcemy powstrzymać globalne ocieplenie i nie chcemy broni atomowej oraz wojen.

Przez zdecydowaną większość historii naszego gatunku demokracja działała. Dlaczego teraz miałaby nie zadziałać?

**Z drugiej strony cztery tysiące lat autokratycznej chińskiej cywilizacji robi wrażenie.**
– Ale to historia imperialna napisana krwią milionów ludzi. Naprawdę tego chcemy? Nawet we współczesnych demokracjach – jakkolwiek byśmy je krytykowali – podejmuje się lepsze decyzje długofalowe niż w krajach autokratycznych.

Dodatkowo demokracje są dużo bardziej odporne choćby na katastrofy naturalne. Bo życie publiczne jest na świeczniku, a trzęsień ziemi – i to nie tylko tych dosłownych – nie da się zamieść pod dywan. Lepiej radzą też sobie z innymi zagrożeniami – na przykład w wyniku ataków terrorystycznych ginie mniej ludzi. Dość łatwo to wytłumaczyć: w krajach demokratycznych życie ludzkie jest w większej cenie niż w krajach autokratycznych.

Ogólnie rzecz biorąc, kraje demokratyczne mają większy kapitał społeczny. Procentuje on podczas sytuacji podbramkowych, kiedy władze sobie nie radzą albo wręcz upadają. Ludzie nie rzucają się sobie wtedy do gardeł – jak w XVII wieku myślał angielski filozof Thomas Hobbes – nie ulegają masowej panice, tylko się organizują i wspomagają nawzajem.

**Obserwowałem to w Polsce na początku 2022 roku, kiedy Rosja z pełną mocą zaatakowała Ukrainę. Polacy się samozorganizowali, żeby przyjąć tysiące uchodźców wojennych.**
– Dlatego ci, którzy chcą przetrwać „koniec świata", powinni zadbać raczej o swoją sieć społeczną – rodzinę, przyjaciół, znajomych, sąsiadów – niż o gromadzenie puszek z fasolą, broni i innych przedmiotów na czarną godzinę.

**Jest pan raczej optymistą czy pesymistą – jeśli chodzi o ten „koniec świata"?**
– I jednym, i drugim. Uważam, że obecny globalny system społeczny nie ma prawa się utrzymać. Ale z drugiej strony: czy to źle? Gdyby upadła Dania, jej obywatele mieliby powody do rozpaczy. Ale upadek Somalii przyniósłby jej mieszkańcom więcej pożytku niż strat.

Mój optymizm wynika też z tego, że naprawdę stać nas na więcej. Nie wierzę, że potrafimy rozszczepić atom, dolecieć do Marsa i stworzyć sztuczną inteligencję, a nie potrafimy wynieść demokracji na wyższy poziom funkcjonujący na poziomie państwa i świata. Demokracja to w końcu nasz naturalny, wrodzony system rządów.

**Zastanawiam się, czy tanzańscy Hadza – jeden z ostatnich ludów łowiecko-zbierackich – zauważą, kiedy „świat się skończy".**
– Pewnie tak, bo antropolodzy z całego świata przestaną ich odwiedzać! ●

FOT. CSER

## *Dr Luke Kemp

• Urodził się w 1989 r. i wychował się na australijskiej prowincji. Student studiów międzywydziałowych na Australijskim Uniwersytecie Narodowym w Canberze, na którym w 2016 r. obronił doktorat ze stosunków międzynarodowych. Jeszcze na studiach licencjackich był gościem nieudanego międzynarodowego szczytu klimatycznego w Kopenhadze w 2009 r., który okazał się dla niego wydarzeniem formatywnym. Pracował jako ekonomista. Od 2018 r. związany z Centrum Badania Ryzyka Egzystencjalnego (CSER – Centre for the Study of Existential Risk) na Uniwersytecie w Cambridge.



eprasa.pl ed047e9ca2

ADAM MICHNIK POLECA

# PARANOJA SPOTYKA SIĘ Z PAŃSTWEM

**Zwrot żydowskich intelektualistów ku prawicy na dekady wpisał ich w sam środek republikańskiego establishmentu w Ameryce.** MAGA zmieniła reguły gry

**Radosław Korzycki***

Make America Great Again - hasło znane z czerwonych czapeczek trumpowskiej prawicy przez lata było politycznym znakiem rozpoznawczym nowej Ameryki. Dziś jednak stojący za nim wielki ruch społeczny zaczyna się kruszyć. W tym pęknięciu coraz wyraźniej ujawnia się komponent antysemicki. Rzadko bywa wyrażany wprost; niemal zawsze ukrywa się pod płaszczem antyelitaryzmu, teorii spiskowych i retoryki antyglobalistycznej.

Ale od początku: MAGA od zawsze była hybrydą. Z jednej strony funkcjonuje w tym ruchu nurt twardo proizraelski – od lat spleciony z siłami ewangelikalnymi, oparty na sojuszu z żydowską prawicą i konserwatywnym establishmentem Partii Republikańskiej. Z drugiej istnieje w nim głęboko zakorzeniona, internetowo-radykalna bańka, w której krążą motywy „wielkiej wymiany elit", Sorosa, globalistów, bankierów, Nowego Porządku Świata – cały zestaw tropów, które w historii Zachodu niemal zawsze były kodem antyżydowskim.

Po 7 października 2023 roku – ataku Hamasu na Izrael i wybuchu wojny w Gazie – sprzeczność między tymi dwoma środowiskami eksplodowała. Część społeczności MAGA zaczęła mówić językiem niemal identycznym z tym, który wcześniej stosowano wobec migrantów czy liberalnych elit: Izrael to projekt kolonialny, wojna jest manipulacją obcych sił, Ameryka zostaje wciągnięta w nie swój konflikt. W tym nurcie Izrael przestaje być sojusznikiem USA, a zaczyna pełnić rolę figury zastępczej, karmiącej stary lęk przed „ukrytym sterowaniem światem".

Konflikty frakcyjne i odejścia z pierwszego planu polityki ludzi dotąd zaangażowanych w MAGA nie zawsze są motywowane wprost tą osią sporu, lecz często przebiegają właśnie wzdłuż niej: między skrzydłem, które chce być ruchem władzy, a skrzydłem, które pozostaje ruchem resentymentu.

Antysemityzm – nawet jeśli zakodowany – jest dla tego drugiego jednym z podstawowych języków opisu świata. To nie jest antysemityzm w stylu lat 30. XX wieku, z hasłami i transparentami. To antysemityzm epoki algorytmów: rozproszony, ironiczny, memiczny, ubrany w pseudosofistyczne wątpliwości i tak bardzo typowy dla Ameryki „zdroworozsądkowy" sceptycyzm wobec elit. Jego funkcja pozostaje jednak ta sama: porządkować chaos poprzez wskazanie niewidzialnego sprawcy. I właśnie ten mechanizm coraz mocniej rozsadza MAGA od środka.

•

Pęknięcie to ma dziś przede wszystkim twarz Marjorie Taylor Greene. To 51-letnia republikańska polityczka z Georgii, która w 2020 roku – równolegle ze zwycięstwem Joe Bidena w wyborach prezydenckich – zdobyła mandat w Izbie Reprezentantów. 21 listopada 2025 roku złożyła go, politycznie rozwodząc się z Donaldem Trumpem.

Przez lata była jednym z najbardziej radykalnych głosów trumpizmu: wierna QAnonowi, karmiąca swoich wyborców teoriami o deep state, globalistach i „Rothschildowskich laserach kosmicznych", mówiła wprost, że pożary w Kalifornii mogły spowodować lasery powiązane z firmą, w której udziały mieli członkowie rodziny Rothschildów.

Jej język był modelowym przykładem nowoczesnego antysemityzmu: obecnego nie wprost, lecz schowanego za figurami „nielojalności", „ukrytego sterowania światem" i „sprzeczności z amerykańskimi wartościami". Gdy porównywała noszenie maseczek do gwiazd Dawida, które Żydzi musieli przypinać do ubrań w czasie Zagłady, nie tylko trywializowała Shoah; uruchamiała cały repertuar symboli, w których Żyd staje się znakiem opresji, a państwo – narzędziem tyranii. To, co wtedy powiedziała, wywołało oburzenie i potępienie przedstawicieli obu głównych partii w USA.

Ale reakcja republikańskiego establishmentu była w tym wypadku bardziej znamienna. Ówczesny szef klubu republikanów w Izbie Reprezentantów Kevin McCarthy nazwał jej słowa „odrażającymi" i „niedopuszczalnymi", a lider GOP [republikanów] w Senacie Mitch McConnell mówił o „pradawnym złu, na które nie ma miejsca w życiu publicznym". Prawicowi senatorowie ogłaszali wówczas rezolucje potępiające antysemityzm. Żydowskie organizacje w Georgii i w całym kraju domagały się jej ukarania, a część republikanów mówiła wprost: to nie jest konserwatyzm, lecz paranoja zakorzeniona w antyżydowskich uprzedzeniach.

MAGA, która przez lata flirtowała z tym językiem, nagle zobaczyła, dokąd on prowadzi: do świata marszu neonazistów Unite the Right w Charlottesville w 2017 roku, do swastyk na murach i do realnej przemocy. I to drugie, establishmentowe skrzydło ruchu zaczęło nabierać wątpliwości - choć początkowo raczej trzymało, poza tak ekstremalnymi występkami jak porównanie maseczek do gwiazdy Dawida, język za zębami.

•

Greene się nie cofnęła. Przeciwnie – utwardziła swoją pozycję outsiderki, a w końcu zaczęła dystansować się od samego Trumpa. Jej odejście z Kongresu i coraz ostrzejsza krytyka prezydenta nie są tylko efektem osobistej frustracji czy kalkulacji politycznej. W tle widać coś głębszego: spór o to, czy ruch MAGA ma pozostać w granicach republikańskiej tradycji – tej, którą przez dekady współtworzyli także neokonserwatywni Żydzi, ale o tym za chwilę – czy też ma pójść dalej, w stronę wizji Ameryki jako wspólnoty białych chrześcijan.

Dziś to właśnie w „kwestii żydowskiej" linia pęknięcia staje się najbardziej czytelna. Trump, mimo wszystkich dwuznaczności, trzymał się proizraelskiego kursu, otaczał się doradcami wywodzącymi się często z neokonserwatywnego świata i rozumiał, że Partia Republikańska nie może z nimi zerwać. Greene reprezentuje inny impuls: politykę resentymentu, w której Żyd znów staje się figurą ukrytego wroga, a państwo jawi się jako przestrzeń opanowana przez spiskowców.

W tym sensie rozejście się byłej już kongresmenki z Trumpem jest czymś więcej niż osobistą wojną. To sygnał, że MAGA stanęła na rozdrożu. Jedna droga prowadzi ku temu, co znamy z historii: ku polityce, która potrzebuje wewnętrznego obcego, by spoić wspólnotę strachem. Druga – ku kruchemu kompromisowi, na którym zbudowana była powojenna Ameryka: że nawet trochę obcy mają w republice swoje miejsce. Antysemityzm Greene pokazuje, jak łatwo ten kompromis pęka i dlaczego właśnie tutaj przebiega dziś linia frontu wewnątrz trumpizmu.

•

Ten konflikt nie jest nowy ani wyłącznie amerykański. Greene – być może nieświadomie – dotyka jednego z najczulszych punktów nowoczesnych społeczeństw: pozycji Żydów jako jedynej grupy, która łączy status innych z realną obecnością w centrum władzy, także symbolicznej.

1 RP

eprasa.pl ed047e9ca2

• **Marjorie Taylor Greene, republikańska deputowana z Georgii (od 2020 r.) W listopadzie ub.r. złożyła mandat i politycznie rozwiodła się z Trumpem**
FOT. DUSTIN CHAMBERS/GETTY IMAGES

# W epoce MAGA język zagrożenia wraca w nowej, mrocznej formie: jako obietnica „prawdziwej" Ameryki, w której dla tych „zawsze trochę obcych" znów może zabraknąć miejsca

• **Skrajnie prawicowy aktywista Nick Fuentes na wiecu w Lansing w Michigan (11.11.2020), na którym zachęcał swoich zwolenników do oblężenia Kapitolu w Waszyngtonie** FOT. NICOLE HESTER/ANN ARBOR NEWS VIA AP/EAST NEWS

To właśnie ten paradoks od dziesięcioleci próbował opisać wybitny amerykański socjolog Seymour Martin Lipset (syn rosyjskich Żydów, profesor George Mason University). Jego diagnoza sprzed paru dekad pozwala dziś zrozumieć, dlaczego antysemityzm nie jest w trumpizmie jedynie ekscesem, lecz czymś, co prędzej czy później rozsadzi MAGA od środka.

Lipset, choćby w wydanej w Polsce „Wyjątkowości amerykańskiej – broni obosiecznej", uchwycił paradoks, który w Ameryce powraca jak refren. Pokazywał, że Żydzi – historycznie doświadczeni wykluczeniem i życiem „pomiędzy światami" – w warunkach amerykańskich przestali być pariasami w sensie strukturalnym. System oparty na merytokracji, ruchliwości społecznej i słabym zakorzenieniu hierarchii stanowych pozwolił im wejść do samego centrum nowoczesności: na uniwersytety, do wolnych zawodów, nauki, prawa, mediów i finansów.

W przeciwieństwie do wielu innych mniejszości Żydzi nie pozostali na dole hierarchii. Stali się jednocześnie obiektem resentymentu i częścią elit formujących język, normy oraz instytucje społeczne. Lipset widział w tym strukturalne napięcie: Żydzi są jedyną grupą, która łączy status „innych" z realnym wpływem symbolicznym i instytucjonalnym. To czyni z nich figurę szczególnie podatną na projekcję lęków nowoczesności.

Nie są niewidzialni jak inne mniejszości – przeciwnie, są nadwidzialni. Widoczni w salach wykładowych, kancelariach prawnych, bankach, redakcjach, w kulturze. A zarazem nigdy do końca swoi. Nowoczesny antysemityzm nie rodzi się więc z pogardy wobec słabych, lecz z wrogości wobec tych, którzy „są wszędzie", „mają wpływ", a jednocześnie „nie należą naprawdę do Ameryki".

•

Literatura świetnie to przetworzyła. W „Ludzkiej skazie" Philipa Rotha ten paradoks zostaje wyostrzony do granic groteski. Coleman Silk, Afroamerykanin z Południa o jasnej skórze i lekko „orientalnej" urodzie (jak pisałby Krasiński w „Nie-Boskiej": „oko wschodnie, rys niewieści"), wybiera nie tylko biel, lecz żydowskość. W Nowej Anglii końca XX wieku łatwiej mu uchodzić za Żyda niż za Czarnego: Żyd jest tu figurą białej elity - profesorem, dziekanem, człowiekiem instytucji.

Zarazem, i to jest ironia Rotha, pozostaje figurą, w którą wpisane jest permanentne ryzyko. Silk nie przybiera maski protestanckiego WASP-a [od White Anglo-Saxon Protestant], lecz maskę mniejszości, która weszła do establishmentu, ale zachowała swoją inność. Jego przechodzenie jest odwrócone: nie z czerni w biel, lecz w żydowskość, która obiecuje awans bez całkowitego roztopienia się w większości.

Roth pokazuje, że żydowska białość jest krucha, warunkowa, w każdej chwili do odwołania. Silk ginie z rąk antysemity - jako Żyd, którym nie jest. To fabularny paradoks, ale socjologiczna prawda: w Ameryce przełomu wieków żydowskość pozostaje pozycją ambiwalentną, uprzywilejowaną, ale i zagrożoną zarazem.

Karen Brodkin, antropolożka kulturowa z Uniwersytetu Kalifornijskiego w Los Angeles, pisała w 1998 roku w eseju „How Jews Became White Folks and What That Says About Race in America", że Żydzi mogą zostać „odbarwieni", wypchnięci poza obręb bieli przez ruchy supremacjonistyczne, które definiują ją jako wyłącznie chrześcijańską. Roth antycypuje ten lęk: jego bohater wybiera tożsamość, która daje dostęp do elity i bycia jej częścią, ale nie chroni przed symbolicznym wykluczeniem.

„Ludzka skaza" jest w tym sensie prozatorską parafrazą myśli Lipseta. Pokazuje, że żydowskość w Ameryce nie jest ani prostą historią asymilacji, ani bezpiecznym statusem białej większości. Jest pozycją pośrednią - między centrum a marginesem – i właśnie dlatego tak podatną na polityczne przemieszczenia. To z tej sprzeczności rodzi się zarówno neokonserwatywna potrzeba oparcia się o państwo i porządek, jak i późniejsza podatność na język zagrożenia, który w epoce MAGA powraca w nowej, mrocznej formie: jako obietnica „prawdziwej" Ameryki, w której dla tych „zawsze trochę obcych" znów może zabraknąć miejsca.

Ta kruchość żydowskiej białości nie jest więc anomalią późnej nowoczesności ani produktem epoki internetu. Jest wpisana w amerykański porządek od samego początku – od chwili, gdy republika zaczęła mierzyć się z własną różnorodnością. To, co u Rotha przybiera formę tragicznego paradoksu, w historii Stanów Zjednoczonych miało już wcześniej swoje społeczne odpowiedniki.

Ameryka długo uczyła się tolerować innych tylko warunkowo: tak długo, jak mieścili się w granicach protestanckiego imaginarium narodu. Antysemityzm nie musiał tu przybierać europejskich, rasowo-metafizycznych kształtów, by być realny. Wystarczyło, że wyrastał z lokalnego lęku przed obcością, społeczną mobilnością i - w amerykańskim wariancie podejrzliwości wobec Żydów - z oskarżenia o podwójną lojalność. Z tego samego źródła, z którego później wyrośnie także MAGA.

•

Antysemityzm amerykański XIX wieku ma własną, lokalną nutę: mniej w nim europejskich legend o krwi chrześcijańskich niemowląt, więcej politycznej alergii na obcych, wyrastającej z protestanckiego natywizmu. W połowie stulecia ten odruch przybrał formę ruchu Know Nothing, czyli Nic Niewiedzących (oficjalnie American Party) – masowego sprzeciwu wobec imigracji i katolików, podszytego lękiem przed nielojalnością, spiskami, obcymi językami i obyczajami.

Żydzi – początkowo nieliczni wobec fali Irlandczyków i Niemców - byli w tej wyobraźni figurą podobną: ludźmi nie stąd, którzy szybko odnajdują się w handlu, pośrednictwie, finansach, a więc tam, gdzie amerykańska nowoczesność robi pieniądz. Mechanizm resentymentu był typowy dla USA: nie tyle pogarda dla biedy, ile podejrzenie wobec zbyt szybkiego awansu społecznego, „wpychania się w kolejkę" do American Dreamu i do władzy, która rodzi się bez korzeni, poza starymi wspólnotami i protestancką etyką.

Na Wschodnim Wybrzeżu – zwłaszcza w Nowym Jorku - napięcie miało wymiar klasowy i towarzyski. Pisarz i historyk społeczny Stephen Birmingham w książce z 1967 roku „Our Crowd: The Great Jewish Families of New York" opowiada o niemiecko-żydowskich rodach bankierskich, które w drugiej połowie XIX wieku budowały instytucje miasta, filantropię i kulturę, a jednocześnie trafiały na miękką, lecz twardą w skutkach barierę dostępu do socjety.

Gdy Ward McAllister, wyrocznia smaku epoki pozłacanej i architekt nowojorskich elit, ukuł dla nieformalnej królowej dobrego towarzystwa Caroline Astor listę „Four Hundred", czyli ekskluzywnego spisu przynależnych do salonu, była to w praktyce definicja elity przez wykluczenie: żydowskich nazwisk na niej nie było, niezależnie od majątku czy zasług. Birmingham pokazuje równoległy świat – żydowską „setkę" i własny obieg klubów, świątyń, kolacji, rytuałów, elitę zbudowaną obok, a nie wewnątrz oficjalnej arystokracji miasta.

Tę amerykańskość antysemityzmu widać najlepiej w drobnych, konkretnych upokorzeniach, które uruchamiają wielkie spory. Klasycznym przykładem jest tzw. Seligman-Hilton Affair z 1877 roku: Joseph Seligman, jeden z najbardziej znanych bankierów epoki, został wraz z rodziną odprawiony z Grand Union Hotel w Saratoga Springs jako Żyd. Skandal odbił się szerokim echem w prasie i stał się symbolem tego, jak łatwo pieniądz przegrywa z drzwiami od salonu. W tym sensie antysemityzm XIX wieku działał jak system sygnałów: Ameryka dawała możliwość awansu, ale wciąż przypominała, że awans nie jest równoznaczny z pełnym prawem do przynależności.

Warren Klein, obecny kurator synagogi Emanu-El i dyrektor jej muzeum, opowiadał mi niedawno historię, która w Nowym Jorku krąży od dekad. Rodzina Astorów – symbol starej protestanckiej elity – nie chciała sprzedać swojej rezydencji przy 65. Ulicy i Piątej Alei bezpośrednio Żydom. Zrobiono to więc pośrednio, przez dewelopera. Dopiero potem na tej parceli stanęła monumentalna synagoga.



eprasa.pl ed047e9ca2

Nie wiem, na ile ta opowieść jest wierna co do detalu. Wiem jednak, że jej sens jest prawdziwy. Ameryka nie musiała kochać Żydów, by wpuścić ich do swojego centrum. Wystarczyło, że respektowała kontrakt. Rynek i prawo własności okazały się silniejsze niż afekt i uprzedzenie.

•

Wracając do Lipseta: Żydzi w końcu trafiali na najwyższe szczeble społecznej drabiny. W tym właśnie sensie natywistyczny antysemityzm w USA był antysemityzmem wymierzonym w państwowość i porządek instytucji – w to, kto ma prawo być twarzą Ameryki: na uniwersytecie, w banku, w sądzie, w prasie. Nie trzeba było pogromów, by wytworzyć nowoczesny resentyment.

Skoro jednak antysemityzm sprzed 100 czy 150 lat naturalnie zadomowił się na prawicy, Żydom wyznaczono miejsce na lewicy. Ten układ – prawica jako naturalne siedlisko resentymentu, lewica jako przestrzeń względnego bezpieczeństwa – długo wydawał się stabilny. Antysemityzm funkcjonował głównie jako kod towarzyski, kulturowy, klasowy.

Państwo pozostawało z boku, a republika – przynajmniej w swojej oficjalnej narracji – trwała przy obietnicy równości wobec prawa. To była granica, której Ameryka przez dekady nie chciała przekraczać: między społecznym wykluczeniem a władzą instytucji.

I właśnie dlatego sprawa Rosenbergów z początku zimnej wojny była tak wstrząsająca. [Ethel i jej mąż Julius Rosenbergowie zostali oskarżeni o szpiegostwo na rzecz ZSRR, skazani na śmierć i straceni 19 czerwca 1953]. W epoce maccartyzmu i polowania na czarownice słowo „Żyd" zaczęło oznaczać komunistę, potencjalnego zdrajcę, automatycznego sympatyka ZSRR. Po raz pierwszy od dawna antysemityzm przestał być wyłącznie miękkim mechanizmem hierarchii, a na moment wszedł w samo serce państwa: w sąd, w wyrok i wreszcie w egzekucję. Był to moment, w którym republika pokazała, że potrafi nie tylko tolerować resentyment, lecz także przemienić go w akt suwerenności.

Była to jedna z tych chwil, w których amerykańska republika zobaczyła w lustrze swoje potworne oblicze szekspirowskiego Kalibana. Nie chodziło tylko o proces o szpiegostwo atomowe – w epoce zimnowojennej histerii podobnych spraw było wiele – lecz o sposób, w jaki państwo zdecydowało się zamanifestować swoją władzę.

Egzekucja Ethel Rosenberg, matki dwójki dzieci, na krześle elektrycznym stała się epifanią państwowego okrucieństwa, a zarazem momentem, w którym antysemityzm, dotąd obecny raczej jako społeczny resentyment, na chwilę przybrał formę instytucjonalną. Abstrahując od tego, czy była winna (badania z lat 90. wskazują, że brak na to rozstrzygających dowodów), w świecie senatora Josepha McCarthy'ego i szefa FBI J. Edgara Hoovera wykonanie tego wyroku było chwilą, w której państwo i paranoja spotkały się w jednym akcie – a antysemityzm przestał być jedynie marginesem, stając się językiem władzy.

•

Tymczasem żydowscy intelektualiści nie przeszli na prawo z resentymentu ani z lęku przed emancypacją innych. Przeciwnie, był to ruch ludzi głęboko zakorzenionych w lewicowym, socjaldemokratycznym etosie Nowego Jorku lat 40. i 50., którzy uznali, że świat się zmienił, a wraz z nim zmienić się musi język odpowiedzialności.

Zmarły niedawno Norman Podhoretz – jeden z patronów neokonserwatyzmu, syn żydowskich imigrantów z Brooklynu, wieloletni redaktor naczelny „Commentary" – opowiadał mi kiedyś, że całe to środowisko, wychowane na „Partisan Review", na liberalizmie Trumana i na powojennej wierze w moralną misję Ameryki, poczuło, że z demokratycznym prezydentem Jimmym Carterem nie jest im po drodze. Ci ludzie widzieli w nim przywódcę skrępowanego poczuciem winy i niechęcią do używania siły. Reagan natomiast – mówił Podhoretz – rozumiał, że Ameryka jest zobowiązaniem wobec świata, a nie tylko jednym z wielu państw.

Neokonserwatyzm znaczył więc dosłownie: ludzie nowi dla konserwatyzmu. Dawni socjaldemokraci, którzy uznali, że to prawica lepiej strzeże porządku, w którym Żydzi mogą być częścią politycznego establishmentu. W ten sposób w Partii Republikańskiej znaleźli się Podhoretz, wiceminister obrony w administracji Reagana i późniejszy architekt wojny w Iraku Richard Perle oraz wiceszef Pentagonu w czasie tej wojny, a potem prezes Banku Światowego Paul Wolfowitz –Żydzi, którzy nie wyrzekli się swoich poglądów, lecz przenieśli je w inne miejsce amerykańskiego sporu.

Ten zwrot żydowskich intelektualistów ku prawicy na dekady wpisał ich w sam środek republikańskiego establishmentu. Dopiero MAGA zmieniła reguły gry. Od żydowskiej strony jedną z figur tego pęknięcia stał się Ben Shapiro, komentator polityczny i współzałożyciel koncernu medialnego The Daily Wire – jeden z najbardziej wpływowych ideologów amerykańskiej prawicy medialnej: ortodoksyjny Żyd, agresywny polemista i konserwatysta kulturowy, który — mimo autorytarnego temperamentu i skłonności do uproszczeń – wciąż operuje w języku państwa, prawa i republikańskiej ciągłości.

Na początku 2026 roku Shapiro jest raczej sojusznikiem z konieczności niż ideowym członkiem ruchu: kimś, kto próbuje zachować wpływ na prawicę, nie oddając jej całkowicie w ręce populistycznego resentymentu.

Ten rozdźwięk wybuchł z całą mocą pod koniec 2025 roku, gdy podczas konferencji Turning Point USA Shapiro publicznie zaatakował czołowe postacie świata MAGA - swoją byłą współpracowniczkę i podcasterkę Candace Owens, komentatora i założyciela platformy streamingowej TCN Tuckera Carlsona oraz byłego doradcę Trumpa, nazywanego często „ojcem chrzestnym MAGA" lub „prorokiem destrukcji", Steve'a Bannona. Nazwał ich „oszustami" i „naciągaczami" oraz zarzucił im szerzenie teorii spiskowych i flirt z antysemityzmem.

Odpowiedź była brutalna: Bannon określił Shapiro mianem „raka", który próbuje przejąć ruch, by podporządkować go interesom Izraela. Dla części trumpowskiej bazy Shapiro stał się figurą „fałszywej alternatywy" – kogoś, kto udaje outsidera, a w istocie reprezentuje establishment w nowym opakowaniu.

•

Na tym tle pojawia się 28-letni Nick Fuentes – przedstawiciel młodej, internetowej skrajnej prawicy, wychowanej na 4chanie [forum internetowe], ironii i estetyce prowokacji. Fuentes nie chce reformować republiki ani przejmować instytucji; chce „odzyskać kraj". Konstytucja jest dla niego reliktem, a państwo – przeszkodą w realizacji wizji etnicznej, tożsamościowej wspólnoty.

Spór między Shapiro a Fuentesem nie jest więc w istocie sporem o Izrael. To spór o to, kto ma prawo nazywać się „prawdziwą prawicą" i czym w ogóle ma być amerykańska prawica w XXI wieku: ruchem władzy działającym w ramach państwa czy ruchem permanentnego buntu, gotowym zakwestionować samą republikę.

Izrael staje się w tym konflikcie linią demarkacyjną nie dlatego, że jest centralnym problemem polityki amerykańskiej, lecz dlatego, że doskonale nadaje się do rozstrzygania pytania, czyja jest Ameryka. Gdy Fuentes pyta: „Jeśli stawiasz Izrael na pierwszym miejscu, może powinieneś się tam przeprowadzić?", Shapiro rozpoznaje w tym klasyczny trop podwójnej lojalności - jedno z najstarszych oskarżeń o charakterze antysemickim.

Nie chodzi tu o konkretne decyzje polityczne, lecz o samą możliwość bycia jednocześnie Żydem i pełnoprawnym obywatelem republiki. To dokładnie ta sprzeczność, o której pisał Lipset: Żyd jako część elit i zarazem ktoś „zawsze trochę podejrzany", komu w chwilach kryzysu przypomina się, że „nie jest stąd do końca".

Nowy antysemityzm nie przychodzi już w postaci manifestów ani marszów. Jest produktem epoki algorytmów. Działa pół żartem, pół serio – w trybie ironii, w formie pytania, memu, prowokacji: „Czy naprawdę to wszystko jest takie, jak mówią?", „Czy nie wolno już o nic zapytać?", „Czy to nie dziwne, że zawsze chodzi o tych samych ludzi?". Jest rozproszony, pozbawiony jednego autora i jednego centrum.

Nie potrzebuje partii ani organizacji. Wystarczy infrastruktura, która premiuje skandal, transgresję i teorię spiskową. Każdy ban staje się dowodem, każdy ostracyzm - potwierdzeniem, że „mówi się prawdę". Platformy, które miały neutralizować radykalizm, produkują jego męczenników.

W tej logice Fuentes nie jest anomalią, lecz produktem systemu - odpowiedzią algorytmu na popyt na gniew. Jego konflikt z Shapiro nie jest więc jedynie kłótnią dwóch influencerów, lecz starciem dwóch wizji prawicy: jednej, która chce być ruchem władzy, i drugiej, która chce być ruchem resentymentu. Jedna potrzebuje instytucji, druga - wroga. Jedna widzi w Żydach współtwórców republiki, druga – figurę „ukrytego sterowania światem". I to właśnie ta różnica coraz wyraźniej rozrywa MAGA od środka. ●

Tytuł tekstu – „Wyborcza".

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

***Radosław Korzycki**

• dziennikarz, publicysta, zajmuje się polityką zagraniczną. Współpracował m.in. z „Polityką" i „Tygodnikiem Powszechnym", był korespondentem w USA.

1 RP

**WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA**

Paweł Stefanowski*

## Wśród Łemków

*Wśród Łemków*
*nie ma ducha*
*walki i wolności*
*Uczyć by się mieli*
*u tych*
*z zachodniej Ukrainy*
*Ci to są na swoich*
*narodowych*
*miejscach*
*to dobrze*
*to bardzo dobrze*
*ale z Łemkami*
*coraz gorzej*
*To tu to tam*
*bez płotu*
*bez bram*
*bez przyjaciół*
*bliskich*
*bez pomocy*
*tych tam*
*no i rób tu*
*dla nich*
*miejsce w świecie*
*europejskim*
*To choćby z adwokatem*
*poszli walczyć*
*o swoje*
*Jedni*
*w domu własnym*
*się boją*
*Drudzy*
*cześć swoją*
*tracą*
*a to z miernotą*
*porównywać trzeba*
*i dla honoru*
*i dla chleba*

[3 VIII 1999]

***Paweł Stefanowski** - 1932-2021, wybitny działacz łemkowski, pisarz, poeta, etnograf, pedagog. Wiersz za zbiorem jego utworów „Wiersze wybrane", Laboratorium Literatury Instytutu Kultury Regionalnej i Badań Literackich im. Franciszka Karpińskiego, Siedlce - Warszawa 2022.

FOT. DOMENA PUBLICZNA

eprasa.pl ed047e9ca2

ALE HISTORIA

Józef Rybicki „Andrzej” (z wąsem) 23 sierpnia 1944 roku podczas powstania warszawskiego po zdobyciu przez jego pluton siedziby Komendy Policji na Nowym Świecie. W czasie okupacji Rybicki był szefem Kierownictwa Dywersji (Kedywu) Okręgu Warszawa Armii Krajowej

FOT. ARCHIWUM

# Sumienie ARMII KRAJOWEJ

**„Więzienie to nie miejsce na zmianę poglądów” – rzucił w twarz przesłuchującemu go stalinowskiemu oprawcy Józefowi Różańskiemu.** Śledztwo toczyło się w sprawie organizacji Wolność i Niezawisłość, a Józefowi Rybickiemu groziła kara śmierci.

**Andrzej Brzeziecki**

1 RP

eprasa.pl ed047e9ca2

Już w czasie procesu WiN-u do jego adwokatki zgłaszali się ludzie – w tym Żydzi z warszawskiego getta – gotowi zeznawać na korzyść oskarżonego. Wielu zawdzięczało mu życie i teraz chcieli pomóc. Rybicki odmówił. Stwierdził, że ratując tych ludzi, spełniał tylko swój obowiązek i teraz nie może dyskontować swych wojennych działań w imię osobistej korzyści – 3 lutego 1947 roku został skazany na dziesięć lat więzienia. Wojskowy Sąd Rejonowy w Warszawie, ogłaszając wyrok, w swoisty sposób docenił postawę Rybickiego, zaznaczając jego „przyznanie się, szczerość, z jaką wypowiadał swoje poglądy na rozprawie i obciążające go fakty, iż nie usłuchał rad Rzepeckiego o zaniechanie konspiracji i w jego to obszarze najbardziej szalał terror bojówek". Także komunistyczna prasa pisała o postawie Rybickiego z szacunkiem. Sądzonych było dziesięć osób z prezesem WiN-u Janem Rzepeckim na czele. Różne przyjmowały strategie – ta Rybickiego wydaje się najbardziej straceńcza, imponująca i niemal niemożliwa do naśladowania.

W czasie pogrzebu Rybickiego w 1986 roku Stanisław Broniewski „Orsza", naczelnik Szarych Szeregów, mówił: „Składamy do grobu sumienie Armii Krajowej". Nie była to tylko okolicznościowa formułka wypowiedziana, by godnie pożegnać zasłużonego człowieka. Ludzie tacy jak Rybicki czy Broniewski nie silili się na konwencjonalne gadki. Z kolei Jan Józef Lipski nad grobem Rybickiego wspominał jego działalność w Komitecie Obrony Robotników, w którym – jak stwierdził – reprezentował „siebie samego, swoją wielką postać, wspaniałą osobowość, ale był również jakimś symbolem wielkiej legendy Armii Krajowej".

▶ **Warszawa, 1973 rok, od lewej: Józef Rybicki, Kazimierz Moczarski, akowiec, więzień stalinowski, autor słynnych „Rozmów z katem" oraz pisarz Andrzej Szczypiorski**
FOT. ADAM PLUCIENNIK/ARCHIWUM ELŻBIETY MOCZARSKIEJ/FOTONOVA/EAST NEWS

## UCZCIWY, ALE NIE NAIWNY

Niezdolność do kłamstwa pozostała w nim do końca. Być może zdawał sobie sprawę z tego, że nie został obdarzony pokerowym obliczem.

„Jego twarz nigdy nie mogła ukryć uczuć, które właśnie przeżywał; tego, jaką pokazywał oprawcom w więzieniu stalinowskim, wyobrazić sobie nie potrafię – pisała Anka Kowalska, wspominając czasy Komitetu Obrony Robotników. – Na każdym zebraniu z góry wiedziało się zawsze, czy Pan Józef ma zamiar, czy nie ma zamiaru upierać się przy czymś, czy przeciw czemuś. Przykrość, gniew, zakłopotanie, absolutne zdecydowanie, zadowolenie, wesołość, rozradowanie odbijały mu się w rysach i w oczach, jak to się dzieje tylko z twarzą i oczyma dziecka".

Niech ten opis nas nie zmyli. Uczciwość nie oznacza naiwności. Józef Rybicki był wytrawnym konspiratorem. Anka Kowalska pisała, że to on uczył młodych współpracowników KOR-u konspiracji. Jacek Kuroń, często w gorącej wodzie kąpany, wspominał, że Rybicki tłumaczył mu: „Panie Jacku, pan musi zrozumieć, że jak przeciwnik na pana nadciąga, to nie wolno panu za wcześnie pociągnąć za język spustowy. Trzeba wyczekać, aż zbliży się na odległość strzału".

Ale przy wszystkich ryzykach związanych z działalnością w KOR, to przecież wojenne i tużpowojenne przygody uczyły Rybickiego zasad działania w podziemiu. Lipski pisał, że nauki konspiracji, jakich udzielał Rybicki, nie brały się z nieufności ani nawet ostrożności, ale z „poczucia odpowiedzialności za wszystko i wszystkich".

## WYCHOWANY NA ROKU 1863

Urodzony w 1901 roku wchodził w dorosłość w momencie, w którym Polska wybijała się na niepodległość. W jej obronie walczył z bolszewikami w 1920 roku i został ranny. Jego życiorys wpisuje się w szereg polskich biografii najwyższej próby – jest jak wyjęty z książek między innymi Stefana Żeromskiego opisujących polską inteligencję, która w życiu kieruje się poczuciem obowiązku wobec państwa i jego obywateli.

Józef Rybicki, syn sędziego oraz nauczycielki, wyniósł z domu zasady, których trzymał się do końca życia. „Byłem wychowany na roku 1863" – mówił pod koniec życia.

Solidne wykształcenie filologa klasycznego zdobył w Wilnie, gdzie także się doktoryzował. Należał do rozsławionego przez Czesława Miłosza klubu „Włóczęgów". Ze Lwowa i Wilna – miast swej młodości, wyniósł tolerancję. Stykał się tam z Ukraińcami, Żydami, Białorusinami, Litwinami; a więc z katolikami, grekokatolikami, prawosławnymi, ewangelikami, żydami i muzułmanami…

Za życiowe motto przyjął słowa Mariana Zdziechowskiego:

**Jedna z anegdot mówi, że na wszelkie propozycje rozmów z bezpieką odpowiadał, że chętnie się spotka, tylko się umyje, by esbecy mogli go pocałować w dupę**

„Naród, który utracił niepodległość, a nie wyzyskał wszystkich możliwości do jej odzyskania, ten naród nie jest godzien być narodem". Tymi słowami uzasadniał działalność w czasie okupacji, a potem w KOR.

W latach trzydziestych XX wieku był nauczycielem w Państwowym Gimnazjum imienia Adama Mickiewicza w Wilnie, potem pełnił obowiązki dyrektora Państwowego Gimnazjum imienia Adama Mickiewicza w Nowogródku.

Uczennica tej koedukacyjnej szkoły Jadwiga Jurkszusz-Tomaszewska pisała na łamach „Zeszytów Historycznych", że Rybicki „kiedyś, zaszedłszy na lekcję religii prawosławnej, stwierdził z oburzeniem i przerażeniem, że odbywa się ona nie po białorusku, a po rosyjsku, służąc rusyfikowaniu ziem o bardzo delikatnym układzie narodowościowym. Sprawa oparła się o kuratorium – okazało się, że praktyka jest powszechna i w innych szkołach! Wielu księży prawosławnych zostało zawieszonych bądź zwolnionych".

Ostatecznie zrezygnował z tej pracy na znak protestu, gdy władze zlikwidowały w Nowogródku jedyne w Polsce gimnazjum z językiem białoruskim jako wykładowym. Od 1937 roku do wybuchu wojny był dyrektorem Państwowego Gimnazjum i Liceum imienia Bartosza Głowackiego w Tomaszowie Lubelskim. Wybudowano je w latach dwudziestych XX wieku, uczyło się tam ponad 200 dziewcząt i chłopców. Było szkołą nowoczesną, z jasnymi salami, pomieszczeniami sanitarnymi, salą gimnastyczną i porządną pracownią chemiczną.

„Dyrektorski gabinet ojca nie robił na nas większego wrażenia", zapamiętała córka Rybickiego Hanna, która jako dziecko odwiedzała szkołę. W wydanej w 2022 roku książce „Kedyw Okręgu AK Warszawa. Przyczynki historyczne. Polemiki i wspomnienia" opisała życie w Tomaszowie Lubelskim jako spokojne i niespieszne. Towarzyszył mu szum niewielkich wodospadów na rzece Tanew.

Los jednak nie dał wypuścić Rybickiemu w świat zbyt wielu roczników. Gdy po latach Hanna Rybicka przeglądała kroniki szkolne, zauważyła, że jej autorzy nie przeczuwali, iż ich świat się zawali. Jedynym znakiem nadchodzących czasów była zbiórka wśród młodzieży szkolnej na lekki karabin maszynowego dla 9. Pułku Piechoty Legionów, którym dowodził pułkownik Stanisław Sosabowski.

We wrześniu 1939 roku przyszła wojna, a wraz z nią czas okrucieństwa i demoralizacji, Rybicki jako mąż zaufania Sosabowskiego brał udział w zakopywaniu broni przez jego żołnierzy w lasach zamojskich.

## KEDYW, PRAWDZIWA LEGENDA

W materiałach SB na temat Rybickiego jego działalność w latach 1939-45 kwitowana jest najczęściej jednym zdaniem: „Podczas okupacji był szefem Kedywu okręgu warszawskiego AK". Oczywiście służby specjalne i policje polityczne nie są od tego, by zbierać laurki na temat figurantów, ale widać wyraźnie, że autorzy materiałów, a może także ich odbiorcy, jakby woleli nie wiedzieć, iż inwigilują człowieka zasłużonego dla Polski. Prokuratorom z okresu zdobywania władzy przez komunistów taka wiedza zapewne nie przeszkadzała, ale potem mogła już psuć nastrój. Tak było także za „liberalnego" Edwarda Gierka i w dekadzie generała Wojciecha Jaruzelskiego, który starał się pozyskać weteranów Armii Krajowej, choćby odsłaniając Pomnik Powstania Warszawskiego.

Kto zna jako tako historię Polski, ten po jednym zdaniu o kierowaniu Kedywem AK dopowie sobie wiele, bo za tym akronimem stoi prawdziwa legenda. Jak to się stało, że dyrektor z gimnazjum w Tomaszowie Lubelskim, miłośnik książek, które gromadził stale, kierował dywersją wymierzoną w okupanta?



eprasa.pl ed047e9ca2

Do konspiracji wciągnął go napotkany przypadkowo w Zamościu Antoni Gajl-Kot, oficer Oddziału II Sztabu Generalnego, czyli wywiadu i kontrwywiadu, znany Rybickiemu z Nowogródka. To on – z polecenia Jana Mazurkiewicza – tworzył zręby Tajnej Organizacji Wojskowej. Rybicki, już jako członek TOW, znalazł się w Warszawie, a gdy ta organizacja weszła w skład Armii Krajowej, komórka, w której działał, wcielona została do Kedywu okręgu warszawskiego AK.

Kedyw, czyli Kierownictwo Dywersji Komendy Głównej Armii Krajowej, zostało powołane w styczniu 1943 roku z rozkazu nr 84 generała komendanta głównego AK gen. Stefana Roweckiego „Grota”. Powstało, by dokonywać aktów sabotażu i dywersji przeciw Niemcom. Pierwszym dowódcą Kedywu został Emil Fieldorf „Nil”, zaś od lutego 1944 roku Jan Mazurkiewicz ps. „Radosław”. Warszawskim Kedywem kierował major Jerzy Lewiński, który jednak przypadkowo aresztowany został rozstrzelany pod fikcyjnym nazwiskiem.

## PROSZĘ ZABIĆ TEGO GESTAPOWCA

Rybicki objął dowodzenie warszawskim Kedywem w listopadzie 1943 roku, mając już na koncie sukcesy, jak choćby spalenie magazynów benzyny przy ulicy Gniewkowskiej. Wedle słów Kazimierza Brandysa, powołującego się na rozmowę z żołnierzem AK Janem Falewiczem, zaprawieni w akcjach chłopcy z Kedywu „bardzo się speszyli, kiedy stanął przed nimi jegomość pulchniutki, różowiutki, zacierający rączki – zupełny cywili, krańcowe przeciwieństwo heroicznego dywersanta.

Stanisław Sosabowski dodawał: „Nie tworzył wokół siebie jakiegoś sztabu z wieloma łączniczkami, lecz działalność prowadził bezpośrednio, osobiście ze swymi podwładnymi. Dowódcy jakiejś akcji nie tylko dawał zadania, ale później przy jej wykonaniu dyskretnie towarzyszył żołnierzom, by w razie potrzeby służyć im pomocą. Chciał dzielić z nimi niebezpieczeństwo. Zjednywało mu to szacunek i przywiązanie podkomendnych”.

Na co dzień Rybicki czytał meldunki, sporządzał raporty, kontrolował wydatki, stan broni, stan osobowy... Jeden z jego podwładnych, Tadeusz Jaegermann, wspominał, że w postawie Rybickiego nie było żołnierskiej pozy – choć przecież mundur nie był mu obcy. Nie rozkazywał, dopuszczał podwładnych do dyskusji. Trzydzieści lat później Anka Kowalska fantazjowała, ale trafnie, że tak jak ją o coś Rybicki prosił, tak zwracał się do żołnierzy AK: „Proszę zabić tego a tego gestapowca. – Bardzo bym prosił o wysadzenie tego, o, tu, mostu”.

Zapewne jej słowa to echo relacji zasłyszanej przez Brandysa, wedle której pierwsze zadanie bojowe Rybicki przekazał podwładnym właśnie tak: „Byłbym panom niezmiernie wdzięczny – powiedział, uśmiechając się i zacierając w zakłopotaniu rączki – gdybyście zechcieli mi wysadzić ten mostek”.

Szybko okazało się, że Rybicki to „dowódca niezmiernej odwagi i błyskawicznej decyzji”. Nie był jednak prędki do wysyłania podwładnych na akcje – wiedział, że z każdej z nich ktoś nie wraca. Gdy na przykład chodziło o wyroki wykonywane na szmalcownikach, uważał, że lepiej ich postraszyć, niż ryzykować krwawą jatkę.

## BANDY, DOLARY, DYWERSJA

Po wybuchu powstania Kedyw stracił rację bytu – Rybicki brał udział w akcjach zbrojnych, na ulicy Żabiej został ranny w nogę, miasto opuścił 3 października. Dotarł do Częstochowy, wkrótce nawiązał kontakt z Emilem Fieldorfem „Nilem”.

Po rozwiązaniu AK i niemożności powołania organizacji konspiracyjnej NIE powstaje Delegatura Sił Zbrojnych. Rybicki wraz z Janem Mazurkiewiczem „Radosławem” kierowali Obszarem Centralnym. „Radosław” był wówczas największym zwolennikiem walki zbrojnej – „do końca”.

W akcie oskarżenia wyliczono skrupulatnie wszelkie aspekty działalności Rybickiego, ale czyjaś usłużna ręka na marginesie odnotowała czerwonym ołówkiem najważniejsze z nich, poniekąd streszczając wywód prokuratora. A więc mamy „oddziały zbrojne”, „dolary”, „dotacje dla band”, znowu „Dolary!”, ale tym razem z wykrzyknikiem, bo mowa o 90 tysiącach dolarów papierowych, „Terror i dywersja”, popieranie organizacji PSL, Wolność, Równość, Niepodległość, Stronnictwo Pracy. Rybicki miał rekomendować Rzepeckiemu poszerzenie współpracy z „bandami UPA”, choć historycy raczej wskazują na jego sprzeciw wobec rozmów z Ukraińcami.

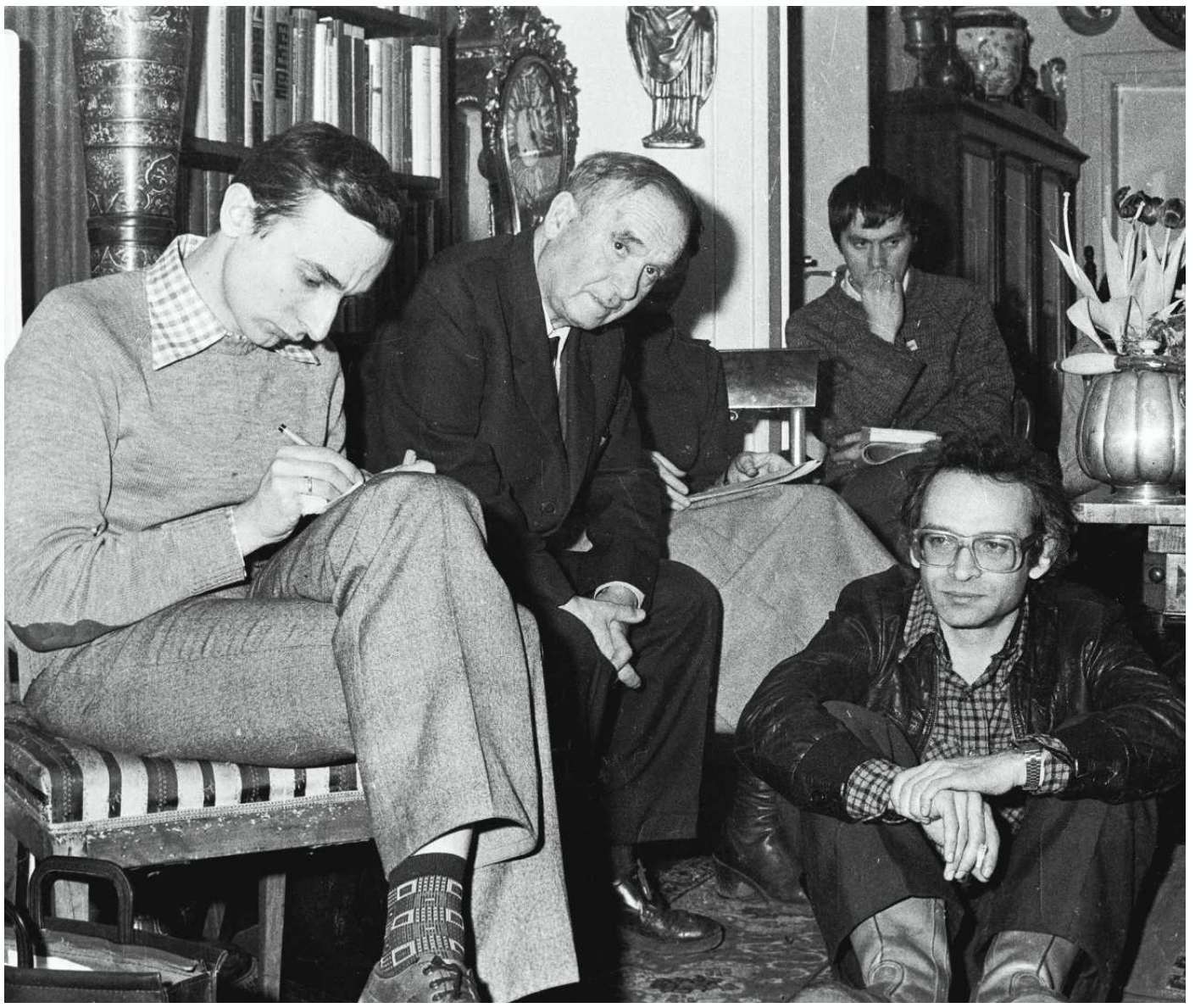

▲ **Zebranie członków KOR-u w warszawskim mieszkaniu prof. Edwarda Lipińskiego, od lewej: Piotr Naimski, Józef Rybicki, Wojciech Onyszkiewicz i Jan Lityński**

FOT. ZBIGNIEW GARWACKI/FOTONOVA/EAST NEWS

Po latach w jego charakterystyce zapisano, że „działał bardzo aktywnie przeciwko nowemu ustrojowi Polski na zlecenie tak zwanego Rządu Londyńskiego i Delegatury Sił Zbrojnych na Kraj – pod pseudonimami: »ANDRZEJ«, »MACIEJ«, »S-1« i był organizatorem Komendy Centralnego Obszaru »WiN«. W ramach piastowanych przez siebie funkcji kierował między innymi działalnością band zbrojnych na tym obszarze, które zajmowały się mordowaniem działaczy partyjnych, funkcjonariuszy UB i MO oraz różnego rodzaju rabunkami”.

W rzeczywistości, choć Rybicki nie był zwolennikiem ujawniania się, do czego namawiał po zawarciu umowy z władzami Jan Mazurkiewicz, to zgadzał się z Rzepeckim, że opór zbrojny traci rację bytu, a legitymacja rządu w Londynie wygasła. Takie założenie stało właśnie u podstaw powołania we wrześniu 1945 roku Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość”. Odrzucenie walki zbrojnej wyrażało się chociażby w zmianie tytulatury: komendantów zastąpili prezesi, a rozkazy – wytyczne. Celem była walka polityczna poprzez kształtowanie opinii. Po latach Rybicki widział w WiN-ie zapowiedź takich organizacji jak Komitet Obrony Robotników.

## RZUCAŁ NA SZALĘ SWOJE ŻYCIE

Władze jednak nie bawiły się w politykę. Po rozbiciu Narodowych Sił Zbrojnych komuniści ustalili, że WiN miał współfinansować jeden z kanałów przerzutowych NSZ. I po nitce do kłębka UB dotarło, najpierw do kierowniczki łączności Emilii Malessy „Marcysi”, a potem, gdy zaufała ona obietnicom Różańskiego, że nikomu z WiN-owców włos z głowy nie spadnie i zaczęła sypać – aresztowało całe kierownictwo WiN. Schwytany 5 listopada 1945 roku Rzepecki dość szybko ujawnił całą organizację, łącznie z kasą i sprzętem, oraz wezwał do wyjścia z konspiracji. Rybicki i pozostali członkowie kierownictwa WiN-u odrzucili apel, ale również ich wyłapano. Rybicki i pułkownik Ludwik Muzyczka wpadli jako ostatni 22 grudnia.

Cały 1946 rok trwały przesłuchania i w styczniu 1947 rozpoczął się proces pokazowy. Na ławie oskarżonych oprócz Rybickiego, Rzepeckiego i Muzyczki zasiedli: Emilia Malessa, Marian Gołębiewski, Jan Szczurek-Cergowski, Antoni Sanojca, Tadeusz Jachimek, Henryk Żuk i Kazimierz Leski. „Proces bardzo ciężki. Chyba jeden z najniebezpieczniejszych procesów – wspominał cztery dekady później Rybicki. – Nieprzyjemny. Rzepecki, Sanojca, ze współzałożycieli, niestety załamują się”.

Rybicki tymczasem, jak po latach napisał Adam Michnik, „każdym słowem rzucał na szalę swoje życie”.

Był to pierwszy proces pokazowy i władze chciały zamanifestować swą wielkoduszność. Z całej dziesiątki tylko Gołębiewski otrzymał wyrok śmierci, ale zamieniony na dożywocie, a potem na 15 lat. Orzeczony przez sąd wyrok 10 lat zamieniono Rybickiemu na sześć – perfidnie, bo najbliższa amnestia miała obejmować wyroki do pięciu lat. Wolność odzyskał w 1954 roku.

Osiadł w Milanówku, pożegnał się z bronią, ale nie z walką o demokratyczną Polskę. Wkrótce potem odwiedzić go miał Mieczysław Moczar, w czasie wojny partyzant Armii Ludowej, naczelny kombatant PRL, a także wpływowy polityk związany z bezpieką. Próbował namówić Rybickiego do złożenia wniosku o rehabilitację, ale ten odmówił, twierdząc, że jej nie potrzebuje, bo nie wstydzi się, iż siedział. Odbił piłeczkę, pytając Moczara: „A pan by zabiegał o rehabilitację z powodu pańskich odsiadek w więzieniach sanacyjnych? Nie, prawda? No, widzi pan”.

Według innych anegdotek na wszelkie propozycje rozmów z bezpieką odpowiadał, że chętnie się spotka, tylko się umyje, by esbecy mogli go pocałować w dupę.

## NIE ZAPRZESTAŁ WROGIEJ DZIAŁALNOŚCI...

Gdyby mógł, najchętniej wróciłby do uczenia, ale władze PRL nie chciały, by miał wpływ na formowanie młodych umysłów. Nawet jako filolog klasyczny mógł mącić w głowach. Oddał się pracy redakcyjnej i działalności społecznej w Społecznym Komitecie Przeciwalkoholowym. Nie był abstynentem, ale uważał, że władze PRL, choć propagandowo zwalczały alkoholizm, de facto sprzyjały uzależnieniom i demoralizacji społeczeństwa. Potwierdzały to statystyki. Dla polskiej inteligencji walka z alkoholizmem była także walką o Polskę – trzeźwą, rozsądną, niezależną w myśleniu.

Rybicki połączył tu siły z przyjacielem z czasów okupacji – Kazimierzem Moczarskim. Autor „Rozmów z katem” należał na najbliższego grona Rybickiego. To on żegnał Moczarskiego, przemawiając nad jego gro-



eprasa.pl ed047e9ca2

bem jesienią 1975 roku na Powązkach. Nazwał swego towarzysza „rycerzem bez skazy".

Żył, wraz z żoną, skromnie – dom w Milanówku pozbawiony był wygód, co starzejącym się państwu utrudniało życie. Po długich rozterkach spieniężył swój bogaty księgozbiór (odmówił sprzedaży go Bolesławowi Piaseckiemu), by kupić nowoczesne mieszkanie, ale niewiele z tego wyszło...

Oczywiście nie był bierny, jak odnotowywało SB, z „racji pełnionych w czasie wojny funkcji stał się jednym z przywódców środowiska akowskiego". Nie zaprzestał wrogiej wobec PRL działalności, organizował spotkania i dyskusje na bieżące tematy. Przekazywał na Zachód informacje o tym, co dzieje się w Polsce w celu – jak notował esbek – „skuteczniejszego zwalczania socjalizmu w Polsce". Bywał na dyskusjach w Klubie Krzywego Koła – poznając tam nowe pokolenia niepokornych.

Kiedy w latach sześćdziesiątych XX wieku partyjna frakcja Moczara wyciągała rękę do byłych akowców, Rybicki trzymał się od „partyzantów" z dala, choć pokusa była wielka. Po latach marginalizacji, a wcześniej prześladowań, akowcy zostali zauważeni przez państwo. Moczar co prawda zgodnie z linią partii wieszał psy na dowódcach AK, ale zwykłym żołnierzom mówił, że łączyła ich walka z niemieckim okupantem. Państwowe media zaczęły pokazywać AK w lepszym świetle. To działało. Wspomniany już Jan Mazurkiewicz, słynny „Radosław", który także siedział w stalinowskim więzieniu, przyjął ofertę Moczara i został jego zastępcą w Związku Bojowników o Wolność i Demokrację.

## NAZYWAM SIĘ FISZMAN

A Rybicki był nieprzejednany i nawet Władysław Bartoszewski padł ofiarą jego bezkompromisowości. Jako laureat Nagrody Historycznej „Polityki" wyjechał w 1968 roku wraz z Główną Komisją Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce na Zachód. Główna Komisja była oczywiście w rękach moczarowców, ale dokumentowała przecież zbrodnie niemieckie, ponadto Bartoszewski jechał jako laureat pisma, które w okresie nagonki na Żydów zachowało się, jak trzeba.

Na Zachodzie dziennikarze pytali Bartoszewskiego o antysemityzm moczarowców. On jednak unikał jednoznacznych odpowiedzi – ale głównie dlatego, że szef Radia Wolna Europa Jan Nowak Jeziorański, z którym współpracował, przestrzegał go przed zbytnim wychylaniem się. Po powrocie do Polski Bartoszewski dowiedział się, że według Rybickiego „ześwinił się", bo nie postawił sprawy jasno. „Nie wiedział, że podczas tego wyjazdu co dzień odbywałem dwugodzinne rozmowy z Wolną Europą, po nocach zaś pisałem sprawozdania dla [Tadeusza] Żenczykowskiego [po wojnie pracownika rozgłośni, a w czasie konspiracji oficera Biur Propagandy AK], o SB, ZBoWiD-zie, o ludziach z AK, którzy odstąpili od ideałów demokracji i niepodległości za miskę soczewicy od Moczara" – opowiadał potem Bartoszewski Michałowi Komarowi.

Można jednak zrozumieć pragnienie wielu byłych akowców, by wreszcie móc chodzić z podniesioną głową. Miska soczewicy, o której mówił Bartoszewski – dla wielu oznaczała opiekę sanatoryjną, rehabilitację w oczach społeczeństwa...

Gdy w okresie największych sukcesów Moczara i w czasie szalejącego antysemityzmu dziennikarka radiowa (w innej wersji anegdoty – dziennikarz) poprosiła Rybickiego o wywiad, podbechtując go mianem zasłużonego autorytetu i kombatanta, zgodził się, lecz wyraził obawę, że gdy wystąpi pod nazwiskiem, to redakcja może mieć obiekcje. Dziennikarka zaprotestowała, twierdząc, że jego nazwisko jest najlepszą rękojmią. Rybicki z krzywym uśmiechem „wyjawił jej": „Ale ja jestem Żydem i naprawdę nazywam się Fiszman". Dziennikarka o mało nie zemdlała i uciekła, zapominając podobno mikrofonu...

## JAK UNIKNĄĆ JEGO GNIEWU?

Nowy rozdział w walce o demokrację otworzyło powołanie KOR-u we wrześniu 1976 roku. Preludium do tego wydarzenia stanowiły jednak o rok wcześniejsze listy protestacyjne przeciw zmianom w konstytucji PRL, w tym najsłynniejszy List 59, którego Rybicki został sygnatariuszem.

W czerwcu 1976 roku wybuchły strajki – robotnicy w Radomiu i Ursusie wyszli na ulice. Podwyżki cen żywności oznaczały kres marzeń o cudzie gospodarczym epoki Gierka, a represje, jakie spadły na protestujących – koniec złudzeń na temat liberalizmu jego ekipy. Warszawska inteligencja postanowiła zaprotestować i wyrazić solidarność z robotnikami. Jacek Kuroń, spiritus movens wielu takich akcji, zaczął zbierać podpisy.

Nie było wówczas telefonów komórkowych, a tradycyjne bywały na podsłuchu, uzgodnić cokolwiek było trudno, nawet jeśli nad wszystkim czuwał niebywale skrupulatny i rzetelny Jan Józef Lipski. Rybicki zamierzał podpisać list, ale chciał poczekać na prof. Edwarda Lipińskiego, znanego ekonomistę, który był akurat na wakacjach. Z kolei Stefan Kisielewski podpisał od razu i lekkomyślnie przekazał list na Zachód, gdzie odczytywała go Wolna Europa, wymieniając nazwisko Rybickiego.

Na Kuronia padł blady strach – wiedział, że Rybicki chciał czekać na prof. Lipińskiego, jeśli więc zdementuje informacje o swoim podpisie, inicjatywa zostanie skompromitowana. Na domiar złego – Rybicki mieszkał w Milanówku.

Zdesperowany Kuroń dotarł do Adama Michnika, który telefonicznie próbował umówić się na spotkanie w Milanówku, ale było już bardzo późno.

Nazajutrz spodziewano się powrotu prof. Lipińskiego do Warszawy. Gdy Michnik z Kuroniem pokazali mu list, ten – jako ekonomista – zaczął zgłaszać obiekcje i domagać się poprawek... Gdy jednak dowiedział się, że list ogłosiła już RWE, odparł, że nie ma już o czym gadać i natychmiast trzeba go podpisać.

Kuroniowi udało się uniknąć gniewu Rybickiego.

## STARA SIĘ SZKODZIĆ PRL

Gdy kilka tygodni później Kuroń oraz Lipski tworzyli KOR i szukali niekwestionowanych autorytetów – takim był właśnie Rybicki.

Esbecy znów meldowali, że stara się „szkodzić interesom PRL", nawiązał współpracę z RWE, że tworzy „kanał przerzutowy dla przekazywania informacji do ośrodków dywersji ideologiczno-politycznych na Zachodzie". I najgorsze: „Jest współinicjatorem wmurowania tablic pamiątkowych w kościołach i innych imprez nawiązujących do założeń ideologicznych i tradycji Polski burżuazyjnej".

Skromne domostwo Rybickich rzeczywiście pełne było marmurowych lub granitowych tablic pamiątkowych na cześć wielkich Polaków poprzedniej epoki – jak np. Grota Roweckiego, któremu Rybicki ufundował tablicę w Kościele Świętego Jakuba na Placu Narutowicza. Na takie właśnie cele, a nie na mieszkanie z centralnym ogrzewaniem, szły pieniądze ze sprzedaży księgozbioru. „Wszystkie te ufundowane przez siebie pamiątki Rybicki rozmieszcza po kościołach i cmentarzach. Kiedy każda z nich zajmie należne jej miejsce – uzna swoje zadanie życiowe za spełnione" – zapisał Marian Brandys.

Opinie te pochodzą z 1977 roku, być może już wtedy Rybicki starał się o umieszczenie przy wejściu do kościoła w Milanówku pierwszej w kraju tablicy upamiętniającej generała Augusta Emila Fieldorfa. Ostatecznie ksiądz Stanisław Tworkowski poświęcił ją w lutym 1978 roku. Niestety, po latach przeniesiono ją na mniej eksponowane miejsce, a zastąpiono tablicą... z wykazem proboszczów.

Władze uprzykrzały życie KOR-owcom, jak mogły. Nie były to czasy brutalnych represji – raczej szykan, zatrzymań, rewizji, pobić, częste są telefony z pogróżkami i wyzwiskami.

„Do Kuronia dzwonił ktoś każdego dnia, odliczając sumiennie od stu podarowanych mu jeszcze dni życia każdy, który minął – pisała Anka Kowalska. – Do wszystkich prawie przychodziły anonimy treści dość niewymyślnych: Grażyna Kuroniowa miała romans z Lipskim, pan Józef Rybicki, szef warszawskiego Kedywu, zmieniał kochanki jak skarpetki, pani Aniela była »starą k... i żydówą«, przez małe naturalnie „żet«".

Jak sam Rybicki, w grudniu 1985 roku podczas prelekcji w łódzkim duszpasterstwie akademickim mówił: „Rewizje, nierewizje, różne szykany, jak to zwyczajnie człowieka ładnie stara się dobrowolnie przekonać, represyjnie. Represja, ale dobrowolnie – rozumieją państwo".

## ZARYCZAŁ JAK ZRANIONY ZWIERZ

Od codziennej roboty w KOR byli ludzie młodzi, zaś nazwiska autorytetów, jak Aniela Steinsbergowa czy Józef Rybicki, na których mówiono, wcale nie lekceważąco czy z pobłażaniem, „starsi państwo", dawały rękojmię powagi całego przedsięwzięcia. Łącznikiem między tymi generacjami był Jan Józef Lipski.

Na różnice pokoleniowe nakładały się też światopoglądowe, które nie były drugorzędne, bo okazało się, że nurt narodowo-patriotyczny nie potrafi współpracować z nurtem liberalno-lewicowym. Tacy ludzie jak Wojciech Ziembiński czy mecenas Stefan Kaczorowski zgrzytali zębami na lewicowy przechył KOR-u. Na lewo ściągać komitet miał przede wszystkim Kuroń. Rybicki także był zdania, że formuła KOR-u jest zbyt ciasna i przydałaby się nowa organizacja o szerszym profilu. Zwłaszcza że w styczniu 1977 roku w Czechosłowacji narodziła się Karta'77 odwołująca się do idei obrony praw człowieka, a nie tylko wspierania robotników.

Tak narodził się pomysł Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela – świetny, ale między pomysłem a rzeczywistością czasem zieje przepaść. Historia sprzed pół wieku wydaje się dość skomplikowana, ale – jeśli idzie o podziały światopoglądowe i metody działania – kładzie się długim cieniem na dalszych dziejach Polski.

Ideę szerszego ruchu lansował między innymi Leszek Moczulski – Kuroń więc skierował go do Rybickiego. W efekcie długich dysput ludzie KOR zamierzali przekształcić Komitet w większą organizację i przygotowali jej deklarację.

O ile jednak zajęci codzienną działalnością nie spieszyli się z tworzeniem ROPCiO, o tyle Moczulski wręcz przeciwnie – zaczął nawet oskarżać Lipskiego, Kuronia i innych o sabotowanie sprawy. Ostatecznie przyszły lider Konfederacji Polski Niepodległej postanowił ogłosić powstanie nowej organizacji, posługując się sformułowaną przez ludzi KOR deklaracją oraz nazwiskami osób, które były gotowe do niej wstąpić. Tak zmanipulowani zostali między innymi KOR-owcy – ksiądz Jan Zieja czy legenda PPS-u Antoni Pajdak.

Moczulski, który poniekąd podpiął się pod autorytet Rybickiego, uważał, że w nowej organizacji nie ma miejsca dla lewaków. Powstanie ROPCiO zamierzał ogłosić 25 marca 1977 roku na konferencji prasowej w mieszkaniu Pajdaka. Jednak wtedy – wedle słów Kuronia – Rybicki „zaryczał jak zraniony zwierz", bo „dla niego takie podziały były absolutnie nie do przyjęcia".

Rybicki zorientował się w grze Moczulskiego niemal w ostatniej chwili przed ogłoszeniem powstania organizacji – ostatecznie nazwał go oszustem, łobuzem i wyrzucił z domu. Nie wziął udziału w konferencji pasowej Moczulskiego, a ten miał tyle rozsądku czy może przyzwoitości, by nie powoływać się już na niego.

Wkrótce akces z ROPCiO wycofali oburzeni manipulacją Moczulskiego ksiądz Jan Zieja i Antoni Pajdak, choć to w jego mieszkaniu powołanie organizacji zostało ogłoszone. W ROPCiO zostali natomiast dwaj inni korowcy – Wojciech Ziembiński i Stefan Kaczorowski. Ten pierwszy odszedł z KOR-u latem 1977 roku w aurze osoby mało wiarygodnej, Rybicki nazywał Ziembińskiego oszustem i intrygantem. „Albo on, albo ja" – miał oświadczyć. Jak mówił potem Adam Michnik: „Wybór był zupełnie oczywisty".

Od tamtej pory Józef Rybicki nie tolerował Moczulskiego i nawet jeśli KOR wspierał inicjatywy ROPCiO, jak pismo „Opinia", to dopiero po rozłamie, w efekcie którego Moczulski nie brał udział w jego redagowaniu. Anka Kowalska mawiała, że „Pan Rybicki jest chory na umoczulenie".

## CHCEMY ŻYĆ!

Józef Rybicki do końca pozostał wierny ideałom KOR – choć sam Komitet rozwiązał się w okresie „karnawału Solidarności". Nie podzielał poglądów Kuronia, ale widział szczerość jego intencji i czystość metod. W latach osiemdziesiątych XX wieku już coraz bardziej schorowany stale upominał się o prawa człowieka, które wówczas często oznaczały walkę o uwolnienie więźniów politycznych. W stanie wojennym dalej hołdował idei walki non violence. Gdy poprzez historyka Tomasza Szarotę zwrócili się do Rybickiego, jako byłego szefa Kedywu, pewne działaczki podziemia gotowe organizować zamachy na kolaborantów, spokojnie odparł: „Kiedy otrzymywałem od »Montera« [Antoniego Chruściela, komendanta okręgu Warszawa AK] rozkaz likwidacji kogoś, to wiedziałem, że wyrok jest wydany w imieniu Rzeczypospolitej, w imieniu Polskiego Państwa Podziemnego. A w tej chwili? Czy jest jakakolwiek instytucja, która może wam podpisać taki wyrok w imieniu Rzeczypospolitej? Gdybyście zrobili coś takiego, to bylibyście po prostu mordercami".

Anegdotka byłaby śmieszna i przywodziła na myśl ciocię Ryszarda Ochódzkiego z „Rozmów kontrolowanych", gdyby nie fakt, że SB albo rzeczywiście węszyła za urojonymi planami zamachów, albo chciała takowe sprowokować.

W październiku 1983 roku Rybicki podpisał list w obronie więzionych działaczy KOR, potem nawet brał udział w rozmowach na temat ich uwolnienia. Tu jednak jeszcze bardziej bezkompromisowy okazał się Michnik – doprowadzając całą inicjatywę do fiaska.

Władza nie mogła Rybickiemu już zbyt wiele zrobić czy go zastraszyć. Mogła co najwyżej go szykanować, legitymując na przykład podczas próby uczczenia czterdziestej rocznicy powstania w getcie warszawskim. Jedynie próby – bo delegacja napotkała zamkniętą bramę cmentarza.

Jednym z jego ostatnich publicznych wystąpień było przemówienie w listopadzie 1984 roku w ambasadzie USA z okazji nadania generałowi Stefanowi Roweckiemu pośmiertnie odznaczenia „Legion of Merit". Mówił wtedy, że choć niejednokrotnie zrywy Polaków były beznadziejne, to świadczyły o woli życia, a walka o niepodległość nie jest beznadziejna – bo „naród, który nie walczy, który stracił nadzieję, należy do narodów martwych. A my chcemy żyć!".

Józef Rybicki zmarł 9 maja 1986 roku. Trzy lata później jego naród zbierał się do życia i oddychania pełną piersią. Także dzięki niemu. ●

Korzystałem między innymi z dokumentów na temat Józefa Rybickiego zgromadzonych w IPN oraz książek, opracowań i artykułów autorstwa: Józefa Rybickiego, Hanny Rybickiej, Anny Machcewicz, Rafała Wnuka i Sławomira Poleszaka, Mariana Brandysa, Hanki Kowalskiej, Adama Michnika, Andrzeja Friszke, Tomasza Szaroty i Andrzeja Paczkowskiego.

1 RP

eprasa.pl ed047e9ca2

Kraj/34420583

KOLOROWE OBIETNICE NAJNTISÓW

KUP TERAZ

W sprzedaży

132 strony

Do kupienia w punktach sprzedaży prasy oraz na **sklep.polityka.pl**,
gdzie dostępne jest także **wydanie audio**.
**Podkast** POLITYKA o historii – **polityka.pl/podkasty**

**Na sklep.polityka.pl znajdziesz ponad 60 tytułów z serii Pomocnik Historyczny**



eprasa.pl ed047e9ca2

# Kocham cię JAK GRENLANDIĘ

**Gdy po pierwszej w życiu wyprawie na Grenlandię musiał wracać do Danii, zapisał w notatkach: „To wyspa moich marzeń”.**

**Iwona Słabuszewska-Krauze**

Peter Freuchen miał dwie twarze. Brawurowy podróżnik, który potrafi zrobić narzędzia z własnych odchodów i przetrwać burzę śnieżną, odkrywca, który „spotyka śmierć na każdym kroku”, doskonały łowca i surwiwalowy ekspert.

A z drugiej strony: badacz, antropolog, pisarz. Kiedy trwał morderczy wyścig o zdobycie bieguna, on szukał śladów osad ludzkich na niezmapowanych terenach Grenlandii. Uczył się dialektu jej rdzennych mieszkańców i starał się poznać ich zwyczaje i kulturę. Mówił o trosce o środowisko i ostrzegał przed zmianami klimatycznymi, kiedy pojęcie to było abstrakcyjne nawet dla naukowców. Napisał ponad trzydzieści książek, został gubernatorem, kupcem, potem scenarzystą w Hollywood, celebrytą.

## WIELKI JAK NIEDŹWIEDŹ

Urodził się w 20 lutego 1886 roku w duńskim Nykøbing Falster. Państwo Freuchen, Frederikke i Lorentz, mieli jeszcze szóstkę dzieci. Wszystkich uczyli samodzielności i niezależności, ale Peter najbardziej wyrywał się w świat – być może za sprawą opowieści snutych w domu. Nie poznał swego dziadka ze strony matki, ale legendy rodzinne mówiły, że pływał on po oceanach i znany był z awanturniczej natury – transportował amunicję błotnistymi rzekami Ameryki Południowej, brał udział w rewolucjach, oblężeniach miast i samosądach na morzu.

Z kolei brat matki rozbudzał wyobraźnię chłopca opowieściami o bandytach i rabusiach, których spotkał w Australii podczas poszukiwania złota. Peter pochłaniał też pamiętniki i książki podróżnicze.

Ostatecznie górę wzięły jednak względy praktyczne i młody Freuchen postanowił zdobyć „dobry” zawód. Rozpoczął studia medyczne. Szybko zdał sobie jednak sprawę z tego, że duszne sale wykładowe nie są dla niego. Czuł, że traci czas, i porzucił naukę. „Postąpiłeś właściwie”, skomentowała matka. Była przekonana, że prędzej czy później buntownicza natura Petera i tak dałaby o sobie znać.

Pewnego ranka Peter zapukał do drzwi Ludwiga Myliusia-Erichsena, podróżnika, którego podziwiał. Mylius-Erichsen szykował ekspedycję „Danmark”, a Peter był zdeterminowany, by zaciągnąć się na wyprawę na północ. Słynny podróżnik dostrzegł determinację w oczach swego młodego gościa, a zapewne także jego wygląd i tężyzna fizyczna nie były bez znaczenia. Freuchen miał dwa metry wzrostu, posturę niedźwiedzia, ważył 150 kilogramów, na głowie burza blond włosów, gęsta broda, muskularne przedramiona i dłonie robotnika portowego, choć nigdy nie pracował fizycznie. Świetnie się z nim rozmawiało. Ktoś taki mógł się przydać na statku.

## MINUS 60 STOPNI, WSZĘDZIE LÓD

Freuchen dostał posadę kotłowego na parowcu „Hans Egede”, godząc się na harówkę pod pokładem. W trakcie rejsu awansował na smarowacza.

W sierpniu 1906 roku po raz pierwszy zobaczył Grenlandię. Zachwycił go surowy krajobraz, dryfujące góry lodowe, chór foczych okrzyków. Na lokalnej potańcówce bliżej poznał się z Inuitami. Dziewczyna, która go zaprosiła, umyła włosy we własnym moczu, bo tak Inuitki dowodziły swojej czystości. Peter wspomina, że taniec w bliskiej odległości od partnerki był „trudny”. Z kolei Inuitka patrzyła z obrzydzeniem, jak przybysze chowają zasmarkane chusteczki do nosa do kieszeni, jakby ich wydzieliny były najcenniejszym skarbem.

Podczas tej pierwszej wyprawy załoga miała przygotować grunt dla właściwej ekspedycji – kupić psy zaprzęgowe i zgromadzić zaopatrzenie, potem wrócić do Danii po resztę ekipy. Peter, oddalając się od Grenlandii, napisał w notatkach „To wyspa moich marzeń”.

Ekspedycja „Danmark” prowadziła badania skał, pokrywy lodowej i klimatu wschodniej Grenlandii. Freuchen został asystentem meteorologa Alfreda Wegenera. Codziennie wypuszczał balony meteorologiczne, a w wolnych chwilach uczył się dialektu Inuitów. Został wytypowany do najtrudniejszego zadania: miał zamieszkać w bazie meteorologicznej 80 km od statku. Sześć miesięcy w izolacji od reszty załogi, w naprędce postawionej chatce o wymiarach 5 na 3 metry. Temperatura minus 60 stopni.

Kiedy przebywał w chatce, para z ust osiadała na jej ściankach i zamarzała, zmniejszając jeszcze jej skromną objętość. Z powodu trudnych warunków towarzysze przestali dowozić mu żywność ze statku. Żywił się tym, co sam upolował. Niemal co noc pod chatę podchodziły wilki.

W marcu 1907 roku, pod koniec półrocznego pobytu w samotności, rozmawiał z przedmiotami i łapał za strzelbę przy byle szeleście. Kiedy wreszcie dotarli do niego członkowie załogi, był w opłakanym stanie, jego broda przypominała „pędzel, na którym zasechł lakier”. Był zdezorientowany, osowiały, izolacja fatalnie wpłynęła na jego psychikę. Ale pomiary wykonywał idealnie.

Po powrocie na statek odzyskał siły i kolejny rok spędził, przeczesując teren w poszukiwaniu dawnych ludzkich osad. Spał w namiocie, polował.

## MARZENIA O POWROCIE

Po dwóch latach ekspedycja wróciła do Kopenhagi, niestety, bez Mylius-Erichsena, który poniósł śmierć w głębi lądu. Dwudziestojednoletni Freuchen został odznaczony wraz z innymi przez króla Fryderyka VIII Orderem Zasługi. Ledwo jednak postawił nogę na lądzie, już chciał wracać. Najpierw jednak spędził trochę czasu w Danii.

Śladem znanych polarników takich jak Robert Edwin Peary czy Roald Amundsen zaczął wygłaszać prelekcje i wykłady.

▲ **Powitanie na statku słynnych podróżników i eksploratorów Grenlandii Petera Freuchena (z lewej) i Knuda Rassmusena, 1919 rok**
FOT. ROYAL DANISH LIBRARY

Ze swoją aparycją wikinga, talentem krasomówczym i wiedzą, zyskał renomę znawcy Arktyki. Wkrótce zaproponowano mu pozycję w gazecie „Politiken”. Poznanie Arktyki było wówczas jednym z gorętszych tematów, Freuchen mógł więc dzielić się wiedzą i podróżniczymi opowieściami. Brał też udział w debacie na temat sporu między Thomasem Cookiem a Robertem Peary dotyczącym pierwszeństwa w zdobyciu bieguna, który zakończył się zdemaskowaniem oszustwa Cooka.

Praca w „Politiken” zapewniała dochód i stabilizację, ale im więcej Freuchen pisał o Arktyce, tym bardziej za nią tęsknił. Kiedy poznał Knuda Rasmussena, polarnika, pisarza, antropologa i gawędziarza, który urodził się na Grenlandii i we wszystkim, co robił, dawał wyraz swojej miłości do tej wyspy, z miejsca się zaprzyjaźnili. Wygłaszali wspólne wykłady, a obaj opowiadali o Arktyce ze swadą i humorem. Wszystko w jednym celu – żeby zgromadzić fundusze na kolejną wyprawę. Udało się.

## DUŻY PETER

Był rok 1910, kiedy założyli bazę badawczą na północy, a później też najdalej na świecie wysuniętą placówkę handlową w Thule (wówczas Uummannaq), w miejscu dotąd odciętym od świata. Część zyskanych z handlu dochodów przeznaczali na rozwój lokalnej bazy medycznej i potrzeby mieszkańców.

Freuchen poznawał życie Inuitów. Imponowało mu ich przystosowanie do trudnych warunków, umiejętność wydobywania informacji ze zjawisk, na które Europejczyk nigdy nie zwróciłby uwagi. Mówił płynnie w ich dialekcie. Prowadził notatki dotyczące kultury i obyczajów – kiedy pisał o seksie, ważył każde słowo, wiedział bowiem, że poligamia czy poliandria wzbudzi w Europie oburzenie. Starał się przedstawić kontekst, wierzył, że tylko wtedy czytelnicy zrozumieją lepiej inuicką kulturę, nawet jeśli jej do końca nie zaakceptują.

W jego stosunku do rdzennej ludności była ciekawość, a zarazem szacunek – postawa nieoczywista w tamtych pełnych uprzedzeń czasach. Inuici polubili go, a nawet uznali za angakoka, przewod-

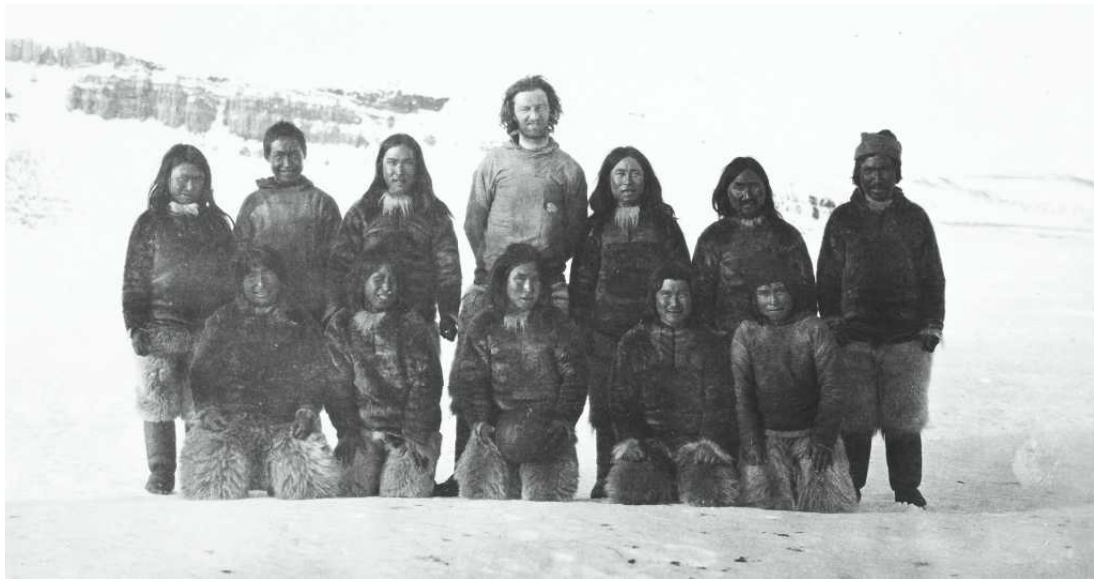

▼ **Peter Freuchen (1886-1957) wraz z grupą Inuitów w osadzie Thule na Grenlandii w 1912 roku**
FOT. ROYAL DANISH LIBRARY

1 RP

eprasa.pl ed047e9ca2

nika duchowego. Nadali mu przydomek „Duży Peter”.

Popularność Freuchena wykorzystał rząd duński i w 1913 roku powołał go na stanowisko gubernatora rezydenta kolonii Thule. Pełnił tę funkcję przez kolejnych siedem lat, podejmując kolejne wyprawy, podczas których jako pierwszy w historii przemierzył – razem z Rasmussenem i dwoma Inuitami – lądolód i sporządził mapy północnej Grenlandii, tak dokładne, że nawet dzisiejsi kartografowie je podziwiają.

## NAVARANA, KOLOROWY PTAK

W 1911 roku poznał Inuitkę Navaranę Mequpaluk. Miała wówczas 13 lat, a Peter 25. „Ta mała dziewczynka, która właśnie osiągnęła wiek odpowiedni do zamążpójścia, wydawała mi się naprawdę taka czysta i piękna – pomimo brudnych psich spodni i podartych kamików. Jej uśmiech i dobry humor wszystko to przyćmiewały” – pisał w „Księdze Eskimosów”. Navarana faktycznie żyła w biedzie, a jej młodszego brata matka kilka lat wcześniej uśmierciła, chcąc oszczędzić mu śmierci głodowej.

Wkrótce się pobrali. Navarana uczestniczyła w wielu wyprawach u boku Petera i pomogła mu zakorzenić się w sposobie życia Inuitów. W czerwcu 1916 roku przyszedł na świat ich syn Mequsaq. Żyli w takiej izolacji od świata, że o wybuchu pierwszej wojny światowej dowiedzieli się z ośmiomiesięcznym opóźnieniem. Konflikt na taką skalę wydał się Peterowi czymś abstrakcyjnym.

Przy kolejnej wizycie w Danii fakt poślubienia przez Freuchena przedstawicielki innej kultury był szeroko komentowany. O Navaranie mówiono, że wygląda „jak kolorowy ptak”. Ludzie byli przyjaźni, ale traktowali ją jak dziwadło – pewna kobieta bez pytania obcięła jej kosmyk włosów i schowała sobie na pamiątkę. Rodzice Petera przyjęli Navaranę jak córkę, zajęli się też wnukami – w marcu 1918 roku urodziło się drugie dziecko Freuchenów, córka Pipaluk.

W 1919 roku Peter zachorował na grypę hiszpankę i spędził cztery miesiące w szpitalu. Ta choroba dotarła też na Grenlandię i zabrała Navaranę dwa lata później. „To było okropne siedzieć bezradnie i patrzeć, jak znika”, pisał zrozpaczony Peter. Pastor w Upernavik odmówił pochówku nieochrzczonej Inuitce. Freuchen nazwał go imbecylem i sam pochował żonę na przykościelnym cmentarzu. Został z pięcioletnim synem i trzyletnią córką przebywającą wtedy pod opieką dziadków. Gdy wieść o śmierci Navarany dotarła do Danii, Peter zaczął dostawać listy od Dunek chcących nawiązać z nim kontakt. Posłuchał jednak Inuitów, którzy wierzyli, że aby zapomnieć o smutkach, trzeba wyruszyć w daleką podróż. Zostawił syna z rodziną Rasmussena i podążył w kolejną, piątą wyprawę do Thule. „Zima i psy. To wszystko, czego mi potrzeba”, napisał.

W 1924 roku podczas serii wykładów w Danii poznał Magdalene Vang Lauridsen, aktorkę filmową i dziedziczkę wielkiej fortuny. Jej ojciec był producentem margaryny i biznesmenem. Peter przez pewien czas prowadził gazetę „Ude og Hjemme” finansowaną przez jej rodzinę. Pobrali się i przez kolejne 20 lat byli małżeństwem, choć bardzo się od siebie różnili – ona bywalczyni salonów, on niespokojny duch. Na wyprawy jeździł sam, a jednej z nich omal nie przypłacił życiem.

## ODCHODY RATUJĄCE ŻYCIE

Podczas mapowania okolic Basenu Foxe’a zastała go zamieć śnieżna. Noc przetrwał nakryty odwróconymi saniami. Rano zorientował się, że przykryte są grubą czapą śniegu, i jest uwięziony w lodowej kryjówce. Przestał czuć palce u stóp, groziło mu odmrożenie. Był pewien, że nie ucieknie śmierci. Z trudem udało mu się wykuć niewielki otwór, przez który ledwo wysunął głowę, prosto w zamieć. Broda natychmiast przymarzła do płozy sanek i musiał ją wyszarpać, pozostawiając na zewnątrz zakrwawioną kępkę włosów. W desperacji wpadł na pomysł, żeby zrobić dłuto z własnych odchodów – jak czasem robili Inuici.

„Postanowiłem przeprowadzić ten zgoła odrażający eksperyment – pisał. – Często widywałem psie odchody na torze sań i zauważyłem, że zamarzają jak skała. Czy zimno nie miałoby takiego samego wpływu na ludzkie wydzieliny? Choć ta myśl była odpychająca, postanowiłem przeprowadzić ten zgoła odrażający eksperyment. Z ekskrementów udało mi się stworzyć narzędzie przypominające dłuto, które zostawiłem do zamrożenia… Byłem cierpliwy. Nie chciałem używać go za wcześnie, by się nie złamało”.

Po wielu próbach przebił warstwę lodu i wydostał się na zewnątrz. Z odmrożonymi palcami trzy godziny czołgał się do bazy. Na miejscu postanowił je sobie amputować. Przy pierwszym uderzeniu młotka z kulistym noskiem ból był przeraźliwy, ale z pozostałymi palcami poszło łatwiej. Nie pił alkoholu, więc operacja była przeprowadzona „na żywca”. Żartował potem: „Do obcinania palców można się przyzwyczaić, chociaż człowiek ma ich za mało, by dojść do należytej wprawy”. Niestety, później i tak amputowano mu całą stopę.

## CELEBRYTA

Przez kolejne lata napisał i wydał 30 książek. Zdobył za nie wiele nagród. W 1932 roku przebywał na Grenlandii w innym niż zwykle charakterze. Amerykańska wytwórnia Metro-Goldwyn-Mayer postanowiła nakręcić film „Eskimo” na podstawie jego książki. Freuchen został scenarzystą i asystentem. Film zdobył w 1936 roku Oscara.

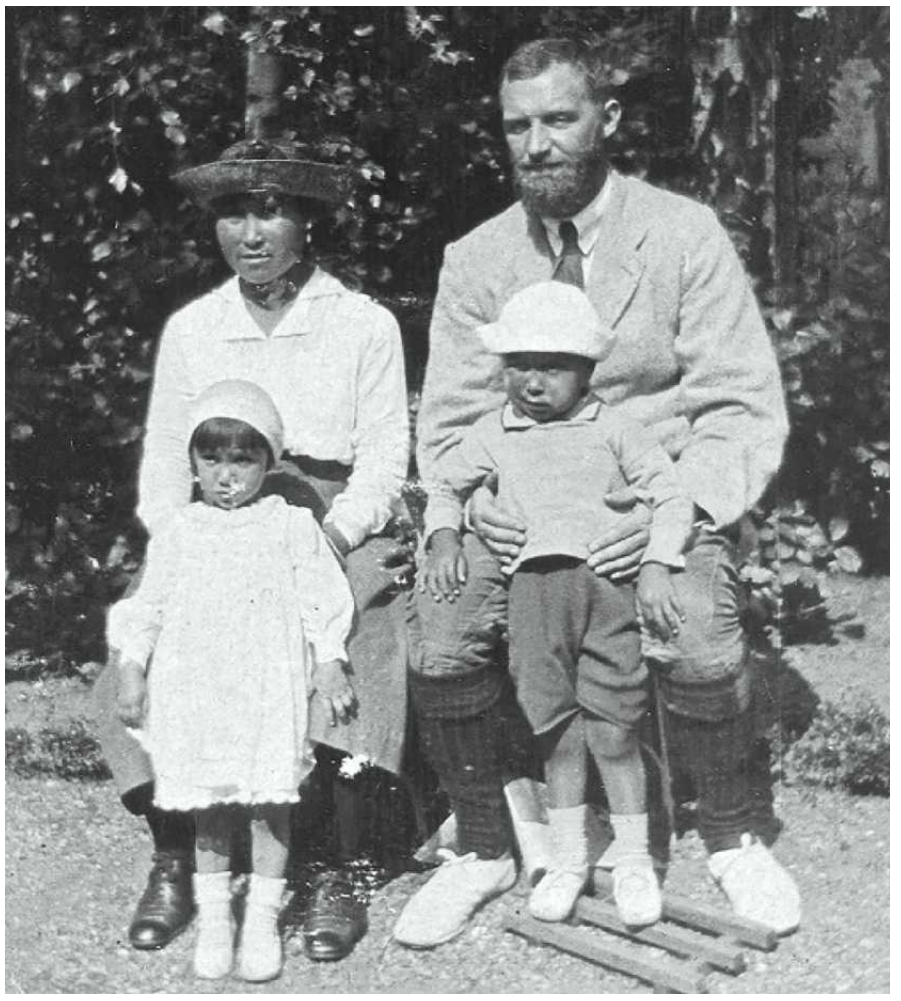

▶ **Peter z żoną Navaraną i ich dziećmi – córką o imieniu Pipaluk i synem Mequsaqiem, w czasie wizyty w Danii w 1920 roku** ZDJĘCIE Z KSIĄŻKI: INSTYTUT ARKTYCZNY

W 1938 roku założył Duński Klub Podróżników, który istnieje do dziś. W czasie drugiej wojny światowej, sam będąc Żydem, pomagał uchodźcom. Był członkiem ruchu oporu i antyfaszystą. Jego książki zostały zakazane w Niemczech. Wpadł w ręce nazistów, ale udało mu się uciec do Szwecji.

Z końcem wojny poznał Dagmar Cohn, duńsko-żydowską ilustratorkę mody, która pracowała dla „Harper’s Bazaar” i „Vogue’a”. To jego trzecia żona, z którą ma najbardziej znane zdjęcie – on w niedźwiedziej skórze wygląda jak pradawny człowiek z Północy, ona drobniutka, w eleganckiej garsonce i kapeluszu z woalką. Mówiono o nich „power couple”.

Freuchen zyskał miano celebryty – pracował dla wytwórni filmowej, znał gwiazdy ekranu, pisał książki i relacje z wypraw, które zdobyły serca czytelników, ważny był też związek z Dagmar. Ludzie chcieli poznać człowieka, który prowadzi tak niezwykłe życie i wciąż mówi o tej Arktyce. W dodatku w 1956 roku wziął udział w popularnym amerykańskim teleturnieju telewizyjnym, którego tematem było siedem mórz. Odpowiedział na wszystkie pytania (jako piąta osoba w historii programu) i wygrał 64 tysiące dolarów. Stał się znany również w Stanach.

W następnym roku odznaczono go Złotym Medalem Międzynarodowego Towarzystwa Benjamina Franklina za „służbę dla ludzkości w otwieraniu nowych granic”.

Mieszkał z Dagmar aż do śmierci, zmarł 2 września 1957 roku na zawał serca w Elmendorf w Anchorage na Alasce. Jego prochy zostały rozsypane w Thule. Imieniem Petera Freuchena nazwano półwysep na północy Grenlandii, a imieniem Navarak jeden z tamtejszych fiordów. ●

Korzystałam m.in. z książek: „Najciekawszy człowiek na świecie” Reid Mitenbuler; „Przygoda w Arktyce” Peter Freuchen.

▼ **Tak w 1912 roku wyglądała założona przez Freuchena na zachodnim krańcu Grenlandii osada Thule. Dziś nosi nazwę Pituffik Space Base i znajduje się tam amerykańska baza wojskowa** FOT. WIKIPEDIA



eprasa.pl ed047e9ca2

# ROZPRAWA ZE STALINEM

**„Okazał się nasz ojciec nie ojcem, a suką" – Aleksandr Galicz „Poemat o Stalinie".**

**Wacław Radziwinowicz**

To był wstrząs o sile porównywanej do przewrotu z 1917 roku i upadku ZSRR. 70 lat temu Nikita Chruszczow, pierwszy sekretarz Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego, na XX zjeździe partii wygłosił demaskujący Stalina referat „O kulcie jednostki i jego następstwach".

Znany potem jako wybitny historyk sztuki Michaił German nie był 25 lutego 1956 roku jednym z 1349 delegatów zjazdu, którzy przez ponad cztery godziny na zamkniętym posiedzeniu w napięciu słuchali przywódcy partii. On kilka miesięcy później jeszcze jako student był na też „zamkniętym" zebraniu, gdzie zaufanym aktywistom z uniwersytetu w Leningradzie odczytano tajny dokument.

W swym pamiętniku wspominał: „Takiej ciszy nie pamiętam. Wszyscy najbardziej bali się zdradzić, co czują, co myślą, nawet się obejrzeć. O tym nigdy się nie mówiło przy ludziach. A przecież w sali siedzieli i wykładowcy, i studenci. Było to jak popełnianie ciężkiego grzechu na oczach wszystkich. I nikt na nikogo nie ośmielił się spojrzeć. Nie można wierzyć, że o tym, o czym słyszeliśmy, wcześniej nie wiedzieliśmy. Porażał fakt, że o tym, o czym wcześniej tylko szeptem, raptem mówi się na cały głos. Wszyscy to widzieli i znali, ale żeby tak publicznie! I główne – strach! Strach, że to nie zostanie bez kary, że teraz wszyscy jesteśmy winni, że wszyscy jesteśmy zagrożeni, że każdy może donieść na każdego, bo każdy usłyszał".

## I KTO TO MÓWI?

Poczucie, że dzieje się coś bardzo nieprzyzwoitego, srogo karalnego, tym bardziej musieli mieć sami delegaci na zjazd, którzy przez dziesiątki lat brali bardziej niż czynny udział w tym, co się robiło, ale się o tym nie mówiło.

Sam Chruszczow jako reprezentant partii był i w „trojce NKWD", trybunale wydającym w czasach represji bezprawne wyroki śmierci, był szefem partii na Ukrainie radzieckiej, gdzie ludzi masowo stawiano pod ścianą ludzi (za jego rządów aresztowano tam prawie 170 tys. osób), był szefem partii w Moskwie, należał do „piątki", kręgu najbliższych Stalinowi członków Biura Politycznego Partii. Na częstych wieczornych libacjach u Stalina nie tylko tańczył hopaka ku uciesze traktującego go jak błazna wodza, ale i brał udział w podejmowaniu zbrodniczych decyzji.

A co mówić o określonych potem jako „grupa antypartyjna" bolszewickich i stalinowskich żubrach: Wiaczesławie Mołotowie, Georgiju Malenkowie czy Łazarze Kaganowiczu. Wszyscy oni sercem i duszą byli przeciwko demaskowaniu Stalina, wyciąganiu jego grzechów, bo to były przecież ich grzechy, ich zbrodnie. I rozumieli, że referat jest po to, by pozbawić ich władzy, a przekazać ją ich dotychczasowemu wspólnikowi.

• **Nikita Chruszczow odczytuje referat „O kulcie jednostki i jego następstwach" podczas XX zjazdu KPZR 25 lutego 1956 roku** FOT. PAP/CAF

A mogli się obawiać nie tylko tego. Nieco ponad dwa lata wcześniej sami rozprawili się i posłali pod ścianę kandydata na „następcę Stalina", Ławrentija Berię.

Chruszczow, mówiąc o tysiącach kaźni ludzi, których skazano na podstawie zeznań wymuszonych torturami przez oprawców w NKWD, przypomniał: „Kiedy kończyło się dochodzenie i Stalin chciał, żeby i inni podpisali się pod werdyktem, to na posiedzeniu [Biura Politycznego] podpisywał sam i od razu przekazywał po kolei obecnym, a oni, nie patrząc, podpisywali, więc wyrok był wydawany kolektywnie".

Podpisywali się i Mołotow, i Kaganowicz, i Malenkow. I Chruszczow też. Tyle że teraz, 25 lutego 1956 roku, to on stał na trybunie, oskarżał i sięgał po pełną władzę – dwa lata później został też szefem rządu.

## OBURZENIE I ZGROZA

Szef partii mówił o wysiedleniach całych narodów, o terrorze wielkiej czystki. Wspomniał tragiczne losy starych bolszewików, choćby Pawła Postyszewa, Roberta Ejche, Jana Rudzutaka. W lutym 1956 roku oni wszyscy byli już zrehabilitowani jako rozstrzelani na podstawie fałszywych oskarżeń o zdradę i szpiegostwo. Cytował Chruszczow choćby ostatnie słowo Ejche, przed aresztowaniem i kaźnią narkoma rolnictwa: „We wszystkich moich tak zwanych przyznaniach się do winy nie ma ani słowa prawdy. Podpisy złożone pod nimi zostały wymuszone. Stawiałem je pod naciskiem śledczego, który cały czas poddawał mnie torturom".

Przypomniał też pierwszy sekretarz tajemnicze zabójstwo Siergieja Kirowa, szefa leningradzkiego komitetu partii, sugerując, że za śmiercią popularnego działacza stał Stalin.

Największe wrażenie na słuchaczach zrobiło przywołanie historii XVII zjazdu Wszechrosyjskiej Komunistycznej Partii (bolszewików), czyli poprzedniczki KPZR. Nazywano go dumnie „zjazdem zwycięzców", bo wtedy, w 1934 roku, spotkali się starzy bolszewicy, którzy mieli za sobą zwycięski przewrót 1917 roku, wygraną wojnę domową, udane początki industrializacji.

Od chwili, kiedy Chruszczow wygłosił swój referat, XVII zjazd zyskał miano „zjazdu rozstrzelanych". Bo, jak powiedział: „Ustalono, że z 139 członków i kandydatów na członków Komitetu Centralnego partii wybranych na XVII zjeździe 98, to jest 70 procent, aresztowano i rozstrzelano. Z 1956 delegatów na zjazd pod zarzutem przestępstw kontrrewolucyjnych aresztowano 1108 osób".

Te liczby, a w tych zjazdowych okolicznościach nie mogło być inaczej, sala przyjęła, jak zapisano w stenogramach, „okrzykami oburzenia i zgrozy". Delegaci wtedy nie wiedzieli przecież, że XX Zjazd KPZR zostanie potem nazwany „zjazdem tych, którzy przeżyli".

## STALINOWSKIE ELDORADO

O „genialnym wodzu Stalinie" Chruszczow, sam frontowy generał, mówił, że w sytuacji na linii walk orientował się „na globusie", co doprowadzało do ogromnych strat.

A o tym, jak żyją ludzie radzieccy, przywódca dowiadywał się „z filmów" i na podstawie tych sielankowych obrazków dochodził do wniosku, że wieśniacy kąpią się w dostatku. W rezultacie gnębił i niszczył wieś rujnującymi podatkami i daninami. W rzeczywistości, z czego i dziś nie zdajemy sobie sprawy, państwo Stalina opierało swą potęgę na głodujących niewolnikach.

Warto przypomnieć, że w 1953, czyli roku śmierci wodza, Związek Radziecki liczył 188 mln obywateli, 108 mln żyło na wsi, a przeważającą większość z nich stanowili kołchoźnicy w dosłownym znaczeniu przypisani do ziemi. Nie mieli prawa do paszportów, czyli odpowiednika naszego dowodu osobistego, bez których nie wolno im było bez specjalnej zgody oddalić się z miejsca zamieszkania.

Za pracę nie otrzymywali żadnych pieniędzy. Ci, którzy wyrabiali normy produkcyjne, przepracowali określoną roczną liczbę roboczodniówek, otrzymywali wynagrodzenie w naturze. Najczęściej było to zboże. Jego ilość zależała od wyniku osiągniętego przez gospodarstwo. Czasem było to kilka kilo za dzień, czasem niepełny kilogram. W 1946 roku, kiedy urodzaj był marny, w co dziesiątym gospodarstwie ludzie otrzymali za roboczodniówkę po zero, a w co siódmym – po 0,1 kilograma ziarna. A jeszcze Stalin obkładał tych ludzi coraz to nowymi podatkami.

Dużo Chruszczow mówił o łamaniu przez Stalina norm partyjnych („leninowskich"), porzuceniu zasady kolektywnego podejmowania decyzji. I o tworzeniu kultu własnej osoby, czego szczytem było wpisanie Stalina do hymnu ZSRR. W pierwotnej wersji z 1944 roku brzmiało to tak: „Wychował nas Stalin w wierności ludowi, do wielkich zapalił nas trudów i dzieł".

## „RZEKOMY" REFERAT

Obrady XX zjazdu 25 lutego 1956 roku odbywały się za zamkniętymi drzwiami, a referat Chruszczowa był dokumentem tajnym. Ale żył swoim życiem i po trochu „wyciekał", bo zapoznawano z nim aktyw partyjny w ZSRR i u jego satelitów. Na cały tekst polowały media i wywiady zachodnie. Po tym, gdy już został przeszmuglowany i opublikowany, wielu przypisywało sobie ten sukces. Najmocniejsza i udowodniona jest wersja polska.

Zgodnie z nią referat przetłumaczony na nasz język, w sumie przypadkiem, wypożyczył i wyniósł z KC PZPR dziennikarz Wiktor



eprasa.pl ed047e9ca2

Grajewski (Szpilman), który przekazał go do skopiowania Ambasadzie Izraela w Warszawie, a ta z kolei – Amerykanom. Chruszczow za przeciek jednak winił ponoć Romana Zambrowskiego, szefa Ministerstwa Kontroli Państwowej, w latach 50. odpowiednika Najwyższej Izby Kontroli.

Władze ZSRR nie potwierdzały autentyczności tego, co opublikowano na Zachodzie. Jeśli w Moskwie, a to się zdarzało, powoływano się na referat Chruszczowa, to zawsze z uwagą, „rzekomy”, „jak twierdzi zachodnia prasa” itp. Przywódcy zachodnich partii komunistycznych, którzy brali udział w XX zjeździe (było na nim 55 delegacji zagranicznych), też nie kwapili się zapoznawać swoich towarzyszy z tym, co o Stalinie powiedział Chruszczow. Tekst w oryginalnej wersji w ZSRR oficjalnie opublikowano dopiero w 1989 roku.

Utajniony, nieopublikowany oficjalnie referat wywołał wielki ferment w ruchu komunistycznym, w ZSRR i jego satelitach. Dochodziło do ostrych dyskusji, rozłamów w partiach europejskich. Było wrzenie w Polsce i na Węgrzech zakończone krwawo stłumionym przez Chruszczowa powstaniem.

XX zjazd i zdemaskowanie „ojca narodów”, który – jak śpiewał Aleksandr Galicz w nawiązującym do XX zjazdu „Poemacie o Stalinie” – „okazał się nie ojcem, a suką”, nadało mocy temu, co nazwano „odwilżą chruszczowowską” (od powieści Ilji Erenburga „Ottiepiel”). Pamiętana jest ona jako czas pewnej liberalizacji, stosunkowej swobody, entuzjazmu. Znacznie mniej jest kojarzona z wielkim i niezwykłym przełomem w życiu ludzi radzieckich.

## TRIUMF STALINA W PAŃSTWIE PUTINA

Jest w języku i dzisiejszych Rosjan słowo „chruszczowka”. To typowy, czteropiętrowy, stawiany seryjnie dom z płyty. To do takich podczas rządów Chruszczowa zaczęto przeprowadzać ludzi z „komunałek” – wspólnych mieszkań, w których rodzinie przydzielano jeden pokój, hoteli robotniczych, baraków i innych nor. Nowe bloki też były marniutkie. Przez cienkie ścianki dobrze było słychać, co się dzieje u sąsiada, mieszkania okazały się ciasne. Ale były i dawały nadzieję na rozwiązanie tragicznego kryzysu mieszkaniowego. Chruszczow kazał stawiać w nowych osiedlach przedszkola, żłobki, szkoły i sklepy. Miał przemyślany program poprawy bytu poddanych.

I to on zaczął wyzwalać kołchoźników. Pozwolił im przekształcać swoje „kolektywne” gospodarstwa w państwowe sowchozy. Dzięki temu stawali się pracownikami otrzymującymi, choć niskie, ale gwarantowane comiesięczne pensje. I otrzymali też „paszporty wewnętrzne”, co wreszcie dawało im prawo do pewnej swobody poruszania się po kraju. Przypisanie do ziemi kołchoźników skończyło się jednak ostatecznie dopiero w 1974 roku.

Czas rządów Chruszczowa był też epoką największych pokojowych sukcesów w historii Rosji. Przy nim na orbitę poleciał w 1957 roku pierwszy sputnik – to rosyjskie określenie oznaczające towarzysza podróży weszło do słownika międzynarodowego. W 1961 roku w kosmos wyprawiono Jurija Gagarina, została uruchomiona pierwsza w świecie elektrownia jądrowa w Obnińsku w 1954 r.), zbudowano pierwszy cywilny statek o napędzie atomowym (zwodowany w 1957 r. lodołamacz „Lenin”).

Chruszczow jednak dziś przegrywa ze Stalinem. To, o czym mówił na XX zjeździe, a potem jeszcze mocniej na zjeździe XXII 1962 roku, po którym ciało Stalina zostało wyniesione z mauzoleum na Placu Czerwonym i pogrzebane pod murem kremlowskim, idzie w zapomnienie.

Albo gorzej. Był choćby, i to całkiem niedawno, bo w czerwcu 2025 roku, jeszcze jeden zjazd – XIX tym razem już Komunistycznej Partii Federacji Rosyjskiej. Na nim delegaci uznali referat Chruszczowa z 1956 roku „za błędny i oparty na uprzedzeniach”.

Dokument ten „zawiera fałszywe fakty i kłamliwe oskarżenia pod adresem Iosifa Wisarionowicza Stalina, wypacza prawdę o jego państwowej i partyjnej działalności”.

Ten, co „okazał się nie ojcem, a suką”, znów okazuje się bardziej jednak ojcem.

W Wołogdzie na przykład Kreml zainstalował jako gubernatora Gieorgija Filimonowa, który swój gabinet, już w pierwszych dniach urzędowania, upiększył sporym obrazem, na którym zmarły 27 lat przed narodzinami gospodarza regionu ściska mu dłoń.

Regionalny dygnitarz tam, gdzie tylko może, stawia pomniki Wodza. Brązowych, granitowych, marmurowych monumentów przywódcy w całej Rosji było w 2020 r. 110, dziś ich liczba przekroczyła 150.

## CHRUSZCZOW UKRADŁ NAM UKRAINĘ

Putin wciąż nie może się zdecydować na pełne przywrócenie Wołgogradowi miłej mu nazwy „Stalingrad”. Robi to połowicznie. Wsławione w czasie wojny „miasto bohater” – duży wkład w jego obronę wniósł akurat Chruszczow – staje się Stalingradem na kilka dni w roku. Tablice na wjazdach, dekoracje przypominające o sławie bojowej są tam zmieniane co roku: na 2 lutego – w dzień zakończenia bitwy o Stalingrad, 9 maja, 23 lutego – w Dzień Obrońcy Ojczyzny i inne pamiętne daty, w sumie dziewięć razy.

Na ekranach telewizorów i kin, na łamach rosyjskich gazet, Stalin znów okazuje się „ojcem naszym”.

Jurij Dmitrijew, historyk z Karelii, boleśnie płaci za upieranie się, że jednak był „suką”. Odkrył on zapomniane w głębokich lasach uroczysko Sandarmoch, gdzie w latach represji NKWD zamordowało i pogrzebało tysiące więźniów politycznych. Upamiętnił to miejsce tablicą. Zamierzał wydać książkę o katach, którzy posyłali na śmierć i zabijali ofiary terroru stalinowskiego na uroczysku.

Nie udało się. Agenci FSB, następcy katów z NKWD, na uszach stawali, żeby do tego nie dopuścić, a badacza zbrodni zgnoić. Zmontowali aferę pedofilską. Skazany na podstawie fałszywych zarzutów 71-letni Dmitrijew siedzi.

A na cmentarzu w Sandarmosze szarogęszą się „patrioci” z Towarzystwa Wojenno-Historycznego, którzy podrzucają tam kości czerwonoarmistów zamordowanych, jak wmawiają, w tym miejscu przez Finów, którzy w czasie wojny zajmowali Karelię.

Patronuje tej grze w kości Władimir Medinski, pomocnik Putina, autor licznych i wydawanych w rekordowo wysokich nakładach fałszujących historię książek i podręczników szkolnych, w których wybiela Stalina.

A Chruszczow, choć bardziej od poprzednika „ojciec”, przebywa w zbiorowej pamięci jako groteskowy „kukuruźnik”, bo próbując zapobiec deficytowi pasz, kazał wszędzie, także na północy ZSRR, uprawiać kukurydzę. Rodacy wypominają mu też nieudaną akcję rolniczego zagospodarowania „celiny”, czyli stepów Kazachstanu, Powołża, Syberii.

Ale ciężki, niewybaczalny grzech, który dziś wypomina się Chruszczowowi przy każdej okazji, był jeszcze inny. W 1954 roku „ukradł” on Rosyjskiej Federacyjnej Socjalistycznej Republice Radzieckiej i „oddał” Ukraińskiej Socjalistycznej Republice Radzieckiej Krym.

To, że decyzję o przekazaniu półwyspu podjęły kolektywnie rząd, w którym premierem był Malenkow, i Rada Najwyższa, której przewodniczył Michaił Tarasow, ani też to, że region pozostał częścią ZSRR, o rozpadzie którego nikt wtedy nie myślał – nie zmniejsza ciężaru zarzutu.

Nikita „zdradził” i „sprzedał”. A to dyskwalifikuje go jako demaskatora Stalina. ●

Stare dobre czasy

# Święte oburzenie

W XIV-wiecznych romansach pokutnych przemoc wobec kobiet popychała ku świętości.

Brzezińska

Nieodmiennie bawią mnie dywagacje, jakie to głębokie szkody powoduje czytanie tekstów niewystarczająco wysublimowanych, na przykład literatury young adult. Oburzeni przypominają, że jej odbiorcami zwykle są młode kobiety nieokrzepłe jeszcze w gustach literackich i niewieścich cnotach, a nieodpowiednie lektury podsuwają im katalog szkodliwych pomysłów, od kazirodztwa po przemocowe związki.

Nielepsza jest romanstasy łącząca elementy fantasy i romansu, gdzie seks, przemoc i brutalność wylewają się z każdej strony.

Jednym słowem, postępuje degradacja literatury. Kiedyś to były czasy. Dzisiaj takich czasów już nie ma.

Dawno temu jako dziewczę płoche zostałam przydybana przez rodzica na lekturze „Klaudyny” Colette. Niemoralna książka – opublikowana w początkach XX wieku – została pospiesznie skonfiskowana, mnie zaś odesłano do klasyki. Dzięki temu bez przeszkód mogłam się delektować perypetiami bohaterów Starego Testamentu, eposów, średniowiecznych romansów rycerskich, pieśni oraz kronik, dawnej noweli włoskiej, renesansowych facecji oraz baśni w mniej uładzonych wersjach. Seks, przemoc oraz brutalność były w nich wszechobecne.

Weźmy taką hagiografię, literaturę schematyczną i pełną powtarzalnych motywów. Urodziwe chrześcijańskie dziewice miały tę przykrą przypadłość, że budziły pożądanie w pogańskich zbirach, zwykle wysokiego rodu. Roznamiętniony zbir energicznie uderzał do cnotliwej dziewicy w zaloty, czyli nachodził nieszczęśnicę, przekonywał, zastraszał, więził albo wysyłał na reedukację do burdelu – co spotkało wszak świętą Agnieszkę, świętą Darię, świętą Eufemię i tak dalej – usiłując rozpalić jej zmysły wszechobecnym nierządem lub grożąc grupowym gwałtem, przy czym jednego i drugiego świątobliwej dziewicy dzięki boskiej interwencji zazwyczaj udawało się uniknąć. Chrześcijańskie dziewice nie zakochiwały się bowiem w swoich dręczycielach, tylko elokwentnie i do upadłego stawiały opór, by zginąć ostatecznie śmiercią męczeńską, dając artystom okazję do eksponowania swego nagiego, niekiedy potwornie okaleczonego, ciała, chyba nie zawsze wyłącznie z nabożną intencją.

W romansach rycerskich przemoc wobec kobiet też była nagminna i na dodatek pełniła istotną funkcję, pozwalając odróżnić porządnych bogobojnych rycerzy od rozmaitych nikczemników. Źli rycerze, niewierni czy olbrzymi porywali zatem oporne niewiasty, grożąc im gwałtem lub wręcz go popełniając, a dobrzy rycerze stawali w obronie prawdziwych wartości rycerskich oraz przy okazji dam w opresji. Czasami jednak w tym klarownym obrazie pojawiały się nieprzyjemne wyrwy: uratowana dama podsuwała swemu wybawcy bezimienną przyboczną albo rycerz z własnej inicjatywy dopadał jakąś służkę w antraktach pomiędzy heroicznymi wyczynami, a król Marek z szerokim gestem oddawał wiarołomną Izoldę w użytkowanie trędowatym.

W romansach pokutnych w rodzaju XIV-wiecznego „Roman du Comte d’Anjou” przemoc wobec kobiet, łącznie z kazirodztwem, popychała ku świętości. Bohater, udręczony przez diabła gwałtownym pożądaniem, musiał się przecież dobrze nagrzeszyć, zanim doznał spektakularnego nawrócenia i przystąpił do pokuty. Natomiast bohaterowie pastoreli ani myśleli pokutować. Z entuzjazmem oddawali się cudzołóstwu w przekonaniu, że ponętne pastereczki przechadzają się po literackich błoniach po to jedynie, by zaspokajać ich żądzę. Zazwyczaj je uwodzili, niekiedy kłamliwie obiecując małżeństwo, by po kilku upojnych chwilach oddalić się w swoją stronę na komiku. Ale – jak wyliczyła Kathryn Gravdal – w co piątej starofrancuskiej pastoreli rycerz w sielankowej scenerii gwałcił pasterkę, czym naturalnie podbijał jej serce, bo przemoc romantyzowano długo przed romansami mafijnymi.

Jak doszło do tego, że w niektórych wersjach baśni Śpiąca Królewna budzi się jako matka paru dziatek – nie śmiem nawet wyjaśniać.

Za dzisiejszymi romansami stoi bardzo długa tradycja literacka zacierająca granice pomiędzy miłością a przemocą i traktująca gwałt jest objaw nieokiełznanego pożądania uczucia, a niekiedy wstęp do małżeństwa. Także okrzyk, że romanse niszczą literaturę oraz niewinność młodych panien, rozlega się od tak dawna, że zdążył nieco spowszednieć. Już w średniowieczu przekonywano, że nie należy uczyć kobiet czytać, bo gdy tylko posiądą tę zdrożną umiejętność, rzucą się zachłannie na Owidiusza i Boccaccia.

Rzeczywiście to zrobiły i odtąd jakoś sobie radzą, także z oddzielaniem fikcji od rzeczywistości. ●

**Anna Brzezińska** – pisarka, gwiazda polskiej fantastyki, mediewistka



eprasa.pl ed047e9ca2

weekendówka 194

# FLAGA NA MASZT

Z jednej strony jej korzenie sięgają czasów bardzo dawnych, z drugiej oficjalny i formalny jej żywot jest kwestią stosunkowo młodą, bo liczącą z niewielką górką ledwie ćwierć wieku.

Zwie się Nisshōki, co można przetłumaczyć jako „flaga słońca", choć w Japonii częściej mówi się o niej Hinomaru – „krąg słońca". Symbolika jest oczywista – wszak Japonia – czyli Nippon bądź Nihon oznacza właśnie miejsce, gdzie wschodzi słońce lub źródło słońca, co dało asumpt ludziom Zachodu do określnie Japonii jako Kraju Wschodzącego Słońca.

Słońce podkreśla także boską proweniencję Cesarza – uważa się bowiem, że japoński władca jest bezpośrednim potomkiem Amaterasu, czyli bogini słońca w religii shinto.

Kiedy flaga z charakterystycznym czerwonym okręgiem pojawiła się w użyciu? Dokładnie nie wiadomo. Oficjalna korespondencja z 607 roku do Sui Yangdi, cesarza Chin rozpoczyna się od słów: „od władcy wschodzącego słońca". W japońskim traktacie historycznym Shoku Nihongi, ukończonym w 797 roku wzmiankuje się zaś, że flaga z symbolem słońca – choć w kolorze złotym - została użyta podczas noworocznej ceremonii Chonga na dworze cesarza Monmu. Jest to pierwszy „zaksięgowany" przypadek użycia Hinomaru, ale coś na rzeczy musiało być wcześniej, zwłaszcza jeśli weźmiemy pod uwagę te boskie konotacje...

Podczas wojny Gempei, toczonej pod koniec XII wieku między dwoma potężnymi rodami walczącymi o władzę, Taira i Minamoto. Kontrolujący cesarski dwór klan Taira używał właśnie tej cesarskiej flagi ze złotym okręgiem. Minamoto mieli flagę białą z okręgiem czerwonym. Późniejsi władcy Japonii, potężni wodzowie daimyo, uważający się za spadkobierców rodu Minamoto, Oda Nobunaga i Tokugawa Ieyasu także walczyli pod flagą z czerwonym kołem. Co ciekawe ich polityczny oponent Takeda Katsuyori miał również używać Hinomaru.

Klan Tokugawów, który rządził Japonią przez ponad 250 lat, aż do 1868 roku, nakazał pod koniec swych rządów, by statki japońskie pływały pod banderą wschodzącego słońca. Wreszcie, 27 lutego 1870 roku nowy japoński rząd, władający krajem po upadku szogunatu Tokugawów, wydał Dekret numer 57, który oficjalnie ustanawiał Hinomaru banderą japońskich statków handlowych. To był pierwszy oficjalny akt prawny dotyczący japońskiej flagi.

Ale flagą państwową, w świetle prawa, czerwony okrąg na białym tle został stosunkowo niedawno, bo w roku 1999, za sprawą Ustawy o fladze narodowej i hymnie – bo wówczas także za oficjalny hymn Japonii uznano Kimi-ga-yo („Rządy cesarza"), wiersz, którego słowa datowane są na XI-X wiek.

Po tych opowieściach o losach Hinomaru nie pozostaje nam nic innego, jak zaprosić do dzisiejszej „Weekendówki", której tematem będą flagi wszelakie. Do dzieła!

**Andrzej Kulasek, andrzej.kulasek@agora.pl**

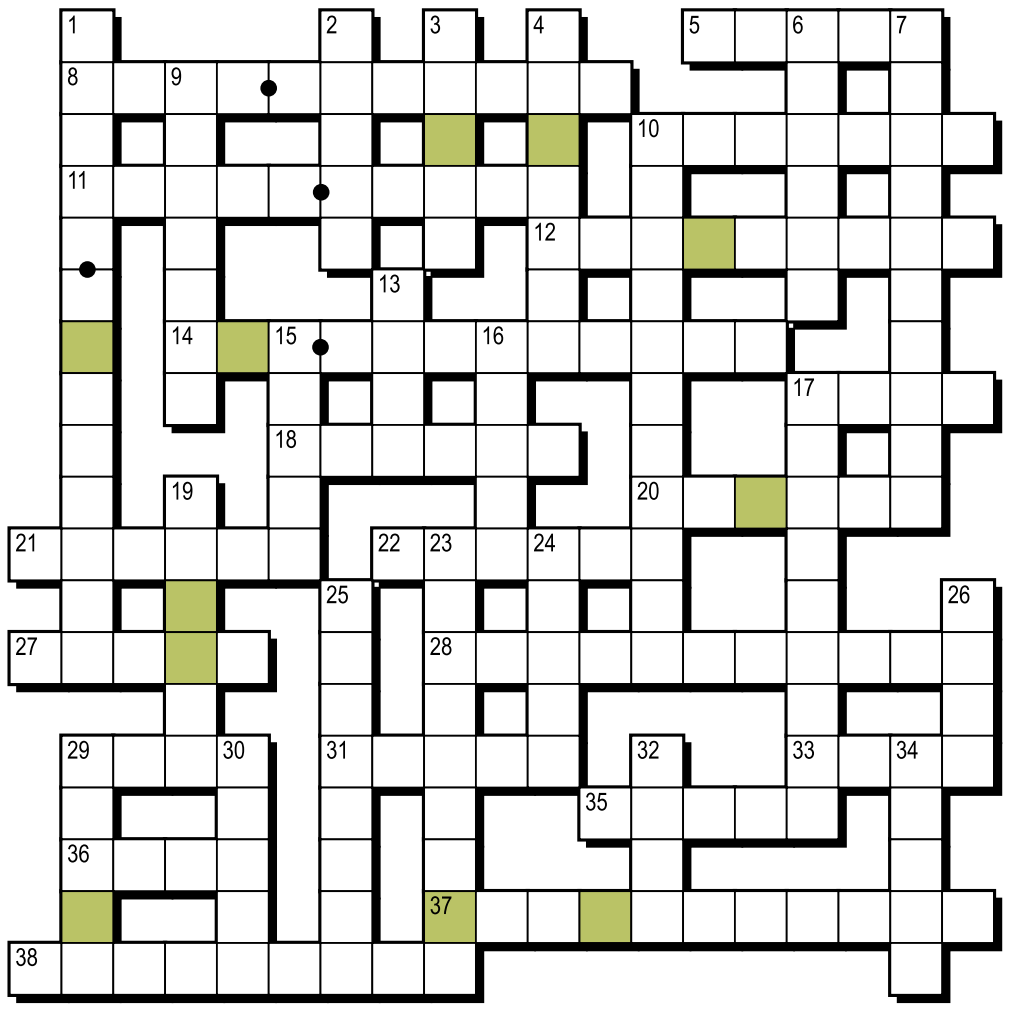

**Rozwiązanie „Weekendówki" nr 193 z 21.02**

**Poziomo:**
6) Wielka Pardubicka 11) Liaz 12) Most Karola 13) tenisiści 14) Andrzej 15) dzielnica 17) kotka 19) reportaże 20) Ostrawa 22) Karkonosze 25) Jaromir 28) Hrabal 29) Ewa 31) zamek 32) Milan 33) Ledecka 34) korony 35) Brno 36) Europejki 37) Morawy

**Pionowo:**
1) miłośnik 2) Tabor 3) Odra 4) kalwini 5) Hradczany 7) literatura 8) Arabela 9) bohemistyka 10) chmiel 15) Droga 16) niewola 18) hokej 19) Raj 21) Szwajcaria 22) knedliki 23) bramkarz 24) smok 26) Rumcajs 27) generał 28) Halina 30) gajowy 31) zalew

**Hasło: BRACIA CZESCY**

**KRZYŻÓWKA FLAGOWA**
**Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.**

**Poziomo:**
**5)** zbiór map
**8)** w piosence „Rower" śpiewa: „Flaga na maszt, Irak jest nasz"
**10)** ... Watykańskie, z kwadratową flagą
**11)** piosenka z pytaniem: „Gdzie oni są, ci wszyscy moi przyjaciele?"
**12)** Monako i ..., kraje o niemal identycznych flagach
**14)** system komunikacji wykorzystujący flagi, stosowany w żegludze
**17)** forma terenu na fladze Słowacji, Słowenii
**18)** mieszkaniec jednego z państw skandynawskich
**20)** na fladze olimpijskiej symbolizuje ją niebieskie koło
**21)** imię autorki powieści „Wojna polsko-ruska pod flagą biało-czerwoną"
**22)** dopuścił się znieważenia powszechnie uznawanych wartości lub rzeczy, np. spalił flagę
**27)** skojarz: krzyż, flaga Anglii, Święty ...
**28)** Dido („White Flag") lub Heidi Montag („White Flag")
**29)** ... wyścigu samochodowego (skojarz z flagą w biało-czarną kratkę)
**31)** kraj, który w latach 1977–2011 miał jednolicie zieloną flagę
**33)** kraj z napisem „Allah Akbar" na fladze
**35)** na fladze Korsyki, z białą opaską
**36)** np. tysiące demonstrantów niosących transparenty, flagi
**37)** wywieszenie białej flagi
**38)** skojarz: liczba, flaga UE, gwiazdki

**Pionowo:**
**1)** mają swoje emblematy, flagi (szalikowcy podpowiedzą)
**2)** instrument muzyczny kojarzący się z Irlandią (widywany na jej fladze)
**3)** jedyne państwo mające pięciokątną flagę
**4)** z niebiesko-żółtą flagą
**6)** klonowy, na fladze Kanady (zdrobniale)
**7)** państwo z kwadratową flagą (biały krzyż na czerwonym tle)
**9)** bieli się na pirackiej banderze
**10)** ... flagi, czyli wciąganie jej na maszt
**13)** wyspiarski kraj, który ma na fladze swój kontur
**15)** państwo z najstarszą na świecie, nieprzerwanie używaną flagą
**16)** rozgwieżdżone – na fladze Brazylii
**17)** przedmiot szkolny, na którym pojawiają się flagi państw
**19)** ... sztandarowy
**23)** zespół wykonujący piosenkę z określenia 11 poziomo
**24)** grupa okrętów pod jedną banderą
**25)** symbol na fladze, sztandarze
**26)** Union ..., flaga Wielkiej Brytanii
**29)** element kompozycyjny, np. na fladze
**30)** z jednostkami posiadającymi własne sztandary
**32)** jedno z narzędzi na fladze ZSRR
**34)** zaplanowane działanie, np. operacja „zdobądź flagę" podczas gry terenowej

**Leszek Rydz**

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY
Kraj/34414082

Literówka · Quizy
Sudoku · Krzyżówki
Szukaj w APLIKACJI WYBORCZEJ

Zeskanuj QR kod i pobierz aplikację
POBIERZ Z Google Play
Pobierz w App Store
1 RP

eprasa.pl ed047e9ca2

wysokieobcasy.pl

# wysokie obcasy

wyborcza

ANASTAZJA JAKUBIAK

## To był mój człowiek

*– rozmowa Magdaleny Karst-Adamczyk*

ISSN 1506-9087 Dodatek do „Gazety Wyborczej". Sprzedaż łącznie z „Wyborczą" wysokieobcasy.pl NR 9 (1380) SOBOTA – CZWARTEK, 28 LUTEGO – 5 MARCA 2026

eprasa.pl ed047e9ca2

# Wyścig, ale do czego?

*NATALIA MAZUR*

Szkoła to gra – powtarzam mojemu dziecku – a zasady tej gry bywają sprzeczne z rozsądkiem. Wydaje ci się na przykład, że powinieneś się uczyć wszystkiego na oślep? Zły pomysł. Albo uczyć się tego, co cię interesuje? Tu też trzeba działać rozważnie.

Punkty w tej grze dostaje się za właściwą strategię. O czerwonym pasku na świadectwie ukończenia podstawówki zaczynasz myśleć już w klasie czwartej. Intensywnie uczysz się wtedy przyrody, której nauczanie kończy się na tym etapie. Ocena z niej będzie wpisana na świadectwie z klasy ósmej. Na tej samej zasadzie w klasie siódmej skupiasz się na wynikach z plastyki i muzyki.

Studia wybierasz najpóźniej w ósmej klasie. Sprawdzasz kryteria rekrutacji, dowiadujesz się, z jakich przedmiotów trzeba mieć rozszerzoną maturę. Tych przedmiotów musisz uczyć się w rozszerzeniu w liceum. Lecz pamiętaj, przepustką do wybranej klasy w szkole średniej są bardzo dobre oceny z tych przedmiotów w podstawówce.

Uważaj, niektóre kombinacje zainteresowań są niedozwolone w grze – przypominam ósmoklasiście. Nie ma opcji, by jednocześnie lubić historię i fizykę. Szkolna gra nie honoruje nawet połączenia tak oczywistego, jak jednoczesne zainteresowanie fizyką i chemią. Maria Skłodowska-Curie zrobiła rzecz kompletnie niedorzeczną, dostając Nobla i z jednej, i z drugiej dziedziny. Chemia zawsze z biologią, matematyka z fizyką (czasem z geografią), historia z polskim. Zdarzają się czasem egzotyczne kombinacje – polbiol, polangwos – zawsze jednak wpasować się musisz w jakiś gotowy profil.

Nazwa „liceum ogólnokształcące" jest językową skamieliną, szkoła taka już nie istnieje. Masz uczyć się tego, co będzie na maturze, reszta przedmiotów przeszkadza. Jest stres i jest wyścig – choć nie wiadomo do czego. – To wszystko dzieje się w takim okresie twojego życia, w którym wiele rzeczy cię zaskakuje, niepokoi, martwi. Ważni dla ciebie ludzie mówią, że to twoje najlepsze lata – pisze Joanna Szulc w tym numerze „Wysokich Obcasów". I zauważa, że wczesny wybór ścieżki jest nie tylko obciążeniem dla psychiki młodych ludzi, prowadzi także do systemowego gubienia talentów.

A po maturze wreszcie dostajesz się na wymarzone (przez ciebie lub przez rodziców) studia. Kończysz je lub nie, często w trakcie okazuje się, że lepiej iść już do pracy. A potem słuchasz o lifelong learning, o tym, że zawsze trzeba być gotowym na zmianę zawodu. Nagle okazuje się, że nie ma jednej formatki, która gwarantuje szczęście i sukces. To, w czym cię trenowano przez lata, okazuje się mistyfikacją.

Ale tego się dowiesz w przyszłości. Na razie, drogi czternastolatku, wybierz sobie studia (i tu mrugam okiem). ▲

**Natalia Mazur** – redaktorka „Wysokich Obcasów"

JUŻ W SPRZEDAŻY „WYSOKIE OBCASY EXTRA"

- **TEMAT NUMERU:** Kultura wstydu. Skąd się bierze kobiecy brak akceptacji i jak się go pozbyć?
- **NA OKŁADCE** Joanna Brodzik: Nie boję się odsłonić i pokazać swojego miękkiego brzucha.
- **PSYCHOLOGIA:** Obrażanie się jest zgubną strategią.
- **TWARZE:** Magdalena Steczkowska: Nie jestem numerem sześć.

**„Wysokie Obcasy Extra"** już w sprzedaży z prezentem – skarpetkami złuszczającymi skórę lub maską w płacie.



www.wysokieobcasy.pl wysokieobcasy wysokieobcasy.pl listy@wysokieobcasy.pl

REDAGUJĄ:
**Monika Tutak-Goll**
– REDAKTORKA NACZELNA
**Katarzyna Pawłowska**
– zastępczyni redaktorki naczelnej

REDAKTORKA PROWADZĄCA NUMER:
**Natalia Mazur**

KULTURA:
**Paulina Reiter, Joanna Wróżyńska**
URODA, ZDROWIE I KUCHNIA:
**Aleksandra Lubańska-Czubak**
MODA, STYL ŻYCIA:
**Magdalena Kacalak**

DYREKTORKA KREATYWNA:
**Marta Teresa Szamburska**

GRAFICY:
**Katarzyna Trzeszczkowska**
**Marta Rozenbajgier**
**Dariusz Sierant**

PROJEKT MAKIETY:
**Jacek Utko**
DZIAŁ FOTOGRAFICZNY:
**Anna Woźniakowska**
FOTOLITOGRAFIA:
**Łukasz Irzyk, Mariusz Rosa**
KOREKTA:
**Sylwia Sass**

PRODUKCJA:
**Dorota Jezierska**
INTERNET:
szefowa serwisu
**Magdalena Karst-Adamczyk**
**Natalia Mazur**
**Agnieszka Mularczyk**
**Katarzyna Seiler**
**Magdalena Stroka-Felicka**
**Natalia Waloch**
**Joanna Wróżyńska**
INSTYTUT DOBREGO ŻYCIA:
szefowa serwisu
**Anna Woźniak**
SEKRETARIAT:
**Patrycja Wierzbicka**

WYDAWNICTWO:
**Wyborcza sp. z o.o.**
PREZESKA ZARZĄDU:
**Aleksandra Sobczak**

LICENCJE NA TREŚCI:
**licencje@wyborcza.pl**
SZEFOWA WYDAŃ SPECJALNYCH:
**Karolina Jaroszewicz**
DYREKTOR BIURA REKLAMY:
**Marek Wilk**
KIEROWNICZKA SPRZEDAŻY:
**Wioletta Napurka**
SZEFOWA PROMOCJI:
**Agnieszka Placek**

Z-CA SZEFA PROMOCJI:
**Katarzyna Stożek**
DYREKTOR KOLPORTAŻU:
**Michał Szałański**
NAŚWIETLANIE I DRUK:
**P/mint House of Print**

ADRES REDAKCJI:
**ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa, tel. 22 555 43 26**
**Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo do ich redagowania i skracania.**
**Na stronie 28 zamieszczony jest materiał reklamowy**

**„Wysokie Obcasy" nr 9 (1380)**
**NA OKŁADCE:**
ANASTAZJA JAKUBIAK
FOT. LESZEK MOLSKI

eprasa.pl ed047e9ca2

*Wybierz bohaterkę 2025 roku – zagłosuj na www.wysokieobcasy.pl/superbohaterka, uzasadnij swój wybór i wygraj nagrodę!*

## *14 historii, 15 wyjątkowych kobiet*

Przeczytajcie o nominowanych na www.wysokieobcasy.pl/superbohaterka i zagłosujcie w plebiscycie „Wysokich Obcasów". To bohaterki, które spotkaliście na naszych łamach w zeszłym roku. Kobiety, które swoim życiem, postawą, wartościami rozpaliły waszą i naszą wyobraźnię. Które swoją śmiałością, swoją wizją zmieniają świat. Zarażają energią, siłą i niezłomnością. Potrafią przezwyciężać zarówno osobiste bariery, jak i społeczne czy polityczne ograniczenia. Czasami to osoby znane ze sceny, świata nauki, biznesu. Czasami rozpoznawane jedynie lokalnie czy tylko w swoim środowisku. Głosując na nasze Superbohaterki, możecie wygrać nagrody. Regulamin akcji jest dostępny na *www.wysokieobcasy.pl/superbohaterka*

**NOMINOWANE W PLEBISCYCIE:**

**KATARZYNA BUTOWTT**
**URSZULA DUDZIAK**
**GIZELA JAGIELSKA**
**JULIA KAMIŃSKA**
**JOANNA KOWALCZUK**
**KLARA KOWALCZYK**
**WERONIKA MLICZEWSKA**
**SABINA OBWIOSŁO-BUDZYŃ**
**ANNA PRZEDPEŁSKA-TRZECIAKOWSKA**
**MAGDALENA RÓŻCZKA**
**NATALIA SKOCZYLAS I URSZULA CHOWANIEC**
**KATARZYNA SŁOMIŃSKA**
**ZUZANNA STAŃSKA**
**JOANNA TALEWICZ**

**5×** Naszyjnik z mosiądzu pozłacanego kolekcja BeLoved od YES

**5×** Apaszka SOLAR x Wysokie Obcasy i Voucher o wartości 300 zł do wydania w sklepach stacjonarnych SOLAR

**5×** Zestaw fizjoterapeutyczny od GEDEON RICHTER

**5×** Kolekcja do pielęgnacji paznokci od NEONAIL

**5×** Zestaw kosmetyków NEO MAKE UP do makijażu

**5×** Zestaw 3 kosmetyków Anti-Âge Global od Yves Rocher

SPONSOR STRATEGICZNY YES
SPONSOR GŁÓWNY SOLAR
SPONSORZY YVES ROCHER FRANCE NÉONAIL NÉO MAKE UP GEDEON RICHTER

eprasa.pl ed047e9ca2

# Superbohaterka 2025

## Wybierz bohaterkę 2025 roku, zagłosuj na www.wysokieobcasy.pl/superbohaterka

Świat jest pełen wspaniałych kobiet, Polska jest pełna wspaniałych kobiet. W każdym numerze przedstawiamy wam osoby, które robią rewolucję w świecie i zmieniają go na lepsze.
Co roku spośród naszych bohaterek wybieramy Superbohaterkę „Wysokich Obcasów”. Doceniamy odwagę, empatię, wrażliwość, wiarę w to, że można żyć inaczej. Bo Superbohaterka ma w sobie nieustępliwość, determinację, wyobraźnię. I potrzebę działania.
Superbohaterka inspiruje. Czasem wychodzi z siostrami na ulicę, innym razem walczy z systemem samotnie, w domowym zaciszu. Czasem musi wykrzyczeć swoją złość, innym razem wystarczy szczera opowieść, przełamanie tabu, by dokonać zmiany.
Przedstawiamy wam 14 historii i 15 kobiet nominowanych do tytułu Superbohaterki 2025 roku. Są wśród nich kobiety, które inspirują tym, co mówią, tworzą, śpiewają. Są kobiety, które pomagają innym i nie zostawiają nikogo bez wsparcia. Są podróżniczki, działaczki społeczne, sportowczynie.
O tych bohaterkach mogłyście i mogliście przeczytać w zeszłym roku w „Wysokich Obcasach”. To one mają odwagę, by działać, naprawiać, przeciwstawiać się przemocy i językowi nienawiści.
Wybierzcie swoją Superbohaterkę. Czekamy na wasze głosy. ▲

### JULIA KAMIŃSKA

*aktorka, aktywistka*
– za bezkompromisowość i odwagę w działaniu na rzecz praw kobiet w Polsce

### URSZULA DUDZIAK

*artystka, światowa ikona jazzu*
– za śmiałość twórczą i inspirowanie kobiet, by miały odwagę żyć pełniej, radośniej

### ANNA PRZEDPEŁSKA -TRZECIAKOWSKA-

*powstanka*
– za to, że nigdy nie milczy, gdy dzieje się krzywda

### MAGDALENA RÓŻCZKA

*aktorka*
– za Fundację Ukochani, za walkę na rzecz rodzicielstwa zastępczego w Polsce

### GIZELA JAGIELSKA

*lekarka*
– za to, że idzie jasną ścieżką w niejasnym prawie



eprasa.pl ed047e9ca2

## NATALIA SKOCZYLAS I URSZULA CHOWANIEC

*aktywistki, autorki książki „Grubancypacja. O grubości bez przepraszania”*
– za wyciąganie grubości ze sfery wstydu

## ZUZANNA STAŃSKA

*historyczka sztuki*
– za aplikację Dailyart i jej międzynarodowy sukces

## JOANNA KOWALCZUK

*podróżniczka*
– za zdobycie sześciu z siedmiu najwyższych wulkanów świata

## JOANNA TALEWICZ

*prezeska Fundacji W Stronę Dialogu*
– za to, co robi na rzecz Romek w Polsce

## KATARZYNA BUTOWTT

*modelka, ikona polskich wybiegów*
– za odważną opowieść o rodzinie i przełamanie tabu

## KATARZYNA SŁOMIŃSKA

*modelka, psycholożka, pacjentka onkologiczna*
– za opowieść o tym, że kobiecość nie znika z usuniętymi piersiami

## WERONIKA MLICZEWSKA

*reżyserka filmu „Dziecko z pyłu”*
– za wybitny film dokumentalny, świadectwo wielkiej wrażliwości i nietuzinkowego talentu

## KLARA KOWALCZYK

*pierwsza Polka w programie kartingowym F1 Academy*
– za śmiałość w ściganiu się na torze wyścigowym

## SABINA OBWIOSŁO-BUDZYŃ

*założycielka Fundacji „Zapisane w mózgu”*
– za książkę „Niewidzialna”, za upominanie się o osoby z alzheimerem

FOT. RAFAŁ MASŁOW, WOJCIECH OLKUŚNIK/DZIEŃ DOBRY TVN/EAST NEWS, WERONIKA ŁAWNICZAK/NETFLIX, HUBERT KOMERSKI, MACIEJ JĘDRZEJEWSKI, KAROLINA JACKOWSKA, KAROL GRYGORUK, DAWID GRZELAK, ŁUKASZ GIZA/AGENCJA WYBORCZA.PL, ARCHIWUM PRYWATNE (4), VIPHOTO/EAST NEWS



eprasa.pl ed047e9ca2

ANASTAZJA JAKUBIAK

# Dotyk motyla

Tomek do samego końca pozostał w moich oczach mężczyzną, w którym się zakochałam.



eprasa.pl ed047e9ca2

**ANASTAZJA JAKUBIAK**

- prezeska Fundacji w Kosmosie im. Tomka Jakubiaka. Coachka specjalizująca się w Business & Life Coaching opartym na empatii i poszerzająca swoje kompetencje w nurcie Porozumienia bez Przemocy. Mama pięcioletniego syna, żona kucharza Tomka Jakubiaka, który zmagał się z agresywnym nowotworem i odszedł w 2025 roku.

Z **ANASTAZJĄ JAKUBIAK**, PREZESKĄ FUNDACJI W KOSMOSIE IM. TOMKA JAKUBIAKA, ROZMAWIA **MAGDALENA KARST-ADAMCZYK**
ZDJĘCIA **LESZEK MOLSKI**

**Czym jest „dotyk motyla"?**
– To prosty masaż, który opiera się na trzech sekwencjach ruchów i bardzo delikatnym dotyku. Bywa, że palce poruszają się tuż nad skórą i ledwie jej dotykają, przypomina to muśnięcie skrzydeł motyla. Masaż ten został stworzony z myślą o noworodkach, ale stosuje się go też w hospicjach – robi się go chorym, którzy odczuwają silne napięcie czy ból.

**Gdy Tomek zachorował, kupiłaś książkę z instruktażem i nauczyłaś się robić taki masaż.**
– Tomek bardzo go lubił, relaksował się przy nim. Masaż działał na wielu poziomach – z jednej strony przynosił ulgę, z drugiej dawał przyjemność. „Dotyk motyla" stał się dla nas formą czułości i intymności, jedną z niewielu, które zostały nam w chorobie. Te chwile, gdy byliśmy tylko we dwoje i gdy masowałam Tomka, łączyły nas fizycznie i emocjonalnie.

**Wspomniałaś, że „dotyk motyla" to masaż przeznaczony dla niemowląt. To w jakimś metaforycznym wymiarze można odczytać jako ewolucję waszej relacji w chorobie – od męża i żony do pacjenta i opiekunki. Ale czy słusznie?**
– I tak, i nie.

Od początku choroby Tomka było dla mnie ważne, aby utrzymać partnerski charakter naszej relacji. Zależało mi na tym, by Tomek na tyle, na ile mógł, pozostał autonomiczny i decyzyjny. Nowotwór nie zaatakował mózgu, Tomek do samego końca był świadomy. Owszem, bywało, że na różnych etapach przyjmował leki, które w jakimś stopniu go otępiały, ale poza tymi chwilami doskonale wiedział, co się z nim i wokół niego dzieje.

Kiedy zakochiwałam się w Tomku, to przede wszystkim zakochiwałam się w jego poczuciu humoru, w jego intelekcie, w jego głowie. Dla mnie Tomek był po prostu pięknym człowiekiem – w środku i na zewnątrz. Podtrzymanie tego zauroczenia jego osobą i damsko-męskiego charakteru naszej relacji w jego chorobie było dla mnie bardzo ważne. Oczywiście nie była to już relacja seksualna, bo ta wygasła w obliczu choroby, ale cały czas chciałam w nim widzieć mojego mężczyznę. I widziałam – Tomek do samego końca pozostał w moich oczach mężczyzną, w którym się zakochałam.

I nawet jeśli w sensie fizycznym był ode mnie coraz mocniej zależny, intelektualnie był dalej ze mną, dotrzymywał kroku, nadal potrafił zaimponować. Wciąż konsultowałam z nim każdą decyzję, czy dotyczyła leczenia, czy dziecka i wychowywania, czy pomysłu napisania książki. To wszystko – mimo jego postępującej choroby – pozostawało nasze wspólne. A pomysłowi napisania książki bardzo kibicował. Miał nawet napisać do niej wstęp. Nie zdążył.

**Czyli relacja pacjent–opiekunka pojawiła się obok relacji mąż–żona, a nie zamiast?**
– Obok, absolutnie obok. I to też nie było tak, że ta relacja weszła z impetem do naszego życia, to była raczej ewolucja. Dla Tomka, który był jednak samcem alfa, wpuszczenie mnie i pozwolenie na to, bym się nim zajmowała, było wyzwaniem. Na początku uważał, że to jakoś umniejsza jego męskości. Wiem o tym, bo wiele godzin na ten temat przegadaliśmy. W końcu zdołałam przekonać Tomka, że przyjęcie mojej pomocy i opieki to nie jest powód do wstydu, bo przecież obiecaliśmy sobie, jako małżeństwo, że będziemy się wspierać w zdrowiu i w chorobie. I że skoro już znaleźliśmy się w takiej, a nie innej sytuacji, musimy się z nią zmierzyć. Razem. Wtedy jeszcze myślałam, że jeżeli Tomek pozwoli mi się sobą zaopiekować, to ja być może pomogę mu wyzdrowieć. A potem, kiedyś, w jakiejś nieokreślonej przyszłości odbudujemy naszą relację na starych albo zupełnie nowych zasadach.

I w końcu Tomek przełamał swój wstyd i lęk, co było piękne, jednak okazało się, że miłość i troska nie są w stanie go uratować.

**Twoje słowa „pomogę mu wyzdrowieć" pokazują skalę twojego psychicznego obciążenia. Faktem jest, że opiekunki i opiekunowie w swojej trosce bardzo często przekraczają własne granice i dokonują rzeczy, które w normalnych okolicznościach byłyby karkołomne.**
– Kiedy bliski zaczyna chorować, twoje ciało i twój mózg odbierają tę sytuację jako zagrożenie życia, a zagrożenie życia jest najczęściej wielkim impulsem do działania i obrony. Kiedy w domu pojawia się choroba, masz wrażenie, że ktoś podłożył w nim bombę, która w każdej chwili może wybuchnąć. Nigdy nie wiesz, co się zaraz wydarzy, np. czy on poczuje się lepiej, czy gorzej. Choroba jest zmienna i nieprzewidywalna, bywa że człowiek lawiruje między ekstremami. My w chorobie Tomka przeszliśmy etap remisji i związanych z tym nadziei oraz traumatycznych kryzysów, załamań, poczucia niemocy. Takim sytuacjom towarzyszy ogromny wyrzut adrenaliny. To ona człowieka pobudza, sprawia, że jest w stanie ogarnąć i udźwignąć to wszystko, co w normalnych okolicznościach wydaje się nie do ogarnięcia i nie do udźwignięcia.

**Rzeczywistość choroby często mobilizuje bliskich chorego, ale czasem też paraliżuje. Nie każdy znajduje w sobie wystarczające pokłady siły, aby podjąć się opieki, nieuniknione jest też, że nawet idealny opiekun czasem ma kryzys. A otoczenie wystawia ocenę. W pewnym sensie opieka nad bliskim chorym staje się w społecznym odbiorze moralnym egzaminem, którego opiekun nie ma prawa nie zdać.**
– Tak, osoby opiekujące się chorymi bliskimi poddawane są silnym osądom. Znam przypadek, gdy mąż zachorował, żona się wycofała i zostawiła swojego partnera, a otoczenie mocno ją za to napiętnowało. A prawda jest taka, że aby towarzyszyć bliskiej osobie w chorobie, trzeba mieć w sobie dużo odwagi i siły; tamta kobieta najwyraźniej ich w sobie nie znalazła. Uważam, że nikt nie ma prawa tego oceniać. Ja podję-



eprasa.pl ed047e9ca2

łam rękawicę i zrobiłam wszystko, co mogłam, towarzyszyłam Tomkowi, bo miałam w sobie odpowiednie zasoby. Ale i tak w Tomku był jakiś irracjonalny lęk, że go zostawię; powiedział mi kiedyś, że zrozumiałby, gdybym odeszła. Mnie taka myśl nawet nie przeszła przez głowę, ale nie stawiam się z tego powodu w pozycji świętej. Każdy przypadek jest inny, każda i każdy z nas jest inny. A rzeczywistość choroby, jaką jest ciężka postać raka, jest naprawdę okrutna i przerasta nasze wyobrażenia. Patrzenie na bliską osobę, która cierpi, jest bolesne i trudne. Uważam, że społeczeństwo nie ma prawa ferować wyroków.

**W oczach wielu osób, które śledziły chorobę twojego męża, jesteś uosobieniem idealnej opiekunki. Bardzo doceniam więc to, że w swojej książce napisałaś o tym, że też przechodziłaś swoje kryzysy, bywałaś poirytowana, że było ci ciężko.**
– Bo jestem tylko człowiekiem. Opieka nad Tomkiem, konsultacje z lekarzami, szukanie nowych rozwiązań, a obok tego bieżące życie, zakupy, rachunki, opieka nad Bąblem, czyli naszym synkiem Tomciem, czasami mnie wykańczały i wypalały. W takich chwilach miałam wrażenie, że kończy mi się energia.

**Byłaś maszynistką pędzącego pociągu. Człowiek nie jest w stanie na dłuższą metę funkcjonować w takim trybie.**
– Tak, to nieuchronnie prowadzi do wykolejenia. U mnie np. pojawiły się drastyczne spadki ciśnienia, dostawałam zapaści, oczywiście na tle nerwowym, choć w ogóle nie dopuszczałam do siebie tej świadomości. W pewnym momencie zaczęła powtarzać się sytuacja, że gdy Tomek trafiał do szpitala na oddział na pierwszym piętrze, ja trafiałam na izbę przyjęć na parterze. Zdaliśmy sobie sprawę, że musimy też zadbać o moje zdrowie, bo to jest ten ostatni filar, na którym wszyscy stoimy.

## Gdy było mi ciężko, szłam wyrzucić śmieci i w ten sposób *wyrywałam 15 minut*

**Co było twoim wentylem w czasie choroby Tomka?**
– Gdy było mi ciężko, szłam wyrzucić śmieci i w ten sposób wyrywałam 15 minut, by oczyścić głowę. I były jeszcze studia co parę weekendów – ciężki, intensywny ciąg wykładów, który w tamtych okolicznościach mnie relaksował. I oczywiście terapia – oboje z Tomkiem, choć każde z osobna, mieliśmy wsparcie psychologiczne. To było bezcenne.

**Profesjonalna opieka psychologiczna dla chorego i opiekuna powinna być w takich sytuacjach w pakiecie w ramach NFZ.**
– Bardzo naciskałam na to, aby Tomek miał pomoc psychologiczną, bo na początku choroby obserwowałam, jak lęk go zabiera. Tymczasem wszyscy lekarze mówili, jak ważna w procesie leczenia jest psychika oraz dobre nastawienie. Uznałam, że to jest element większej całości. A potem pomyślałam, że to może iść dwutorowo, że mnie też takie wsparcie może wiele dać.

**W książce podkreślasz też, jak ważne było wsparcie osób trzecich, przyjaciół. Oddajesz w niej głos ekspertom i pięknie mówi o tym psycholożka i psychotraumatolożka Maja Pisarek. Używa metafory łańcucha życia, który robimy nad morzem, by ratować tonącego. Opisuje to jako sytuację idealną – opiekun jest tą pierwszą osobą, która podaje rękę choremu, ale opiekuna trzymają za rękę i ciągną na powierzchnię kolejne osoby.**
– W tym trudnym czasie mieliśmy wokół siebie wspaniałych ludzi. Część z nich była przy nas cały czas, niektórzy w trakcie znikali, w ich miejsce pojawiali się inni. Jestem wdzięczna za każdą osobę, ponieważ na różnych etapach choroby każda z nich spełniła swoją rolę. Jestem wdzięczna także tym, którzy wprost powiedzieli, że to dla nich za trudne i że np. nie są w stanie odwiedzić Tomka, ale mogą zrobić dla nas coś innego, i pytali, co to może być. Ktoś więc zrobił zakupy, ktoś przyjechał pogadać z Tomkiem o piłce nożnej, ktoś inny dzwonił regularnie, okazując troskę.

Dostaliśmy bardzo dużo wsparcia. A do tego jeszcze zbiórka na rzecz Tomka, pomoc ludzi, których nawet nie znaliśmy. Tomek przed chorobą bardzo angażował się charytatywnie, pomagał szczególnie dzieciom; robił to dyskretnie, poza kamerami. I w czasie choroby dobro, które dał innym, wróciło do niego. Nie mógł w to uwierzyć. I był zawstydzony tą pomocą. Potrafił dawać, ale nie potrafił przyjmować. Nad tym też musiałam z nim popracować, to także był proces. W końcu Tomek się otworzył.

Wiesz, choroba jest wielowątkowa i wielopoziomowa; choruje ciało, ale też emocje, zmienia się mindset, który masz w głowie. Choroba wywołuje złe, ale czasem też dobre rzeczy.

**W pewnym momencie Tomek zadecydował się powiedzieć o swojej chorobie publicznie, a potem pokazywać ją w reportażach w TVN-ie tak bardzo bez cenzury. Zgodziłaś się wpuścić do waszego świata choroby w pewnym sensie całą Polskę, bo uważałaś, że decyzja w tej sprawie należy tylko do Tomka, ale sama byłaś jej przeciwna.**
– Na początku miałam lęki i uważałam, że to jest bardzo zły pomysł. Kiedy jednak zobaczyłam, jak wiele dobrego robią te reportaże, zmieniłam zdanie. Jeden z profesorów w szpitalu podziękował nam za nasze materiały i powiedział, że one dodają otuchy pacjentom i ich rodzinom. Potem mieliśmy niesamowity oddźwięk od chorych, dla których to, że pokazujemy prawdziwe oblicze choroby, było ważne. W jednym z reportaży Tomek podniósł koszulkę i powiedział: „Zobaczcie, tak wygląda teraz moje ciało. Wcześniej się go wstydziłem, ale teraz już się nie wstydzę. I wy też nie powinniście się wstydzić". Takie gesty były wzmacniające dla innych chorych. Tomek był w tym szczery, pozostał sobą. Ludzie to doceniali. Tak-



eprasa.pl ed047e9ca2

że ci, którzy dotąd nie zetknęli się z chorobą i dzięki niemu dostali wgląd w nieznany świat. Choroba Tomka wielokrotnie pokazała mi, że kiedy wychodzimy ze swojej strefy komfortu, możemy uczynić wiele dobrego dla innych. Dziś mogę z pełną odpowiedzialnością powiedzieć, że to było tego warte.

**Bardzo długo pozostawałaś w trybie nadziei i walki, nie dopuszczałaś do siebie myśli, że choroba może skończyć się śmiercią. Gdy po wielu miesiącach terapeutka spytała cię: „A co, jeśli...?", oburzyłaś się na to pytanie. Kiedy odważyłaś się z skonfrontować z myślą, że Tomek może z choroby nie wyjść?**

– Oczywiście gdzieś w tyle głowy od początku była świadomość, że to może się skończyć źle, ale taki scenariusz wydawał się zbyt przerażający i niemożliwy, by się przy nim na dłużej zatrzymać. Wydawało mi się, że gdyby Tomek umarł, ja umarłabym razem z nim.

Tak naprawdę ta myśl zaczęła we mnie kiełkować świadomie dopiero od tego pytania na sesji terapeutycznej, czyli było to mniej więcej pół roku przed śmiercią Tomka. Podczas kolejnych spotkań wracałyśmy do tego tematu i ja coraz częściej zastanawiałam się, co będzie, jeśli Tomek umrze. Człowiek nigdy nie jest w stanie przygotować się na śmierć bliskiej osoby, nieważne, jakie są okoliczności, więc ja wciąż nie byłam gotowa, ale zaczęłam się z tym coraz bardziej konfrontować i na tamtym etapie to było wystarczające.

**Na ostatnią randkę wybraliście się w walentynki, cztery miesiące przed śmiercią Tomka. Poszliście do kina na „Bridget Jones: Szalejąc za facetem". Tomek wybrał film, ale żadne z was nie wiedziało, o czym będzie. Okazało się, że w nowej części filmowego cyklu spotykamy Bridget Jones – matkę i wdowę, która straciła miłość swojego życia, Marka Darcy'ego, i próbuje odbudować swoje życie.**

– Oboje przepłakaliśmy cały film. Przed wyjściem z domu asekuracyjnie złapałam trzy paczki chusteczek higienicznych i zużyliśmy je co do jednej. Tomek potem bardzo to przeżywał, bo na ekranie zobaczył kobietę, która po śmierci partnera zostaje sama z dziećmi i której jest ciężko. Mówił, że nie wyobraża sobie mnie w takiej sytuacji i że gdyby wiedział, o czym będzie film, wybrałby inny. A ja uważam, że dobrze się stało i że to nie był przypadek, że wspólnie obejrzeliśmy właśnie ten film. Potem wróciliśmy do domu, spędziliśmy razem wieczór, rozmawialiśmy m.in. o miłości, która nas spotkała. Mam piękne wspomnienia z tamtego dnia.

**Mówi się, że śmierć partnera to najbardziej stresujące wydarzenie w życiu człowieka. Jak odnalazłaś się w świecie bez ukochanego mężczyzny?**

– Kiedy to się dzieje, w pierwszej chwili oczekujesz, że cały świat się zatrzyma, ale szybko orientujesz się, że tak się nie stało i że ty też dalej musisz wypełniać swoje obowiązki. Codzienna rutyna trzyma cię w ryzach. Uświadamiasz sobie również, że utrata tej jednej osoby zmienia całe twoje życie i że właściwie wszystko musisz zbudować od nowa.

Na pewno doświadczenie choroby i śmierć Tomka bardzo mnie zmieniły. Nie jestem już tą samą Anastazją, którą byłam wcześniej. Ale cały czas mam w głowie to, że Tomek był osobą bardzo skoncentrowaną na życiu, na doświadczaniu, na przeżywaniu, więc ja teraz też muszę iść w tym kierunku. Tomek bardzo tego chciał dla mnie, dla Bąbla. Chciał, żebyśmy żyli pełnią życia. Poza tym choroba Tomka uświadomiła mi, że dziś jesteśmy, a jutro może nas nie być; to bardzo zmienia perspektywę. Oczywiście to nie jest proste, ale staram się ze wszystkich sił koncentrować na życiu, a nie na śmierci i żałobie.

Jednocześnie wiem, że w każdej chwili może zdarzyć się coś, co uruchomi żal i tęsknotę. Np. miałam taką scenę w sklepie mięsnym, około pół roku po śmierci Tomka, gdy stałam w kolejce i w pewnej chwili spojrzałam na boczek – a Tomek uwielbiał boczek – zaczęłam płakać i to było nie do zatrzymania.

**Starasz się przełamywać stereotypy dotyczące wdowy – tej szlachetnej persony w czerni z twarzą bez uśmiechu.**

– Tak, ta słynna figura wdowy – wszyscy wiedzą, jaka powinna być i albo ją idealizują, albo się jej boją. W powszechnym rozumieniu wdowa powinna być ambitna, ale niezbyt nieza-



eprasa.pl ed047e9ca2

leżna. Miła, ale niezbyt poufała. Powinna przeżywać żałobę, ale nie ostentacyjnie. Może to robić długo, ale też nie za długo. Może iść w kierunku życia, byle nie za szybko. A jak się umaluje i uśmiechnie, ktoś zaraz skomentuje, że nie kochała męża dość mocno. A ja mogę na to powiedzieć tylko tyle, że każda z nas powinna przeżywać swoją żałobę w swoim tempie i na swoich zasadach. I nikt nie ma prawa nas oceniać. Żałoba to indywidualny proces.

**Ty postanowiłaś przekuć swoją tęsknotę i stratę w działanie. Założyłaś Fundację w Kosmosie im. Tomka Jakubiaka, napisałaś książkę. Chcesz wspierać opiekunki i opiekunów, ale też iść drogą, którą wyznaczył Tomek.**

– Fundacja nie jest pomnikiem dla Tomka i nie jest o żałobie. Jest krokiem do życia, tak jak wszystko, co było nasze wspólne, było krokiem do życia.

W ramach fundacji prowadzimy projekty związane z dziećmi, np. Głodomory Mają Zdrowe Brzuszki, które wspierają zdrowe odżywianie. Chcemy też ufundować konkurs imienia Tomka dla uczniów szkół gastronomicznych, dając szansę najlepszym na zagraniczną edukację.

Ale przede wszystkim chcemy realizować projekty, które mają wspierać opiekunów i bliskich osób chorujących onkologicznie. Jesteśmy po pierwszym spotkaniu grupy wsparcia i było to bardzo piękne, budujące przeżycie. Osoby, które przyszły, wchodziły bardzo smutne i zatroskane, a wychodziły z uśmiechem na twarzy. Spotkanie było poruszające do tego stopnia, że nie mogłam potem zasnąć, bo przecież sama przeszłam przez to wszystko, z czym dziś mierzą się ci ludzie. Ale poczułam też siłę sprawczą i sens takiego działania. Zależy mi na tym, żeby to wszystko, co się wydarzyło, przekuć w coś dobrego.

**ANASTAZJA JAKUBIAK**
**„Spotkajmy się tam, w kosmosie", wyd. Fundacji w Kosmosie im. Tomka Jakubiaka**

**Zdobyłaś się w książce na poruszające wyznanie. Napisałaś, że przez to, co was spotkało, dane ci było dotknąć najpełniejszego i najpiękniejszego wymiaru miłości.**

*Anastazja milknie na chwilę, ale daje mi sygnał, że chce na to pytanie odpowiedzieć.*

– To był mój człowiek. I choć we wspólnym życiu miewaliśmy trudne momenty i różne kryzysy, przez doświadczenie choroby osiągnęliśmy najwyższy stopień porozumienia. Pamiętam, że parę dni przed odejściem Tomka poróżniliśmy się, ale zaraz potem się pogodziliśmy i czułam, że doświadczamy pojednania na każdym poziomie. Od dawna nie było już między nami energii seksualnej, ale w jej miejsce przyszła nieprawdopodobna czułość i bliskość.

Pamiętam też, że któregoś razu, już w trakcie choroby, zapytałam Tomka, czy mu czegoś brakuje, a on powiedział, że nie, że wszystko ma...

Życzę takiej miłości każdemu. ▲

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

OGŁOSZENIE

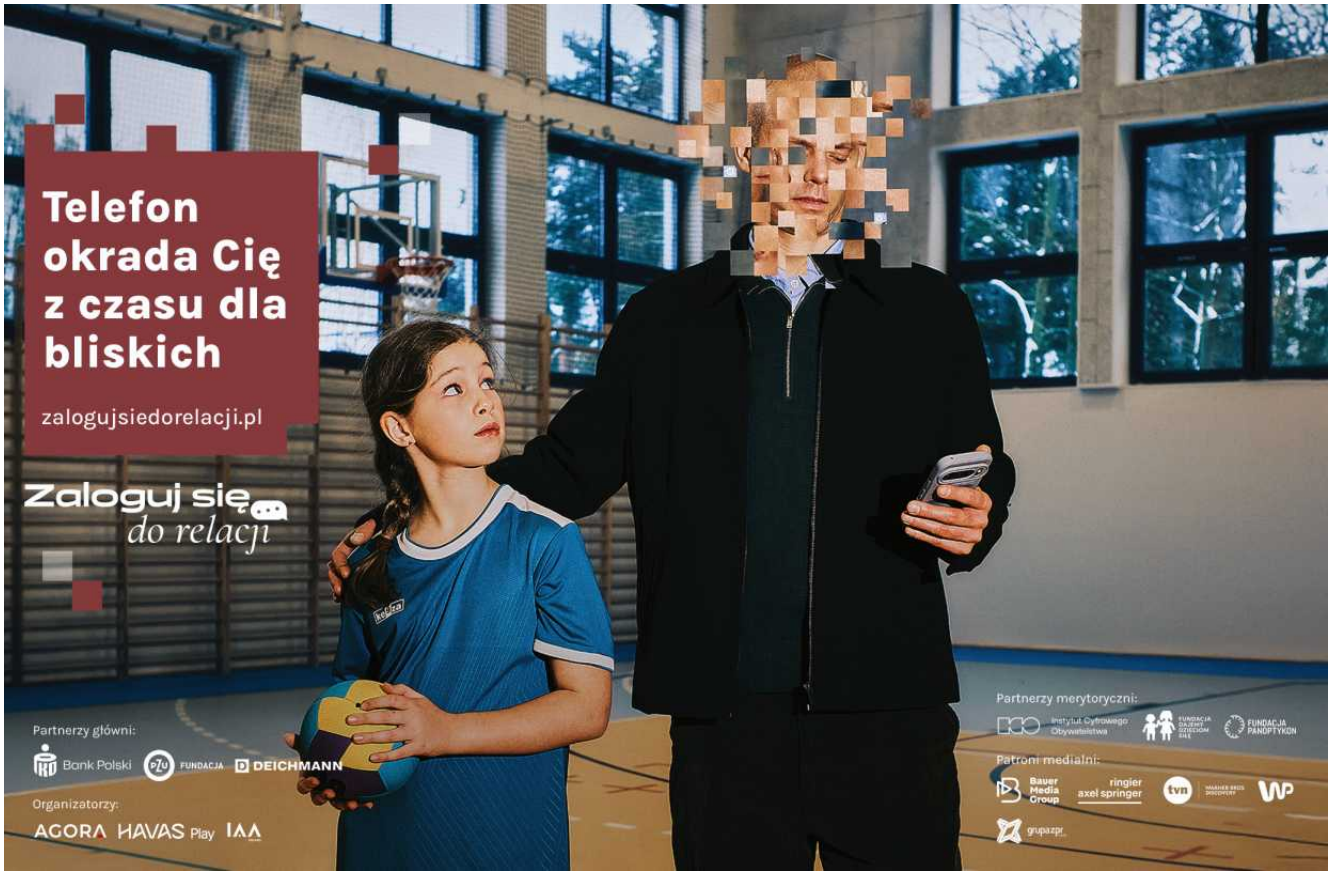




eprasa.pl ed047e9ca2

# Czternastolatek wybiera *studia*

Polski system edukacji jest skonstruowany tak, że uczeń klasy ósmej ma wybrać swoją ścieżkę edukacyjną i zawodową na wiele lat naprzód. I trwać w zapale

eprasa.pl ed047e9ca2

TEKST **JOANNA SZULC**
RYSUNKI **JANEK KOZA**

Czternaście lat – to wiek, w którym człowiek szuka swojej tożsamości, często zmienia zainteresowania, jak tlenu potrzebuje towarzystwa rówieśników. Czternastoletnia osoba próbuje się dowiedzieć, co jej się podoba, co nie. Dojrzewający mózg co chwilę podpowiada inne kierunki działań. Dużo jest emocji, mało chłodnej analizy. No i nie ma jeszcze zbyt wiele życiowego doświadczenia, na bazie którego można by z całą pewnością stwierdzić: „Wiem, co chcę robić w życiu".

## BĘDĄC MŁODĄ INFLUENCERKĄ

Z raportu Inspiring Girls Polska: „Młodzi i przyszłość. Aspiracje edukacyjne i zawodowe dziewczyn i chłopców w Polsce" opublikowanego w 2025 r. wynika, że najwięcej, bo 35 proc. nastolatków, chce zostać influencerem/influencerką. Na liście marzeń są zawody, które dają duże zarobki lub sławę albo możliwość pomagania. Wysoko plasują się medycyna, prawo, informatyka i sport, na szóstym miejscu – zawodowy gaming, na siódmym – weterynaria.

Nie ma w tym nic złego. Każdy zawód może dać satysfakcję i radość. Ale to są marzenia nastolatków, którzy raczej nie mają świadomości, z czym się wiąże ich pomysł na przyszłość, np. że krocie zarabiają nieliczni twórcy cyfrowi, a weterynarze są grupą zawodową narażoną na najpoważniejsze kryzysy zdrowia psychicznego.

Tymczasem polski system edukacji jest skonstruowany tak, że uczeń klasy ósmej, czyli osoba w wieku 14-15 lat, ma wybrać swoją ścieżkę edukacyjną i zawodową na wiele lat naprzód. Wtedy dziecko i jego rodzice podejmują decyzje dotyczące rekrutacji do szkoły ponadpodstawowej, łącznie z profilem klasy, czyli tzw. przedmiotami rozszerzonymi. Zwykle są to te przedmioty, z których po czterech latach nauki w szkole średniej zdaje się egzamin maturalny, którego wynik przesądza o tym, na jakie studia absolwent ma szansę się dostać. Oznacza to, że ósmoklasista ma zdecydować, czy chce iść kiedyś na studia i co ma zamiar studiować, gdy już będzie pełnoletnią osobą. Zupełnie innym człowiekiem niż teraz.

## W WIDEŁKACH PROFILU

Większość szkół ponadpodstawowych oferuje profile, które narzucają zakres zainteresowań – matematyka z fizyką, biologia z chemią, przedmioty humanistyczne. Jeśli ktoś interesuje się jednocześnie literaturą i matematyką albo historią i chemią, nieźle naszuka się placówki, która daje możliwość takiego połączenia (i raczej będzie to szkoła prywatna). Jeśli w pierwszej klasie szkoły średniej uczeń uzna, że jednak bardziej ciągnie go do geografii, może próbować zmienić klasę, ale i tak będzie musiał dopasować się do istniejącego profilu. Być może uczyć się innego języka obcego, od podstaw budować w nowej klasie.

Ten system raczej przekonuje do tego, by trwać przy swoich wyborach, choćby były totalną pomyłką. Gdy w trzeciej klasie liceum młody człowiek uzna, że ma dość biol-chemu i nie chce spełniać marzenia rodziców o studiach medycznych, to ma spory problem. Zainwestowane koszty (czas, wysiłek, oceny) są na jednej szali, na drugiej – podążanie za swoimi potrzebami i wartościami. Nie każdy odważy się na bunt.

## DLA TESTÓW, NIE Z CIEKAWOŚCI

Myślenie o maturze zaczyna się w końcówce podstawówki. Ten czas poświęcony jest gromadzeniu punktów, które będą potrzebne w rekrutacji. Punkty dostaje się:

- za oceny na świadectwie (za język polski, matematykę i przedmioty, które są punktowane w naborze do danej klasy w wybranej szkole ponadpodstawowej),
- za świadectwo z wyróżnieniem,
- za udział w szkolnym wolontariacie,
- za szczególnie osiągnięcia w określonych konkursach,
- a także za wyniki procentowe na egzaminie ósmoklasisty.

Przynajmniej od siódmej klasy uczniowie na okrągło słuchają, jak ważne są oceny z wybranych przedmiotów i wyniki egzaminu. Nauka jest podporządkowana testom, nie zaś temu, by rozwijać wiedzę i umiejętności. Nie szukaniu swojej drogi, odkrywaniu pasji czy trenowaniu umiejętności psychospołecznych (wśród których kreatywność, odporność psychiczna czy umiejętność współpracy należą do najważniejszych kompetencji przyszłości).

Szczęśliwi ci, którzy od kołyski mają pewność, kim chcą zostać.

Są jeszcze tacy, którzy mają szczególne uzdolnienia, np. artystyczne, sportowe, językowe. Mogą próbować dostać się do szkół, do których zdaje się dodatkowe egzaminy. Jeśli dostaną tam miejsce, wynik egzaminu ósmych klas ma dużo mniejsze znaczenie. Ale konkurencja jest zwykle duża.

## ŚCIUBIENIE PUNKTÓW

Egzaminu ósmoklasisty nie można oblać – nie ma tu progu zdawalności. Ale niski wynik procentowy daje niski wynik punktowy, czyli ledwie część ze 100 punktów, jakie potencjalnie można z niego zgarnąć. Na drugie 100 składają się oceny i osiągnięcia. Ósma klasa to czas nieustających prób wyciśnięcia jak najlepszego wyniku na świadectwie, w efekcie czego trudno uznać oceny za miarodajne. Nie zawsze to sami uczniowie są tym najbardziej zainteresowani, często presję wywierają rodzice. Nawet tym, którzy dotąd mieli dość swobodny stosunek do osiągnięć szkolnych, udziela się napięcie. „A co, jeśli syn/córka wyląduje w jakimś okropnym miejscu?".

> Ósma klasa to czas nieustających prób wyciśnięcia *jak najlepszego wyniku na świadectwie*

Cały ten wysiłek jest poświęcony temu, by dziecko dostało się do tak zwanej wymarzonej szkoły. Pytanie brzmi: wymarzonej przez kogo? Mało jest ósmoklasistów na mur-beton przekonanych, że odnajdą szczęście w klasie X liceum Y (chyba że idzie tam paczka znajomych – wtedy sprawa jest jasna). I tak uzdolnionych, że dzięki wysokiemu wynikowi punktowemu mogą być pewni, że właśnie do tego oddziału się dostaną.

System naboru umieszcza kandydata w jednej z wybranych przez niego szkół (zwykle można wskazać trzy, choć w niektórych gminach i powiatach dopuszcza się większą liczbę). Spośród tych placówek trafia do tej, w której jego wynik punktowy jest wystarczający.

Jeśli we wniosku wpisze same oblegane szkoły, jest spore ryzyko, że nawet z piątkami nie dostanie się nigdzie i dopiero w rekrutacji uzupełniającej będzie szukał miejsca tam, gdzie nie zebrał się komplet uczniów.

W prestiżowych szkołach często całe klasy zajmują olimpijczycy. W swoich



eprasa.pl ed047e9ca2

klasach byli w gronie najlepszych. Teraz trafiają do ławek z równie mocnymi i nagle – nieraz boleśnie – przekonują się, jak wygląda ciężka walka o trójkę z minusem.

## UCZYĆ SIĘ TRZEBA

Wiosną 2026 roku blisko 400 tys. polskich uczniów i uczennic stanie przed dylematem, jaką wybrać szkołę ponadpodstawową. Gdzieś muszą się uczyć – do ukończenia 18 lat nauka jest obowiązkowa. Część z nich stara się o miejsca w placówkach z pierwszych miejsc rankingu. Wielu marzy po prostu o szkole, w której mogą się uczyć w dobrej atmosferze i do której bez problemu dojadą. W stresującej sytuacji są kandydaci do dobrych, obleganych szkół technicznych. Jeśli od dawna mają wizję nauki w klasie o bardzo konkretnym profilu zawodowym, to muszą dostać się do odpowiedniej klasy i pokonać wielu konkurentów. W okolicy zapewne nie ma innej szkoły, która oferuje możliwość zdobycia dokładnie tego samego zawodu.

## PRZYSZŁOŚĆ Z RULETKI

Dużo się mówi o tym, że system edukacji wymaga doinwestowania, uwspółcześnienia. Wciąż mało o tym, że zasady rekrutacji i brak elastyczności w wyborze rozszerzeń i języków wymuszają na wielu uczniach uczenie się tego, co ich nie interesuje, zamiast tego, co im sprawia radość i daje poczucie sensu. To bardzo demotywujące.

Wyobraź sobie, że masz prawny obowiązek chodzenia do pracy, w której właściwie na nic nie masz wpływu. Co 45 minut musisz zajmować się czymś innym, zmieniać biurko i dogadywać się z innym przełożonym (nie zawsze superkompetentnym). Wszyscy cię straszą jakimś egzaminem, od którego rzekomo ma zależeć całe twoje życie. Nie masz dostępu do szczegółowych danych, ale już teraz masz zdecydować, jak ma wyglądać twoja kariera za 10 lat. W międzyczasie musisz zmienić zakład pracy, ale na jaki – to właściwie ruletka. Być może trafisz w ciekawe miejsce, a może do otchłani nudy i siedliska przemocy.

Obserwujesz rodziców i ich znajomych. Na okrągło pracują. Chcą dla ciebie przyszłości, w której będziesz mieć „dobrą pracę", a jednocześnie nie ciekawi ich to, czego chcesz ty. Ty właściwie też nie wiesz, bo nikt z tobą o tym nie rozmawia. Masz wypełniać testy i zdobywać punkty. Nie bardzo wiesz po co.

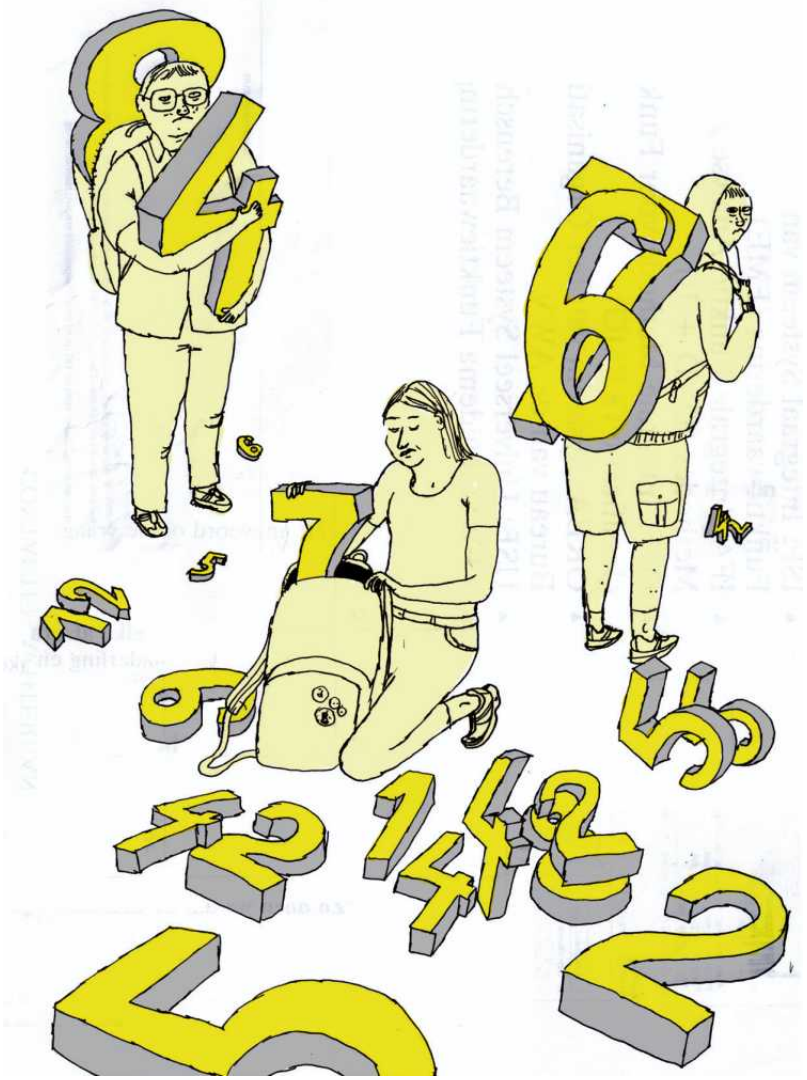

To wszystko dzieje się w takim okresie twojego życia, w którym wiele rzeczy cię zaskakuje, niepokoi, martwi. Ważni dla ciebie ludzie mówią, że to twoje najlepsze lata. Przerażająca wizja – bo jeśli teraz jest najlepiej, to co będzie potem?

## STRACONY CZAS?

Wielu dorosłych zarzuca nastolatkom, że „nic ich nie interesuje", że „nie potrafią się uczyć" i jeszcze, że „są tacy nieprzystosowani do życia". Mówią tak zwykle ludzie, którzy niewiele wiedzą o rzeczywistości współczesnych młodych. Wielu nastolatków interesuje się światem, technologią, zjawiskami społecznymi, muzyką, sztuką, sportem – tylko że swoich zainteresowań nie mają jak rozwijać w szkole. Tam czeka ich stres i wyścig – nie wiadomo właściwie do czego. Przecież rynek pracy za parę lat będzie zupełnie inny. Istotą naszych czasów jest zmienność. Trudno wymagać od nastolatków, że będą do tego „przystosowani", skoro dorosłym trudno się połapać.

W badaniu PISA w 2022 roku 38 proc. polskich piętnastolatków przyznało, że szkoła okazała się dla nich stratą czasu. Ci sami ludzie jeszcze 8-10 lat wcześniej byli ciekawi wszystkiego. Chcieli wszystko robić samodzielnie i nic ich nie zniechęcało. A potem – poszli do szkoły.

Z rozmów z uczniami i rodzicami przebija zniechęcenie, rozczarowanie, niepokój. Rano w wielu domach toczą się batalie, by młoda osoba wyszła do szkoły na czas i dotrwała do końca lekcji. Kiedy słucha się tych opowieści – choćby w gabinecie psychologa – trudno oprzeć się wrażeniu, że wszyscy uczestniczymy w jakiejś zbiorowej mistyfikacji. Udajemy, że system nauczania działa, chwalimy lub ganimy uczniów za wyniki na świadectwie, pochylamy się nad pomysłami na zmiany w systemowej edukacji, które tak naprawdę są zmianami kosmetycznymi. Mijają lata, płyną pieniądze, nadzieja na poprawę gaśnie. Systemowo marnujemy potencjał młodych umysłów. Szkoda. ▲

**JOANNA SZULC – dziennikarka z wykształceniem socjologicznym i psychologicznym. Zajmuje się rozwojem i wychowaniem dzieci, relacją rodzic–dziecko i edukacją**



eprasa.pl ed047e9ca2

# Czułość to nowy *punk*

Na scenie grałam często postacie, które były od swoich uczuć odcięte, przez co ja również się taka stawałam. Myślę, że to także największy lęk Nory: konfrontacja z własnymi emocjami.

Z **RENATE REINSVE**, ODTWÓRCZYNIĄ ROLI NORY W „WARTOŚCI SENTYMENTALNEJ", ROZMAWIA **DARIA SIENKIEWICZ**

**Jakie to uczucie wrócić na plan z Joachimem Trierem po ogromnym sukcesie „Najgorszego człowieka na świecie"? To już trzeci film Joachima, w którym grasz.**

– Praca z Joachimem była dla mnie trochę jak powrót do domu. Nie ma drugiego takiego reżysera jak on. Myślę, że najlepiej oddają to słowa, które powiedział na konferencji prasowej na festiwalu filmowym w Cannes: „czułość to nowy punk" [„tenderness is the new punk"]. Joachim ma niesamowitą intuicję, a także dużo spokoju i psychologicznego wyczucia. Jest bardzo mądry, wystarczająco mądry, by wiedzieć, że są w życiu rzeczy, których nie da się w pełni zrozumieć ani ująć słowami. W swoich filmach eksploruje międzyludzkie relacje, ale niekoniecznie szuka konkretnych odpowiedzi – od celu ważniejsza jest sama droga. To też kolejny scenariusz, który napisał wraz z Eskilem Vogtem. Razem tworzą duet, który interesuje ludzkie doświadczenie w najbardziej uniwersalnym sensie. Niezwykle zależy im również na wkładzie twórczym aktorek. Wprost mówią, że potrzebują kobiecej perspektywy i doświadczenia. Mam więc poczucie, że naprawdę mnie słuchają.

**Wielu widzów ujmuje ich wrażliwość. Widzą na ekranie Julie z „Najgorszego człowieka na świecie" czy Norę z „Wartości sentymentalnej" i widzą siebie. Czy ta uważność na drugiego człowieka obecna jest także na planie?**

– Tak, Joachim tworzy wyjątkowy kolektyw. Nie przesadzę, mówiąc, że praca z nim przypomina robienie filmu w gronie przyjaciół, a sam proces jest niezwykle dynamiczny i jednocześnie szalenie intymny. Jako aktorka dostaję od niego przestrzeń, by sięgać bardzo głęboko w swoje wnętrze – zarówno do rzeczy i cech, które od dawna chciałam w sobie zbadać, jak i do takich, których w sobie naprawdę nie lubię, ale czuję, że muszę je wyciągnąć na wierzch, bo mogą okazać się wartościowe dla granej postaci. Wiele z tych momentów wzajemnego zrozumienia rodzi się właśnie na planie. Joachim lubi być przez aktorów zaskakiwany, jest też niezwykle wrażliwym twórcą. Stwarza obsadzie bezpieczne warunki, by mogła się emocjonalnie obnażyć. To niezwykle cenne w tej branży i myślę, że bez wrażliwości nie da się kręcić filmów ani naprawdę zrozumieć drugiego człowieka.

**Twoja bohaterka, Nora, jest aktorką. Tuż przed wyjściem na scenę zżera ją trema, dostaje ataku paniki i niemal ucieka z teatru. Czy spotkało cię kiedykolwiek coś podobnego?**

– Na pewno nie w takim stopniu (śmiech). Kiedy byłam młodsza, bałam się wchodzić w swoje, jak i cudze emocje. Na sce-

FOT. M2 FILMS



eprasa.pl ed047e9ca2

FOT. TAYLOR HILL/FILMMAGIC/GETTY IMAGES

nie grałam często postacie, które były od swoich uczuć odcięte, przez co ja również się taka stawałam. Myślę, że to także największy lęk Nory: konfrontacja z własnymi emocjami. Nieustannie próbuje przed nimi uciec. Praca z Joachimem i kilkoma innymi reżyserami teatralnymi nauczyła mnie burzenia murów, zrzucania tych wszystkich warstw ochronnych, a także wyzbycia się próżności. Gdy pozbywasz się potrzeby poklasku, twoje ego czy wewnętrzne „ja" zostaje zredukowane do czegoś bardzo czystego i surowego. To znacznie bardziej przerażający proces niż budowanie postaci zupełnie do siebie niepodobnej i odległej, ale dzięki Joachimowi wiem już, jak to robić. Dziś, jeśli coś mnie zawstydza, złości albo przeraża, staram się przekuć to w coś pożytecznego. Myślę sobie wtedy, że jest to prawdziwe, zwłaszcza w kontekście Nory, która ciągle się przed swoimi emocjami ukrywa.

**A czy masz jakieś rytuały przed wejściem na scenę lub plan?**
– Nie, wierzę w czysty chaos i spontaniczność (śmiech). Jedynym moim rytuałem może być totalny brak kontroli.

**Czy dostrzegasz jakieś podobieństwa w Norze i Julie z „Najgorszego człowieka na świecie"? Mam wrażenie, że obie są niesamowicie pogubione w życiu.**
– Trudne pytanie! Praca nad tymi postaciami wymagała ode mnie konfrontacji z różnymi wersjami mnie, a także stanowiła mieszankę tego, co wspólnymi siłami wymyślili i napisali Joachim oraz Eskil. Kiedy gram daną rolę, dystansuję się od poprzednich, tracę poczucie tego, co jest różne, a co podobne. Tak miałam właśnie z Norą i Julie. Dopiero po wspólnym seansie „Wartości sentymentalnej" w Cannes dostrzegłam, że Nora niesie w sobie znacznie większy ciężar emocjonalny. Julie jest w swoim zagubieniu bardziej naiwna, porusza się po omacku, jeszcze nie zna konsekwencji swoich wyborów. Nora już z nimi żyje, szczególnie w kontekście pękniętych relacji rodzinnych. Obie mają jednak podobny mechanizm obronny: są bardzo towarzyskie i otwarte, a ich urok osobisty tworzy swoisty pancerz przed światem – daje namiastkę poczucia kontroli nad chaosem, który nazywamy życiem. Joachim napisał tę postać specjalnie dla mnie po tym, jak spędziliśmy ze sobą dużo czasu na trasie promocyjnej do „Najgorszego człowieka na świecie" w 2021 roku.

**RENATE REINSVE**

norweska aktorka filmowa i teatralna. Na ekranie zadebiutowała rolą w filmie „Oslo, 31 sierpnia" (2011) Joachima Triera. Za rolę w jego „Najgorszym człowieku na świecie" (2021) dostała nagrodę dla najlepszej aktorki na 74. MFF w Cannes. Za rolę w „Wartości sentymentalnej" odebrała nagrodę dla najlepszej aktorki na Europejskich Nagrodach Filmowych (EFA)

**Nora wszystko poświęciła pracy: nie ma życia uczuciowego, własnej rodziny, raczej nie nazwałaby się „sentymentalistką". Potrafisz się z tym utożsamić?**
– Szczerze? Nie bardzo. Bardzo potrzebuję w życiu czegoś prawdziwego i normalnego. Już zawiadomiłam mojego męża, że zaraz po tym, jak skończymy cały tour promocyjny, to jedziemy do lasu pod namiot. Potrzebuję ubrudzić sobie ręce ziemią, odłączyć się od świata i zająć się czymś zupełnie innym niż aktorstwem. Wszystkie relacje w moim życiu są dla mnie kluczowe, chcę je rozwijać i pielęgnować. Związki i przyjaźnie są oczywiście bardzo trudne – aby je utrzymać, trzeba wybaczać sobie różne słabości i goić rany, także te zadane nieumyślnie. Musisz być hojna wobec innych ludzi, gotowa na kompromisy, jak i na obronę swoich granic. Myślę, że ten film w dużej mierze opowiada właśnie o tym. Jest bardzo wyrozumiały wobec naszych wad, nie ocenia, lecz pomaga zrozumieć.

**A czy bywasz sentymentalna?**
– Zauważyłam, że nie nadaję sentymentalnej wartości konkretnym miejscom czy przedmiotom, a prędzej wartościom, którymi kieruję się w życiu. Lubię zbierać rzeczy, ale też często je gubię. Zawsze proszę ludzi, którzy mnie czymś obdarowali, żeby nie brali tego do siebie (śmiech). Dużo się przeprowadzałam, więc nie mam jednego miejsca, które nazywam „domem". Dla Nory i jej siostry utrata rodzinnego domu to ogromna strata, dla mnie wspomnienia zawsze były i będą rozproszone po wielu krajach i miejscach. Myślę, więc, że jestem jednocześnie sentymentalna i cyniczna, emocjonalna, ale też bardzo praktyczna. W aktorstwie staram się łączyć analityczność z intuicją i otwartością na emocje.

**Czy praca nad tym filmem sprawiła, że zaczęłaś zastanawiać się nad swoją umiejętnością nawiązywania relacji z ludźmi?**
– Zdecydowanie! „Wartość sentymentalna" bardzo trafnie pokazuje, w jak różny sposób ludzie okazują sobie miłość, a także jak dzieciństwo i dorastanie w cieniu przekazywanych z pokolenia na pokolenie traum mogą mieć na to wpływ. Spojrzałam na moje przyjaźnie i związki z innej perspektywy, uświadomiłam sobie, w jakich relacjach i dlaczego czuję nadal pewną niewypowiedzianą złość czy żal. Film Joachima jest niezwykle czuły wobec tematu braku miłości ze strony rodzica. Dzięki postaci granej przez Stellana Skarsgårda – tak pełnej delikatności i emocjonalnej bezradności – łatwiej spojrzeć na niego jako nieobecnego ojca ze współczuciem i pewną wyrozumiałością.

**Jak układała się twoja współpraca ze Stellanem?**
– Bardzo naturalnie. Mieliśmy poczucie, że scenariusz skrywa w sobie coś bardzo autentycznego, a relacja Nory i Gustava jest nam dziwnie znajoma. Stellan jest niezwykle ciepłą i kochaną osobą, która zawsze dba o to, by inni czuli się na planie komfortowo. Myślę, że wcieliliśmy się w ojca i córkę w najbardziej złożony i zniuansowany sposób, w jaki się dało. Żałowaliśmy tylko, że mieliśmy razem zaledwie trzy-cztery sceny. Błagaliśmy Joachima, aby nam jeszcze kilka dopisał (śmiech).

**W filmie postać grana przez Elle Fanning to amerykańska aktorka marząca o angażu w Europie. A czy ty marzyłaś o Hollywood? Masz już na koncie chociażby serial produkcji Apple TV+, „Uznany za niewinnego", czy rolę u Aarona Schimberga w „A Different Man".**
– Gdy byłam w szkole teatralnej, moim marzeniem było grać we francuskich fil-



eprasa.pl ed047e9ca2

mach, a także pracować w Stanach Zjednoczonych. O dziwo, to drugie już mi się udało, ale na francuski angaż nadal czekam (śmiech). Uwielbiam Céline Sciammę, Mię Hansen-Løve, Julię Ducournau czy Jacques'a Audiarda i mam nadzieję, że przyjdzie mi kiedyś pracować, z którymś z nich. Julię minęłam tu na festiwalu, ale nie udało mi się do niej zagadać. Może jeszcze nadarzy się okazja!

**Czy w takim razie norweskie kino wciąż ci wystarcza?**
– We Francji sztuka filmowa od dekad była obdarzana znacznie większym szacunkiem, zarówno ze strony widzów, branży, jak i polityków. W Norwegii długo nam tego brakowało. Przez wiele lat funkcjonowaliśmy w cieniu Danii i Szwecji, także jeśli chodzi o rozwój kinematografii. Dziś jednak na naszych oczach rodzi się zupełnie nowa era. Coś wyraźnie zaczyna się zmieniać – powstają znacznie bardziej osobiste filmy, pojawia się dużo nowych nazwisk. Przykładem może być „Armand" w reż. Halftana Ullmana Tøndela – film o ogromnej sile i intensywności, choć nie „czuły" w tym samym sensie co „Wartość sentymentalna". Choć Joachim, Halftan i jeszcze paru innych twórców reprezentują różne głosy, w Oslo czuć dziś silną artystyczną wspólnotowość. Norwegowie coraz mocniej koncentrują się na kinie i to jest niezwykle ekscytujące. Mam poczucie, że w kraju wciąż czeka mnie wiele ważnych projektów. Kiedy byłam w szkole teatralnej, Joachim był właściwie jedynym reżyserem, z którym naprawdę chciało się pracować. Wielu innych świetnych twórców nie dostawało nawet wtedy finansowania. Na szczęście teraz to się zmienia.

**Pięć lat temu zdobyłaś nagrodę w Cannes. Jak myślisz, na ile zmieniła ona twoje życie i bieg kariery?**
– Może zacznę od początku: dorastałam w małym norweskim mieście, w którym życie raczej nie koncentrowało się na sztuce. Odkrywałam siebie i swoją artystyczną wrażliwość pomalutku, mając wrażenie, że moja rodzina raczej nie jest nią zainteresowana. Czułam się samotna i niezrozumiana, zwłaszcza że moi przyjaciele słuchali Backstreet Boys, a ja Pink Floydów (śmiech). Musiałam więc ukrywać to, jaka jestem. Gdy przeprowadziłam się do dużego miasta, poznałam ludzi znacznie bardziej podobnych do mnie, choć nadal byłam jedną z nielicznych osób, które naprawdę wiedziały, kim chcą zostać w przyszłości, i cały czas do tego dążyły. Szlifowanie swojego warsztatu, dochodzenie do biegłości w czymkolwiek, wiąże się często z życiem w pojedynkę. Oczywiście ten zawód jest bardzo zespołowy, ale nauka i poszukiwanie własnej drogi twórczej to doświadczenie w gruncie rzeczy samotne. Dlatego nagroda, którą otrzymałam tu, w Cannes, była dla mnie tak wielkim zaszczytem. Jest tu naprawdę sporo filmowych „nerdów" takich jak ja. Zaproszenie mnie do tego świata i docenienie pracy, którą wykonuję, dało mi solidnego kopa pewności siebie, by dalej tworzyć w sposób, który jest dla mnie prawdziwy. Nagroda całkowicie zredefiniowała także moje możliwości zawodowe – stałam się widoczna dla międzynarodowego środowiska filmowego. Odpowiadając na pytanie: zmieniło się więc wszystko, zarówno we mnie, jak i wokół mnie. ▲

OGŁOSZENIE

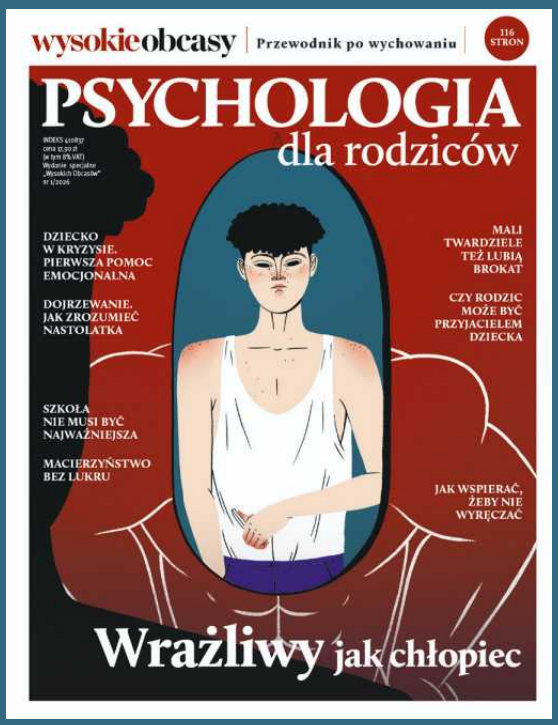


W sprzedaży!

TEMAT NUMERU:

**WRAŻLIWY JAK CHŁOPIEC**

**oraz:**

- **Jak pomóc dziecku w kryzysie**
- **Dojrzewanie. Jak zrozumieć nastolatka**
- **Szkoła nie musi być najważniejsza**
- **Rodzic przyjacielem**

żyć lepiej
psychologia codziennie

Więcej o psychologii czytaj na **wysokieobcasy.pl/zyclepiej**

eprasa.pl ed047e9ca2

FOT. ©BARRY CRONIN, MATERIAŁY PRASOWE

KSIĄŻKA

# Dlaczego po prostu nie odejdziesz?

Zdaleka wyglądają pięknie. Gdy patrzymy na nich, jak siedzą na plaży w Skierries, w Irlandii, jak kąpią się w morzu – mąż, żona, dwie córki – nigdy nie pomyślelibyśmy, że coś jest nie tak. Sama Ciara, główna bohaterka tej opowieści, myśli, że z daleka wyglądają na „szczęśliwą rodzinę", a ona na kobietę, która ma wszystko, o czym marzyła: piękny dom, dwie śliczne córeczki z kucykami i przystojnego, wiernego męża, za którym kobiety oglądają się ukradkiem. Dopiero gdy podejdziemy blisko, gdy usłyszymy, jak mąż zwraca się do niej, zrozumiemy, dlaczego Ciara jest nieszczęśliwa. Dopiero gdy zobaczymy pogardę, gniew, poniżenie, którego doświadcza na co dzień; dopiero gdy znajdziemy się z nimi w nocy, w sypiali, gdzie bierze żonę wbrew jej oporowi, zrozumiemy, dlaczego Ciara się go boi. I będziemy jej kibicować, gdy pewnego dnia spakuje w pośpiechu rzeczy dziewczynek i swoje, i wyjdzie z domu z postanowieniem, by tam nigdy więcej nie wrócić.

Irlandzka pisarka Roisin O'Donnell w posłowiu do swojej powieści „Gniazdo" pisze, że wyrosła ona ze zlecenia na trzy tysiące słów na temat niezależności, które zleciło jej RTE Radio One. Aby pokazać wybijanie się na niezależność swojej bohaterki, zapoznała się już na wstępie z badaniami dr Melanie Nowicki, autorki artykułu o hotelizacji kryzysu mieszkaniowego w Irlandii. Bohaterka „Gniazda" po nocy spędzonej w samochodzie zgłasza się do organizacji pomagającej kobietom, które uciekły z domu i nie mają się gdzie schronić, i z braku dostępnych mieszkań zostaje zakwaterowana w hotelu Eden, którego jedno piętro zostało przeznaczone na schronisko. Ma wielkie szczęście, bo kolejka do takiego pokoju jest długa. Tam pozna więcej kobiet w podobnej sytuacji.

O'Donnell bardzo dobrze pokazuje, jak trudno wyrwać się z przemocowego związku. Jej książka jest odpowiedzią na często zadawane pytanie: „Dlaczego po prostu nie odejdziesz?". Już na początku dowiadujemy się, że to nie jest pierwszy raz, kiedy Ciara próbuje odejść. I być może nie będzie ostatni, bo jak ma sobie poradzić samotna matka z dziećmi, bez pracy, bez mieszkania?

„Gniazdo" świetnie też pokazuje mechanizmy manipulacji, którym poddawana jest główna bohaterka – jej mąż na zmianę sączy truciznę i zapewnia o wielkiej miłości. Wielokrotnie powie jej, że to ona go krzywdzi. O'Donnell pokazuje, jak straszna jest przemoc psychiczna, ekonomiczna, seksualna – jaki strach wywołuje. Droga do wolności i niezależności Ciary nie jest prosta. Znalezienie pracy i domu to tylko kilka elementów układania życia na nowo. Najtrudniejsze jest rozerwanie więzów z człowiekiem, który ją trzyma emocjonalnie na uwięzi.

Roisin O'Donnell dedykuje swoją poruszającą powieść wszystkim osobom śpiącym dziś w schroniskach, ośrodkach dla rodzin, hotelach, hotelach w Irlandii, a zwłaszcza dzieciom. Dzieciom, które matki postanowiły wyrwać z przemocy i heroicznym wysiłkiem próbują im stworzyć dom w miejscach, które domu nie przypominają. ▲ **(Paulina Reiter)**

**ROISIN O'DONNELL**
**„Gniazdo", przekład Małgorzata Stefaniuk, wyd. Albatros**



eprasa.pl ed047e9ca2

FILM

## Kinkowe wzgórza

„Wichrowe wzgórza" to trzeci pełnometrażowy film wyreżyserowany przez Emerald Fennell po „Obiecującej. Młodej. Kobiecie" i „Saltburn". Oba były zresztą produkowane przez należącą m.in. do Margot Robbie firmę LuckyChap Entertainment i oba zajęły dużo miejsca w publicznej debacie – pierwszy ze względu na to, że mierzył się z tematem systemowego przyzwolenia na przemoc seksualną wobec kobiet, drugi – punktował klasową hipokryzję, ale też miał kilka scen z erotycznym podtekstem, które zszokowały część publiczności. Także o najnowszym filmie brytyjskiej reżyserki zaczęto rozmawiać na długo przed jego premierą. Pierwsze komentarze dotyczyły już obsady. Fani powieści byli oburzeni obsadzeniem w roli Heathcliffa białego Australijczyka Jacoba Elordiego, bo Brontë wyraźnie napisała przecież o swoim bohaterze: „a dark-skinned gypsy", czyli „Cygan o ciemnej skórze". Do gustu krytykom nie przypadła też blondwłosa, 35-letnia Margot Robbie w roli Cathy, skoro według pisarki miała być nastolatką o ciemnych włosach. Oliwy do ognia dolał zwiastun, z którego wynikało, że realia epoki – od strojów po scenografię – są potraktowane albo umownie, albo zupełnie zignorowane na rzecz przesadzonej estetyki balansującej na granicy kiczu i kinku. No i jeszcze ten napis: „Zainspirowane największą historią miłosną wszech czasów", a książka to przecież gotycka opowieść o obsesji, pożądaniu, tragedii i destrukcyjnej sile, która, nawet jeśli jest miłością to toksyczną.

Reżyserka jeszcze w ubiegłym roku, podczas festiwalu Brontë Women's Writing w Haworth w Zachodnim Yorkshire, tłumaczyła, że powieść Brontë ją „rozdarła" już kiedy czytała ją po raz pierwszy jako 14-latka i właśnie tamte emocje chciała przenieść na duży ekran. „Nie mogę powiedzieć, że kręcę »Wichrowe wzgórza«, to niemożliwe. Mogę natomiast powiedzieć, że robię ich wersję" – mówiła.

Jaka wersja „Wichrowych wzgórz" utkwiła w pamięci Emerald Fennell? Brytyjka skupiła się na dwójce głównych bohaterów, do maksimum obcinając postacie drugoplanowe. Pomysł w teorii wydaje się dobry – można więcej czasu poświęcić Cathy i Heathcliffowi i stworzyć pełnokrwistych, wielowymiarowych bohaterów. Reżyserce się to jednak nie udaje. Postacie są niestety płytkie jak kałuża, ich emocjonalna głębia nie sięga dalej niż naskórek. Kiedy Cathy twierdzi, że Heathcliff jest dziki i brutalny, nie brzmi to w ogóle przekonująco. Trudno zrozumieć, dlaczego miałby być ogarnięty żądzą zemsty, a jego potrzeba mszczenia się na niewinnej Isabelli Linton, granej przez znaną m.in. z „Saltburn" czy „Rozmów z przyjaciółmi" Alison Oliver, wydaje się przesadzona. Takich płycizn jest w filmie zresztą więcej, niełatwo przez to o jakąkolwiek więź z bohaterami, a co za tym idzie, o wzruszenie, kiedy Cathy umiera.

Film jest niespójny. Pierwsza połowa to czytelna zabawa Fennell z konwencją, teatralna przesada i kicz. Reżyserka puszcza oko do widza, na przykład wizualnym nawiązaniem do „Przeminęło z wiatrem". Nie brakuje też czarnego humoru. Kiedy jednak weszło się już w tę nieco pastiszową stylistykę, trudno z niej wyjść i empatyzować z bohaterami.

Doceniam natomiast fantazję Emerald Fennell, jeśli chodzi o erotyczne podteksty – rozbite jajka, wyrabiane ciasto czy pełznący po szybie ślimak.

Warto przy okazji wspomnieć o kostiumach i scenografii. Podobno Fennell przygotowała opasłe tomiszcze z wizualnymi inspiracjami strojów, które chciała wykorzystać w filmie. Znalazły się tam kadry z „Przeminęło z wiatrem", „Romea i Julii" (wersji Baza Luhrmanna z 1996 r.), „Księżniczki w oślej skórze" z 1970 r. z Catherine Deneuve czy „Na pokuszenie" Sofii Coppoli z 2017 r. Ekstrawaganckie stroje, które nie grzeszą wiernością epoce, ale skutecznie budują nastrój „Wichrowych wzgórz", zaprojektowała Jacqueline Durran.

Jasno brzmi ścieżka dźwiękowa Charli xcx, Brytyjki, która po wielkim sukcesie swojego albumu „Brat" wciąż jest najgorętszym nazwiskiem w branży muzycznej.

„Wichrowe wzgórza" Emerald Fennell giną na ołtarzu wielkości i znaczenia powieści Emily Brontë, która zresztą w czasach współczesnych autorce też nie została dobrze przyjęta. Odbiegała od wiktoriańskich kanonów, oburzała i szokowała.

Być może łatwiej byłoby wybaczyć reżyserce filmowe płycizny i instagramowe efekciarstwo, gdyby nie odwołanie do oryginału.

Jestem jednak pewna, że „Wichrowe wzgórza" Fennell znajdą wiernych fanów, a za kilka lat staną się jednym z tych nieoczywistych filmów, w których koneserzy wciąż odkrywają ukryte znaczenia.

W końcu to nie jest bardzo zła rozrywka, to po prostu bardzo złe „Wichrowe wzgórza". ▲ **(Joanna Wróżyńska)**

**„WICHROWE WZGÓRZA"**
**Emerald Fennell, w kinach**

ARKADIUSZ GRUSZCZYŃSKI POLECA WIERSZ

## Fuzja

*Plastikowy smak klocków lego*
*gładki ząbkowany sześcienny*
*haptyczny jak pieczone jabłka z cynamonem*

*Zapach zapada się w zakamarki pamięci głębokiej*
*efekcie magdalenki spraw*
*niech dom będzie czasownikiem*

**NATALIA ROGUŚ - poetka, związana z Łodzią. Wiersz pochodzi z tomu „Gdzie rzeki płyną pod ziemią" (wyd. Austeria)**

MAŁGORZATA HALBER RYSUJE

FOT. MATERIAŁY PRASOWE



eprasa.pl ed047e9ca2

# W pułapce *perfekcji*

## Rzeczywistość jest dla perfekcjonistów źródłem stresu. Trudno im funkcjonować w nieidealnych warunkach, a takie właśnie panują w życiu

Z DR. HAB. **KONRADEM PIOTROWSKIM,** PSYCHOLOGIEM ROZWOJU, ROZMAWIA **PATRYCJA PUSTKOWIAK**
RYSUNEK **ANIA GOSZCZYŃSKA**

**Nienawidzę, gdy nie jestem w czymś najlepszy". Chyba w najprostszym skojarzeniu łączymy perfekcjonizm z osobami, którym bliskie są takie myśli. Jednak perfekcjonizm tak naprawdę jest czymś dużo bardziej skomplikowanym.**

– Zdecydowanie. Perfekcjonizm jest cechą osobowości, czyli charakterystycznym dla człowieka sposobem zachowania w kontakcie z bodźcami płynącymi ze świata. Każdy z nas jest zbiorowiskiem różnych cech, które powodują, że jesteśmy tym, kim jesteśmy. Perfekcjonizm jest jedną z nich.

**Na czym więc dokładnie polega?**

– Perfekcjonizm to złożona cecha. Ma przejawy patologiczne i zdrowe. To, w jakim kierunku będzie nas popychał, zależy od wielu czynników, w tym tego, jak on u nas wygląda. Najważniejszym przejawem perfekcjonizmu jest posiadanie wysokich oczekiwań względem siebie i poziomu wykonania zadań, jakie przed nami stoją. Od tego perfekcjonista uzależnia to, co o sobie myśli.

Dla osób niestabilnych emocjonalnie, nadpobudliwych, wysoka poprzeczka bywa źródłem lęku, co po latach zaczyna zbierać żniwo choćby w postaci depresji. Ale są też takie osoby, które mając wysokie oczekiwania i dążąc do perfekcyjnego wykonania zadań, pozostają stabilne emocjonalnie. Im łatwiej przychodzi akceptowanie niedociągnięć.

W tym kontekście mówi się o podziale na zdrowych i neurotycznych perfekcjonistów. To, do której grupy będziemy się zaliczać, zależy od tego, czy naszym dążeniom towarzyszą duże obawy, czy też nie.

**Jak perfekcjonizm wpływa na relacje z ludźmi?**

– Nienajlepiej. Perfekcjoniści unikają relacji społecznych, spychają je na margines. Uznają czas spędzony z innymi za stracony, bo można było wtedy wykonywać jakieś zadania. Ich realizowanie jest ważniejsze niż relacje. Poza tym dla perfekcjonistów ludzie często są rywalami, nie myślą oni o innych w kategoriach współpracy, lecz konkurencji.

**To chyba nienajlepszy fundament do tworzenia związków. Perfekcjoniści potrafią się w nich odnaleźć?**

– Mają w nich pod górkę. Wszystko zależy od tego, czy bliżej im do tego zdrowego perfekcjonizmu, czy neurotycznego. Ci pierwsi chcą, by partner dawał im dużo, ale mają też margines tolerancji, elastyczności. Ci neurotyczni, jak pokazują badania, są mniej zadowoleni ze swoich relacji. Częściej chcą się rozstać i rozejrzeć za kimś, kto bardziej spełniałby ich oczekiwania. Popadają w konflikty z partnerami, wymagają od nich porządku, punktualności, tego, żeby wszystko było przygotowane na czas. Perfekcjonizm jest przyczyną stresu i napięć, skutkuje często popadaniem w izolację, wrogością, rozpadaniem się związków. Do wyjaśnienia tego, jak perfekcjoniści odnajdują się w związkach, przydatne mogą być też odkrycia psychologa klinicznego Paula Hewitta.

> *Zachęca się perfekcjonistów,* by przeszli przez niedoskonałą sytuację, na przykład poszli na egzamin bez żadnego przygotowania

**Co ustalił?**

– Dokonał podziału na perfekcjonizm zorientowany na siebie i ten ukierunkowany społecznie. To, czym jest ten zwrócony ku sobie, dobrze ujmują słowa niemieckiej psychoanalityczki Karen Horney: „Perfekcjonista ponad swoje prawdziwe Ja stawia swój idealny obraz i nieświadomie mówi sam do siebie: Zapomnij o haniebnej istocie, jaką naprawdę jesteś, ten idealny obraz jest teraz jedynym, co ma się dla Ciebie liczyć".

Ten ukierunkowany na innych zaś oznacza perfekcjonistyczne oczekiwania względem innych ludzi. Bywa ona nazywany narcystycznym perfekcjonizmem. Takie osoby mają pozytywny obraz siebie, uważają, że zasługują na odpowiednie traktowanie, a zarazem nie akceptują porażek, potknięć u innych. I od nich oczekują perfekcji. Mówią partnerowi: „No, nie podołałeś. Chyba muszę sam się za to zabrać". Nie tolerują spóźnień itp.

**Perfekcjonizm wydaje się mieć sporo wspólnego z narcyzmem.**

– Rzeczywiście. Osoby narcystyczne często są perfekcjonistami, ale nie wszyscy perfekcjoniści są narcystyczni. Zachowania perfekcjonistyczne stanowią dla osób narcystycznych mechanizm radzenia sobie z rzeczywistością. Pozwalają im utrzymywać swój wypracowany w kontrze do niskiego poczucia własnej wartości pozytywny wizerunek, przekonanie, że zasługują na więcej i powinni być specjalnie traktowani. Wymagają maksimum i dzięki temu sprawiają, że rzeczywistość pasuje do ich oczekiwań. I osoby narcystyczne, i perfekcjonistyczne są nastawione na cele i osiągnięcia. One są dla nich ważniejsze niż relacje z ludźmi. To celom podporządkowują wiele innych decyzji.



eprasa.pl ed047e9ca2

eprasa.pl ed047e9ca2

**Na przykład to, by zostać w pracy do nocy, bo precyzyjne wykonanie zadania jest ważniejsze niż wieczór z rodziną?**
– Niestety tak. Perfekcjoniści często zostają w pracy do późna, nie odbierają telefonu. Mają trudności z zakończeniem pracy, bo to wiąże się z lękiem, wzrostem agresywnych zachowań. Ciągle mają wrażenie, że mogą coś jeszcze poprawić, skorygować. W efekcie grozi im wypalenie zawodowe.

**Choćbyśmy nie wiem jak chcieli zmusić rzeczywistość do współpracy, ona będzie nam się wymykać. Rzeczywistość jest raczej nieperfekcyjna. Zderzenie z nią musi być dla perfekcjonistów ciężkie.**
– Oczywiście. Rzeczywistość jest dla nich źródłem stresu. Każde powinięcie się nogi oznacza niespełnienie oczekiwań i porażkę. Wśród perfekcjonistycznych obaw góruje lęk przed oceną innych, przed tym, że jeśli nie zrealizujemy naszego planu w stu procentach, wszystko runie. Perfekcjoniści pogrążają się we wstydzie i krytycyzmie. Mają trudności z tym, by się odnaleźć w miejscach, w których jest kiepska organizacja, panuje chaos, nie wiadomo, co nastąpi za chwilę. Perfekcjonista będzie się wtedy złościł, odczuwał napięcie, mówił, że jest przyzwyczajony do czegoś innego itp. Trudno perfekcjonistom funkcjonować w nieidealnych warunkach, a takie właśnie panują w życiu. Dlatego trapi ich bezsenność, popadają w nałogi, depresję.

**Jak to się w zasadzie dzieje, że niektórzy z nas stają się perfekcjonistami?**
– Nie jest to cecha wrodzona, jak inteligencja czy zapotrzebowanie na stymulację, które powoduje, że jedni potrzebują większej liczby bodźców, a inni wolą wieść spokojne, domowe życie; perfekcjonizmu uczymy się raczej w kontakcie ze światem, choć i genetyka ma tu pewne znaczenie. Odpowiada za pewne cechy, które zwiększają prawdopodobieństwo tego, że zostaniemy perfekcjonistami.

**Które to cechy?**
– Choćby sumienność, czyli to, jak podchodzimy do stawianych przed nami zadań. Osobom sumiennym zależy, by porządnie wywiązywać się z nich w czasie, po drugiej zaś stronie są jednostki chaotyczne, nieprzewidywalne, które nie mają takiego poczucia obowiązku. Sumienność to solidny fundament dla perfekcjonizmu. Podobnie jest z małą stabilnością emo-

Perfekcjonizmu uczymy się raczej w kontakcie ze światem, *choć pewne znaczenie ma i genetyka*

cjonalną, nazywaną także neurotycznością. Przejawia się ona wysokiej pobudliwości naszego układu nerwowego, co subiektywnie odbieramy jako lęk, niepokój. Osoba o wysokim poziomie neurotyczności jest bardziej predysponowana do zostania perfekcjonistą. Najważniejszy jednak jest wpływ, jaki ma na nas rodzina.

**Dzieci perfekcjonistów zostają perfekcjonistami?**
– Od wielu lat wiemy, że perfekcjonizm należy do cech przekazywanych z jednej generacji do drugiej. Jeśli rodzice mają tendencję do tego, by stawiać dziecku duże wymagania, wysoko zawieszają poprzeczkę, to ono wie, że aby ich usatysfakcjonować, nie może być przeciętniakiem. Jeśli zajmie trzecie miejsce w jakimś konkursie, to nie jest sukces. Słyszy wtedy komunikat: „No, w porządku, ale może za rok uda się jeszcze lepiej?". Jeśli ktoś do tego ma skłonność do lęku, niepokoju i wysokiej wrażliwości na akceptację społeczną, to z dużym prawdopodobieństwem wyrośnie z niego perfekcjonista. Ktoś, kto będzie wiedział, że jeśli się nie udało w stu procentach, to jest to porażka.

**Wydaje się, że poza rodziną podobny wpływ na nas może mieć presja społeczno-kulturowa na osiągnięcia i na to, żeby „się działo". Czy ona także wzmaga nasze perfekcjonistyczne tendencje?**
–Bardzo. W zachodnich, rozwiniętych społeczeństwach z dekady na dekadę stajemy się coraz bardziej perfekcjonistyczni. Wciąż więcej oczekujemy od samych siebie i od innych, a zarazem mamy przekonanie, że i oni coraz więcej od nas oczekują. Taka tendencja narasta od lat 80., a można ją wyjaśniać zwiększającą się rywalizacją na wielu polach: edukacyjnym, zawodowym czy wizerunkowym na platformach społecznościowych. Mało kto dziś zgadza się na przeciętne życie, wszyscy chcemy, by było bogate w doświadczenia i doznania, barwne, intensywne. Podobne oczekiwania mamy wobec swoich dzieci. Rodzice nie mówią dziś: „To obojętne, czy moje dziecko zda maturę, czy będzie znać obcy język, czy nie". Raczej od samego początku myślą o zwiększaniu szans dzieci na sukces w przyszłości, popychając je do zdobywania ważnych kompetencji. Niestety, niektórzy potrafią z tym przesadzić.

**A różne instytucje, splecione z naszym życiem, w tym ta najważniejsza: szkoła, to także wylęgarnie perfekcjonizmu?**
– One również nie akceptują naszych niedociągnięć. Szkoła konfrontuje sześcio- czy siedmioletnie dzieci z tym, że to, co robią, jest oceniane na jakiejś skali. Co ciekawe, badania pokazały też, że im większym perfekcjonistą jest nauczyciel rozpoczynający kształcenie w danej klasie, tym większy będzie wzrost perfekcjonizmu wśród jego uczniów. To dlatego, że taki nauczyciel będzie miał bardzo wysokie oczekiwania wobec uczniów albo wobec siebie i będzie żył w obawie, że okaże się „niewystarczająco dobry". Szkoła jest doskonałym laboratorium perfekcjonizmu, bo oceny, hierarchizowanie, nagrody, czerwone paski sprawiają, że człowiek się uczy, jak to jest, gdy trzeba sprostać wysokim wymaganiom.

**Mówimy o współczesności, ale perfekcjonizm nie jest nowym zjawiskiem. Jak zmieniało się do niego podejście w czasie?**
– On zaczął być przedmiotem zainteresowania psychologów i psychiatrów w kontekście zdrowia psychicznego już kilkadziesiąt lat temu, bo zaobserwowano, że idzie w parze z zaburzeniami nerwicowymi i zaburzeniami osobowości. Pacjenci,



eprasa.pl ed047e9ca2

którzy się z nimi zmagali, mieli nadmiernie duże oczekiwania wobec siebie. Dziś mówi się o nim jako o cesze transdiagnostycznej, obecnej w różnych zaburzeniach. Wiadomo, że może się łączyć z depresją, anoreksją czy bulimią, problemami z bezsennością i uzależnieniami, mieć wpływ na życie seksualne. Ale, jak już mówiłem, z czasem perfekcjonizm nieco zrehabilitowano. Dostrzeżono, że perfekcjoniści to też osoby, które osiągają sukcesy i są zadowolone z życia.

**Czyli cała sztuka w tym, by ustawić w sobie odpowiedni poziom perfekcjonizmu, tak, by świetnie wywiązywać się z zadań i odnosić sukcesy, a jednocześnie mieć dobre relacje z ludźmi i być szczęśliwym. Tylko jak to zrobić?**

– To trudne, ale możliwe. Perfekcjonista musi się uczyć akceptować siebie i życie, które jest niedoskonałe. Być bardziej ludzkim. Przystosować się do rzeczywistości, która nie jest perfekcyjna. Zawsze coś w niej pójdzie nie tak. Zarazem nie musi rezygnować z wielkich marzeń, nadal może próbować wynaleźć lek na raka.

**DR HAB. KONRAD PIOTROWSKI**

prof. Uniwersytetu SWPS – psycholog, kierownik Centrum Badań nad Rozwojem Osobowości. Jego badania koncentrują się wokół rozwoju tożsamości rodzicielskiej i wypalenia rodzicielskiego. Kieruje pracami międzynarodowego zespołu Parenthood Regret Research Network (PRRN) – międzynarodowej grupy badawczej skupionej na analizie zjawiska żałowania decyzji o posiadaniu dzieci.

**Jak dojść do takiej postawy?**

– Sporo zależy od tego, jak wiele cierpienia doświadcza człowiek z powodu swojego perfekcjonizmu. W lżejszych przypadkach nawet narzędzia samopomocowe mogą być wystarczające. Ale w sytuacji, gdy perfekcjonizm jest powiązany z obecnym u pacjenta zaburzeniem psychicznym, konieczna może być psycho- albo farmakoterapia.

Co ważne, coraz rzadziej zaleca się pracę terapeutyczną nastawioną na obniżenie standardów pacjenta, lecz raczej to, aby wesprzeć go w nauce radzenia sobie ze skutkami porażki. Powinien rozumieć, że to, do czego się dąży, jest niezwykle trudne i po drodze zdarzy się wiele problemów, trudności, po których trzeba będzie się podnieść. Pracuje się nad tym, by sobie z tym radzić.

Zachęca się perfekcjonistów, by przeszli przez niedoskonałą sytuację, na przykład poszli na egzamin bez żadnego przygotowania. Oblali, dostali kiepską ocenę. I zobaczyli, że świat się nie zawalił, że do egzaminu można podejść ponownie, poprawić stopień. Inni nie odrzucą nas z tego powodu, a nawet nie będą mieć pretensji. Trzeba zaakceptować to, że jeśli dużo wymagamy od siebie, to zawsze coś pójdzie nie po naszej myśli i trzeba sobie z tym poradzić. Tylko ten, kto nic nie robi, nie popełnia żadnych błędów. ▲

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

OGŁOSZENIE

# Gdzie sikać, wysoka *izbo?*

Sprawę damskich i męskich toalet badają nie tylko genderystki, ale też urbaniści i socjologowie. I wszelkie dane pokazują, że w tej sferze kobiety są pokrzywdzone.

eprasa.pl ed047e9ca2

TEKST **NATALIA WALOCH**

O Sanae Takaichi, pierwszej kobiecie na stanowisku premiera Japonii, można powiedzieć bardzo dużo, ale nie to, że jest feministką. Choć sama skorzystała na zdobyczach sufrażystek, kształcąc się, a w czasie studiów grając z upodobaniem na perkusji i jeżdżąc na motocyklu, Takaichi jest w swoich poglądach skrajnie konserwatywna. Nieoczekiwanie jednak szefowa japońskiego rządu wzięła na tapet jedną z bardziej kontrowersyjnych feministycznych spraw. Chodzi o dostęp do toalet.

Jak czytamy, Sanae Takaichi jest w gronie kilkudziesięciu kobiet, które domagają się zwiększenia liczby damskich toalet w budynku japońskiego parlamentu. Jesienią 2024 r. do Shūgi-in, czyli Izby Reprezentantów, dostała się rekordowa liczba 75 kobiet. Nowe parlamentarzystki pobiły tym samym rekord z 2009 r., gdy w izbie niższej znalazły się 54 kobiety. Dodajmy, że miejsc w Shūgi-in jest 465, co dobrze pokazuje, jak konserwatywnym państwem jest wciąż Japonia.

Posłanki, którym udało się pokonać bariery patriarchalnego społeczeństwa, szybko zorientowały się, że praca w parlamencie nie jest łatwa nie tylko z powodów merytorycznych, ale też biologicznych.

Jak podaje BBC, niektóre polityczki po prostu zrezygnowały z chodzenia do toalety, bo nie sposób się do niej dostać.

Japońskie media donoszą, że w budynku parlamentu jest 12 toalet męskich z 67 kabinami i pisuarami oraz 9 toalet damskich z zaledwie 22 kabinami. Na usprawiedliwienie należy dodać, że budynek, w którym mieści się Shūgi-in, wybudowano w 1936 r., czyli na dziewięć lat przed przyznaniem Japonkom prawa głosu. Pierwsze posłanki zasiadły w izbie niższej już rok później.

Pani Takaichi wydaje się niechętna współpracy z podobnymi sobie ambitnymi polityczkami, bo choć podczas kampanii wyborczej obiecywała, że jej gabinet będzie miał reprezentację kobiecą, jakiej nie powstydziłyby się państwa skandynawskie, finalnie z 19 tek tylko dwie powierzyła kobietom.

Sprawa toalet zyskała jednak jej zainteresowanie. Być może dlatego, że problem mają nie tylko parlamentarzystki. Widok kolejek do damskich toalet jest w Japonii powszechny, tak jak w zasadzie wszędzie na świecie.

## PO RÓWNO NIE ZNACZY SPRAWIEDLIWIE

Liczba miejsc, w których można załatwić sprawy fizjologiczne oraz potrzeby higieniczne, jest bowiem jedną ze wciąż niezałatwionych kwestii feministycznych.

Sprawę damskich i męskich toalet badają nie tylko genderystki, ale też urbaniści i socjologowie. I wszelkie dane pokazują, że w tej sferze kobiety są pokrzywdzone. W większości współczesnych regulacji, które opisują, jak powinny wyglądać łazienki w miejscach publicznych, na damskie i męskie toalety przewiduje się taką samą powierzchnię. Tyle że kwestia toalet jak mało która pokazuje, że nie zawsze po równo oznacza sprawiedliwie.

Powodów jest kilka. Zacznijmy od tych najprostszych: na takim samym metrażu mieści się mniej kabin niż pisuarów. Tam, gdzie znajdzie się miejsce na kabinę i pięć pisuarów, tam wejdą tylko trzy kabiny.

Ale Caroline Criado Perez w głośnej książce „Niewidzialne kobiety. Jak dane tworzą świat skrojony pod mężczyzn" przedstawia szereg merytorycznych argumentów, że nawet gdybyśmy dziś wszędzie mieli po równo ubikacji dla kobiet i mężczyzn, problem występowałby nadal. Powodów jest kilka.

> Kwestia toalet pokazuje, że nie zawsze *równo znaczy sprawiedliwie*

## CO ONE TAM ROBIĄ TAK DŁUGO?

Po pierwsze kobiety chodzą do toalety częściej niż mężczyźni. Wynika to z budowy anatomicznej (kobiety mają krótszą cewkę moczową), a także różnych problemów zdrowotnych. Otóż kobiety osiem razy częściej niż mężczyźni zapadają na infekcje układu moczowego, które łączą się z częstszymi wizytami w łazience. Podczas ciąży występuje u nich parcie na pęcherz, a po ciąży często pojemność pęcherza się zmniejsza – obie te rzeczy to automatycznie częstsze wizyty w toalecie, podobnie jak nietrzymanie moczu, będące przypadłością pociążową i starczą. Do tego dochodzi menstruacja, czyli konieczność zmieniania podpasek i tamponów niezależnie od oddawania moczu. Wreszcie kobiety częściej niż mężczyźni chodzą do toalety jako osoby wspierające osoby zależne, najczęściej dzieci oraz osoby starsze.

Pojedyncza wizyta w toalecie też jest dłuższa w przypadku kobiety i mężczyzny. Tu znów kłania się anatomia.

Kiedy mężczyzna przy pisuarze musi jedynie wyjąć penisa, kobieta w kabinie zdejmuje spodnie i majtki albo podnosi spódnicę, uważając, by nie wytrzeć nią deski ani nie zamoczyć jej w wodach sedesu.

Jesienią i zimą często podnosi się spódnicę, ściąga rajstopy. Wiele kobiet wyciera też deskę przed skorzystaniem z niej. W czasie menstruacji do tego dochodzi zmiana tamponu czy podpaski, wyrzucenie zużytych materiałów higienicznych, a następnie podciągnięcie majtek i rajstop oraz opuszczenie i rozprostowanie spódnicy. To wszystko składa się na efekt, który według Perez daje wynik 2,3 raza dłuższej wizyty kobiecej niż męskiej (badania z uniwersytetu w Gandawie mówią, że tam, gdzie mężczyznom wystarcza minuta, kobietom potrzeba półtorej). Dodajmy do tego, że kobiety stanowią też większość grup, które potrzebują w toalecie więcej czasu z powodu ograniczeń ruchowych, czyli osób starszych oraz z niepełnosprawnościami. Zatem nie: nie okupujemy toalet dlatego, że wszystkie poprawiamy makijaż i tapirujemy koki.

## JAK SIKANIE PRZESZKODZIŁO HILLARY CLINTON W DEBACIE

Każda kobieta, która bywa w teatrze, zna to uczucie niepewności, czy aby na pewno właśnie zaczyna się przerwa, bo jeśli tak, to należy natychmiast podnieść się z miejsca i ruszyć do łazienki. Niezależnie, jak prędko to zrobimy, zawsze na miejscu okazuje się, że były cwaniary szybsze od nas. Kiedy kobiety stoją w ogonku do kibelka, mężczyźni konwersują w foyer, dzieląc się refleksjami o spektaklu i sącząc wino.

Niektóre teatry w Wielkiej Brytanii zaczęły pracować nad rozwiązaniem kwestii toaletowej w momencie, gdy widzki po prostu nie były w stanie punktualnie dotrzeć na drugą część spektaklu.

Ale pal licho teatr czy operę. Gorzej, gdy brak odpowiedniej liczby toalet przeszkadza ci w pracy. Wiedzą o tym menedżerki, które w przerwie ważnych spotkań mkną jak szalone do łazienki. Ekstremalny przykład tego, jak ważna może być dostępność – lub jej brak – sedesu, pokazuje Lezlie Lo-

FOT. PEXELS (2)



eprasa.pl ed047e9ca2

we, autorka książki „No Place To Go: How Public Toilets Fail our Private Needs", przytaczając opowieść o Hillary Clinton.

Oto w 2015 r., podczas debaty Demokratów, uczestnicy spotkania poszli do toalet w trakcie przerwy reklamowej w transmisji na żywo. Podczas gdy konkurenci Clinton – Bernie Sanders i Martin O'Malley – załatwili, co trzeba, raz-dwa i wrócili na miejsca, byli gotowi na wznowienie rozmowy, ona czekała w kolejce. Finalnie debata została wznowiona bez Clinton, która pojawiła się w kadrze dopiero po chwili, przepraszając za spóźnienie ponad 6 mln widzów.

Wątłym pocieszeniem dla nas, kobiet Zachodu, może być to, że i tak żyjemy w najlepszym z możliwych miejsc. Według ONZ jedna trzecia kobiet na świecie nie ma dostępu do prywatnych toalet, a – podaję za Perez – organizacja WaterAid policzyła, że każdego roku kobiety spędzają w sumie 97 miliardów godzin na szukaniu miejsca, w którym mogłyby załatwić codzienne potrzeby fizjologiczne czy higieniczne związane z menstruacją.

## SIKANIE TYLKO ZA PIENIĄDZE

Problem dostępu do toalety jest szerszy niż tylko za mała liczba kabin. Z ulic świata od lat znikają toalety publiczne. Mężczyzna z braku laku może iść za drzewo czy wejść do bramy, bo społeczeństwa są w stanie przymknąć oko na sikającego publicznie mężczyznę, ale nie przepuszczą kucającej z zakasaną kiecką kobiecie. Pamiętam dobrze czasy spacerów z wózkiem, gdy moje dzieci były małe. Robiłam to, co tysiące kobiet w podobnej sytuacji: po prostu całe godziny nie piłam.

Nieodpowiednie nawodnienie z powodu lęku przed brakiem możliwości skorzystania z łazienki to jeden z poważniejszych skutków zdrowotnych u kobiet wywołanych zjawiskiem, o którym mowa.

W Wielkiej Brytanii w 2010 r. było 5159 toalet prowadzonych przez samorządy, do 2018 r. ich liczba spadła do 4486 i z każdym rokiem jest ich mniej. W Polsce jest podobnie; konia z rzędem, kto potrafi wskazać trzy publiczne łazienki w obrębie centrum swojego miasta.

O ile toalety spotyka się w parkach, o tyle na deptakach i ulicach po prostu ich nie ma. Żeby się wysikać – i to rzecz jasna dotyczy zarówno kobiet, jak i mężczyzn – trzeba wejść do kawiarni lub restauracji, ale te często żądają bardzo wysokich opłat dla osób niebędących klientami lokalu. W tej chwili – słusznie – w związku z ociepleniem klimatu w centrach wielu zachodnich miast pojawiają się poidełka, bo władze wychodzą z założenia, że dostęp do wody pitnej jest prawem człowieka. Sęk w tym, że kto pije, ten sika, zatem równocześnie z poidełkami powinien iść powrót do stawiania publicznych toalet, gdzie można by załatwić potrzeby fizjologiczne za symboliczną kwotę, choć należałoby pomyśleć o dostępie bezpłatnym, mając na uwadze ludzi – zwłaszcza starych – którzy naprawdę nie mają pieniędzy na nic poza desperackim wiązaniem końca z końcem.

Sprawa toalet jest nie tylko genderowa, ale zahacza o potrzeby nas wszystkich, również osób biednych i coraz liczniejszych osób starych, które z powodu różnych przypadłości – takich jak nietrzymanie moczu u kobiet czy kłopoty z prostatą u mężczyzn – są zmuszone siadać na sedesie czy stawać przy pisuarze wiele razy dziennie. ▲

OGŁOSZENIE

OD PIĘCIU LAT W SERCACH POLEK

*W moim życiu ta książka okazała się jedną z najważniejszych rzeczy. Ale wszystko zaczęło się od chwiejnego zaufania, że ktoś będzie/chciał przeczytać słowa, które napiszę; że mogą być ważne. I twoje słowa. Niezależnie od tego, czy ktoś poza tobą je przeczyta, czy będą tylko dla ciebie. Najważniejsze są nasze puste notesy.*

NATALIA DE BARBARO

PONAD 750 000 SPRZEDANYCH EGZEMPLARZY! TERAZ JUBILEUSZOWE WYDANIE KULTOWEJ "CZUŁEJ PRZEWODNICZKI" Z NOTESEM!

CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYJ NA KULTURALNY SKLEP.PL WOLISZ EBOOKI / AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA publio.pl

www.wydawnictwoagora.pl

Wydawnictwo Agora

eprasa.pl ed047e9ca2

## SIATECZKA NA PODUSI

Nowy podkład Infaillible Fresh Wear Cushion L'Oréal Paris jest inspirowany K-beauty. Dzi;ęki mikropigmentom i siateczce równo rozprowadza się na skórze i długotrwale kryje. ***(99 zł, Hebe)***

## ZACHŁANNY NA ŚWIATŁO

Po 25 latach od debiutu powstała nowa wersja podkładu Armani Luminous Silk. Dodano pielęgnacyjną glicerynę i niacynamid, ekstrakt z lilii dodający cerze blasku i ujędrniający ekstrakt z białego łubinu. Technologia Liquid Silk pozwala lepiej rozpraszać światło, zapewniając promienny wygląd i lekki, jednolity efekt. Jest 30 odcieni. ***(30 ml/309 zł)***

# Triki *dublerów*

Historia podkładu sięga starożytności. Używano białych mazideł, by uzyskać porcelanową cerę. Dziś nadal chodzi nam o jednolity koloryt skóry. Ale dostajemy dużo więcej

## W DUECIE JAŚNIEJ

Clarins łączy swoje Double Serum z podkładem, żeby uzyskać efekt bardziej promiennej cery. Technologia AURA rozprasza i odbija światło na skórze, dodatek papainy przyspiesza jej odnowę, a Matrixyl 3000 (peptyd) działa przeciwstarzeniowo. Podkład zawiera dziewięć ekstraktów roślinnych i pięć cząsteczek aktywnych. W ofercie 12 satynowych odcieni. ***(30 ml/269 zł)***

## ZABAWA W CHOWANEGO

Trudno uwierzyć, ale nawet podkład Double Wear Estee Lauder można poprawić. Od debiutu w 1997 roku był ikoną makijażu, podkreślano jego matowe wykończenie, długotrwałe krycie i trwałość. Dziś wraca jako Double Wear Stay-in-Place Makeup. Matowa formuła zawiera niacynamid, ekstrakt z alg, kwas hialuronowy, jest bardziej płynna, a dzięki technologii Polymer Mesh Matrix jest bardziej trwała i lepiej kryje. ***(30 ml/259 zł)***

## DOBRE KRYCIE

Podkład jest szczególnie ważny dla osób, które mają np. zaczerwienienia. Zwykły makijaż może podrażniać wrażliwą cerę. Sensibio AR+ CC Cream Biodermy to specjalny krem z podkładem dla skóry naczynkowej, z trądzikiem różowatym – łagodzący, kryjący, ochronny (z SPF50). ***(40 ml/90 zł)***

FOT. MATERIAŁY PRASOWE (6); OPRAC. ALEKSANDRA LUBAŃSKA-CZUBAK



eprasa.pl ed047e9ca2

# W SPRZEDAŻY

wysokieobcasy extra

**TEMAT NUMERU:** KULTURA WSTYDU.
SKĄD SIĘ BIERZE TEN KOBIECY BRAK AKCEPTACJI?
CZYJ TO GŁOS TAK NAPRAWDĘ?

**JOANNA BRODZIK:** Nie boję się odsłonić
i pokazać swojego miękkiego brzucha

**PSCYHOLOGIA:** Karanie ciszą, Obrażanie się jest
zgubną strategią. Obniża satysfakcję z relacji
i może prowadzić do jej rozpadu

**Numer dostępny z prezentem:**
skarpetkami złuszczającymi Silcatil
lub maseczką w płacie SKU FaceBoom – SUPERSTAR

eprasa.pl ed047e9ca2